

Wolf Isabel – Cel matrymonialny (Tina)

W porządku. Szampan – odfajkowany; serowe jak im tam – odfajkowane; kwiaty – odfajkowane; balony – odfajkowane; wstążki – odfajkowane; świeczki – odfajkowane; Boże, gdzie są świeczki? Cholera, nie mam trzydziestu siedmiu świeczek, mam... no, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. Cholera! Cholera! Gdzie ta lista? Mam. Dobrze. Co dalej? Aha, świeczki... Gałązki – odfajkowane; chipsy – odfajkowane; orzeszki – odfajkowane; żarcie – odfajkowane. Cholera. Żarcie. Masa żarcia. Kto zje sto pięćdziesiąt grzanek z krewetkami, dwieście śliwek w boczku, trzysta pięćdziesiąt kiełbasek koktajlowych w miodzie z estragonem, sto osiemdziesiąt rolek z łososia wędzonego w dymie dębowym i dwieście dwadzieścia trzy minirolady ze szpinaku z serem? Jak sześć osób ma to wszystko zjeść? Plus dziewięćdziesiąt pięć czekoladowych eklerek? Sześć osób. Pół tuzina. Albo, dokładniej biorąc, dwanaście procent z ogólnej liczby zaproszonych. Jestem rozczarowana, a wiązałam takie nadzieje z dzisiejszym wieczorem. Specjalnie kazałam udekorować salon. Śliczne nowe tapety od Osborne'a i Little'a oraz ręcznie złożony żyrandol. Ale w tym roku chciałam zrobić coś ekstra. Pójść na całość. W końcu mam co świętować – Bardzo Poważny Związek z naprawdę miłym facetem. Z Alekssem. Moim chłopakiem. Moim facetem. Bardzo miłym. W gruncie rzeczy fantastycznym. Naprawdę, naprawdę fantastycznym. Jest jeszcze ciągle sporo osób, które go nie znają i chciałam, żeby to przyjęcie było dla nas obojga. Nie wypaliło. Przyjmowanie gości bywa cholernie denerwujące, prawda? Odwołują przyjęcie w ostatniej chwili, jak człowiek już wszystko kupił. Niestety, kilka osób odwołało swoje przyjęcie. No, trochę więcej niż kilka. Dokładnie czterdzieści cztery, co oznacza, że moje wielkie przyjęcie na pięćdziesiąt osób zmieniło się w raczej dyskretną kolację. I nie mam szans, aby opisano je w kronice towarzyskiej w „Highbury and Islington Express”. Cholera. No tak, moje przyjaciółki mają zawsze problemy – nie mogą znaleźć opiekunki do dzieci, odchodzi niania, dzieci są chore, mężowie nie mają humoru. Najgorzej, jak większość kumpeli ma dzieci i problemy rodzinne stają się ważniejsze niż dobra zabawa. Na przykład Alison odwołała dzisiaj rano, bo Jack ma „problem z kupą”. Czy ona naprawdę musi być taka dosłowna?

- Strasznie się denerwuję, jest cała zielono-żółto-pomarańczowa – powiedziała.
- Dziękuję, że się tym ze mną podzieliłaś – stwierdziłam sucho.
- W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam, tylko:
- Biedne maleństwo, jaka szkoda. Dzięki, że zadzwoniłaś.

W południe Jane i Peter musieli zrezygnować, bo ich pomoc do dziecka wyjechała z chłopakami z sąsiedztwa. Nawet Lizzie, moja najlepsza i najstarsza przyjaciółka, nie może przyjść.

– Przepraszam, skarbie – powiedziała, gdy zadzwoniła wczoraj rano. – Strasznie mi przykro, ale zupełnie zapomniałam, że jest teraz przerwa w szkole i chcę gdzieś wyjechać z dziewczynkami.

- Cóż, nic nie szkodzi – odparłam filozoficznie. – Dokąd się wybieracie?
- Obserwować ptaki w Botswanie. Okavango jest fantastyczne o tej porze roku.
- Nieźły wyjazd, pomyślałam, lepszy niż wycieczka do zoo.
- Udało mi się znaleźć okazijną wycieczkę w biurze podróży Coksa i Kingsa – do-dała, wyraźnie zaciągając się papierosem. – Dziś wieczorem wylatujemy do Gabarone.
- Martin też z wami jedzie?
- Nie żartuj, Tiff – powiedziała, prychając. – Martin pracuje.

Jasne. Jaka ja jestem głupia. Biedny Martin.

Wczoraj wieczorem zadzwoniła Rachel, żeby powiedzieć, że nie może przyjść na przyjęcie, bo ma poranne nudności (ale moje przyjęcie jest wieczorem – zaopnowałam), a dwie godziny później zadzwoniła Daisy, że ma bóle w dole brzucha i boi się wyjść z domu, bo dziecko na pewno lada chwila się urodzi. Dziś rano zadzwonił Robert, żeby powiedzieć, że zachorowała jego teściowa, zatem nie mogą przyjść, a potem zatelefonowała Felicity.

– Thomas ząbkuje i okropnie się ślini...

No, i teraz zostało nas sześcioro. Sześć samotnych osób: Sally, Kit, Catherine, Frances, Emma i ja. I oczywiście Alex. Mój chłopak. Mój facet. Nie mam męża, ale przynajmniej mam faceta. Czego nie można powiedzieć o moich samotnych przyjaciółkach. Biedactwa. To musi być dla nich potwornie przygnębiające. To, że są samotne. W naszym wieku. Straszne. I niezrozumiałe – w końcu są całkiem nieźle. I atrakcyjne. Zwłaszcza Sally. Jest naprawdę śliczna. I ma kupę forsy. Ale nawet Sally trudno jest znaleźć przyzwoitego faceta. Ja na szczęście mam Aleksa. I to na serio. Chodzę z nim już od dawna – osiem miesięcy, trzy tygodnie i pięć dni. W gruncie rzeczy... No, załóżmy, że powiem tylko tyle: zaprenumerowałam sobie „Panny młode i urządzenie domu”.

Chciałabym móc stwierdzić, że to było niezapomniane przyjęcie. I w pewnym sensie jest to prawda. Zaczęło się obiecująco. Sally przyszła pierwsza, o wpół do ósmej, co mnie zaskoczyło, bo pracuje w City dwadzieścia dziewięć godzin na dobę, a poza tym, dobrze wiem, że zarabia masę forsy – jej półroczna premia zapewne przekracza moją dwuletnią pensję, ale nie jest skąpa. Kupiła mi apaszkę Hermèsa. Tutaj się ich dużo nie widuje. To zwiększy prestiż naszej dzielnicy. Już widzę tytuł w miejscowej gazecie: „W gorszej części Islingtonu zauważono apaszkę Hermèsa. Ceny domów poszły w górę”.

– To ze sklepu wolnocłowego – wyjaśniła z uśmiechem. – Na lotnisku Kennedy’ego odliczyli mi trzydzieści procent. Och, Tiffany, masz nowy wystrój. Fantastycznie. – Zdjęła jasnorożowy kaszmirowy sweterek, odsłaniając szczuple, lekko opalone ramiona.

– Miałam wredny dzień – jęknęła, opadając na kanapę. – Dziś po południu dolar spadł o dziesięć centów w ciągu pół godziny. Sytuacja alarmowa. Kryzys.

Zawsze trudno mi wyobrazić sobie Sally w pracy, gdy w sali giełdy pełnej testosteronu krzyczy bardzo głośno do słuchawki: „Sprzedawaj! Sprzedawaj! Sprzedawaj!”. To właśnie robi, nie codziennie, ale często, i trudno w to uwierzyć, bo jest delikatna i krucho, jak porcelanowa laleczka. Zupełnie niepodobna do Frances, która przyszła po niej. Frances jest, jakby to powiedzieć, dość dobrze zbudowana. Raczej przystojna. Zwraca na siebie uwagę niczym kredens Sheratona. Jest też bardzo mądra, skończyła prawo w Oksfordzie z podwójną pierwszą lokatą. Mężczyźni tego nie lubią.

– Wszystkiego najlepszego, Tiffany! – wykrzyknęła głębokim, *basso profundo*, głosem. Ma niesamowity głos, przypominający fagot. Dobrze wyglądała w lnianym kostiumie z Episode, oczywiście ciemnym, do sądu, i z krótko obciętymi kasztanowymi włosami. W każdym razie przyniosła mi tę cudowną książkę: *Takie są fakty – przewodnik chirurgii plastycznej dla każdej kobiety*.

– To naprawdę miło z twojej strony, Frances – powiedziałam. – Jak wiesz, jestem tym bardzo zainteresowana.

– Dlatego ją przyniosłam – odparła. – Żeby cię zniechęcić. Zdjęcia są obrzydliwe.

A potem przyszła Catherine z wielkim bukietem peonii, z palcami umazanymi farbami i lekkim zapachem terpentyny w długich rudych włosach. Catherine odnawia obrazy, cierpliwie pocierając je kawałeczkami waty i małymi pędzelkami, usuwając wielowiekowy osad brudu i kurzu. Można by powiedzieć, że odsłania ich prawdziwe kolory.

– Przepraszam, że się nie przebrałam, Tiff – powiedziała. – Mam nadzieję, że to nie jest formalne przyjęcie.

– Nie, jest nas tylko sześcioro. Wszyscy pozostali odwołali.

– Super! – zawołała, rzucając okiem na stół w jadalni. – Będzie więcej dla nas. Te kielbaski pysznie wyglądają.

Catherine jest bardzo chłopięca. Zwykle chodzi w dżinsach, a jej piegowata twarz jest błyszcząca i wyszorowana. I nigdy, ale to nigdy nie widziałam, żeby się umalowała. Nie używa tuszu do rzęs. Ani nawet błyszczyka. Podczas gdy ja, no, ja ostatnio najwięcej używam korektora. Całe masy, które nakładam na twarz łopatą, zatykając powiększające się zmarszczki pod oczami.

O ósmej zjawiała się Emma z wielkim pudłem czekoladek Godiva.

– Szkoła była potworna – jęknęła. – Miałam lekcje z samymi chuliganami, najlepsze życzenia, Tiffany, mój Boże, ile jedzenia, zaprosiłaś pułk wojska?

– Nie, tylko paru starych znajomych.

Ostatni przyszedł Kit.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Tiffany! – powiedział, obejmując mnie i całując głośno w policzek. Dzięki Bogu, że istnieje Kit. Często myślę, że powinnam dać sobie spokój z Alekssem – ciekawe, gdzie on się podziewa – i zając się Kitem. Moja matka uważa, że powinnam za niego wyjść. Mój ojciec uważa, że powinnam za niego wyjść. Lizzie też tak sądzi. Wszyscy tak sądzą. Dlaczego za niego nie wysłałam? Chyba dlatego, że odpowiedni moment już dawno minął. Ale wciąż jest moją drugą połową, to znaczy moją drugą twórczą połową. Ja wymyślam słowa, a on robi zdjęcia. Jest moim dyrektorem artystycznym. Dlatego się spotkaliśmy – przy reklamie mydła Camay. Teraz jest moim rycerzem, najlepszym kumplem i całkiem często także kolegą z pracy. Uwielbiam z nim

pracować. Jest wolnym strzelcem, tak jak ja, i nadal współpracujemy przy różnych kampaniach, choć Kit naprawdę chciałby reżyserować reklamy telewizyjne.

– Dostałaś tę fuchę dla Kiddimint? – spytał, gdy popijaliśmy szampana w moim małym ogródku.

– Tak. – Zerwałam kilka późnych konwalii, żeby je postawić na stole. – Cholera, Coward Spank chce mieć scenariusz za trzy tygodnie. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Nigdy nie robiłam pasty do zębów, zwłaszcza pasty do zębów dla dzieci. Chcą, żeby to był film rysunkowy. Może wykorzystam postać kota Macavity, wiesz, tego z Eliota.

– Coś w tym rodzaju: „Dzieciaki, używajcie pasty Kiddimint, a Macavity wam nie grozi”?

– Tak, coś takiego. Jeśli zapłacą prawa. Co teraz robisz?

Uśmiechnął się.

– Będę... asystentem reżysera w reklamie lakieru do włosów!

– Kit, to fantastycznie!

– Wiem. – Nie krył radości. – Kino i telewizja. Duży budżet. Powinno wyjść doskonale. Lakier Head Start. Dla Yellowspanner. Kręcimy w Pinewood, w stylu fantastyczno-naukowym. Zaangażowaliśmy sobowtórkę Claudii Schiffer. Jest szalowa i genialnie podrzuca włosami przed kamerą. Ale nie powiem tego Portii – dodał z przejęciem. – Nie chciałbym, aby poczuła się niepewnie.

Szkoda, pomyślałam. Nic by się nie stało, gdyby Portia, powszechnie znana jako „Porsche”, nie była tak stuprocentowo pewna Kita. Depcze po nim w szpilkach od Paolo Blahnika, zostawiając za sobą krwawiące dziury. Nie wiem, dlaczego Kit w ogóle się nią przejmuje. To znaczy wiem. Sam mi to wiele razy mówił. Przejmuje się nią, bo ją kocha, odkąd półtora roku temu weszła, potykając się, na plan reklamy wódki. Portia jest modelką, ale na pewno nie modelową dziewczyną. Prawdę mówiąc, traktuje Kita jak śmiecia. Ale on ją uwielbia. Czyż to nie śmieszne? Uwielbia. Im bardziej Portia nie zwraca na niego uwagi, tym bardziej Kit jest nią zainteresowany. Ze mną jest tak samo. To znaczy, zawsze jestem szalenie miła dla facetów i co mnie spotyka? Traktują mnie obrzydliwie. Nie wiem dlaczego. I to nie dlatego, że się nie staram. Godzinami słucham ich wynurzeń o problemach w pracy, a potem szykuję im kolację. Jeśli chcą pójść na jakąś imprezę, kupuję bilety, często stojąc w kolejce po zwroty. Kupuję im kartki urodzinowe dla ich matek i przyszywam guziki do płaszcza. A co oni robią dla mnie? Nie dzwonią, choć obiecali, a potem nawet nie pamiętają, że zapomnieli zadzwonić. Czasami – i to jest dopiero wściekające – w ogóle nie przychodzą na umówione spotkanie. Wszyscy faceci, na których mi najbardziej zależało, tak mnie właśnie traktowali. Czy to nie jest dziwne? To znaczy wszyscy oprócz Aleksa. Alex zawsze jest słodki. Delikatny. Uważny. Na przykład załatwił mi zniżkę na firanki Niny Cambell i poradził, jak pomalować kuchnię.

Pokazał mi też, jak prawidłowo wyposażyć łazienkę – stare kamienne butelki, ręczniki kąpielowe o widocznym spodzie i śliczne kamienie zamiast klamek, a nie te głupie, ceramiczne rybki i bąbelkowe podkładki do wanny. Bardzo dużo się od niego nauczyłam. W końcu nikt nie wie tyle co on o popękanej glazurze...

Ale dlaczego go tu jeszcze nie ma? Zazwyczaj jest punktualny jak rolex. Zaczęłam się zastanawiać, co mi kupił na urodziny, przypuszczalnie roczną prenumeratę „Świata wewnątrz” albo coś gustownego do mieszkania. Na Boże Narodzenie dał mi dwie cudowne aksamitne

poduszki w kolorze żółtych chryzantem. Taki właśnie jest Alex, naprawdę miły i uważny, choć... Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało nielojalnie czy coś w tym rodzaju, ale jest jedna rzecz, którą mogłabym skrytykować. Nie gra w tenisa, a ja tenis uwielbiam. W gruncie rzeczy w ogóle nie jest typem sportowca. Poza tym, nie przepadam za jego zapinanymi pod szyję piżamami z flaneli i graniem w scrabble'a w łóżku. No, ale nie można mieć wszystkiego. Zawsze musimy iść na kompromis, prawda? Na tym to wszystko polega. Trzeba mieć szersze horyzonty. A poza tym miło było spotkać kogoś sympatycznego i troskliwego po tym, co przesyłam z Phillipem. Philem. Znanym jako Phil Podrywacz. Nie, Alex był naprawdę miłą odmianą.

Nagle Kit wstał i oparł się o drzwi balkonowe.

– Przepraszam, że nie przyszedłem z Portią – powiedział, marszcząc lekko brwi. – Dostała bólu głowy. Nie miała ochoty nigdzie wychodzić. Ale powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, abym sam poszedł. Nie chciała mi psuć przyjemności. Pod tym względem jest bardzo wyrozumiała. Wcale nie myśli o sobie. Zaproponowałem, że do niej przyjdę i się nią zajmę – dodał ze smutnym uśmiechem – ale stwierdziła, że mnie nie potrzebuje. Że da sobie radę beze mnie.

Spojrzałam na niego. Czarne, kręcone włosy Kita były trochę za długie, wydawał się zmęczony i spięty. W zamyśleniu bawił się kieliszkiem od szampana.

– Nie wiem, co robić, Tiff – powiedział po chwili.

– Z czym? – spytałam, choć oczywiście wiedziałam. Wiele razy odbywaliśmy już tę rozmowę.

– Z Portią – odparł z westchnieniem.

– Ten sam problem?

Kiwnął głową.

– Mówi, że potrzebuje więcej czasu – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – Że jeszcze nie jest gotowa. Oczywiście nie naciskam. Mam tylko nadzieję, że zmieni zdanie. Ale naprawdę chciałbym się z nią ożenić. Chciałbym założyć rodzinę. Takie życie jest okropne.

– Proszę, proszę! – powiedziała Catherine, wychodząc do ogródka. – Jesteś rzadkim okazem, Kit; mężczyzną, który faktycznie chce się zaangażować. Mój Boże, wyszłabym za ciebie choćby jutro.

– Naprawdę? – spytał.

– Aha. Gdybyś mnie poprosił. Właściwie dlaczego tego nie robisz? – dodała nagle. – Jestem pewna, że by się nam udało.

– Ożeń się ze mną, Kit – powiedziała Sally, która też do nas przyszła. – Nie będę się wcale namyślać. Uważaj, Portia! Lepiej pilnuj swojego faceta! – Zachichotała uroczo, ale po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz żalu. – Szkoda, że wszyscy mężczyźni nie są tacy, jak ty, Kit. Gdyby więcej facetów chciało się żenić, nie musiałybyśmy codziennie wieczorem wyplakać się w poduszkę.

– Mów za siebie – zwróciła jej uwagę Frances. – Ja nie płaczę, tylko się bawię. To bardziej satysfakcjonujące. A muzyka zagłusza głośne tykanie mojego biologicznego zegara.

– Ja w ogóle mojego nie słyszę, bo jest na baterie – powiedziała Emma.

– Mój dzwoni niczym Big Ben – stwierdziła Frances – tylko nie ma go kto nakręcać. Ale wiecie co – mówiła dalej, obierając przepiórcze jajeczko – nic mnie to nie obchodzi. W końcu, po trzydziestu sześciu latach, doszłam do wniosku, że większością mężczyzn

nie ma co sobie zawracać głowy. Komu potrzebny jest facet? Wolę pójść w sobotę rano na rolki do parku niż do supermarketu z jakimś beznadziejnym facetem.

– Naprawdę tak nie myślisz – wtrąciłam. – Wszystko przez tę twoją pracę, zajmowaną się przez cały dzień cudzymi rozwodami może każdego zniechęcić do małżeństwa.

– To nie tylko to – powiedziała Frances. – Choć po piętnastu latach ustalania, kto w kogo rzucił nożem, zaczynasz mieć dość. Chodzi o to, że prawie wszyscy mężczyźni są nudni. Potwornie, śmiertelnie nudni. Oczywiście oprócz ciebie, Kit – dodała szybko.

– Dzięki – rzucił poirytowany.

– Dlaczego miałabym się starać uziemić jakiegoś faceta, tylko po to, żeby zanudził mnie na śmierć? – Frances rozwijała swoją teorię.

– Albo odszedł z jakąś inną kobietą – dodała Emma. – Tak jak mój ojciec.

– Po prostu nie ma naprawdę miłych, interesujących, przyzwoitych, odpowiednich, godnych zaufania mężczyzn – podsumowała Frances.

Owszem, są, pomyślałam z zadowoleniem. I ja takiego mam.

– Po prostu stwierdzam fakty – powiedziała Frances. – Przemyslałam wszystkie za i przeciw, i dowody nie przemawiają na naszą korzyść. Koniec z nudnymi randkami – dodała zdecydowanie. – Postanowiłam, że przeżyję życie bez szczęścia małżeńskiego.

– Lepiej żyć samotnie niż w kiepskim towarzystwie – wtrąciła Emma.

– Oczywiście! – przytaknęła Catherine.

– Trzy miliony samotnych kobiet nie mogą się mylić – powiedziała Frances, która zawsze ma pod ręką jakieś dane statystyczne. – A poza tym, po co się wysilać, skoro i tak czterdzieści procent małżeństw kończy się rozwodem?

– A dlaczego kończą się rozwodem? – spytała gwałtownie Emma. – Z winy facetów. Najczęściej. Tak było w przypadku mojego ojca. Znalazł sobie kogoś innego. Tak po prostu. W dodatku nic nadzwyczajnego, tyle że była młodsza od mojej matki. Mama nigdy się z tym nie pogodziła – stwierdziła gorzko.

– Mężczyźni zawsze bardziej korzystają na małżeństwie niż kobiety – powiedziała Frances. – W najnowszym badaniu opinii publicznej sześćdziesiąt procent mężatek stwierdziło, że gdyby mogły coś zmienić, nigdy nie wyszłyby za swoich obecnych mężów.

– Nie bardzo podoba mi się ta dyskusja – powiedział Kit z poirytowanym westchnieniem. – Mężczyźni w dzisiejszych czasach naprawdę nie mają lekko. Kobiety doprowadziły do tego, że czujemy się zbędni.

– Jesteście zbędni – powiedziała łagodnie, choć stanowczo, Frances. – Co może dać mi mężczyzna? Mam dom, samochód, dobrą pracę, szafę pełną ciuchów od znanych projektantów i półkę nad kominkiem zasypaną zaproszeniami. Dwa razy do roku wyjeżdżam na urlop. Co jeszcze mógłby mi dać mężczyzna?

– Poczucie żalu – stwierdziła złośliwie Emma.

– Koszule do prasowania – dodała Catherine.

– Nudę – powiedziała Frances.

– Emocjonalny stres – rzekła Emma.

– „Arsenal United” – powiedziała Catherine.

– Zdradę – wtrąciła Emma.

– Dziecko? – spytała Sally.

– Nie bądź taka zacofana – zganiła ją Frances. – Nie potrzebujesz do tego faceta. Ile masz lat?

– Trzydzieści osiem.

– Jak tak bardzo ci zależy na rozmnażaniu, zgłoś się do banku spermy albo się z kimś prześpij.

– No, zawsze możesz wykorzystać urządzenie do szprycowania indyka i słoik po dżemie – zaśmiała się Emma. – I nie będziesz musiała się wykosztowywać na seksowną bieliznę.

– Możesz też poczekać parę lat i dać się sklonować – poradziła Frances. – Pamiętasz owieczkę Dolly?

– Bardzo chciałabym mieć dziecko – powiedziała Sally. – Naprawdę. Moi rodzice też na to czekają, ciągle coś trują na ten temat. Ale w życiu nie chciałabym mieć dziecka sama – dodała zdecydowanie. – Z banku spermy czy sklonowanego.

– Dlaczego nie? – spytała Frances. – Dziś nikt nie zwraca na to specjalnej uwagi. Sama strzeliłabym sobie dziecko, gdybym nie była taka leniwa. Wstawanie do bachora w środku nocy byłoby w moim wieku zabójcze.

– Na litość boską, masz dopiero trzydzieści sześć lat, a nie sześćdziesiąt trzy! – wykrzyknęła Catherine.

– Co masz właściwie przeciwko samotnym matkom, Sal? – zainteresowała się Frances.

– To nie jest w porządku wobec dziecka – odparła Sally. – Poza tym, jakiś biedak zawsze w końcu za to płaci, nawet jeśli nikt go nie pytał, czy chce zostać ojcem.

– To powinien bardziej uważać – rzuciła triumfalnie Emma.

– No tak, ale z mojego punktu widzenia... prawda... to znaczy myślę, że to niesprawiedliwe i wiem, że sama nigdy bym się na coś takiego nie zdecydowała – stwierdziła Sally. Nagle z jej torebki od Gucciego doleciało piskliwe ćwierkanie. – Przepraszam – powiedziała, wyjmując komórkę. – To są najnowsze dane na temat akcji amerykańskiego ministerstwa skarbu. Ostatnio były tam pewne zawirowania. Chwileczkę. – Wróciła do jadalni, gdzie chodziła powoli tam i z powrotem, rozmawiając, z wyraźnym niepokojem, ze swym kolegą z Nowego Jorku.

– Tiffany to ma szczęście – powiedziała Catherine, przełamując na pół bułeczkę. – Nie musi się niczym przejmować.

– To prawda – dodała Emma, drżąc lekko z zimna. – Ma faceta. Wszystko jest zafiksowane i wkrótce będzie ślub. – Przyłożyła do ucha zwiniętą dłoń. – Już słyszę marsz weselny. Kiedy on ci się oświadczy, Tiff?

– O kurczę, no, ja nie...

– No właśnie, kiedy? – spytała Frances, popijając szampana. – I czy mogę być twoją niehonorową drużką?

– Cha, cha! Mmm, nie wiem, ja... – Spojrzałam w górę. Na niebie pojawiła się gruba warstwa szarych chmur. Skąd one się wzięły?

– Czy nikomu nie jest zimno? – spytałam. – A może ktoś chce tartinkę z parmezanem i czerwoną papryką?

Zależało mi na tym, żeby jak najszybciej zmienić temat, bo naprawdę nie chciałam podkreślać tego, że ja mam faceta, a moje przyjaciółki nie. Szczerze mówiąc, przez całą tę ich dyskusję dziękowałam Bogu za Aleksa. Nawet jeśli ma opadające ramiona i chociaż jak dziewczyna, co czasem doprowadza mnie do szału. Ale przynajmniej nie muszę się zastanawiać nad samozapłodnieniem ani przejmować prawidłową owulacją, bo po pierwsze, mam faceta, a po drugie, wiem, że Alex lubi dzieci. Naprawdę je lubi. Ubóstwia. Bawi

się ze swoimi siostrzeńcami, straszliwie ich rozpuszcza i jestem pewna, że doskonale nadaje się na ojca. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko zmienianiu pieluch. Przepuszczalnie polubi to zajęcie.

Tak czy siak, wiedziałam, że Alex wkrótce mi się oświadczy. Ostatnio często obrzucał mnie zdenerwowanym wzrokiem. A osiem miesięcy to dość długo, prawda? W naszym wieku. To znaczy on ma trzydzieści osiem, a ja trzydzieści siedem. Nie ma na co czekać, prawda? W końcu nie ma trzech byłych żon i pięciorga dzieci, którym musiałby płacić alimenty. Nie ma żadnych zobowiązań, i to też jest dużym plusem.

Kiedy inni nadal rozmawiali o zmieniającej się roli kobiet i mężczyzn oraz malejącej popularności małżeństwa, zrobiłam w myśli listę zakupów do ślubu, który będzie, kiedy...? We wrześniu? Ładny miesiąc. A gdyby to było za wcześnie, to w grudniu. Podoba mi się pomysł ślubu w zimie. Bardzo romantycznie. Moglibyśmy zaśpiewać *Ostrokrzew i bluszcz* przy świecach, ołtarz mógłby być udekorowany błyszczącym papierem, a tren mojej sukni mógłby być wykończony futrem. Gdzie kupić suknię? W Chelsea Design Studio? U Catherine Walker? Strasznie tam drogo, a poza tym, jakby tata miał wydać tyle pieniędzy, to Alex chyba wolałby suknię od Anthony'ego Price'a. Wiem na pewno, że chciałby, żeby kwiaty były od Moysesa Stevensa. Zawsze jest bardzo wybredny, jeśli chodzi o dekoracje kwiatowe. Ilu gości? Dokładnie dwieście siedemnaście osób. Już zrobiłam listę. W ten sposób zaoszczędzę trochę czasu w przyszłości, prawda? A podróż poślubna? Do jakiegoś artystycznego miejsca, na przykład do Florencji. Aleksowi by się podobało. A może Sewilla. Albo Brugia. Gdzieś, gdzie jest mnóstwo galerii i przynajmniej siedemnaście katedr. I...

– Gdzie jest Alex, Tiffany? – spytała Catherine. – Już piętnaście po dziewiątej.

– Nie wiem – powiedziałam. – Może musiał zostać dłużej w pracy.

– Nad czym teraz pracuje? – zainteresowała się Emma.

– Urządza duży dom w Pimlico, kompletnie zaniedbany. Ściany obite brązową jutą. Plastikowe blaty w kuchni. Dywany w kwiaty kalafiora. Powiedział, że będzie tam cały dzień, ale o tej porze powinien już tu być.

– Może miał wypadek – podsunęła Frances.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziałam. Weszłam do środka i zadzwoniłam na komórkę Aleksa. „Dziękuję za telefon na numer 0236 112331 – zaśpiewał mechaniczny kobiecy głos. – Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału”. Cholera!

– No, Alex, cześć, hm, to ja, Tiffany. Zastanawiam się, gdzie jesteś. Mam nadzieję, że nic ci się nie stało. Trochę się martwię. Ale może jesteś w drodze. Mam nadzieję, bo jest już piętnaście po dziewiątej i wszyscy goście od dawna czekają. Prawdę mówiąc, trochę nam się kolacja rozłązi, cha, cha, cha! Dyskutujemy o sprawach płci, i tak dalej, i przydałby się jeszcze jakiś mężczyzna, żeby wyrównać szanse. Do zobaczenia niedługo. Mhm. Tiffany.

– Robi się ciemno – powiedziała Emma. – Ojej, czy to deszcz?

– Dzisiejsze kobiety mają przerażający stosunek do mężczyzn – powiedział Kit, gdy wchodzili do środka. – A potem się dziwicie, że uciekamy. To absolutnie niesprawiedliwe. Nie godzicie się na kompromisy. Szukacie ideałów.

– O nie! – wykrzyknęły chórem, siadając na krzesłach i kanapach w salonie.

– O tak, a same jesteście dalekie od doskonałości – stwierdził Kit, siadając na szeslongu. – Taka jest prawda.

– Właśnie że jesteście doskonałe! – wykrzyknęły. – Jesteśmy fantastyczne. Nie zauważyłeś?

- Owszem – przyznał elegancko.
- Ja chętnie zgodziłabym się na kompromis, gdybym poznała jakiegoś mężczyznę, nawet niedoskonałego – stwierdziła Sally.
- Pracujesz w City z tysiącem facetów – powiedziała z zazdrością Catherine.
- Ale oni nigdy nie odzywają się do koleżanek z pracy, bo się boją oskarżenia o molestowanie seksualne. Poza tym nie uważają nas za prawdziwe kobiety. Dla nich jesteście mężczyznami w spódnicach. A kiedy poznają miłego, zwykłego faceta z innego środowiska, na przykład lekarza albo weterynarza, zazwyczaj ucieka, gdzie pieprz rośnie, bo jestem taka... – Sally zaczerwieniła się. – Jestem taka...
- Nadziana! – krzyknęły jednocześnie Frances i Emma.
- Sally wywróciła oczami.
- Przyznaj, Sally – nie ustępowała Emma. – Luksusowe mieszkanie w Chelsea Harbour, ogromna pensja, tego się nie da ukryć. Większość mężczyzn czuje się zagrożona.
- Chciałam powiedzieć, że jestem taka zapracowana – powiedziała Sally. – W naszym zawodzie człowiek pracuje od świtu do nocy, to cena, jaką płacimy. To jest mój kompromis. Codziennie rano jestem w pracy o wpół do ósmej i pracuję dwanaście godzin. Nie mogę nawet wyjść na obiad. Przynoszą mi kanapki. I właściwie zawsze jestem w pracy, bo muszę obserwować światowe rynki przez cały czas. Im jestem starsza, tym jest mi trudniej. Nie zazdrościcie mi pieniędzy. Wolałabym trochę pożyć.
- Zapalając świece, podziękowałam w duchu za to, że pracuję jako wolny strzelec. Ciężko zasuwam, ale sama wybieram czas pracy, nie muszę się martwić o kursy walut i szukać informacji, będąc na przyjęciu. No i nie zarabiam takich pieniędzy, żeby faceci mieliby się czuć zagrożeni.
- Nagle usłyszałam, że ktoś mówi:
- Tiffany! Tiffany, telefon.
- Hurra, pomyślałam, zapalając ostatnią świecę. To na pewno Alex.
- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Tiffany – powiedział cicho.
- Dzięki – odpowiedziałam. Słyszałam szum kropli padających za oknem i *Happy Birthday* dobiegające z salonu. – Denerwowałam się, Alex. Gdzie jesteś?
- Happy Birthday to you...
- Prawdę mówiąc, nie byłem w stanie przyjść.
- Happy Birthday to you...
- Właściwie, Tiffany...
- Happy Birthday, droga Tiffany...
- ...Muszę ci coś powiedzieć.
- Happy Birthday to you!

Czerwiec

To jest naprawdę okropne. Kiedy facet cię rzuci, nie ma w tym nic przyjemnego, nic a nic. Zwłaszcza jak się ma trzydzieści siedem lat. Zwłaszcza jak się myślało, że on za chwilę się oświadczy. Że za parę miesięcy, a nawet tygodni, będzie się szło triumfalnie

środkiem kościoła do wtóru marsza weselnego. Zupełnie tego nie planowałam na swoje trzydzieste siódme urodziny. Byłam pewna, że Alex za chwilę poprosi mnie o rękę. Oświadczył, że musi mi coś powiedzieć. Tymczasem następnego dnia spojrzął mi w oczy i stwierdził:

– Nie mogę dłużej.

– Czego nie możesz? – spytałam podejrzliwie, kiedy usiedliśmy za stołem w kuchni.

Zapadło milczenie. Alex był wyraźnie nieswój, ale zachowywał spokój. Zasznurował miękkie, kobiece wargi, a kosmyk kasztanowych włosów opadał mu na czoło. Nigdy mi się nie podobała ta jego fryzura, bo za bardzo mi przypominała Tony’ego Blaira. Kiedy się odezwał, początkowo nic nie rozumiałam.

– Niemogędlużejstwarzaćfałszywychpozorówimarnowaćciczasu. – Trochę się zdenierwował, a potem odetchnął głęboko przez orli nos. – Czuję, że muszę się z tobą ożenić, Tiffany, a ja nie chcę się żenić, choć wiem, że tobie na tym zależy.

– Nie, nie, nie, nie, nie. Wcale mi nie zależy – zaprotestowałam, popijając neskę. – Naprawdę. W ogóle nie myślę o małżeństwie. Dobrze jest tak, jak było. Ślub? Wielki Boże, nie! To mi nie przyszło do głowy.

Na twarzy Aleksa pojawił się wyraz zaskoczenia i ulgi.

– Och, cóż, widać się myliłem, ale ciągle zatrzymywałaś się przed wystawami Berkerteksa i Cartiera, chodziłaś do działu ślubnego w Peterze i Jonesie, oglądałaś zaproszenia ślubne w WH Smith. Myślałem, że... Myślałem, że chciałaś... W każdym razie prawda jest taka, że nie mógłbym w żadnym wypadku się z tobą ożenić, Tiffany. Nie bierz tego do siebie – dodał szybko. – Ale ja nie chcę się żenić. W ogóle. Z nikim. Nigdy.

– Czemu nie? – spytałam. Starłam się zachować spokojnie i z godnością, tak jakbym wcale nie była śmiertelnie rozczarowana.

– Długo się nad tym zastanawiałem i znalazłem parę powodów. Po pierwsze, lubię mieć własną przestrzeń. Nigdy nie mieszkałem z kobietą. I nie mogę sobie nawet wyobrazić, że jakaś kobieta mogłaby... no wiesz, grzebać w moich rzeczach. A najważniejsza przeszkoda to – zadrżał z niesmakiem – dzieci. – Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Niemowlęta. Prawdę mówiąc, na samą myśl robi mi się niedobrze. Te ryki i tak dalej, no wiesz, wycieki. Z obydwu końców. Nie, nie potrafiłbym z tym dojść do ładu.

– Przecież zawsze świetnie się nimi zajmujesz – stwierdziłam zgodnie z prawdą, gratulując sobie w duchu spokoju i opanowania. – Twój siostrzeńcy cię uwielbiają.

– Tak, ale nie muszę tego robić na co dzień. To duża różnica. A poza tym zacząłem się nimi zajmować, jak już wyrosli z pieluch.

– Jeśli nigdy nie chcesz się żenić – powiedziałam powoli – to po co się w ogóle ze mną spotykałeś?

– Podobałaś mi się. To znaczy, nadal mi się podobasz, Tiffany. Mamy wiele wspólnych zainteresowań, lubisz chodzić ze mną na wystawy i na balet...

– I do teatru – wtrąciłam.

– Tak, i do teatru.

– I do opery.

– Tak, i do opery.

– I na przedstawienia tańca nowoczesnego.

– Tak, tak.

– I na południowe dyskusje w Akademii Królewskiej.

– Tak, wiem.

– I na festiwale filmowe.
– Tak...
– I na instalacje wideo w ośrodku sztuki.
– Tak, tak, na wszystkie te rzeczy...
– I na koncerty jazzowe.
– Wiem, wiem – zapewnił pospiesznie. – Ale to już wystarczy. Nie szukam niczego więcej.

– Och. Rozumiem. Chciałeś mieć kogoś do towarzystwa. Panią, którą mógłbyś zabrać na różne imprezy kulturalne.

– Nie całkiem. Zależało mi także na przyjaźni. Ale jakoś... Zobaczyłem, że sprawy idą w innym kierunku i pomyślałem, że czas to wyjaśnić. Przepraszam, że popsułem ci przyjęcie urodzinowe – dodał. – Ale z tym przekonaniem nie mogłem się spotkać z twoimi przyjaciółmi.

– Nic nie szkodzi, Alex – powiedziałam, miętosząc w rękach zestaw do wyszywania z zabytkowymi różami od Elizabeth Bradley, który mi przyniósł w prezencie urodzinowym. – Nie mam do ciebie pretensji. Nie przejmuj się. A zwłaszcza nie miej wyrzutów sumienia, że zmarnowałeś mi osiem miesięcy życia! – syknęłam. No, tak, w gruncie rzeczy niczego takiego nie powiedziałam.

– Obawiam się, że muszę cię skreślić z listy najlepszych przyjaciół i rodziny – stwierdziłam tylko.

– Oczywiście. Rozumiem.

– Napijesz się jeszcze kawy?

– Chętnie – odparł, wpatrując się w pustą filiżankę z bolesnym wyrazem twarzy. – Wiesz, Tiffany...

– Tak?

Teraz był naprawdę zdenerwowany. Najwyraźniej przychodziło mu to z trudem.

– Wiesz, że nie znoszę rozpuszczalnej kawy. Obraża moje kubki smakowe. Nie tak dawno dałem ci bardzo dobrą algierską arabikę. Nie moglibyśmy się jej napić?

– Oczywiście.

Później tego samego dnia, kiedy wyszywałam zabytkowe róże i rozmyślałam nad tym, że znów jestem samotna i że też przypominam zabytkową różę, zadzwonił Alex. Miał zdenerwowany, nieszczęśliwy głos. Przez jedną szaloną chwilę pomyślałam, że zmienił zdanie.

– Słucham?

– Tiffany, jest jeszcze coś, o czym chciałem ci rano powiedzieć. Wiem, że pewnie jesteś na mnie trochę zła...

– Skądże znowu – skłamałam.

– Przepraszam, że cię zawiodłem i tak dalek, ale chciałem cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

– Słucham?

– Wiem, że pewnie jesteś na mnie trochę zła...

– Nie jestem – powiedziałam ze złością. – Powiedz, o co ci chodzi. Akurat robię powłóczkę na poduszkę.

– Chciałem cię prosić, żebyś na mnie nie wygadywała do znajomych.

– Nie mam zamiaru – odparłam. – Niby dlaczego? Nie mam ci nic do zarzucenia.

- A zwłaszcza byłbym wdzięczny, gdybyś nikomu nie mówiła o tamtej historii...
- Jakiej historii?
- Kiedy mnie zastałaś, no wiesz...
- Kiedy zastałam cię w mojej sypialni w mojej najdroższej bieliźnie od Janet Reger? Zapadło niezręczne milczenie.
- Tak, o tym.
- Nie martw się. Oczywiście nikomu nie powiem. Ani o tym, jak się przebrałaś w suknię od Laury Ashley.

– Powinnaś wszystkim o tym opowiedzieć – powiedziała Lizzie, kiedy wróciła z Botswany. – Za karę, że cię rzucił. Wredny typas. I to jeszcze w twoje urodziny.

- Wcale nie jest wredny – zaprotestowałam. – Na ogół bywa dość miły.
- Nieprawda. Co jest miłego w stwierdzeniu: „Nie mógłbym w żadnym wypadku się z tobą ożenić, Tiffany”?

- Nie... no, to przecież nic takiego. Po prostu miałam pecha, że tak długo zabrało mu dojście do wniosku, że się nie nadaje do małżeństwa.

- Bo się nie nadaje. To mięczak – powiedziała złośliwie. – Nigdy mi się nie podobały te jego grymasy, pedantyczne wybrzydzenia i podejrzone zamiłowanie do poduszek. A z tego, co mi mówiłaś... – Lizzie ściszyła głos do szeptu – wiesz, o tym, to chyba miałybyś więcej przyjemności z eunuchem. Naprawdę, Tiffany, masz więcej testosteronu od niego. – To pewno była prawda. – Cieszę się, że za niego nie wychodzisz – dodała. – Chociaż dziewczynki będą rozczarowane, obiecałam im, że niedługo zostaną druhnami.

- Coraz gorzej wyglądam – powiedziałam do mamy przez telefon, kiedy Lizzie wyszła. – Potwornie się zestarzałam. Praktycznie mam już prawie pięćdziesiątkę. Dziś rano znalazłam pierwszy siwy włos.

- Naprawdę, kochanie?
- Tak, naprawdę. I dlatego jestem starą panną. Nie mam szans. Ani widoków na przyszłość. Dlatego ciągle mnie ktoś rzuca, a faceci w ogóle nie chcą się ze mną umawiać.

- A ten miły księgowy Żyd? – spytała. – Ten, którego poznałaś w zeszłym roku.

- Nie podobał mi się.

- A ten producent z telewizji? Mówiłaś, że był chętny...

- On może tak, ale jego dziewczyna niezupełnie.

- Och, rozumiem. A ten, jak on się nazywał, ten od komputerów?

- Śmiertelnie nudny.

- A ten prawnik, którego poznałaś w klubie tenisowym? Jestem pewna, że do ciebie dzwonił.

- Mamo, on był straszny, ma coś w rodzaju drugiej głowy.

- Nie możesz w każdym razie mówić, że nikt nie chce się z tobą umawiać.

- Mogę, bo ci się nie liczą.

- Dlaczego?

- Bo mnie nie interesują. Zresztą mężczyźni już mnie w ogóle nie interesują. Mąż nie jest mi potrzebny.

- Nie mów tak, kochanie.
- Jest mi całkiem dobrze samej.
- Nieprawda. Jesteś przygnębiona.
- Tylko dlatego, że źle do tego podchodziłam. Należy cieszyć się samotnością. Poważnie traktować staropanieństwo.
- Kochanie, nikt cię nie będzie traktował poważnie, jak będziesz mówić takie rzeczy.
- Kiedy naprawdę, mam, sama się przekonasz. Sprawię sobie kota i będę robić na drutach koce dla Czerwonego Krzyża. Zainteresuję się krykietem i krzyżówkami...
- Nie rozwiązujesz krzyżówek, kochanie.
- Nauczę się. Będę brać udział w akcjach charytatywnych. Będę pilnować dzieci wszystkich moich znajomych. Zostanę najbardziej profesjonalną starą panną na świecie. I dostanę nagrodę: „Stara Panna Roku – Tiffany Trott”.
- Obawiam się, że takie negatywne i bezproduktywne podejście nic ci nie da.
- Po prostu jestem realistką.
- Raczej nihilistką, kochanie.
- Wątpię, żebym poznała kogoś nowego.
- Nie przesadzaj, kochanie. Na pewno kogoś spotkasz.
- Na pewno nie. Niedawno czytałam w gazecie, że czterdzieści pięć procent kobiet poznaje partnerów przez wspólnych znajomych, a ja już znam wszystkich znajomych moich znajomych. A dwadzieścia jeden procent poznaje ich w pracy.
- Tak bym chciała, żebyś znów miała normalną pracę, kochanie. Wciąż siedzisz sama i cały dzień wymyślasz slogany.
- Wolni strzelcy są wolni!
- Ale nie spotykasz żadnych mężczyzn. Oprócz Kita. Dlaczego nie wyszłaś za Kita, Tiffany?
- Mam, nie chcę teraz do tego wracać. Poza tym on kocha Portię.
- Twoi znajomi nikogo nie znają?
- Nie. Zresztą faceci, których poznałam przez moich znajomych, byli straszni, zwłaszcza Phillip.
- O tak – przyznała natychmiast.
- Mężczyźni! – prychnęłam pogardliwie. – Komu są potrzebni? Nie mnie. Poza tym nie mam zamiaru jeszcze raz przez to przechodzić – dodałam. – Nie ma mowy. Koniec. Nie. Dziękuję. Bardzo.

Zgodziłam się pójść na randkę w ciemno, którą Lizzie zaaranżowała z kolegą Martina. Czy kiedykolwiek twierdziłam, że nikt mnie nie przedstawia facetom, którzy chcieliby się ożenić? Odwołuję.

– Nazywa się Peter Fitz-Harrod – powiedziała, gdy skończyła omawiać ogłoszenie wysokiego, dobrze zbudowanego naukowca. – Zajmuje się pożyczkami syndykalnymi, ale nie pytaj mnie, co to znaczy. Chyba pożyczka pieniądze Mozambikowi. Poznałam go w zeszłym tygodniu na imprezie w firmie Martina – wyjaśniła. – Ma czterdzieści dwa lata, jest rozwiedziony, z dwójką małych dzieci. Naprawdę przystojny – dodała. – I chciałby znów się ożenić.

Nie mam absolutnie nic przeciwko rozwodnikom – pod warunkiem, że pierwsza żona nie żyje, cha, cha! – powiedziałam więc Lizzie, że może mu dać mój numer telefonu.

W tej sytuacji postanowiłam pójść na zakupy. Wycieczka autobusem numer 73 na Oxford Street. Podróże autobusem zazwyczaj nie powodują przyjemnych fantazji. Na ogół przypominają mi o wszystkich okropnych problemach, jakie mam z mężczyznami. Na przykład wsiałam do autobusu numer 24 z przekonaniem, że jadę do Hampstead. Wszystko jest całkiem jasne. Nagle, kiedy już zagłębiłam się w lekturze, rozlega się dzwonek i konduktor ogłasza koniec trasy i przesiadkę. Zaczynam z nim dyskusję o nieprzyjemnej niespodziance, a on spokojnie pokazuje mi napis dużymi literami z przodu autobusu: „Tylko do Camden High Street”. I tak zawsze jest z mężczyznami. Nie widzę znaków i pozwalam się zaprowadzić ścieżką przez ogród do domu, na górę do sypialni, a potem nagle znajduję się przy kuchennych drzwiach z instrukcją, żebym przed wyjściem przystrzygła trawę. Niestety, cały ten proces przeważnie trwa bardzo długo, o czym się już sama parę razy przekonałam.

Ależ ze mnie idiotka, głupia mała idiotka! Straciłam mnóstwo czasu przez tych samolubnych facetów niezdolnych do normalnych międzyludzkich kontaktów. Sama się tak załatwiłam. Może powinnam namówić Tony’ego Blaira, żeby wprowadził nowy zakon, myślałam, idąc do stoiska z drogimi kremami. Jestem pewna, że by mnie posłuchał, gdybym go poprosiła, żeby wprowadzić nowe przepisy dotyczące fobii na temat kontaktów między kobietami i mężczyznami. Mężczyznom, bez wyjawiania swych prawdziwych zamiarów, nie wolno by było monopolizować kobiet powyżej trzydziestu trzech lat dłużej niż pół roku. Przekroczenie przepisów groziłoby grzywną, a recydywiści, tacy jak Phillip, byliby wysyłani na roboty w fabryce konfetti.

– Nie mamy ze sobą nic wspólnego – oznajmił Phillip po prawie trzech latach, gdy spytałam grzecznie, czy moja obecność w jego życiu jest nadal pożądana.

– W gruncie rzeczy – kontynuował powoli – teraz zdaję sobie sprawę, że w ogóle do siebie nie pasujemy. I dlatego nie mógłbym się z tobą ożenić. To wielka szkoda, ale nic na to nie poradzę.

– Tak, szkoda – przytaknęłam, wyciągając moje ciuchy z jego szafy i starając się nie narobić bałaganu wśród jego ubrań do golfa. – Szkoda, że tak długo się zastanawiałeś. Szkoda, że cię nie rzuciłam, gdy przyznałeś się do zdrady. Szkoda, że uwierzyłam, gdy mówiłeś, że chcesz być ze mną na zawsze. W gruncie rzeczy – dodałam przez łzy – szkoda, że cię w ogóle poznałam. Jesteś dobrym architektem – powiedziałam, wychodząc.

– Dziękuję – odparł.

– Ta cieplarnia, którą zaprojektowałeś dla Froga i Firkina była genialna.

– Dziękuję – powtórzył.

– A przybudówka w Putney po prostu doskonała.

– Wiem.

– Ale jesteś beznadziejny w relacjach międzyludzkich.

Kilka miesięcy później spotkałam Aleksa. Początkowo wszystko wyglądało obiecująco, choć był strasznie nieśmiały. Okropnie się męczyłam na grzecznych randkach.

– Przynajmniej nie jest kolejnym podrywaczem – powiedziała słusznie Lizzie, kiedy wróciłam z dwudziestego trzeciego spotkania całkowicie niemolestowana.

Był sympatyczny i nie grał w golfa! Hurra! I nie krytykował moich ubrań. A nawet, jak się potem okazało, bardzo lubił moje ciuchy. Zwłaszcza moją bieliznę. I moje wieczorowe

suknie. Ale w końcu wszyscy mamy jakieś wady, prawda? Nasze drobne grzeszki. No i proszę, kurtyna opada, facet wychodzi z lewej strony.

– Nie pozwól wchodzić sobie na głowę – poradziła Lizzie. – Bądź twarda.

Teraz więc jestem twarda. Jeśli się nie oświadczą w ciągu pięciu minut, koniec! No, może pięciu tygodni. W wyjątkowych okolicznościach, z usprawiedliwieniem od rodziców, w ciągu pięciu miesięcy.

– Ma pani rozszerzone pory – powiedziała stara baba w białym fartuchu, sadzając mnie przed lustrem powiększającym w stoisku z drogimi kremami. – Są ogromne. Obawiam się, że to przychodzi z wiekiem.

Gdybym wiedziała, że są takie duże, Phillip mógłby grać w golfa na mojej twarzy.

Kupiłam trzy tubki kremu zamykającego pory (osiemdziesiąt siedem i pół funta) i maleńką tubkę kremu nawilżającego. Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, dlaczego krem nawilżający zawsze jest w małych tubkach?

Kiedy wróciłam do domu, zadzwonił telefon.

– Halooooo – odezwał się lekko ochryply kobiecy głos. Kto to był, u diabła?

– Halooooo – powiedział znów głos. – Czy to Tiffanee? Tiffanee Trot? Mówi Peter Fitz-Harrod. – Cholera, to facet.

– To ja – powiedziałam zaszokowana.

– Ach tak. Cha, cha, cha, cha, cha! Lizzie Bohannon dała mi twój telefon. Cha, cha, cha, cha, cha! Wszystko mi o tobie opowiedziała. Cha, cha, cha, cha, cha! Bardzo mi się podobasz. Czy chciałabyś się ze mną umówić na drinka?

Nadal czerwiec

Założę się, że żona Petera Fitz-Harroda zostawiła go dla innego mężczyzny i wcale się jej nie dziwię. Wygląda na totalnego niezgułę.

– Dlaczego chcesz mnie spiknąć z tym nieciekawym faceciem, Lizzie? – spytałam ją przez telefon.

W gruncie rzeczy niczego takiego nie powiedziałam. Wobec przyjaciół, którzy starają się, jak mogą, żeby doprowadzić człowieka do ołtarza, należy się zachowywać taktownie.

– Jaki on jest, ten Peter Fitz-cośtam? – spytałam w rzeczywistości. – To bardzo miło z twojej strony, że o mnie pomyślałaś i bardzo to doceniam, ale szczerze mówiąc, zrobił na mnie wrażenie całkowitego kretyna.

– Ma okropny głos – przyznała – ale na żywo jest znacznie lepszy. Na pewno warto spróbować. Inaczej bym ci nie proponowała, prawda?

Dziś wieczorem umówiłam się z Peterem Fitz-Harrodem na drinka. Ustaliliśmy, że spotkamy się w Ritzu o wpół do siódmej, a ja przygotowałam sobie na wszelki wypadek wymówkę o wyjściu na kolację piętnaście po ósmej. Moja pierwsza od ponad piętnastu lat randka w ciemno! Co za dziwaczny pomysł – iść do hotelu, żeby napić się z facetem, którego się wcześniej nie widziało na oczy. Ale skoro już go usłyszałam, byłam ciekawa, czy wygląda tak samo okropnie, jak sobie wyobrażałam. Powiedziałam mu, że mam „jasne

włosy”, celowo nie używając słowa „blond”; i tak był już dość podekscytowany, a poza tym wiedziałam, że nie jest w moim typie. Jednakże ubrałam się starannie, nic takiego, nad czym wydziwiałby Phillip: ładna garsonka i dyskretny makijaż (bez podkładu – postarza). Kiedy weszłam przez obrotowe drzwi, zobaczyłam mężczyznę w prochowcu burberry, który siedział obok biurka nocnego portiera. Spojrzeliśmy na siebie i on rzucił się w moją stronę, jak krokodyl zeskakujący z brzegu do wody. To był on. Strasznie napalony.

– Halo, cha, cha, cha, cha, cha! Ty jesteś Tiffanee – zapiszczał, podając mi spoconą dłoń.

– Skąd wiesz? – spytałam. Ritz był pełen trzydziestoparoletnich blondynek.

– Cha, cha, cha, cha, cha! Nie wiem, ale się domyślam, bo pasujesz do swojego głosu – wyjaśnił.

Dzięki Bogu, ty za to nie pasujesz – udało mi się nie powiedzieć, ponieważ Lizzie, o dziwo, miała rację. Naprawdę był całkiem niezły. Jakiś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, kręcone, brązowe włosy, niebieskie oczy, średniej budowy, szary dyskretny garnitur, dobrze wyczyszczone, czarne, sznurowane buty, gustowne srebrne spinki do mankietów. W gruncie rzeczy prawie do zaakceptowania. Nawiasem mówiąc, postanowiłam na przyszłość nie sądzić facetów po głosie.

Usiedliśmy w barze i zamówiliśmy drinki. Dla niego piwo, dla mnie kieliszek białego wina.

– Wolałabym raczej sauvignon, a nie chardonnay – poinstruowałam kelnera w swoim najlepszym „eleganckim” stylu. Wielki Boże! Nagle zdałam sobie sprawę, że usiłuję zrobić dobre wrażenie na tym facecie. Spytałam o jego pracę, która polega na pożyczaniu pieniędzy południowoafrykańskim krajom. On zapytał, co ja robię.

– Och, reklama. „Na porządne pracowanie jedno jajko na śniadanie”, i tak dalej! – wykrzyknął entuzjastycznie.

– Mniej więcej coś takiego – odparłam, nie wdając się w szczegóły o gumie dla dzieci.

Rozmawialiśmy o sporcie. On nienawidzi golfa – fantastycznie! I lubi tenis – jeszcze lepiej! Rzuciłam strategicznie wrażliwe, ale niewścibskie pytanie o dzieci, które widuje w każdą niedzielę. Potem zamówiliśmy następną kolejkę. Wszystko razem wyglądało całkiem niezłe. Stopniowo rozmowa stała się bardziej osobista. Zapytał, dlaczego nie wyszłam za męża.

– Jestem za młoda – powiedziałam. – Rodzice uważają, że mam jeszcze czas.

– Cha, cha, cha, cha, cha! To bardzo dobre! – zawołał. – Bardzo dobre. Za młoda! Cha, cha, cha, cha, cha!

Spytałam, dlaczego się rozwiódł.

– Czy to była decyzja twojej żony?

– O nie – odpowiedział. – To ja zdecydowałem. Moja żona wcale nie chciała się rozwodzić. Była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. Nadal jest.

Rozumiem. To mnie lekko zniechęciło. Faceci na ogół się nie rozwodzą, chyba że się zakochają w kimś innym.

– Myślała, że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem – mówił dalej przy dźwięku pianina. – Tymczasem ja wcale nie byłem szczęśliwy. Miesiącami nie zgadzała się na rozwód.

Nagle pomyślałam, że współczuję jego żonie. Dlaczego odszedł? Może faktycznie miał romans, choć na to nie wyglądał.

– Nie miałem nikogo innego – przyznał – ale moja żona stała się strasznie nudna.

Nudna. No, proszę.

– Czy to znaczy, że jest za spokojna? – spytałam, bawiąc się nóżką kieliszka.

– Nie, nie, miała mnóstwo do powiedzenia – zaprzeczył. – Nie jest nieśmiała ani zamknięta w sobie, ma dużo zainteresowań. I lubiła być żoną i matką.

Udawałam, że rozumiem, choć nic nie rozumiałam.

– Po prostu się z nią nudziłem – mówił dalej. – To wszystko, co mogę powiedzieć. Nudziłem się.

Są gorsze rzeczy, niż bycie nudnym – pomyślałam. Można męża zdradzać, przesadnie kontrolować, zaniedbywać, być samolubnym, okrutnym i złośliwym. Ale nudnym?

– Nie była zbyt rozrywkowa – wyjaśnił. – I nie zwracała na mnie dość uwagi. Nie była... – zirytowany wzruszył ramionami – ...pobudzającą partnerką.

Co miałyby robić – zaczęłam się zastanawiać. Jeździć po kuchni na motocyklu, żonglując porcelaną Wedgwood i śpiewając przeboje z *Oklahomy*?

– A poza tym... – Pochylił się bliżej – ...Była beznadziejna w łóżku.

Gggrrrrhhh! Tego wcale nie chciałam wiedzieć. Coś przekreśliło mi się w żołądku. Było mi bardzo żal pani Fitz-Harrod. Miałam ochotę pójść do niej i powiedzieć: „Niech mi pani wierzy, że tak jest dla pani lepiej. Pani były mąż jest nieelegancką świnia”. Zamiast tego spoglądałam na zegarek.

– Ojej, już pięć po ósmej. Miło mi się z tobą rozmawiało – skłamałam, gdy wyfraczony kelner przyniósł mi rachunek.

– Mam te same odczucia – powiedział. – Chciałbym się znów z tobą spotkać. Moglibyśmy zagrać w tenisa – dodał, gdy zatrzymywałam przejeżdżającą taksówkę. – Zadzwoń do ciebie.

– Tak, tak, koniecznie – powiedziałam, wsiadając i rzucając mu lodowaty uśmiech. – Będzie mi miło. Zadzwoń któregoś dnia.

A najlepiej nigdy. Jechałam do domu w lekkiej depresji. I raczej zażenowana. W końcu spotkałam się z nim za namową Lizzie. Będę jej musiała powiedzieć, jaki jest okropny. Nie powinnam była dać się namówić. Cóż, miała dobre chęci – pomyślałam, idąc ścieżką przez ogród i ścinając nożyczkami do paznokci kilka róż. Będą ładnie wyglądać w kuchni, a ich zapach poprawi mi nastrój. To nie jest wina Lizzie – pomyślałam. Skąd miała wiedzieć, sama tylko raz go widziała. Co za okropny wieczór. Co za okropny, obrzydliwy facet.

Lipiec

Wzięłam się do ogłoszeń. Zaczynam już je rozumieć. I muszę powiedzieć, że dość mi się podobają te ogłoszenia telefoniczne Bliźniaczych Dusz, gdzie nie trzeba pisać pod jakiś anonimowy numer skrzynki pocztowej i czekać tygodniami na odpowiedź. Wykręca się numer, słucha nagranej poczty głosowej i zostawia własną wiadomość. To genialny wynalazek, ponieważ brzmienie głosu jest bardzo ważne. Na papierze facet wygląda fantastycznie, lecz „zawodowy człowiek sukcesu, czterdzieści cztery” może w rzeczywistości okazać się „zawidowym czyławikiem suuukcesuuu, ćterdzieści ćtery”. A to by nam

nie odpowiadało, prawda? Tak, telefoniczne ogłoszenia są bardzo przydatne. Oczywiście są drogie. Ale w końcu co to jest pięćdziesiąt pensów za minutę w porównaniu z moim przysłym szczęściem?

Po wysłuchaniu dziś co najmniej czterdziestu takich telefonicznych ogłoszeń znalazłam jedno, które mi się naprawdę spodobało: „Poszukujący przygód człowiek sukcesu, profesjonalista w dziedzinie zarządzania, czterdzieści jeden, metr osiemdziesiąt, szczupły, atrakcyjny, zabawny, elegancki, chciałby poznać niezapomnianą dziewczynę dwudziesto-, trzydziestoparoletnią, która nie ma nic przeciwko temu, żeby ją trochę rozpieszczać. A nawet więcej niż trochę”. Miał miły głos, ani strasznie snobistyczny, ani wyraźnie plebejski. Gładki, ale nie przymilny. Wykształcony, ale nie ostry. Doskonały. Ciekawe dlaczego nie jest żonaty? W każdym razie może mnie rozpieszczać do woli, a ja mu się odwzajemnię. Oczywiście nagranie odpowiedzi nie jest superłatwe. Prawdę mówiąc, czułam się dość głupio i musiałam próbować parę razy, ale co tam! Wszyscy jesteśmy w tym samym położeniu, więc co za problem? Jesteśmy ludźmi zbyt zajętymi, zbyt dynamicznymi, zbyt popularnymi i zbyt atrakcyjnymi, żeby znaleźć czas i przestać być... no, samotnym. W tej osobliwej sytuacji, kiedy wciąż brak nam życiowego partnera, zachowujemy się rozsądnie i uciekamy się do małego fortelu.

– Halo000 – szepnęłam do słuchawki, starając się mówić jak Felicity Kendall. – Nazywam się Tiffany. Tiffany Trott. Wiem, że zadzwoniło już do ciebie siedemnaście milionów nietuzinkowych, dwudziesto- i trzydziestoparoletnich dziewcząt, ale ty potrzebujesz tylko mnie! Dlaczego? Ponieważ jestem szczęśliwa i zapracowana, stanu wolnego, lubię dowcipy, mam trzydzieści siedem lat i... jestem dość zdesperowana, cha, cha, cha! A poważnie... Jestem niską, wesołą blondynką przy kości. No tak. To ja, Tiffany. Tiffany Trott. Zadzwoń do mnie wkrótce.

PS. Mam nadzieję, że nie lubisz golfa. PPS. Fajne, prawda?

To tyle. Mam nadzieję, że się zgłosi, najlepiej od razu z pierścieniem z brylantem w kształcie rombu. Z drugiej strony nie miałabym nic przeciwko dużemu, kwadratowemu szmaragdowi albo – najnowszy krzyk mody – prawdziwemu kastetowi z akwamaryny. Według najnowszego numeru miesięcznika „Panny młode i urządzenie domu”, akwamaryny są teraz najbardziej popularne. Tymczasem jestem dziś wieczorem zaproszona na kolację do Agnusa i Alison. Przymuszam być jedyną kobietą bez pary. Jak zwykle. I jak zwykle zaproszą dla mnie jakiegoś nudnego, przystojnego inaczej, byłego wojskowego, który nie będzie miał absolutnie nic do powiedzenia. Alison i Agnus, widząc jak usiłuję wycisnąć z niego cokolwiek nad przystawką z awokado z curry, pomyślą, jak to dobrze być małżeństwem i podziękują Bogu za imprezę Młodych Konserwatystów w Croydon, w 1982 roku, bo inaczej nigdy by się nie spotkali i skończyliby jak ta biedna Tiffany.

Nie miałam racji. Z wielu powodów. Nie byłam jedyną samotną kobietą, bo na szczęście zaprosili też Catherine. „Mój” facet wyglądał całkiem nieźle, prawie możliwie. Lekkarz rodzinny w wieku czterdziestu paru lat. I wcale nie był nudny. O nie. Miał masę do powiedzenia.

Ho, ho – pomyślałam, kiedy nas sobie przedstawiono – niezły z ciebie facet. O wiele lepszy niż to, co zazwyczaj wyciągają z lamusa na moją cześć. Nieustannie flirtował. Był bardzo ożywiony. Często się śmiał. Dużo pił. Podobnie jak ja, grzecznie odmówił sosu

serowego i orzeszków ziemnych domowej roboty. Wyglądał na wysportowanego i był ładnie opalony. Nieszczęśliwie mnie zachwyciły jego wąsiki i złota bransoleta na lewej ręce, ale bardzo mi się podobała wyszywana kamizelka z turkusowego jedwabiu. Wyjątkowa. Na Catherine nie zrobił większego wrażenia. Spojrzała na niego, a potem na mnie i wyrwała oczami. Mnie osobiście raczej się podobał.

Alison i Agnus zaprowadzili wszystkich do jadalni i posadzili Catherine obok jakiegoś księgowego (on dopiero wyglądał na nudziarza), a mnie przy lekarzu. Ma na imię Sebastian. Przy jajkach nadziewanych makaronem z serem zapytał o moje zainteresowania. Kiedy powiedziałam o tenisie, spytał, czy gram sama. Bardzo mnie to rozśmieszyło. A potem bardzo długo mówił o tym, jaki wspaniały jest Greg Rusedski i że chciałby z nim mieć do czynienia, co zabrzmiało trochę dziwnie.

– Na główne danie mamy pieczeń wieprzową z ziołami, glazurowaną jabłkami – powiedziała Alison. – Albo roladę z kurczęcia faszerowaną rokwarem dla wegetarian.

Później, ponieważ Abigail jak-jej-tam jest w ciąży i przez cały wieczór z zadowoleniem masowała swój wielki brzuch, rozmowa oczywiście zeszała na dzieci.

– Czy chciałaby pani mieć dzieci? – spytał mnie Sebastian, podając półmisek jarzyn zapiekanych z serem.

– Ja... Tak, chciałabym – odparłam, podając dalej półmisek. Prawdę mówiąc, nie chciałam na ten temat rozmawiać, ale jakoś tego nie wyczuł.

– Ile ma pani lat? – spytał i nagle wszyscy zaczęli się przysłuchiwać.

– Pięćdziesiąt trzy – zażartowałam, żeby pokryć złość.

– Nigdy bym nie powiedział – stwierdził z szelmowskim uśmiechem. – Dałbym pani najwyżej... No, czterdzieści. – Wszyscy się roześmiali oprócz Catherine, która była przeżona. Ale inni uważali, że to bardzo śmieszne, zwłaszcza Abigail, która ma dopiero dwadzieścia dziewięć. Siedziałam w milczeniu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek w całym moim życiu powiedziałam coś, co miałyby celowo obrazić, zranić i spostonować drugiego człowieka, a on tymczasem nadawał bez przerwy o cholernym zegarze biologicznym.

– Mam dość kobiet około czterdziestki, które jęczą, że chcą sztucznego zapłodnienia, bo wcześniej nie zdążyły mieć dzieci – powiedział. – Na pani miejscu nie czekałbym dłużej, Tiffany – dodał.

– Staram się. I jestem pewna, że urodzę przed wymianą stawów biodrowych.

– Kobiety osiagają punkt krytyczny mniej więcej w wieku trzydziestu pięciu lat – stwierdził, nalewając sobie kolejny kieliszek bułgarskiego caberneta. – Może powinna pani zamrozić swoje jajeczka, Tiffany – poradził.

A potem zaczął długą i szczegółową gadkę o tym, że kobiety rodzą się z setkami jajeczek, których liczba zmniejsza się z wiekiem i kiedy mamy trzydzieści siedem lat albo więcej, jesteśmy praktycznie bezpłodne i prawie na pewno urodzimy trzygłowego potwora, o ile w ogóle uda nam się zająć w ciążę.

– Więc radziłbym pani się pospieszyć – skończył – ponieważ nawet jeśli stara się pani zająć w ciążę, w pani wieku potrwa to bardzo długo.

– A Jane Seymour? – powiedziałam, biorąc kawałek sernika z brzoskwiniami. – Bliźniaki w wieku czterdziestu dwóch lat.

– A Annabel Goldsmith miała dziecko w wieku czterdziestu pięciu – wtrąciła Catherine.

– Aha. A Jerry Hall urodziła kolejne, gdy miała czterdzieści jeden. I wszystkie dzieci były zdrowe.

– To co innego – powiedział. – One są bogate. A poza tym miały wcześniej dzieci. O wiele trudniej jest urodzić pierwsze dziecko w późnym wieku.

– Madonna miała trzydzieści osiem, jak urodziła pierwsze dziecko – powiedziała Catherine z oburzeniem.

– A Koo Stark miała czterdzieści – dodałam. Zawsze czytam takie rzeczy w gazetach. W gruncie rzeczy mama je wycina i mi wysyła, mam już niezłą kolekcję w segregatorze pod hasłem: „Późne macierzyństwo”.

– A ta kobieta, Liz Buttle, miała sześćdziesiąt – powiedziała z naciskiem Catherine. – To znaczy, że Tiffany i ja mamy mnóstwo czasu.

Na Sebastianie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Wiecie, państwo – odezwał się, odkrawając kawałek sera danish blue – całe to gadanie o tym, że późne macierzyństwo jest modne, to głupota. Kobiety lubią tak mówić, żeby sobie poprawić samopoczucie. Faktem jest, że dzieci nie chcą mieć geriatrycznych rodziców. To jest dla nich krępujące. A z drugiej strony, kiedy kobiety nie mają dzieci, zwiększa się u nich ryzyko raka piersi.

Miejsce. Miejsce. Miejsce. Miejsce zamieszkania faceta jest bardzo ważne, ponieważ – i nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje – gdy się z kimś spotykam, prawie zawsze lądujemy u niego. I to jest problem w Londynie, prawda? Podróż przez stolicę w romantycznym nastroju. Weźmy na przykład mojego przedostatniego byłego, Phillipa. Mieszka w Wimbledonie! Niezbyt dla mnie wygodnie, choć na ogół nie narzekałam.

– O nie, nic nie szkodzi, mogę przyjechać, dlaczego nie – mawiałam. – Autobusem 93 to trwa zaledwie dwa dni, a po drodze jest wiele interesujących widoków.

I nie miałam nic przeciwko temu, że prawie nigdy nie przyjeżdżał do mnie, ponieważ rozumiałam, że musi być blisko swojego klubu golfowego, a poza tym miał rację – daleki Islington to niebezpieczne miejsce. Alex z kolei mieszka w centrum, w Fitzrovii, na tyłach Tottenham Court Road, i jakoś prawie nigdy mnie do siebie nie zapraszał. Zwykle spotykaliśmy się przed teatrem, w operze, w National Gallery, na Smith Square, w Sadler’s Wells, w Jazz Café czy w National Film Theatre. Sporo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że marne widoki na romans, jeśli facet nie ma któregoś z tych kodów: N1, N4, N5, N16, W1, W2, WC2, SW1 czy – w wyjątkowej sytuacji – SW3. Mam nadzieję, że mój najnowszy nabytek z ogłoszenia spełnia to wymaganie. Choć nie oddzwonił. Chyba nie podobało mu się moje nagranie. Lizzie też się nie podobało.

– Po co mu mówiłaś, ile masz lat? – warknęła, kiedy pociłyśmy się w lokalnej siłowni. – Chyba zupełnie straciłaś mizerne resztki rozumu.

– Skoro i tak się dowie, mogę równie dobrze od razu mu powiedzieć – odparłam spokojnie, leżąc na ławce i podnosząc stopami ciężarki. – Poza tym trzydzieści siedem lat to nic złego. Całkiem fajny wiek. Greta Scacchi ma trzydzieści siedem.

– Ale ty nie jesteś Gretą Scacchi – wysapała Lizzie na maszynie do biegania. To była prawda.

– Daryl Hannah też ma trzydzieści siedem. I Kim Wilde. I Kristin Scott Thomas.

– Nie mów do mnie o Kristin Scott Thomas – wydyszała Lizzie, podkreślając prędkość. Zupełnie zapomniałam. Zapomniałam, że gdyby nie Kristin Scott Thomas, Lizzie byłaby dziś bardzo znaną aktorką. W gruncie rzeczy byłaby tak znana, jak, no właśnie, Kristin Scott Thomas. Ale w roku 1986 Kristin Scott Thomas, a nie Lizzie, dostała główną rolę w jakimś drugorzędym filmie i na zawsze zwichnęła aktorską karierę Lizzie.

Kiedy wróciłam do domu, zadzwonił telefon.

– Halo, czy to Tiffany? – spytał „Żądny przygód człowiek sukcesu w dziedzinie zarządzania, czterdzieści jeden”, którego głos od razu rozpoznałam.

– Tak – odparłam bardzo zadowolona. – Halo.

– Bardzo dziękuję za odpowiedź na moje ogłoszenie. Cieszę się, że się odezwałaś. A propos, jesteś numer szesnaście milionów dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy.

– Ojej, to przykre.

– Na ile ogłoszeń Bliźniaczych Dusz odpowiedziałas?

– Czteryście pięćdziesiąt sześć.

– Rozumiem. Bardzo słusznie, nie należy przesadzać. Czym się zajmujesz?

– Piszę teksty reklamowe.

– Aha. „Na porządne pracowanie jedno jajko na śniadanie”, coś w tym rodzaju.

– Tak, coś w tym rodzaju. „Daj się skusić”.

– „Nie wychodź bez tego z domu”.

– „Wygra z twoim głodem”.

– „Tyle świeżości...”.

– „Rozkosz dla twojej skóry”.

– „Odświeża tam, gdzie inne piwo nie sięga”.

– Proste. I genialne.

– Genialne – powiedział. – Powiedz mi, czy naprawdę jesteś mała i gruba?

– Nie.

– Szkoda, bo lubię małe, przytulne kobiety.

– Nie można też powiedzieć, że jestem wysoka i szczupła – wyjaśniłam. – Czy faktycznie jesteś człowiekiem sukcesu?

– Tak, chyba tak.

– Szkoda, bo wolę raczej przegranych życiowo i nieudaczników.

Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy. Facet z poczuciem humoru i z refleksem – fantastycznie! I w dodatku rozumiał moje dowcipy.

W przeciwieństwie do Phillipa.

– Uważam, że powinniśmy się spotkać – stwierdził Człowiek Sukcesu po dwudziestu minutach przekomarzania. – Lubisz Ritza? – Czy ryby lubią wodę?

– Uwielbiam.

– Świetnie. Zamówię stolik na dwie osoby na... czwartek? O ósmej?

– Super. Do zobaczenia. Chwila moment. Jak cię poznam?

– Będę miał krawat od Hermès. A ty?

– Noszę szkła kontaktowe.

– A więc nie ma problemu.

W czwartek wieczorem wzięłam prysznic, włożyłam elegancki kostium z lnu od Alberta Ferretti, który mam od pięciu lat, ale który po prostu ubóstwiam, i ruszyłam na Piccadilly autobusem numer 38. Kiedy weszłam, po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch tygodni, przez obrotowe drzwi Ritza, starając się nie wyglądać, jakbym znów przyszła na randkę w ciemno i mając nadzieję, że nie zobaczę nagle Petera Fitz-Harroda, spostrzegłam przy recepcji dość interesującego mężczyznę. Wysoki, z kręconymi brązowymi włosami, ładnymi rysami i brązowymi oczami, nie był przystojny w konwencjonalnym sensie, ale robił dobre wrażenie. Miał elegancki garnitur w kratę, a kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ma przekreślony krawat i widać metkę. Spojrzał na mnie, pytająco uniósł brwi i szeroko się uśmiechnął.

– Halo, Tiffany Trott – powiedział pewnym tonem.

– Halo, Człowieku Sukcesu.

– Efekt jest oszałamiający.

– Dziękuję. Rozmowa to dobra rzecz.

– Chodźmy coś zjeść – powiedział, biorąc mnie delikatnie za lewy łokieć i prowadząc po różowo-zielonym dywanie, przez Palm Court Bar do restauracji. Kontakt fizyczny był trochę zbyt szybki, ale nie miałam nic przeciwko temu. Nawet mi się to podobało. Człowiek Sukcesu najwyraźniej czuł się w Ritzu jak w domu – znali go wszyscy kelnerzy. Dostaliśmy stół z lewej strony, niedaleko wielkich połączonych figur Neptuna i jego Nereidy. Obrus był z białego ciężkiego adamaszku, a nakrycie z turkusowoniebieskiej porcelany. Dwie lilie w srebrnym wazonie rozsiewały upojny zapach. Czułam się fantastycznie. Rozejrzałam się wokół i w miejsce zwykłych gości wybrałam sobie twarze Noëla Cowarda, Nancy Mitford, Evelyny Waugha i Agi Khana.

– To historyczna sala, prawda? – powiedziałam.

– O tak. Edward VII jadał tu regularnie. Tylko pomyśl, być może siadywał z Alice Kappel właśnie przy tym stoliku.

Człowiek Sukcesu zamówił wino z wyraźną znajomością rzeczy i uśmiechał się do mnie znad swojego menu, gdy zastanawiałam się nad przystawkami. Łosoś wędzony w dymie dębowym, siedemnaście pięćdziesiąt. Nie wiedziałam co wybrać: sałatkę z krabów, dziczyznę z płatkami selera czy karczochy z leśnymi grzybami i szparagami. Nie mogłam się zdecydować.

– Mam nadzieję, że wybierzesz coś z dużą liczbą kalorii – stwierdził nagle Człowiek Sukcesu. – Kocham pulchne kobiety. Czy mogę ci polecić *foie gras*, pieczeń z jagnięcia z kartofelkami *dauphinois* i podwójną porcję musu czekoladowego? Oczywiście z bitą śmietaną.

– Nie wiem, czy to wystarczy – powiedziałam, choć prawdę mówiąc miałam ściśnięty żołądek i nie byłam pewna, czy zdołam cokolwiek przełknąć. Był niesłychanie atrakcyjny. Konserwatywny, a jednocześnie artystyczny – zabójcza kombinacja. Opowiedział mi o swojej pracy – w wydawnictwach handlowych – i o tym, że uwielbia grać na wiolonczeli. Ćwiczy codziennie rano. Opowiedział mi też o swej farmie w Sussex i luksusowym mieszkaniu w Albany koło Piccadilly.

– A zatem Ritz jest twoim lokalnym barem – powiedziałam, gdy przyniesiono główne danie.

– A Fortnum i Mason sklepikiem na rogu. To bardzo wygodne – dodał z uśmiechem. Odwzajemniłam uśmiech. To niewiarygodne, że taki przystojny, zabawny, szczodry, ele-

gancki mężczyzna do wzięcia nadal był kawalerem. Zdumiewające. Co za szczęście. Dzięki Bogu miałam dość odwagi, aby odpowiedzieć na jego ogłoszenie – pomyślałam, słuchając delikatnego szczęku srebrnych sztućców. To naprawdę było rozsądne z mojej strony. Rozmowa toczyła się zaskakująco łatwo o wielu rzeczach – o nowych filmach i książkach, technice gry w tenisa, podróżach, znakach zodiaku, polityce, malarstwie, miłości, życiu i śmierci. I oczywiście o reklamie, którą on uwielbia. Ma encyklopedyczną wiedzę i zna na pamięć wszystkie slogany i hasła, między innymi kilka moich. To mnie ucieszyło. Wieczór był niezwykle udany. I nagle, kiedy kelner zabrał talerze po głównym daniu, Człowiek Sukcesu odłożył serwetkę i spojrzał mi prosto w oczy. Myślałam, że powie: „Panno Trott, walczyłem ze sobą bezskutecznie. Niestety. Moje uczucia są silniejsze. Muszę powiedzieć, że szaleńczo panią podziwiam i kocham”. Tymczasem pochylił się w moją stronę i powiedział:

– A teraz, Tiffany, mam dla ciebie propozycję.

Co jest z tymi facetami? Dlaczego zawsze tak źle mnie traktują? W końcu naprawdę się staram. Czyż ich nie karmię i nie prasuję ich koszul, łącznie z tym trudnym miejscem koło kołnierzyka? Czy nie zajmuję się ich ogródkami i nie podlewam kwiatów na balkonie? Czy nie wrzucam ich listów do skrzynki, nie odbieram lekarstw w aptece i nie przynoszę próbek dywanów i zasłon, kiedy odnawiają mieszkanie? Czyż nie zmieniałam ciuchów, kiedy nie podobały im się te, które nosiłam, i nie odchudzałam się, gdy mówili, że jestem za gruba? Czyż nie biegałam przy nich po całym polu golfowym, krzycząc: „Genialnie!”, nawet jeśli piłka wyraźnie leciała do jeziora? Więc o co, do diabła, chodzi? Dlaczego zawsze i wszędzie jest ukryte jakieś żądło z jadem? Weźmy, na przykład, Człowieka Sukcesu. Siedziałam w Ritzu, zakochana, przepowiadając sobie w myśli jego mowę weselną i wymyślając imiona dla dzieci (Heidi, Hildegardę, Lysander, Tarquin i Max), kiedy złośliwe Przeznaczenie znów kichnęło w moją popielniczkę.

– Tylko się nie denerwuj – powiedział poważnie Człowiek Sukcesu. – Mam dla ciebie pewną propozycję. Właściwie dla nas.

– Co takiego? – spytałam beztrosko, bawiąc się widelczykiem deserowym i mając nadzieję, że w gruncie rzeczy chce mi się oświadczyć. Słowo „propozycja” ma taki nieokreślony wydźwięk, prawda?

Poprawił węzeł krawata.

– Widzisz – zaczął z wahaniem. – Moja żona i ja...

– Twoja żona?

– Tak. Żona.

– Och. – Moje serce się zatrzymało.

– Widzisz, ona... Olivia. Tak ma na imię. Olivia i ja... – Wypił łyk wody. Wyraźnie ze sobą walczył. – Nie układa nam się. Faktycznie nie pasowaliśmy do siebie od samego początku. Męczyliśmy się przez wiele lat, ale ostatnio doszliśmy do wniosku, że sytuacja stała się nie do zniesienia. Nigdy nie wchodził w rachubę nikt trzeci – zapewnił mnie pospiesznie. – Nie chciałbym, abyś tak myślała. Ale nasze małżeństwo stało się farsą.

Moje nadzieje wzrosły równie szybko, jak przed chwilą opadły. W takim razie on się rozwiedzie i wszystko będzie dobrze, prawda? Będę miała mojego wymarzonego

mężczyznę z cudownym głosem, eleganckimi garniturami, wyjątkowymi krawatami i poczuciem humoru.

– Mimo to – mówił dalej – nie możemy się rozwieść.

– Och. Dlaczego?

– Ponieważ jej ojciec pożyczył mi znaczną sumę, kiedy piętnaście lat temu zakładałem wydawnictwo.

– Rozumiem.

– Wtedy nic nie miałem. Oprócz ideałów, energii i ambicji. Dzięki niemu odniosłem sukces. Inaczej nigdy by mi się nie udało. I teraz...

– Jesteś człowiekiem sukcesu – podsunęłam.

– Tak – stwierdził, wzruszając lekko ramionami. – Jestem. Dlatego mam dom w Sussex i ładne mieszkanie w centrum Londynu. Dlatego noszę garnitury od krawca z Saville Road i ręcznie szyte buty. Dlatego moja córka chodzi do szkoły w Benenden. Wszystko dlatego, że ojciec Olivii pomógł mi wystartować.

– Czy nie mógłbyś go spłacić, skoro ci się tak dobrze powodzi?

– Zrobiłem to. Oczywiście. Z procentem. Ale to nie jest takie proste, bo kiedy zgodził się pożyczyć mi pieniądze, postawił warunek, że zawsze będę się opiekował Olivią i nigdy jej nie zostawię. Bardzo na to nalegał i ja się zgodziłem. I dotrzymam słowa. A poza tym – kontynuował z grymasem – rozwód jest bardzo nieprzyjemny, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dzieci. Nie chcę tego robić mojej córce.

– Ja osobiście uważam, że zdrada małżeńska jest bardzo nieprzyjemna. I nie chcę tego robić sobie.

– Zamieściłem ogłoszenie, ponieważ jestem trochę samotny i spragniony miłości, i chciałem znaleźć kogoś, o kogo mógłbym się troszczyć i...

– Rozpieszczać trochę, a nawet bardzo – dokończyłam ponuro.

– Mhm. Tak. Tak. Właśnie. Kogoś, z kim mógłbym miło spędzać czas. Kiedy z tobą rozmawiałem i teraz, kiedy się spotkaliśmy, wiem, że jesteś taką osobą.

– Skąd ci przyszło do głowy, że chciałabym miło spędzać czas? Ja chcę wyjść za mąż.

– Obawiam się, że nie mogę zaoferować ci małżeństwa. Nie *sensu stricto*. Ale i tak moglibyśmy mieć wspaniały związek – dodał entuzjastycznie. – Choć, oczywiście, tylko w niepełnym wymiarze czasu.

– W niepełnym wymiarze czasu? Och, rozumiem – powiedziałam, kręcąc w palcach łyżeczkę. – Powiedz mi, proszę, na czym to by polegało. Ile miałabym dni wolnych? A prawo do zrzeczania w związkach zawodowych? Czy dostawałabym zwyczajowe bonusy i płatne zwolnienia lekarskie? Czy gwarantujesz płacę minimum? Założmy, że podpiszę kontrakt, co będzie, jeśli w Wielkiej Brytanii zmieni się prawo pracy? Muszę brać to wszystko pod uwagę.

– Nie bądź taka – powiedział, gdy kelner przyniósł deser i sery. – Dlaczego zakładałaś, że nie mam żony?

– Bo nie mówiłeś, że masz – odparłam, wznosząc oczy do góry i spoglądając na *trompe l'oeil* na suficie. – Dlaczego po prostu nie sformułowałaś swego ogłoszenia jasno i bez ogródek: „Miły biznesmen, tkwiący w małżeństwie bez przyszłości, ale nie zamierzający się rozwodzić, poszukuje pulchnej kobietki do niezobowiązujących igraszek w łóżku”? Poza tym mogłeś mi powiedzieć przez telefon.

– Nie pytałaś.

– Powinieneś sam powiedzieć. Rozmawialiśmy dość długo.
– Dobrze, nic nie powiedziałem, bo mi się spodobałaś i bałem się, że jeśli powiem ci, jaka jest sytuacja, nie będziesz się chciała ze mną umówić.
– Święta racja. Nie szukam okazji do zabawy na boku.
– Nie wiem, dlaczego się tak przejmujesz – powiedział z rozdrażnieniem, smarując masłem biskwit. – Proponuję ci coś bardzo... cywilizowanego. Nie oszukujmy się, Tiffany, dziś dużo ludzi tak żyje.

– Ja nie jestem dużo ludzi. – Gardło bolało mnie od powstrzymywanego płaczu, gdzieś w kąciakach oczu czały się łzy. Odwróciłam głowę, przyglądając się błyszczącym kasetonom i pozłacanym żyrandolom. Potem znów na niego spojrzałam.

– Powiedziałeś, że to propozycja. Ja jej nie przyjmuję. Obawiam się więc, że będziesz musiał poszukać sobie kogoś innego. – Odłożyłam serwetkę na stół i wstałam. – Pójdę już. Do widzenia. Dziękuję za kolację.

Wysłałam przez bar, słysząc wokół wesóły szmer rozmów i brzęk kryształów. Twarz mnie paliła ze złości i od wilgotnego, letniego upału. Co za drań – pomyślałam, przechodząc przez Piccadilly. Wydaje mu się, że jest Bóg wie kim. A w dodatku co on sobie wyobraża, że kim ja jestem? Co za cham. Co za... Machnęłam ręką na autobus numer 38 i wsiadłam. Pusty. Dzięki Bogu. Przynajmniej mogłam sobie spokojnie popłakać. Usiadłam z przodu i zasłoniłam twarz lewą ręką.

– Nie martw się, złotko – powiedział konduktor. – Może wszystko się jeszcze ułoży.
– Może – odparłam, a wielka, gorąca łza spadła mi na kolana. Chyba, że będę się umawiać z facetami takimi, jak Człowiek Sukcesu. Co za łajdak. Za kogo on mnie wziął? Sięgnęłam do torebki i wyjęłam komórkę. Postanowiłam od razu zadzwonić do Lizzie i powiedzieć jej, co mnie spotkało. Spotkania w niepełnym wymiarze czasu, coś takiego! Lizzie na pewno zrozumie moje oburzenie.

– Bardzo nam przykro, ale Lizzie i Martina nie ma w domu – wydekłamała nagrały głos. – Proszę zostawić wiadomość... – To wszystko z teatralną intonacją, można by pomyśleć, że to przesłuchanie do Teatru Narodowego – ...A my się postaramy jak najszybciej oddzwonić.

– Cholera. – Nacisnęłam czerwony guzik. Z kim mogłabym porozmawiać? Musiałam z kimś porozmawiać. Sally. Na pewno okaże mi współczucie. O ile nie jest akurat w Nowym Jorku, Tokio, Frankfurcie, Waszyngtonie lub Paryżu.

– Halo – powiedziała Sally.
– To ja, Tiffany. Chciałam ci powiedzieć...
– Tiffany! Hej, co słychać?
– Jestem wściekła, bo właśnie wracam ze spotkania z kimś, kogo poznałam przez ogłoszenie...

– Odważna jesteś.
– Może. Ale raczej głupia. Spotkałam się z tym facetem, prawdziwym człowiekiem sukcesu w dziedzinie zarządzania...

– No i co? Brzmi nieźle. Co się stało?
Autobus zatrzymał się na moment na Shaftsbury Avenue, a potem ruszył w dalszą drogę.

– Wszystko zaczęło się bardzo dobrze – powiedziałam. – Podobał mi się, był atrakcyjny, zabawny i interesujący...

– Zaczekaj chwilę, Tiffany, muszę rzucić okiem na wiadomości z giełdy... – Wróciła po minucie. – Sprawdziłam tylko Dow Jonesa. Mów dalej. Co się stało?

– Wszystko zaczęło się bardzo dobrze – powtórzyłam. – Wyraźnie mi się podobałam i on mnie też, i wtedy...

– Tak?

– Poinformował mnie, że jest żonaty i szuka przyjaciółki na przychodne. Co o tym myślisz?

– Myślę, że to okropne – stwierdziła starsza kobieta, która siedziała za mną. Odwróciłam się i spojrzałam na nią. – Mam nadzieję, że powiedziała mu pani, co o tym myśli.

– Owszem. Poczułam się śmiertelnie obra... Sally? Jesteś tam?

– Tak. Coś strasznego. Co za łajdak. Nie podał w ogłoszeniu, że jest żonaty?

– Nie – odparłam ponuro. Autobus jechał Rosebery Avenue. – Podał, że szuka fantastycznej dwudziesto-, trzydziestolatki, którą mógłby rozpieszczać. – Za sobą usłyszałam parsknięcie. Co było takiego śmiesznego? Odwróciłam się i spojrzałam wściekłym wzrokiem na innych pasażerów.

– Ależ, Tiffany, powinnaś to wiedzieć – powiedziała Sally.

– Skąd?

– Określenie „rozpieszczać” oznacza, że szuka się kochanki. Podobnie, jak oferta „spełniania zachcianek” czy prośba o dyskrecję. Jeśli masz zamiar korzystać z tych ogłoszeń, musisz znać ich szyfr.

– Nie miałam pojęcia – jęknęłam. – Wiem, że PH oznacza poczucie humoru, DPH duże poczucie humoru, a ChP chciałyby poznać.

– A DZ to długoterminowy związek – dodała Sally.

– Naprawdę?

– A D/W – dobrze wyposażony.

– Naprawdę?! Wielki Boże! W każdym razie nie wiedziałam, że propozycja rozpieszczania oznacza, iż facet jest żonaty.

– Wszyscy to wiedzą – powiedział mężczyzna w średnim wieku, który siedział po drugiej stronie.

– Ja nie wiedziałam – rzuciłam. – Posłuchaj, Sally. Jestem naprawdę poważnie wściekła. Człowiek Sukcesu? Raczej Człowiek Świnia.

– Jak on się nazywa? – spytała, kiedy minęliśmy Angel.

– Nie mam pojęcia, nie pytałam. Ten podlec już mnie nie interesuje. Człowiek bez skrupułów...

– Bez charakteru – rzuciła kobieta za moimi plecami.

– Zgadza się.

– Kompletny smutas – dodała.

– Aha. Posłuchaj, Sally, co on sobie właściwie wyobrażał?

– Nie przejmuj się, Tiffany. To był po prostu pech. Jestem pewna, że ktoś miły czeka na ciebie całkiem blisko. Wybierasz się w niedzielę do Lizzie na obiad?

– Tak.

– No to się zobaczymy. Głowa do góry.

Schowałam telefon i wyjęłam gazetę. Krzyżówka mogłaby mnie uspokoić. Drań. Drań. Piętnaście poziomo: zadawać się ze snobem. Osiem liter, pierwsza s. Nie, nic mi nie przychodziło do głowy. Wstałam i zadzwoniłam. Kiedy przechodziłam do tylnych drzwi, starszy mężczyzna przywołał mnie gestem dłoni.

– Niech się pani zapisze do Dateline – powiedział ochryplym głosem. – To bezpieczna agencja. Osobiście uważam te telefoniczne ogłoszenia za dość ryzykowne.

– Dziękuję – powiedziałam. – Zastanowię się.

„Zadawać się ze snobem”. Myślałam o tym cały czas, wysiadając z autobusu i idąc Ockendon Road. Cholera, rowerzyści znów wyjechali na wojenną ścieżkę.

– Chodnik jest też dla pieszych! – krzyknęłam, gdy jakiś chłopak śmignął obok mnie na rowerze, o mało nie obrywając mi lewego ucha. Byłam potwornie wściekła. Niech cholera weźmie Człowieka Sukcesu! Niech go szlag trafi! „Zadawać się ze snobem” – myślałam. I wtedy sobie skojarzyłam. Snobować.

Nadal lipiec

Następnego dnia byłam znacznie spokojniejsza. Co za drań – wściekałam się w duchu. Co za łajdak. Obrzydliwiec. Przyjaciółka na przychodne. I co jeszcze?! Człowiek Sukcesu? Człowiek Padalec. Niegodziwiec. Fuj! Ale mogłam mieć pretensje jedynie do siebie. Zostałam ukarana za ryzykowne działania. Powinna się była domyślać, że w interesującym ogłoszeniu musi być jakaś pułapka. W końcu facet jest atrakcyjny, przynajmniej moim zdaniem. I dobrze wychowany, zabawny, z poczuciem humoru, interesujący w towarzystwie, i tak dalej, poza tym bardzo dobrze się ubiera, ma wyszukany gust i jest bardzo... hm... charyzmatyczny. Oraz żonaty. Cholera! Cholera! Haftowałam antyczne róże, wyszyłam już nawet dwa małe płatki, zastanawiając się nad okropnym zachowaniem Człowieka Sukcesu i moim nieustannym pechem z facetami. Zadzwoił telefon.

– Halo, Tiffany, tu, hm, cha, cha, cha, cha, cha! Peter. – Och, Boże! Tylko tego mi było trzeba. – Jesteś tam, Tiffany? – zapiszczał.

– Tak, ale...

– Cha, cha, cha, cha! Miło mi się z tobą rozmawiało w czasie naszego spotkania. Pomyślałem, że powinniśmy się umówić na tenisa.

Powinniśmy? O nie!

– Obawiam się, że muszę odmówić w związku z wcześniej umówionym spotkaniem – powiedziałam, przypominając sobie, co robił w takich sytuacjach Oscar Wilde. W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. W ogóle nic nie powiedziałam, gorączkowo myśląc.

– Czy mogłabyś wziąć swój terminarz? – spytał.

– Mhm, tak, poczekaj chwilę. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie poszłam po terminarz, ale podeszłam do drzwi wejściowych, otworzyłam je i dwa razy zadzwoniłam. I jeszcze raz.

– Och, Peter, przepraszam, ale ktoś przyszedł. Muszę otworzyć...

– Zaczekam – stwierdził spokojnie.

– Nie, nie, Peter. Zadzwoń do ciebie. Cześć.

– Ale nie masz mojego nu...

Uf! Wróciłam do salonu. I telefon znów zadzwonił. Cholerny Peter Fitz-Harrod. Dlaczego nie pojął aluzji? Tym razem powiem mu wprost. Będę odważna i powiem: Przepraszam, ale wolę, żebyś do mnie nie dzwonił.

– Tak? – warknęłam do słuchawki.
– Kochanie, co ci się stało? – spytała mama. – Masz okropny głos.
– Cześć, mamó. Czuję się okropnie. Jestem wściekła. Na facetów.
– Nic się nie przejmuj. Jestem pewna, że niedługo poznasz kogoś miłego.
– Na pewno nie.
– Nie poznałaś nikogo nowego? – spytała z zainteresowaniem.
– Poznałam. Ale nikogo, o kim warto byłoby opowiadać – stwierdziłam gorzko. – Nikogo, kogo mogłabym przyprowadzić do ciebie na herbatę. Nikogo, kto by się nadał, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, w dzisiejszych czasach jest coraz trudniej. Kiedy twój ojciec i ja byliśmy młodzi...

– Wiem – przerwałam. – Spotykałaś kogoś, kto ci się podobał, zostawał twoim chłopakiem, a potem się zaręczaliście, braliście ślub i żyliście razem na wieki. Koniec historii.

– Mniej więcej. Czterdzieści lat to dla ciebie wieki, prawda?

Czterdzieści lat. Moi rodzice są małżeństwem od czterdziestu lat. Cztery dziesięciolecia; czterysta osiemdziesiąt miesięcy; dwa tysiące osiemdziesiąt tygodni; czternaście tysięcy pięćset sześćdziesiąt dni; trzysta pięćdziesiąt tysięcy godzin; dwadzieścia jeden milionów minut; około miliarda dwustu pięćdziesięciu ośmiu milionów sekund. Przez cały ten czas są małżeństwem. W dodatku szczęśliwym. Bez żadnych romansów na boku. Wiem. Pytałam ich. I takiego małżeństwa chciałabym dla siebie. I nic mnie nie obchodzi, co ludzie mówią o skomplikowanym życiu współczesnej rodziny, o prawdopodobieństwie rozwodu, naturalnej tendencji do seryjnej monogamii i zmieniających się zwyczajach społecznych naszych czasów. Wiem dokładnie, czego chcę. Chcę być żoną tego samego mężczyzny co najmniej przez cztery dziesięciolecia, albo nawet pięć, tak jak królowa, bez żadnych skoków w bok. Być może jestem niedzisiejsza, konserwatywna i w dodatku bezkompromisowa, ale tak to właśnie czuję, choć wiem, że niektórzy mają bardziej liberalne poglądy. Kiedy moi rodzice się poznali, jedyną rzeczą, jaką mój ojciec miał matce do zaferowania, był bilet na koncert fortepianowy w Wigmore Hall. A co mi zaproponował Człowiek Sukcesu przy naszym pierwszym spotkaniu? Żebym została jego przyjaciółką w niepełnym wymiarze czasu. Czarujące. Fantastyczne. Wielkie dzięki. Możesz się wypchać swymi bezczelnymi propozycjami, chory człowieku. Odmawiam. Oczywiście jest jeszcze jeden powód, dla którego należy się trzymać od niego z daleka – Człowiek Sukcesu jest z założenia niewierny. Co wynika z jego oferty. Ja wiem, jakie jest życie z takim mężczyzną i nie jest to nic przyjemnego. Drugi raz nie zrobię tego samego błędu. Nie po Philu. Nie ma mowy. Ale wtedy to była moja wina. W końcu ostrzegano mnie przed nim. Kiedy go poznałam, wszyscy mówili, żebym dała sobie spokój, taką miał okropną opinię. A ja co? Nikogo nie słuchałam. Związałam się z nim. I dostałam za swoje.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Dziwne. Nikogo się nie spodziewałam. Za drzwiami stał jakiś człowiek z ogromnym bukietem kwiatów. Kto do diabła...?

– Pani Trott?

– Tak. – Za jego plecami stała furgonetka z napisem „Moyses Stevens”.

– Kwiaty dla pani.

Zaniósłam je do kuchni, włożyłam do zlewu, bo nie mieściły się w największym wazonie i usiadłam, gapiąc się na bukiet. Wyglądał jak kwietny fajerwerk z żółtych gerber, cytrynowych goździków, róż w odcieniu szafranu, bananowego berberysu, białej czar-

nuszki i jasnożółtych lewkonii, związanych skręconą wstążką i obramowanych delikatnie zwiniętymi gałązkami. Wspaniały. W celofanowym opakowaniu był list.

Droga Tiffany!

Specjalnie poprosiłem kwiaciarza – pan Stevens wyczarowuje nadzwyczajne bukiety – o coś złotego. To kolor tchórzostwa. Stchórzyłem na samym początku i dlatego przez telefon nie powiedziałem Ci wszystkiego. Czy mi wybaczysz? Muszę przyznać, że zaskoczył mnie Twój gniew – zachowałeś się dość gwałtownie – ale spróbowałem spojrzeć na to z Twojego punktu widzenia. Mogę jedynie przeprosić za to, że sprawiłem Ci przykrość moją obraźliwą propozycją. W gruncie rzeczy starałem się być wobec Ciebie szczerzy, tymczasem Cię uraziłem i mam tylko nadzieję, że mi przebaczysz i zostaniemy – przynajmniej – przyjaciółmi.

CS

Och. Ojej. Ho ho! Niezły list. Naprawdę sympatyczny. Co za fantastyczny pomysł. Może trochę przesadziłam i za ostro go potraktowałam. Ciekawe, skąd znał mój adres? Ach, prawda, dałam mu wizytówkę. Co za niespodzianka. Super! Jest taki miły. Boże, Boże, Boże, dlaczego jest żonaty? Takie już moje szczęście. Może powinnam się jeszcze zastanowić. Może zostaniemy przyjaciółmi. Dlaczego nie? Każdy człowiek potrzebuje przyjaciół, a on jest zabawny, interesujący, ma doskonały gust do krawatów i świetnie nam się rozmawia. Jestem pewna, że możemy zostać kumplami. Jestem pewna. Pewna.

– Chyba straciłaś resztki rozumu – powiedziała Lizzie, kiedy w następną sobotę chodziliśmy po dziale spożywczym Harrodsa, czy raczej, kiedy płatałam się za nią, gdy wkładała do koszyka kolosalnie drogie produkty na niedzielny obiad u niej w ogrodzie. – Daj sobie z nim spokój – powtórzyła głośno i wyraźnie.

– Ale on mi się podoba – powiedziałam w kolejce do stoiska garnazeryjnego.

– To nie ma żadnego znaczenia – stwierdziła, gdy wesoły mężczyzna w białym fartuchu układał na woskowanym papierze plastry pieczeni z węgierskiego dzika. – Człowiek Sukcesu nie jest dla ciebie. Jest żonaty. I w dodatku sam ci powiedział, że nigdy się nie rozwiedzie, pół kilo szynki parmeńskiej, proszę, a ty nie masz czasu do stracenia. Och, i jeszcze sześć tych kurecząt w miodzie. W gruncie rzeczy, Tiffany, masz prawie...

– Tak, wiem, mam prawie pięćdziesiąt lat – powiedziałam ponuro.

– Właśnie. Jeśli więc naprawdę chcesz wyjść za mąż, nie zadawaj się z żonatymi facetami. Na świecie jest jeszcze trochę wolnych mężczyzn. Ostatecznie możesz nawet wyjść za rozwodnika, nie mam nic przeciwko temu – dodała, przyglądając się francuskim serom.

– To mnie cieszy – odparłam z roztargnieniem.

– To znaczy, gdybyś wyszła za rozwodnika, nadal mogłabyś wziąć ślub kościelny, a przynajmniej dostać błogosławieństwo i mieć ładną suknię. I druhny – dodała. – Natomiast w żadnym wypadku nie powinnaś się zadawać z żonatym mężczyzną. Dwadzieścia deko cornish yarg w pokrzywach, poproszę. To byłoby zupełnie bez sensu.

– Ale ja nie zamierzam się angażować w nic poważnego – zaprotestowałam. – On chce, żebyśmy byli przyjaciółmi.

Lizzie prychnęła pogardliwie.

– Przyjaciółmi? Nie rozumiesz, że to jest koń trojański? Jeśli się z nim „zaprzyjaźnisz”, to za parę tygodni będziesz siedziała wystrojona przy telefonie, czekając, aż on się odezwie, a prywatny detektyw, wynajęty przez jego żonę, będzie siedział w samochodzie pod twoim domem z aparatem wycelowanym w okno sypialni. Tego właśnie chcesz, Tiffany? Bo taki jest los kochanek.

Kochanek? Kochanka... Co za okropne słowo. O nie! Nie ma mowy. Lizzie jest może obcesowa, ale ma rację.

– Myślę tylko o tobie, Tiffany – powiedziała, gdy rozglądałyśmy się po perfumerii na parterze. – Chyba dość już miałaś związków z nieodpowiednimi facetami. Nie możesz sobie pozwolić na kolejną pomyłkę. Napisz do niego, podziękuj za kwiaty i wyjaśnij, że nie możesz utrzymywać z nim kontaktów.

W taksówce, którą jechałyśmy do domu Lizzie w Hampstead, wisiał napis: „Dziękuję za niepalenie”. Lizzie podsunęła wyżej słoneczne okulary Ray Bana i zapaliła kolejnego marlboro. Light oczywiście.

– Wiesz, Tiffany, zastanawiałam się nad tym wszystkim i doszłam do wniosku, że źle się do tego zabierasz.

– Co to znaczy? – spytałam, otwierając okno, żeby wypuścić kłęby dymu.

– Do tej pory odpowiadałaś na ogłoszenia, a ja sądzę, że byłoby dużo, dużo lepiej, gdybyś dała własne – wyjaśniła. – W ten sposób będziesz miała większą kontrolę. Mogłabyś z góry odrzucić żonatych i wariatów. Pomogę ci je sformułować – zaproponowała. – Jestem dobra w tych rzeczach. Możemy to zrobić od razu – dodała.

Nie jestem zazdrosna, naprawdę. Ale zawsze, kiedy znajduję się w domu Lizzie, czuję potworną zazdrość. Mimo że jest moją najlepszą i najstarszą przyjaciółką. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Może to z powodu ogromnego salonu i dużych przestrzeni przykrytych kremowym dywanem bez najmniejszej plamki. Może przez artystyczne bukiety egzotycznych kwiatów w wysokich, ręcznie robionych wazonach. Może to pięknie malowane ściany lub zwarte szeregi antycznych srebrnych ramek na meblach z wypolerowanego mahoniu. Lub wielki ogród z pergolą obrośniętą pnącymi różami. Albo fakt, że Lizzie ma dwie urocze córki i męża, który ją kocha i który nigdy, przenigdy jej nie zdradzi, ani nie wymieni na nowszy model. Tak, to chyba jest to. Ma miłego i wiernego męża, a teraz chce mi pomóc, żebym i ja sobie kogoś znalazła.

– Posłuchaj, Tiffany – zaczęła, gdy usiadłyśmy w luksusowo urządzonej kuchni. Przez otwarte okno widziałam Martina, z wysiłkiem pchającego kosiarkę.

– Jesteś towarem, Tiffany. Bardzo pożądanym towarem. I chcesz się sprzedać na rynku. Nie możesz się sprzedać za tanio.

– W porządku – zgodziłam się, popijając kawę z filiżanki projektu Emmy Bridgewater.

– Musisz dobrze namierzyć, żeby trafić w cel – powiedziała, podając mi talerzyk z czekoladowymi ciasteczkami.

– Nie ma sprawy, wiem coś niecoś o trafianiu do celu. W końcu jestem autorką haseł reklamowych.

– Czasem mam wrażenie, że nie masz pojęcia o reklamie – powiedziała, rzucając okiem przez okno.

– Ale moje hasła dostają nagrody! W zeszłym roku w Cannes dostałam Brązowego Lwa!

– Martin! – krzyknęła. – Ominąłeś ten kawałek przy igrach. – Martin przystanął, wytarł pot z łusiny na czubku głowy i zawrócił.

– Nawiasem mówiąc, nie wiem, po co ci mąż, Tiffany. Oni wszyscy są zupełnie beużyteczni. – Nagle Amy i Alice weszły do kuchni z ogrodu.

– Co robisz, mamó? – spytała pięcioletnia Amy.

– Szukam męża dla Tiffany.

– Super. Czy to znaczy, że będziemy druhnami? – zapytała Alice.

– Tak. A teraz idźcie się bawić.

– Zawsze chciałam być twoją druhną, Tiffany – stwierdziła siedmioletnia Alice.

– Wydaje mi się, że prędzej ja zostanę twoją druhną – powiedziałam. – Jak będę miała koło pięćdziesiątki.

– Posłuchaj, Tiff, oto moja propozycja. – Lizzie pomachała kawałkiem papieru. – Wspaniała blondynka, trzydzieści dwa, biust czterdziestka, długie nogi, ciekawa osobowość, sukcesy w pracy, własny dom, poszukuje wolnego mężczyzny, co najmniej metr osiemdziesiąt, małżeństwo niewykluczone. Żadnych nieudaczników. Żadnych transwestytów. Żadnych dzieci.

– Myśle, że to wbrew zasadom.

– Wiem, ale dostaniesz masę odpowiedzi.

– Nie mam trzydziestu dwóch lat, tylko trzydzieści siedem. Nie mam długich nóg, tylko krótkie. Nie noszę stanika rozmiaru czterdzieści i z pewnością nie jestem wspaniałą.

– Wiem, wiem. Ale musimy zrobić koło ciebie trochę szumu, jak mówią w biznesie. To wszystko kwestia percepcji. Martin zawsze robi szum wokół swoich akcji i obligacji jak rozmawia z klientami i niektórzy się na to nabierają.

– Ja nie będę oszukiwać – powiedziałam, pisząc pospiesznie. – To jest bliższe prawdy: Pełna życia dziewczyna o dobrym sercu, trzydzieści siedem, nie chuda, lubi grać w tenisa i ciężko pracować, szuka inteligentnego, zabawnego kawalera, trzydzieści sześć do czterdziestu pięciu, w celu matrymonialnym. Wykluczeni brodaci i wąsaci oraz gracze w golfa. Proszę przysłać list ze zdjęciem.

– Nie dostaniesz ani jednej odpowiedzi! – krzyknęła za mną Lizzie, gdy wychodziłam. – Ani jednej!

Kiedy gram w tenisa zapominam o kłopotach. Uganianie się za piłkami w moim małym klubie, w północnym Londynie, jest bardzo terapeutyczne. Uruchamia serotoninę, a może to chodzi o endorfiny? Czy melatoninę? Boże, nie pamiętam. W każdym razie to coś uwalnia mnie od stresu i wprawia w dobry humor. A przynajmniej tak by było, gdyby nie ten przeklęty facet, Alan, prawdziwa łyżka dziegciu w beczce miodu. Zjawia się za każdym razem, kiedy gram. Prawnik z naroślą na głowie. Łysy, brodaty, chudy. Mężczyzna z moich koszmarnych snów. Wcale nie jest przyjemnie, kiedy cię prześladuje swoimi umizgami wyjątkowo nieatrakcyjny facet.

Dlatego tak jest, zastanawiałam się później, kiedy dzwoniłam do gazety, aby przedyktować ogłoszenie, że mężczyźni, którzy mi się nie podobają, ale naprawdę ani trochę nie podobają, to ci, którym ja się podobam? Dlaczego mężczyźni, których ja uważam za nudnych i nieatrakcyjnych, chcą mnie rozpieszczać i całować ziemię, po której stąпам? I dlaczego ci, którzy mnie się bardzo podobają, traktują mnie jak powietrze? Albo i gorzej. Czy to nie dziwne? Zupełnie nie rozumiem. Ale to się już skończyło, teraz ja przejmuję kontrolę. Zamierzam szukać tego, na czym mi zależy, i zamierzam to wreszcie znaleźć. Pomoże mi ogłoszenie w dziale matrymonialnym.

– Dałam ogłoszenie matrymonialne w „Timesie” – oznajmiłam następnego dnia na lekkim rauszu podczas obiadu. Lizzie, Catherine, Emma, Frances, Sally i ja popijałyśmy szampana koło pergoli. Gdzieś w tle Martin, z pomocą Amy i Alice, malował okna balkonowe, gdy my zabierałyśmy się do pierwszego dania naszego corocznego obiadu w ogrodzie – melona z szynką parmeńską.

– Mój Boże, to bardzo dzielnie z twojej strony – powiedziała Frances, mieszając słomką szampana. – Jesteś bardzo odważna. Podziwiam cię. Dobra robota!

– Nie powiedziałam, że wejść tyłem na Everest – wyjaśniłam – ani że przepłynę Atlantyk w kartonie. Stwierdziłam tylko, że dałam ogłoszenie do „Timesa”.

– Jesteś bardzo odważna, Tiffany – upierała się Frances. – Co za śmiałość! Ja bym się nigdy na to nie zdobyła.

– Ani ja! – potwierdziły chórem moje pozostałe przyjaciółki.

– Dlaczego nie? Wiele osób to robi.

– To takie sztuczne – powiedziała Sally, odpędzając ręką osę. – Osobiście wolę zostawić wybór mojego partnera przeznaczeniu.

– Ja też – odezwała się Emma, poprawiając ramiączko letniej sukni. – Wolałabym spotkać kogoś romantycznie, wiecie, po prostu wpaść na niego któregoś dnia...

– Gdzie? – spytałam. – Przy fotokopiarce? Czy koło faksu?

– No, nieeee – odparła z namysłem. – W kolejce do kina albo w metrze, albo w samolocie, albo...

– Ile znasz osób, które w ten sposób kogoś poznały? – spytałam.

– Hmm. No, ani jednej. Ale jestem pewna, że to się zdarza. Ja nie dawałabym ogłoszenia matrymonialnego, bo nie chciałabym nikogo poznać w taki zaplanowany sposób. To by mi zepsuło całą przyjemność. Ale uważam, że jesteś odważna.

– Tak – poparły ją chórem. – Jesteś bardzo, bardzo odważna, Tiffany.

– Nie jest odważna, tylko głupia – powiedziała wprost Lizzie. – I mówię tak dlatego, że jej ogłoszenie jest całkowicie prawdziwe. Namawiałam ją, żeby trochę skłamała, ale nie chciała. Napisała nawet, ile ma lat. „Nie wolno ufać kobiecie, która podaje swój prawdziwy wiek. Kobieta, która przyznaje się do tego, zdradzi wszystko”. – Uśmiechnęła się miło. – Oscar Wilde – wyjaśniła. – *Kobieta bez znaczenia*.

– Czy ten żonaty facet, z którym byłeś na kolacji w Ritzu, odezwał się jeszcze? – zapytała Sally.

– Tak – odparłam z nagłym żalem, co mnie samą zaskoczyło. – Szczerze mówiąc, on wcale nie jest taki zły, cha, cha, cha! Przesłał mi fantastyczne kwiaty. Na przeprosiny. Szkoda... To znaczny, chciałabym...

– Tiffany chce powiedzieć, że chętnie znów by się z nim spotkała, ale wytłumaczyłam jej, iż to nie wchodzi w rachubę – stwierdziła Lizzie. – Musi pamiętać o swoim celu. Martin! Nie zapomnij o drugiej warstwie farby!

– I co zrobiłaś? – zainteresowała się Emma.

– Napisałam liścik z podziękowaniem i wyjaśniłam, że niekorzystne warunki nie pozwalają nam na spotkanie.

– Może się rozwiedzie – powiedziała Frances. – Wszyscy to robią. Na moje szczęście!

– Nie bierze tego nawet pod uwagę.

– Dlaczego?

– Bo obawia się, że unieszczęśliwiłby córkę.

– I woli mieć kochankę – stwierdziła Lizzie, wywracając oczami w stronę bezchmurnego nieba. – Czarujące.

– Pospolite – rzuciła Frances, wyciągając z kieliszka truskawkę.

– Zrozumiałe – powiedziała cicho Emma. – Jeśli jego małżeństwo faktycznie jest nieszczęśliwe. – Spojrzałam na nią. Zaczerwieniła się, a potem nagle wstała i zaczęła pomagać Lizzie zbierać talerze.

– Czy ktośś z was spotkała kogoś, kto jej się podoba? – zapytała Sally.

Spojrzałyśmy po sobie.

– Nie – odparła Frances. Emma pokręciła głową i się nie odezwała, choć widziałam, że wciąż ma rumieńce.

– A ty, Sally? – zapytałam.

– Nic z tego. – Beztrósko wzruszyła ramionami. – Może spotkam kogoś na urlopie w przyszłym tygodniu. Jakiegoś maharadżę. Może podziałają czary Tadż Mahal.

– Ja spotkałam kogoś interesującego – oznajmiła Catherine.

– I co? – spytałyśmy chórem.

– Poznałam go w czerwcu, na kolacji u Alison i Angusa. Tiffany też tam była. Jest księ...

– Chyba nie ten straszny księgowy? – spytałam z niedowierzaniem. – Chyba nie ten potwornie nudny facet w brzydkim garniturze, który mieszka w Barnet i prawdopodobnie gra w golfa?

Catherine rzuciła mi miazdzące spojrzenie. Nie wiem dlaczego.

– Jest w gruncie rzeczy bardzo miły – stwierdziła zimno. – Interesujący. A zwłaszcza dużo wie o sztuce. Ma niezłą kolekcję...

– Akwafort?

– Augustusa Johna. – O, cholera! – Tiffany, to że jest księgowym nie oznacza, że musi być nudny.

– Przepraszam – odparłam, czując w ustach znajomy niesmak.

– Mężczyźni, którzy mają interesującą pracę, wcale nie muszą być ciekawi – dorzuciła Catherine. – Phillip miał interesującą pracę, prawda? I choć nigdy bym ci tego wtedy nie powiedziała, bo nie chciałam ranić twoich uczuć – dodała znacząco – uważam go za jednego z najbardziej nudnych i nietowarzyskich mężczyzn, jakich w życiu spotkałam. – Nie mogłam zaprzeczyć. – Alex też nie był jakiś nadzwyczajny. – To też było prawdą. – A mój przyjaciel Hugh, księgowy, jest raczej interesujący – zakończyła, pociągając nosem. – Nie wyśmiewaj się z niego, Tiffany.

– Strasznie mi przykro – powiedziałam. – To wina szampana. Czy mogę dostać jeszcze trochę?

Sierpień

W sobotę, pierwszego sierpnia, otworzyłam „Timesa”, znalazłam dział „Spotkania” i odszukałam swoje ogłoszenie, pod P, od „Pełna życia”. Byłam całkiem zadowolona. Niezłe wygląda, pomyślałam, w drodze nad Damski Staw w Hampstead, w poszukiwaniu

wytchnienia przed upałem. Może akurat tym razem się uda – rozważałam optymistycznie, idąc Millfield Lane. „Zakaz wstępu dla mężczyzn” głosiła tablica. Z daleka słyszałam znajomy gwar stu pięćdziesięciu kobiet. Uwielbiam Damski Staw. Cudownie jest móc popływać na świeżym powietrzu, bez wścibskich spojrzeń mężczyzn, w całkowitym spokoju. Siedziałam na trawie, czytałam moje ogłoszenie, bardzo z niego zadowolona, a jednocześnie obserwowałam spod oka setki kilogramów prawie nagich kobiecych ciał, zastanawiając się, tylko zastanawiając, czy są dla mnie choć trochę erotyczne, kiedy atrakcyjna, ciemnowłosa dziewczyna podeszła wprost do mnie i położyła obok swój ręcznik.

– Hej! – odezwała się z ciepłym uśmiechem.

– Hej! – Też coś. Obca osoba.

– Czy mogę się przysiąść? – Mój Boże, ona mnie podrywa.

– Tak, proszę – odparłam, podciągając pasek od kostiumu i poprawiając biust. Dyskretnie przyglądałam się zza przeciwsłonecznych okularów, jak wyciągnęła z koszyka opakowanie kremu do opalania i zaczęła go wcierać w nogi. Doszłam do wniosku, że jest lesbijką „szminkową”. Elegancką. Ani w nosie, ani w brwiach nie miała metalowych kółek, na ciele żadnych tatuaży, nie nosiła martensów ani kolorowej opaski we włosach. Była bardzo kobieca, szczupła, z lekko podmalowanymi oczami i błyszczącymi, ciemnymi włosami opadającymi na plecy.

– Nazywam się Kate – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. – Kate Spero.

– Tiffany. Tiffany Trott.

– Jesteś wolna? – spytała, wskazując na mój egzemplarz książki: *Zasady ogólne: wypróbowane metody pozyskania serca właściwego mężczyzny*.

– Tak.

– Ja też. Okropne, prawda? Szukam TKS.

– TKS? – powtórzyłam.

– Tego Kogoś Specjalnego.

– Aha. Powodzenia. Tutaj szukasz? – spytałam, rozglądając się wokół znacząco.

– Ależ skąd! Nie jestem lesbijką – wyjaśniła, wybuchając zdumionym śmiechem. – Nie, szukam faceta – dodała. – Ale nigdzie nie mogę go znaleźć. Wiesz, nigdy nie myślałam, że dożyję trzydziestu siedmiu lat i wciąż będę sama.

To było naprawdę zaskakujące, ponieważ dokładnie to samo mówię do siebie na głos przynajmniej parę razy dziennie.

– Wiem – przyznałam. – Prawdziwy pech. – I zaraz opowiedziałyśmy sobie o naszych nieudanych związkach od... gdzieś od 1978 roku, tak jak dzieci przechwalają się swoimi bliźniami, choć postanowiłam nie mówić jej o ogłoszeniu. Ale z wielką radością mogę stwierdzić, że Kate jest teraz moją Nową Najlepszą Przyjaciółką. W końcu mamy tak wiele wspólnego. Jesteśmy w tym samym wieku, obie samotne i zdesperowane. Czy to nie jest zdumiewający zbieg okoliczności? A jej urodziny są tydzień po moich. Fantastyczne!

– Co robiłaś w tym roku w urodziny? – spytała, kiedy dwie godziny później szłyśmy przez Heath.

– Rzucił mnie facet. A ty?

– Przeplakałam cały dzień – stwierdziła z zadowoleniem. Szłyśmy w milczeniu, na moment zatrzymując się na Parliament Hill, gdzie grupka dzieci puszczała latawce.

– Wiesz co, powinnyśmy razem szukać sobie facetów – powiedziała Kate. – Wspólnie łatwiej polować. – Przepuszczalnie to była prawda. Często żałowałam, że Frances,

Emma i Sally nie chcą zrobić czegoś razem, ale one wolały zdać się na los. Albo na Boga. Ale Bóg jakoś nic specjalnie nie robił. Aktywne działanie Kate bardziej mi się podobało.

– Musimy chodzić na imprezy dla samotnych – stwierdziła stanowczo. – Jest ich cała masa: „Spotkania przy stole”, „Spotkania w Docklands” i tak dalej. Zbadam sprawę i dam ci znać.

– Fantastyczny pomysł – powiedziałam, gdy się żegnałyśmy. – Popieram.

Wróciłam do domu i tam, na wycieraczce, znalazłam wrzuconą z inną korespondencją zwykłą brązową kopertę formatu A5, z pieczątką „Prywatne i poufne”. W środku zwykłej brązowej koperty były trzydzieści dwa listy. A jaki przekrój papieru – Basildon Bond, Crozley Script, Conqueror, Airmail. Na niektórych kopertach były nawet narysowane serca i kwiaty! Napisane na maszynie do pisania, na komputerze, ręcznie, jeden prawie wykaligrafowany, inne prawie nieczytelne. Ze skurczonym żołądkiem i bijącym sercem otwierałam jeden list po drugim.

Na litość boską! Hodowca świń z Norfolk! I w dodatku czterdziestodwuletni, powyżej podanego przez mnie limitu wieku! Gdybym chciała poznać hodowcę świń z Norfolk, to bym o tym napisała, prawda? Posłałabym ogłoszenie do „Tygodnika dla farmerów”. Pozostałe odpowiedzi można podzielić następująco: pięciu księgowych, dwunastu programistów komputerowych, jeden dyrektor od zbierania danych, dwóch kuratorów sądowych, jeden od przewidywania katastrof, trzech pedikiurzystów, jeden makler, jeden kapitan statku handlowego i sześciu prawników, a wśród nich... wśród nich... Jestem naprawdę wściekła. Ponieważ kiedy otworzyłam ładną, grubą, jasnoniebieską kopertę ze znakiem wodnym, znalazłam dłuższy list, z którego wypadło zdjęcie... Alana z klubu tenisowego! Co on sobie wyobraża? Podobno jest we mnie zakochany, zaprasza mnie do Glyndebourne, i tak dalej, a tu, proszę, odpowiada na ogłoszenie matrymonialne. Byłam oburzona. I jakie stare zdjęcie, najwyraźniej zrobione gdzieś w 1980 roku, teraz jest bardziej łysy. Muszę jednak przyznać, że napisał ładny list. Bardzo otwarty, o tym, że chciałby się ożenić i mieć dzieci, i że byłby dobrym ojcem, że mógłby nawet chętnie zmieniać pieluchy. Napisał też, że dwa razy w tygodniu gra w tenisa i lubi chodzić do opery, zwłaszcza do Glyndebourne, i że szuka kobiety o dobrym charakterze z silnym forehandem. Tym razem ja wygrałam, Alanie, ponieważ nie zamierzam odpowiadać na twój list. Uważam, że nie powinienesz za moimi plecami umawiać się ze smutnymi kobietami, które muszą się ogłaszać w rubrykach matrymonialnych ogólnokrajowych gazet. W gruncie rzeczy mam nawet wyrzuty sumienia, ale przecież nie mogę mu odpowiedzieć, prawda? Zawsze mogłabym skłamać i odpisać, że w związku z nadzwyczajną liczbą odpowiedzi puste miejsce się zapełniło. Jednakże w tych warunkach lepiej się nie odzywać. Biedny facet, byłby potwornie upokorzony, gdyby wiedział, że to ja (muszę powiedzieć Lizzie, pięknie ze śmiechu!). Kiedy czytałam dwudziesty szósty list – bardzo zabawny – od maklera, zadzwonił telefon. Kate.

– „Jedźmy i bawmy się”. W tę sobotę. Wielkie letnie przyjęcie w prestiżowym miejscu dla „Samotnych i atrakcyjnych ludzi sukcesu”.

– Super. To my?

– Jasne.

– Idziemy?

– No pewnie.

Kto by pomyślał, że sortowanie odpowiedzi na ogłoszenie w rubryce samotnych serc zabiera tyle czasu? Koperty z nadrukiem „Prywatne i poufne” wciąż przychodziły.

– Dobrze, dobrze. Cofam to, co mówiłam – stwierdziła Lizzie, kiedy siedziałyśmy u mnie w kuchni, przeglądając odpowiedzi. – Sądziłam, że nic nie dostaniesz. Nie musisz się tak nadymać. Pomyśl, ile byś dostała, gdybyś posłuchała mojej rady.

– Sto czternaście zupełnie wystarczy – odparłam, kiedy zapalała kolejnego papierosa. – Nie jestem chciwa.

Podzieliłyśmy je na trzy kupki: „Tak”, „Może” i „Chyba żartujesz”.

– Ten nieźle wygląda – powiedziała Lizzie, machając niewyraźnym zdjęciem pięćdziesięciosiedmioletniego syna Dzwonnika z Notre Dame.

– Chyba żartujesz.

– Dlaczego. Nadaje się.

– Nic podobnego. Jest odrażający.

– Nieprawda – rzuciła z oburzeniem, wypuszczając nosem dwie strużki dymu. – Jest starszym partnerem w poważnej firmie prawniczej. Przypuszczalnie dociąga do dwustu tysięcy rocznie. Dwieście tysięcy nie jest odrażające. I nie zapomnij zadzwonić do maklera.

– Nie zapomnę. Choć tylko dlatego, że wygląda nieźle, może nawet prawie-dobrze i dlatego, że napisał dowcipny list. Nie ze względu na pieniądze. Szukam kogoś, kto się nie boi małżeństwa, ma dobry charakter, nie cierpi golfa, ma niezły backhand i żadnego owłosienia na twarzy. Czy to za wiele?

– Przypuszczalnie – odparła z westchnieniem. – O, tu mamy wspaniałego faceta – powiedziała z głupim uśmieszkiem, podając mi kawałek oderwanego papieru milimetrowego.

Droga Pełna Życia, czy mogę zapalić Twój ogień? Mam na imię Stavros. Jestem studentem sztuki. Czy jesteś blondynką? Szukam seksownej blond modelki. Robię portrety. Mogłabyś przejść do historii sztuki. Mogłabyś zostać tylko moją modelką. Może jednak, jeśli jesteś naprawdę seksowna, mogłabyś stać się kimś więcej niż modelką. Jeżeli do mnie zadzwonisz i jeżeli jesteś seksowną blondynką, na pewno zaproszę Cię na kolację.

– Rozumiem – powiedziałam, lekko się zawahałam i rzuciłam list Stavrosa na kupkę „Chyba żartujesz”. Ze smutkiem zauważyłam, że robi się coraz większa, pełna kuratorów sądowych, dozorców, astrologów, facetów o imieniu Terry.

– Muszę przestać – powiedziałam nagle do Lizzie. – Nie mogę więcej. Robi mi się niedobrze.

– Dobrze, przejrzymy resztę następnym razem, ale nie zapomnij zadzwonić do tego maklera – dodała, wychodząc. – Makler byłby niezły. Spójrz na mnie.

No, właśnie, spójrzmy na Lizzie – pomyślałam, kiedy wsiadła do mercedesa. Przeszła z aktorskiej biedy do domu z siedmioma sypialniami w Hampstead. Ale czy kocha swego zamożnego, choć niezbyt ekscytującego Martina? Nigdy ją o to nie pytałam.

Zostawiłam krótką, przyjacielską wiadomość dla Iana maklera na jego automatycznej sekretarce i zaczęłam się szykować na przyjęcie „Jedźmy i bawmy się”. Szybki prysznic, czarna koktajlowa sukienka, perły na szyi i na ręce, sandały, podpięte włosy, tusz do rzęs, konturówka i *voilà!*

– Wyglądasz wspaniale – powiedziała wspaniałomyślnie Kate, kiedy przyjechała po mnie o siódmej.

– Nie, ty wyglądasz znacznie ładniej ode mnie. I w dodatku dużo młodziej.
– Och, nie, to ty wyglądasz niewiarygodnie młodo, na jakieś dwadzieścia pięć – odparła.

– A ty na siedemnaście – przelicytowałam. – Czy jesteś pewna, że wolno ci prowadzić samochód?

Fantastycznie jest mieć Nową Najlepszą Przyjaciółkę, która jest dokładnie w tym samym wieku i też nie ma faceta. Kate i ja przerzucamy się najwspanialszymi, najbardziej podnoszącymi na duchu komplementami. Takimi, jakie prawiliby nam mężczyźni, gdyby nie nasza tragiczna i niezrozumiała samotność. Kiedy jechałyśmy przez południowo-wschodni Londyn, nasza pewność siebie zaczęła się zmniejszać.

– Będzie tam pełno zdesperowanych kobiet i smutnych mężczyzn – orzekłam, kiedy dojechałyśmy do Dulwich Country Club na terenie półtorahektarowego, pięknego parku. Nie wiem, czy mi się tylko zdawało, że normalni członkowie klubu wyśmiewali się z nas, kiedy szliśmy po schodach. Mogłabym też przysiąc, że dziewczyna z „Jedźmy i bawmy się” rzuciła nam uśmiech pełen politowania, gdy odznaczyła nasze nazwiska w notatniku na skórzanej podstawie.

– Idziemy – zdecydowała Kate i weszłyśmy do sali, gdzie podawano szampana. Zachęcająco ścisnęła mnie za rękę. – Uśmiechnij się.

To dziwne, jak natura ludzka wyszukuje to, co negatywne. W ciepłarni było około stu pięćdziesięciu osób w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu pięciu lat, ale ja widziałam wyłącznie siwych mężczyzn i kobiety „w pewnym wieku”, zasznurowane, jak indyki na Święto Dziękczynienia, w błyszczące suknie. Serce opadło mi do pięt, a szczeka już mnie zaczynała boleć od sztucznego uśmiechu. To było straszne. Co ja tu robię? Okropne, po prostu okropne. Potem jednak spostrzegłam kilku mężczyzn, którzy byli w porządku, niektórzy z nich całkiem przystojni, zwłaszcza ci w smokingach. Były tam także piękne dziewczyny.

– Ta jest ładna – szepnęłam do Kate.

– Przyszłaś tu, żeby poznać mężczyzn, nie oglądaj się za kobietami. I uśmiechaj się.

Nawet działało. Jeśli uśmiechniesz się do całkiem obcego faceta, on zrobi to samo, a w dodatku podejdzie, grzecznie się przedstawi i spyta, jak się nazywasz. Wielkie nieba! Przyszłyśmy dopiero dziesięć minut temu, a już poznałyśmy po trzech facetów. Potem zadźwięczał gong i poszłyśmy na kolację. Akurat rozmawiałam z wysokim, arystokratycznie wyglądającym blondynem, który miał na imię Piers. Zupełnie niezły i szalenie elegancki.

– Proszę – powiedział, oglądając plan miejsc. – Siedzisz koło mnie, Tiffany, to doskonałe.

Uważam te spotkania dla samotnych osób za coś wspaniałego. To świetna zabawa. Naprawdę. Super. Oczywiście są pewne wady. Siedziałam obok arystokratycznie wyglądającego Piersa, który opowiadał mi ze szczegółami o swoim rozwodzie i o tym, że żona zdradziła go cztery razy. Jak mogła – pomyślałam, wpatrując się w jego kobaltowe oczy. Ten facet naprawdę mnie zainteresował, do tego stopnia, że prawie w ogóle się nie odzywałam do mojego sąsiada z prawej strony, co było trochę niegrzeczne, ale on z zadowoleniem rozmawiał z ładną rudą kobietą z personelu, i właśnie kiedy zaczęłam opowiadać Piersowi o moich nieszczęśliwych związkach, rozległ się gong.

– Prosimy, aby panie pozostały na swoich miejscach, a wszyscy panowie przeszli o trzy stoły na lewo – powiedział majordomus.

Piersa замуrowało.

– Ale ja nie chcę nigdzie przechodzić – zaprotestował. – Jestem bardzo zadowolony z mojego miejsca. – Krew napłynęła mi do policzków i nieśmiało się do niego uśmiechnęłam. – Ja tu wróć – obiecał. – Po deserze. I będziemy kontynuować naszą rozmowę.

– Poczekam na ciebie – powiedziałam zachęcająco, gdy podano mus z białej czekolady z sosem z malin. Piers odchodząc, kiwnął mi lekko dłonią. Zauważyłam, że usiadł przy odległym stole obok kobiety, której wieku ani urody nie mogłam ocenić z tej odległości. Następnie po obu moich stronach usiedli nowi mężczyźni, obydwaj dość przystojni, prawie do przyjęcia. Kate uśmiechnęła się do mnie z drugiej strony stołu. Chyba się dobrze bawiła i z ożywieniem rozmawiała z czarującym specjalistą od wybuchów.

– Halo, mmm...

– Tiffany – powiedziałam, pokazując na wizytówkę z moim imieniem na stole. – Tiffany Trott. – Podałam rękę mojemu nowemu sąsiadowi, który z bliska wyglądał nieźle, choć chyba troszeczkę za dużo wypił.

– Jak ty się nazywasz? – spytałam.

– Mam na imię Terry. – Terry!

– To ciekawe – stwierdziłam – ponieważ jest to imię męskie, które najmniej mi się podoba, cha, cha, cha! Oczywiście po Kevinie i Duane. – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. Uśmiechnęłam się tylko i rzuciłam: – Hej, witaj. – Roześmiał się. Nie wiem dlaczego.

– Czym się zajmujesz, Tiffany? – zapytał. O rany! Od razu przeszedł do rzeczy.

– Zgadnij – zaproponowałam żartobliwie.

– No, mmm... myślę, że... jesteś sekretarką – wydukał, nalewając nam po kieliszku całkiem dobrego chablis.

– Nie zgadłeś. Pracuję na budowie.

– Nie mów! Naprawdę?

– Nie. Piszę teksty reklamowe.

– Co? Układasz reklamy? „Na porządne pracowanie jedno jajko na śniadanie”, coś takiego?

– Mhm. A co ty robisz?

– Pracuję na platformie wiertniczej na Morzu Północnym. Cholernie niebezpieczna praca. Nigdy nie ma mnie w domu. Dwa rozwody. Troje dzieci. Masa alimentów. Ile masz lat, Tiffany? – spytał, mrużąc piwne oczy.

– Zgadnij – zaproponowałam bezczelnie.

– Myślę, że masz... dwadzieścia dziewięć – powiedział, podając mi czekoladkę z miętowym nadzieniem.

– Chyba cię kocham.

– Naprawdę? Myślę, że jestem dla ciebie ciut za głupi, ale może wyjdiesz za mnie, Tiffany?

– No, nie wiem. Zmarnowałeś trochę czasu. Zazwyczaj spodziewam się oświadczyn w ciągu pięciu minut, a tobie zabrało to... – Spojrzałam na zegarek. – Dwanaście.

– Jesteś cudowna.

– A ty pijany.

– Tak jest – przyznał, gdy orkiestra zaczęła grać do tańca. – Ale rano ja będę trzeźwy, a ty wciąż będziesz cudowna. – Błyskotliwy gość.

– Jesteś naprawdę bardzo miły.

Wszystko świetnie, ale kolacja już się skończyła i miałam nadzieję, że zjawi się Piers i mnie wybawi. Gdzie on się podziewał? Przy naszym stole go nie było. Rozejrzałam się po parkiecie i aż się zatrzęślam. Piers! Owinięty wokół eleganckiej brunetki. Jak mógł? Ta męska niestałość! Odruchowo odgryzłam przypalony kawałek migdała z ciasteczka i nalałam sobie wina. Terry rozmawiał z ożywieniem z sąsiadką z lewej strony, niewątpliwie też proponując jej małżeństwo. Kate rozmawiała z facetem zajmującym się ratowaniem chorych drzew. A ja byłam całkiem sama.

– Tiffany!

O co chodzi? O mój Boże, ktoś mnie poznał! Kto?

– To Tiffany, prawda? – spytał wysoki, przystojny facet z siwymi włosami i niebieskimi oczami, który mi kogoś przypominał. – Starałem się zwrócić twoją uwagę przez cały wieczór – powiedział. – Jonatan de Beauvoir. Pamiętasz? – Oczywiście, że pamiętam. Jonatan de Beauvoir. Poznałam go cztery lata temu na koktajlu w Drayton Gardens. Był szalenie miły. Miał wtedy ładną dziewczynę. Co on tu robi?

– Bardzo dobrze cię pamiętam. Poznaliśmy się na przyjęciu na Kensingtonie. Byłeś z... no... z Sarą, prawda?

– Tak. A ty z tym architektem, który lubił golfa.

– Zgadza się.

– Zakładam, że to już przeszłość, bo inaczej bym cię tu nie spotkał. Muszę powiedzieć, że nie wyglądałaś wówczas na bardzo szczęśliwą.

– Bo nie byłam. W gruncie rzeczy – dodałam z nagłą szczerością, zachęcona sympatycznym wyrazem jego twarzy – czułam się kiepsko. On mnie zdradzał. I kontrolował. I był okropnym egoistą. Na szczęście mnie rzucił, cha, cha, cha! A ty?

– Cóż. – Westchnął. – To długa historia. Nie będę cię zanudzał. Co u ciebie słychać. Może przejdziemy się po ogrodzie?

– Chętnie. – Miałam nadzieję, że Piers zobaczy, jak wychodzę z sali jadalnej z wysokim, fantastycznym facetem. – Tak, chodźmy na mały spacer. Tutaj jest strasznie gorąco.

– Widzisz, bardzo lubię Sarę – powiedział Jonatan. Trzymał głowę w dłoniach i ciężko wdychał. – Ale wcale nie jestem pewien, czy chciałbym się z nią ożenić i nie wiem, co mam robić. Chciałbym, aby wszystko nadal było tak, jak do tej pory.

– Nie możesz mieć do niej pretensji, że dała ci ultimatum – stwierdziłam, starając się ukryć rozczarowanie. Więc to dlatego chciał ze mną rozmawiać. Miałam być jego powiernikiem i doradcą w sprawach sercowych. Cóż... – Jedenaście lat to dość dużo. Sara ma trzydzieści pięć. Jeśli więc nie chcesz się z nią żenić, nie możesz jej przy sobie trzymać. To nie fair.

– Ale ja nie chcę się żenić tylko dlatego, że ktoś przystawił mi pistolet do głowy. To takie nieromantyczne.

– Kobiety widzą to inaczej. Nieromantycznie jest wtedy, kiedy mężczyzna nie chce się angażować. Rozumiesz?

– Dała mi ultimatum, a potem znikła. Nawet nie powiedziała, dokąd się wybiera. Nie bardzo mi się to podobało, więc przyszedłem na kolację dla samotnych, żeby może znaleźć

sobie kogoś innego. Oczywiście nic z tego. To szaleństwo. Nie ma tu ani jednej kobiety, która mogłaby mi się spodobać. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś, Tiffany. Można na tobie polegać. No, a ty? Spotkałaś kogoś miłego po Phillipie?

– Owszem. Alex był projektantem wnętrz. Bardzo sympatyczny.

– I co?

– Przede wszystkim nie miał zamiaru się żenić ani mieć dzieci, chociaż wtedy tego nie wiedziałam. A poza tym w łóżku chciał jedynie grać w scrabble'a.

– Och. Och, rozumiem – powiedział delikatnie. – To musiało nastroić pewne, no wiesz, trudności.

– Nie. Mieliśmy komplet podróżny z magnetycznymi literami.

– Tiffany! Tiffany! – Nagle z gęstych krzaków róż wyłoniła się Kate, lekko zadyszana i zaniepokojona. – Tu jesteś. Wszędzie cię szukałam. Czy...? – Spojrzała podejrzliwie na Jonatana. – Wszystko w porządku?

– Oczywiście, Kate. To jest Jonatan. Jonatan, to jest Kate. Wracamy do środka? Ojej, już pierwsza. Nic dziwnego, że tak ziewam.

– Martwiłam się o ciebie, Tiffany – szepnęła Kate, kiedy szliśmy przez trawnik. – Znikłaś bez słowa. Myślałam, że ktoś cię gwałci w krzakach.

– Niestety, nie. Chyba już pojedziemy? Jest strasznie późno. – Pomachałam Piersowi, który nadal obłapiał elegancką brunetkę na parkiecie i pożegnałam się z Jonatanem.

– Pomyślę o tym, co mi mówiłaś, Tiffany – stwierdził poważnie, gdy odbierałyśmy płaszcz. Kate odwiozła mnie do domu.

– Było dość fajnie, prawda?

– Aha – przyznałam. – Ciekawe, czy któryś z nich zechce się z nami umówić?

– Zadzwońią z „Jedźmy i bawmy się”, gdyby ktoś pytał.

Następnego dnia o wpół do dziesiątej zadzwoniłam do „Jedźmy i bawmy się”.

– Mówi Tiffany Trott. Czy któryś z jedenastu mężczyzn, jakich poznałam wczoraj wieczorem, pytał o mój numer telefonu?

– Nie. Ale trochę za wcześnie pani dzwoni. Proszę się nie martwić, odezwiemy się, gdyby ktoś zapytał.

Tymczasem miałam spotkanie z maklerem, który odpowiedział na moje ogłoszenie. Ze stu czternastu odpowiedzi wybrałam tylko trzy, on był pierwszy. Miał trzydzieści osiem lat, był sam, nie grał w golfa i nie miał widocznego zarostu. Fantastycznie! Może się okazać całkiem-całkiem. Podobał mi się jego zabawny list na trzy strony. Opisywał swoją namiętność do trik-traka („choć jako makler oczywiście nie wierzę w hazard”) i niechęć do golfa („jak mówił Mark Twain: To najlepszy sposób, żeby zniszczyć tereny spacerowe”). Podobało mi się jego poczucie humoru, a na zdjęciu wyglądał dość atrakcyjnie, więc umówiliśmy się na siódmą w barze na West Endzie. Przyszłam pierwsza i zaczęłam rozwiązywać krzyżówkę. Piętnaście po siódmej jakiś mężczyzna podszedł do mojego stolika.

– Tiffany?

– Tak. A ty jesteś Ian? – Kiwnął głową. To śmieszne, ile się zauważa, kiedy człowiek spotyka kogoś obcego. Miał na sobie dość tani, podniszczony garnitur, co mi się nie spodobało. Krawat w krzykliwym odcieniu zieleni. Wyglądał... jakoś tak nieciekawie. Średniego wzrostu. Średniej budowy. Szatyn. Brązowe oczy. Piegi i – o zgrozo! – mały nos, lekko zadarty. Na zdjęciu wyglądał znacznie lepiej. Ale safandula, pomyślałam. I w dodatku wyglądał jak chłopaczek, młody i niedoświadczony. Pewno nie miał wielu dziewczyn. Ja by-

łam rozczarowana i on nie wyglądał na zachwyconego. Bezcelność, pomyślałam. No cóż, jakoś wytrzymam. Przynajmniej się czegoś napiję. Byłoby niegrzecznie wyjść od razu. Zamówił wino i zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałam mu o mojej pracy, on opowiedział o swojej – pracował dla prywatnych klientów w małym banku handlowym. Miałam kilka przygotowanych pytań na temat indeksów giełdowych i kursów walut, więc rozmowa jakoś się toczyła. Jednakże trochę się nudziłam i właśnie się zastanawiałam, jak dyplomatycznie wyjść, kiedy zdarzyło się coś dziwnego. Wspomniałam nazwę mojej ulicy.

– Niedaleko ciebie mieszka moja niania – powiedział nagle.

– Twoja niania? Och, nie wiedziałam, że masz dzieci. Nic nie pisałeś w liście.

– Mam dwoje.

– Nie pisałeś, że jesteś żonaty.

– Nie jestem. – Zdziwniejsze i dziwniejsze, jak mawiała Alicja z Krainy Czarów.

– Rozwodnik?

– Nie. Wdowiec. Moja żona umarła. – Westchnął głęboko.

– To straszne. Bardzo mi przykro. Kiedy... kiedy to się stało?

– Pięć tygodni temu. – Pięć tygodni!

– To okropne, ale czy nie za wcześnie... No, wiesz... Nie za wcześnie...? – Nie wiedziałam, jak to powiedzieć.

– Nie, byłem przygotowany, ponieważ umierała półtora roku. Była chora na białaczkę i mieliśmy mnóstwo czasu na pożegnania. Zналиśmy się jeszcze ze szkoły, była moją pierwszą dziewczyną. Byliśmy małżeństwem przez piętnaście lat. Wcześniej się pobraliśmy.

Jak mogłam wstać i wyjść po tym, co mi powiedział? Nie mogłam. Przesiedziałam następne dwie godziny, podczas gdy on mówił o swojej żonie, o jej chorobie, jak się czuli, kiedy się okazało, że jest chora i że musi umrzeć, i to wszystko tak długo trwało, i jak się męczy z małymi dziećmi. W końcu o dziesiątej powiedział, że musi już iść. Pożegnaliśmy się, wiedząc, że nie mamy ochoty więcej się spotykać. A później wróciłam do domu i się rozpłakałam. To było takie przygnębiające. Życie innych ludzi... Biedny facet, pomyślałam. Jakie to straszne. Co za tragedia. Biedny, biedny facet. Ale potem wytarłam oczy i pomyślałam – pięć tygodni? Co za wredny typ!

Nadal sierpień

Pięć tygodni! – powiedziałam do Lizzie. Siedziałyśmy u mnie w kuchni, w sobotę po moim ponurym spotkaniu z owdowiałym maklerem. – Gdybym wiedziała, że jego żona tak niedawno umarła, nigdy bym się z nim nie umówiła. Powinien napisać o tym w liście. Pięć tygodni! Jak mógł tak szybko zacząć się rozglądać za kimś nowym?

– Nie wiem, dlaczego się tak dziwisz – powiedziała Lizzie, zaciągając się kolejnym marlboro light. – Faceci w obliczu śmierci są bez serca. Pamiętasz Jima Browna?

Oczywiście, pamiętam. Jim Brown, nasz kierownik internatu, publicznie uganiał się za drugą żoną, kiedy pierwsza powoli gościła w miejscowym hospicjum. Ożenił się w miesiąc po jej śmierci, a ogłoszenie o zaręczynach ukazało się – bardzo taktownie – w tym samym numerze szkolnej gazetki, co nekrolog pierwszej żony.

– Mężczyźni mają zupełnie inne podejście do śmierci – stwierdziła Lizzie. – Jak tylko pierwsza żona umiera, lecą do agencji matrymonialnej, o ile nie zauważą nikogo interesującego na pogrzebie. Kobiety cierpią przez lata.

– Z „Jedźmy i bawmy się” nikt do mnie nie zadzwonił. Od kolacji minęły już trzy dni i cisza. Zero. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. – W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Halo, Tiffany, mówi Mary Ann z „Jedźmy i bawmy się”. Jeden z naszych gości poprosił o twój numer telefonu. – Hurra! Sukces towarzyski. Ciekawe kto? Fantastyczny Piers? Wątpliwe, po tym jak zainteresował się brunetką. Zawiany Terry? Mam nadzieję, że nie.

– Kto to jest? Proszę mi powiedzieć.

– Paul.

– Kto?

– Paul, przedsiębiorca budowlany. Siedzieliście przy jednym stole.

– Naprawdę?

Dokładnie pamiętałam gotowanego łososia z soczewicą, ale za skarby świata nie mogłam sobie przypomnieć żadnego Paula. Wróciłam myślą do Dulwich Country Club. Nie. Paul przedsiębiorca budowlany z nikim mi się nie kojarzył. Ale co tam! Facet to facet, powiedziałam zatem Mary Ann, że może mu podać numer telefonu i później Paul sam zadzwonił.

– Powiedz mi, proszę, czy rozmawialiśmy ze sobą? – spytałam.

– Tak – odparł trochę sztywno, moim zdaniem. – Rozmawialiśmy. I tańczyliśmy – dodał.

– Naprawdę?

– Trzy razy. – Aha.

– Zabawne – powiedziałam – ponieważ absolutnie sobie ciebie nie przypominam. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe – dodałam.

– Tam było dużo ludzi – stwierdził dyplomatycznie.

– Tak, wiem, i pamiętam, że rozmawiałam z wieloma facetami, ale mam kompletną dziurę, gdy chodzi o ciebie – upierałam się. – Może mam początki Alzheimer’a. Jak się nazywałeś?

Ku memu zaskoczeniu zapytał, czy zjadłabym z nim kolację któregoś dnia. Zgodziłam się.

– To będzie dla mnie randka w ciemno – powiedziałam.

– Niezupełnie. Ale weź ze sobą na wszelki wypadek białą laskę i zapisz sobie w kalendarzu, żebyś nie zapomniała. – Coś takiego.

Zaproponował kolację w Shepherd Market w Le Boudin Blanc, jednej z moich ulubionych restauracji. Dobry początek. Kiedy podeszłam do stolika, okazało się, że faktycznie kogoś mi przypomina – wysoki, dobrze zbudowany, z piwnymi oczami i dużymi, muskularnymi dłońmi. Dla mnie dłonie są bardzo ważne. Po oczach i włosach to pierwsza rzecz, na którą zwracam uwagę. Mogą mieć decydujące znaczenie. Człowiek Sukcesu miał bardzo ładne ręce – duże, męskie, kwadratowe. Dłonie Phillipa były dość atrakcyjne, silne, za to ręce Aleksa – okropne, bardzo wąskie, z wyjątkowo długimi dłońmi jak u małpy, i kobiecymi palcami. Co tydzień chodził do manikiurzystki. Ręce Aleksa stanowczo mi się nie podobały. Ale Paul miał ładne dłonie i to był dobry znak. Teraz go sobie przypominałam. Siedział z mojej prawej strony i rozmawiał z rudowłosą kobietą z personelu, kiedy ja gawędziłam z Piersem. A później, kiedy Piers mnie porzucił, i nim spotkałam Jonatana, Paul poprosił mnie do tańca. Myślami byłam wtedy gdzie indziej.

- Teraz mi się wszystko przypomina – powiedziałam. – Zajmujesz się nieruchomościami, mieszkasz w Putney, grasz na fortepianie i w ping-ponga.
- Zgadza się – potwierdził, gdy kelner przyjął zamówienie. – Ty mieszkasz w Islington, piszesz teksty reklamowe, lubisz tenis i amatorską neurochirurgię.
- Zaczynał mi się podobać. Miał ironiczne poczucie humoru, najwyraźniej dobrze mu się powodziło i uwielbiał grę na fortepianie. Potrafił zagrać wszystkie etiudy Szopena! I miał Steinwaya – fantastycznie!
- To używany instrument – powiedział skromnie, trochę niewyraźnie, gdyż jadł akurat wędzoną kaczkę z sałatką z mleczków, z figami i parmezanem.
- Takie rzeczy z czasem nabierają wartości – stwierdziłam, zabierając się do sałaty z orzechami włoskimi, grzankami i pasztetem z gęsich wątróbek.
- Przełknął i powiedział:
- Ty też nabierasz dla mnie wartości.
- Przepraszam za tę lukę w pamięci. Albo mam dziury w mózgu, albo początki Alzheimerera.
- Nie powinnaś w ten sposób żartować – powiedział niespodziewanie ostro Paul. – Mój ojciec na to umarł.
- O Boże, przykro mi. To naprawdę straszna choroba. Ile miał lat, kiedy zachorował?
- Pięćdziesiąt jeden.
- Pięćdziesiąt jeden – powtórzyłam. – To bardzo wcześnie. – Biedny człowiek. Przypomniałam sobie, że wczesna choroba Alzheimerera może być dziedziczna. Och, och! Spojrzałam na Paula. Miał czterdzieści trzy lata. Gdybym za niego wyszła, przypuszczalnie w roku 2005 woziłabym go na wózku inwalidzkim i nosiła dużą plaketkę z napisem: „Hej, mam na imię Tiffany i jestem twoją żoną”. Może on już to ma? Postanowiłam zrobić mu test pamięciowy.
- Ile jest pozycji w *Katalogu Köchla*? – spytałam od niechcienia.
- Sześćset dwadzieścia pięć.
- Żle. Sześćset dwadzieścia sześć. – Najwidoczniej demencja już się zaczęła. – Ile nokturnów napisał Szopen?
- Dziewiętnaście. Dlaczego pytasz? To jakiś test?
- Kiedy była bitwa pod Culloden?
- W 1746.
- Jak dotąd dobrze. Nawet bardzo dobrze.
- Kto wyjaśnił zagadkę kwasu dezoksyrybonukleinowego?
- Oczywiście Crick i Watson. Mam podać rok?
- Nie, nie trzeba. A jaki jest pierwiastek z 497?
- Nie wiem – odparł bardzo gwałtownie, nie wiedzieć czemu.
- Ciekawe dlaczego tak się zdenerwował? Jakbym go czymś wkurzyła. W końcu i on mnie zirytował, zwłaszcza kiedy kelner przyniósł jego królika w sosie z czerwonej papryki. Nie mogłabym w żadnym wypadku zakochać się w facecie, który jada króliczki, pomyślałam, pałaszując cielęcinę. Jedliśmy przez kilka minut w milczeniu i gdy gwałtownie szukałam jakiegoś tematu, zdarzyło się coś dziwnego. Na naszym stoliku zjawiła się zniecka butelka bollingera.
- Super! To ty zamówiłeś?

– Nie.
– To skąd się wzięło?
– Doprawdy nie wiem.
– To jezd od tego *gentilhomme* w końcu – wyjaśnił kelner beznadziejną francuszczyzną.

– Jakiego mężczyzny w kącie? – dopytywał się Paul.
– Tamtego. Tam.

Odwróciłam się. Przy małym stoliku w najdalszym kącie niskiej, wykładanej drewnem sali dostrzegłam znajomą postać. Tak, to on. Doskonale ubrany, zajęty rozwiązywaniem krzyżówki. Poczułam skurcz żołądka. Człowiek Sukcesu. Sam. Wyglądał smutno i samotnie. Przypuszczalnie siedział tam cały czas, kiedy jedliśmy kolację. Nagle podniósł głowę, zobaczył, że się w niego wpatruję i uśmiechnął się żałośnie. Potem wrócił do deseru.

– Znasz tego człowieka? – spytał podejrzliwie Paul, wykręcając głowę, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Właściwie nie – odparłam, wyjmując kartkę z naczynia z lodem. – Kiedyś go poznałam. – Szybko przeczytałam kartkę, mając świadomość, że jestem czerwona jak kieliszek z burgundem.

TT

Przykro mi za tamten dzień. Nie powinienem przyjąć Twojej odmowy. Ale chcę Ci pokazać, że nie jestem obrażony, choć bardzo mi się to nie podoba. A poza tym pomyślałem, że rozmowa z Twoim partnerem wymaga trochę bąbelków. Założę się, że on nie pije carling black label.

CS

– Czy on to często robi? – spytał Paul, wyraźnie rozdrażniony nieoczekiwaną interwencją Człowieka Sukcesu.

– Prawdopodobnie – powiedziałam, gdy kelner napełniał nam kieliszki. Napisałam mały liścik: *Dziękuję bardzo. To było niegrzeczne, ale miłe* i poprosiłam kelnera, aby mu oddał.

– Nie masz nic przeciwko? – spytałam Paula.

– Mam – odparł, ale wypił szampana. Skończyliśmy posiłek prawie w milczeniu – on był zły z takiego obrotu sprawy, a ja czułam się niespokojna. Przez skurczony żołądek prawie nie mogłam jeść. I czułam na plecach wzrok Człowieka Sukcesu. Niemożliwy facet, popsuł mi wieczór. Najwidoczniej lubi prowokację. A z drugiej strony przyciągał mnie, tak jak magnes przyciąga opiłki żelaza. Parę minut później znów się odwróciłam i zobaczyłam, że płaci rachunek. Kiedy wyszedł, chciałam za nim pobiec. Jak pies. Chciałam wziąć go za rękę. Chciałam... Weź się w garść, Trott, skarciłam się w duchu, starając się skupić na tym, co mówił Paul. Przynajmniej Człowiek Sukcesu nie zniszczył początków pięknej przyjaźni. Ani ja, ani Paul nie byliśmy zachwyceni naszym wzajemnym towarzystwem. Kiedy kelner przyniósł rachunek, Paul powiedział nagle:

– W porządku, płacimy po połowie.

– Jasne – zgodziłam się, choć byłam wściekła, w końcu to on mnie zaprosił, o czym najwyraźniej zapomniał. Kolejny dowód na pogarszający się stan umysłu. Miałam rację, gdy coś podejrzewałam. – Cieszę się, że cię znów spotkałam – powiedziałam. – Może się zobaczymy na następnej imprezie „Jedźmy i bawmy się”.

– Tak. Może. Do widzenia.

Wiesz na czym polega nasz problem, prawda? – spytała moja Nowa Najlepsza Przyjaciółka Kate, gdy w sobotę rano siedziałyśmy w Café Rouge. Oczywiście było to pytanie retoryczne. Nadzwyczaj energicznie mieszała cappuccino. – Nasz problem – mówiła dalej – polega na tym, że zatrzymałyśmy się w rozwoju.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – stwierdziłam, wyjmując swój egzemplarz „Mail”.
– Zamiast prowadzić rozmowy o dorosłych rzeczach, na przykład jak sobie radzić z płaczącym dzieckiem, albo jak znaleźć dobrą szkołę, zajmujemy się problemami dobrymi dla nastolatków: co robić, gdy facet powiedział, że zadzwonił i nie zadzwonił...

– Rzucić drania! – przerwałam jej.

– Albo czy należy się całować już na drugim spotkaniu.

– A co ty uważasz?

– Jakbyśmy miały po siedemnaście lat. Tymczasem mamy po trzydzieści siedem. To żałosne. Powinnyśmy wreszcie dorosnąć.

– To prawda. Dlaczego nie możemy dorosnąć i wyjść za mąż, jak... Jak ta *Bianka w EastEnders*?

– Na przykład. I wtedy mogłybyśmy prowadzić normalne, dorosłe rozmowy o domu i wspólnych kontaktach, i zakupach z mężem w Tesco.

– Weź pod uwagę, że ona się przechwała. Tylko dlatego, że udało jej się złapać męża. I jeszcze pokazują wszystko w telewizji.

– Właśnie! Przechwała się, bo wyszła za mąż.

– I brała ślub w diademie.

– Aha.

– I dostała rozkładówkę w „Radio Times”.

Zapadła cisza. Kate myślała. Wiedziałam, bo zmarszczyła czoło. Wzięłam „Mail” i zajrzałam na stronę z plotkami Nigela Dempstera. Straszne głupoty, pomyślałam. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie w ogóle czytają takie rzeczy... O! To ciekawe: „Lawrence Bright, 45, z New Labour, podobno przeżywa kryzys małżeński po tym, jak żona przyłapała go w stoisku z bielizną Harveya Nicholasa z atrakcyjną, trzydziestoparoletnią brunetką”. No proszę, pomyślałam. Kolejny niewierny parlamentarzysta. Czy nie mogliby się w końcu nauczyć?

– Myślisz, że kiedykolwiek wyjdziemy za mąż? – spytała Kate.

– Co? Nie wiem.

Kate znów chciała rozmawiać.

– Czego szukasz u mężczyzny, Tiffany?

To było łatwe.

– No, pewnej klasy, dobrego serca, niezłego wyglądu i świetnego serwu.

– I wierności.

– O tak – powiedziałam, spoglądając na zdjęcie Lawrence’a Brighta w „Mail”. – I wierności. – I znów mi się przypomniał Człowiek Sukcesu. – Już nigdy w życiu nie spotkam się z kimś niewiernym – oznajmiłam.

– Tak, wierność jest bardzo ważna – powiedziała Kate gwałtownie. – Bardzo, bardzo ważna.

Ciekawa byłam, o co jej chodzi i dlaczego mówi z takim przejęciem. Nie chciałam pytać wprost, w końcu wielu rzeczy o niej nie wiedziałam. Gdyby chciała, sama by mi powiedziała.

– Wiesz co? – zaczęła z ożywieniem, wyraźnie zmieniając temat. – Wydaje mi się, że powinniśmy poszukać wśród młodszych. Jak facet ma te trzydzieści parę lat, to jeszcze nie jest skrzywionym, zgorzkniałym rozwodnikiem i nie boi się zaangażować.

– To prawda – odparłam z namysłem. – Parę lat młodszy mogą być. Ale jak ich poznamy? – Rzeczywiście, no jak? Przez chwilę żułyśmy w milczeniu bagietki.

– Wiem. Chodźmy na party.

– Doskonały pomysł – powiedziałam. – Chodźmy.

Kiedy wróciłam do domu, zadzwoniłam do Ministerstwa Dźwięku, o którym słyszałam, że jest absolutnie na topie, i zdobyłam szczegóły piątkowego party. Trzeba stanąć w kolejce, poinformowała mnie jakaś kobieta, i być odpowiednio ubranym.

– W porządku – przerwałam. – Dokładnie wiem, co włożyć.

– Bierzymy gwizdki – powiedziałam później Kate przez telefon. – Powozy zamawiamy na szóstą rano. Strój nieformalny.

– Powiedziałabym, że raczej skąpy. Tam będzie gorąco.

Tymczasem dostałam kilka następnych odpowiedzi na ogłoszenie w rubryce matrymonialnej. Ostatnia, której towarzyszyły dwa zdjęcia, z profilu i en face, wyglądała tak:

Droga Nieznajoma!

Nie mogłem nie zauważyć Pani bardzo osobistego i chwytającego za serce ogłoszenia sprzed dwóch tygodni. Przepraszam, że tak długo nie odpowiadałem, ale aktualnie przebywam na wikcie Jej Królewskiej Wysokości za import nielegalnych substancji i jest to moja pierwsza epistolarna okazja, ponieważ więźniowie mogą pisać listy jedynie raz w tygodniu. Tym niemniej mam nadzieję, że niedługo wyjdę za dobre sprawowanie i ciekaw jestem, czy chciałaby się Pani ze mną spotkać?

– Chyba żartujesz – powiedziałam do siebie. Co by powiedzieli w klubie tenisowym, gdybym zjawiła się z byłym więźniem? Poza tym nie podobał mi się. Dostałam też list od artysty imieniem Eryk. Nieźle wyglądał, wysoki, z zielonymi oczyma i jasnymi włosami. Kilka rzeczy w jego liście zwróciło moją uwagę: „szkoła artystyczna w Brighton”, „klasyczne samochody”, „tenis dwa razy w tygodniu”. Nie chciało mi się czytać wszystkiego, więc posłałam mu standardową odpowiedź:

Drogi Eryku!

Dziękuję za odpowiedź na moje ogłoszenie. Dostałam różne dziwne listy, ale Twój jest prawie normalny. Gratuluję! Gdybyś chciał się ze mną spotkać, zadzwoń na podany wyżej numer.

*Pozdrawiam
Tiffany Trott (panna)*

Dołączyłam moje dobre zdjęcie, zrobione w Glyndebourne, gdzie byłam w zeszłym roku z Alekssem (oczywiście jego twarz zakleiłam) i wrzuciłam list do skrzynki.

W piątek o dziesiątej wieczorem spotkałyśmy się z Kate przed wejściem do klubu. Gwizdałyśmy na gwizdkach i podskakiwałyśmy, żeby się rozgrzać. Niektórzy dziwnie się nam przyglądali, co przypisywałam najzwyczajniejszej zazdrości – moje nowe buty nike, z zewnętrznym gumowym obcasem, wyprofilowanym łukiem podbicia, poduszką powietrzną i oświetloną piętą kosztowały sto pięćdziesiąt funtów! Wreszcie doszłyśmy do wejścia.

– Nie możecie wejść tak ubrane! – powiedziała groźnie wyglądająca bramkarka. – To jest bardzo modny nocny klub, a nie jakaś tam imprezka. Żadnych gwizdków, żadnych trampek.

Cholera.

– Czekaliśmy czterdzieści pięć minut – zaprotestowałam.

– Niechby nawet czterdzieści pięć dni. Tak nie wejdziecie. Proponuję, żebyście się przebrały i wróciły. Klub jest otwarty do szóstej rano.

Na myśl o telepaniu się z Elephant & Castle do Islington i z powrotem poczułam zmęczenie. Prawdę mówiąc, nie chciało mi się. Kate też nie.

– Wiesz co, przyjdziemy jutro – stwierdziła.

– Dobrze, wrócimy jutro – powiedziałam bramkarce – ale skoro już tu jesteśmy, czy nie mogłybyśmy tylko na momencik zajrzeć do środka? Żeby się upewnić, czy chcemy jutro wrócić?

– Właśnie, żeby się przekonać, czy to miejsce dla nas – dodała Kate.

– No, dobrze – zgodziła się niechętnie bramkarka. – Na chwilę.

Weszłyśmy i uderzyła w nas fala dźwięku. Strasznie głośna. Co za zdumiewające miejsce. Bardzo ciemne. Ściany wyklejone były blaszaną folią, z sufitu zwisały oświetlone serpentyny i wszędzie widniały napisy w rodzaju: „Szczęście istnieje” czy „Świat ma piękną duszę”. Zgadza się. Parkiet pulsował kiwającymi się ciałami. Dwa tysiące osób podrygiwało w takt bum! bum! Zauważyłam paru młodych, niesłychanie przystojnych mężczyzn. Kiedy zaspokoiliśmy ciekawość i zamierzałyśmy wyjść, spostrzegłam coś dziwnego, coś niepasującego, a jednocześnie znajomego. W sporej odległości poruszała się błyszcząca łysina, która odbijała światło stroboskopów, jeszcze bardziej zwracając na siebie uwagę wśród młodych, gęsto owłosionych głów. Czy to nie...? Nie, niemożliwe! Ale naprawdę wyglądała... Gdyby tak nie podskakiwał, mogłabym się przekonać. To z całą pewnością nie on, tylko ktoś bardzo podobny. A jednak byłam pewna, że to Martin! W Ministerstwie Dźwięku! Martin, który słuchał co najwyżej Gerry i Pacemakers. Martin, który uważa, że Oasis to coś do układania kwiatów. Poza tym chyba Lizzie nie pozwoliłaby mu tu przyjść. On czy nie on? Trudno było coś zobaczyć w tłumie podrygujących ludzi i w oślepiających, błyskających światłach. Podeszłam bliżej do parkietu, żeby się przekonać, gdy nagle poczułam na ramieniu czyjąś rękę.

– Wy dwie, wyjść – powiedziała bramkarka. – Mówiłam, że tylko na chwilę.

– Dobrze, dobrze – uspokajałam, kiedy słyśmy za nią do wyjścia. – Przyjdziemy jutro.

I tak zrobiłyśmy. Tym razem odpowiednio ubrane. Elegancko. Bardzo elegancko. I bez gwizdków. Przy wejściu nas zrewidowano – zupełnie jak na lotnisku.

– Czego szukacie? – spytałam, gdy kolejna bramkarka przeglądała moją torebkę od Prady.

– Broni – odparła. – I narkotyków.

– Nie biorę narkotyków – powiedziałam zgodnie z prawdą. Na szczęście mój poręczny, skuteczny toporek zostawiłam w innej torebce.

Kate była cała na czarno. Wyglądała szczególnie szykownie i zauważyłam, że paru facetów spoglądało w jej stronę, kiedy w końcu udało nam się wejść. Moja dwuczęściowa jedwabna suknia w kwiaty z Liberty z dużymi perłowymi guzikami i mankietami z koronki również zwracała na siebie uwagę, ale też sprawdziła się w zeszłym roku na wyścigach w Ascot. Usiadłyśmy z Kate na wielkim okrągłym siedzisku, nieśmiało obserwując tłum mężczyzn przy barze. Ani śladu Martina, musiało mi się coś pomylić. Przeważnie byli dość młodzi i nosili koszule w halucynogennych kolorach. Wyglądali... No, raczej brutalnie. W gruncie rzeczy, szczerze mówiąc, przypominali kibiców piłki nożnej. Niektórzy mieli powybijane zęby. Na szczęście było jeszcze wcześniej, pomyślałam optymistycznie, pewna, że niebawem pojawią się jacyś bardziej odpowiedni mężczyźni. Ależ tam było gorąco! Rozmawiać w tym hałasie też nie bardzo się dawało.

Nagle stanął przed nami jakiś facet.

– Chcecie cołę, dziewczyny?

– Och, tak proszę – powiedziałam. – Dietetyczną.

– Ja też poproszę – dodała Kate.

Facet spojrział na nas dziwnie i odszedł. To nie było bardzo miłe, prawda? A potem Kate znikła w ubikacji, bo chciała poprawić fryzurę. Siedziałam sama, słuchając tego łomotu i przyglądając się migającym reflektorom, kiedy podszedł do mnie jakiś inny mężczyzna. Był bardzo młody i dość przystojny, choć raczej w prymitywny sposób. Czego mógł chcieć?

– ... – powiedział.

– Co? – spytałam.

– ...

– Bardzo mi przykro, ale nic nie słyszę.

– ...zatańczyć? – usłyszałam tym razem.

– Czy chciałabym z panem zatańczyć? Ja... – Nim się zdecydowałam, złapał mnie za rękę i zaprowadził na parkiet, gdzie wkrótce całkiem przepadłam w podrygującej, podskakującej, wirującej masie.

Teraz rozumiem. Wiem, jak to się dzieje. Słyszysz się o dzieciakach, które chodzą na imprezy i tańczą bez przerwy przez osiem czy nawet dziesięć godzin i człowiek się zastanawia, jak oni to robią. Ale teraz już wiem. Wciąga cię ten cholerny, rytmiczny łomot i nim się obejrzyysz, jesteś w transie. Wcale się nie zdziwiłam, kiedy spojrzałam na zegarek i okazało się, że już szósta.

– To tyle na dziś! – zawołał nagle didżej. – Dobranoc. *Gute Nacht*. Do łóżek. Spadamy.

Nagle światła przestały migotać i łomot ucichł. Uśmiechnęłam się do mojego towarzysza, czarującego młodego kibica, który wiele godzin wcześniej zaprosił mnie na parkiet. Wreszcie będę mogła z nim porozmawiać. Faktycznie był dość przystojny, mimo wystającej szczęki.

– Dziękuję – powiedziałam. – Fajna zabawa. Mam na imię Tiffany. A ty?

– Stephen – odparł, wpatrując się we mnie dziwnie. – Ale moi kumple mówią na mnie Broadmoor.

- Jakie śmieszne przezwisko.
- Ty też możesz mówić do mnie Broadmoor – kontynuował, kiedy szliśmy do wyjścia. – Albo mów do mnie Stephen. Jak wolisz. Jak wolisz. Stephen. Albo Broadmoor. Sama zdecyduj.
- Uhm, dzięki. To miło z twojej strony. Do zobaczenia, Broadmoor.
- Kiedy się zobaczymy, Tiffany?
- Kiedy się zobaczymy? Uhm, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.
- Chciałbym się znów z tobą zobaczyć. Naprawdę.
- Byłoby miło, ale...
- Jaki jest twój numer telefonu? – Wyciągnął z kieszeni spodni mały notesik. – Jaki jest twój numer telefonu? – powtórzył z tym samym niepokojącym, intensywnym spojrzeniem.
- Hm, nie wiem.
- Jak to nie wiesz?
- Chyba ze zmęczenia, ale naprawdę w tej chwili nie pamiętam. Wiem, że zaczyna się dwa, dwa, sześć i nie pamiętam co dalej. – Wzruszyłam ramionami. – Wyleciało mi z głowy.
- Jak nie będę znał twojego numeru, to nie będę mógł do ciebie zadzwonić. – Właśnie.
- Chodzi o to, że...
- Że co, Tiffany? – Stał bardzo blisko. Mogłabym policzyć mu na twarzy wielkie krople potu. Gdzie się podziewała Kate? – Wiesz co, Tiffany, jesteś w moim typie. Masz... – Głośno pociągnął nosem. – Klase.
- Wydaje mi się, że jestem dla ciebie trochę za stara, Broadmoor. Naprawdę. Ile masz lat?
- Dwaście trzy.
- No, widzisz, a ja trzydzieści siedem.
- Wyglupiasz się! – Wyglądał na zszokowanego. – Nie wiedziałem, że jesteś taka stara. Trzyści siedem? Nie gadaj!
- Tak, tak – powiedziałam szybko. – Jestem prawie w średnim wieku. Cha, cha, cha, cha, cha!
- Bardzo miło było poznać – powiedział, chowając notesik do kieszeni. – Trzyści siedem? Cóż takiego.
- Potem z tłumu wyłoniła się Kate, która rozmawiała z dość atrakcyjnym facetem, i wyszliśmy na dwór, mrugając oczami jak wampiry. W uszach nam dzwoniło i wydawało mi się, że ziemia faluje pod nogami. Czułam się, jakbym wysiadła w Boulogne po szczególnie uciążliwej morskiej podróży.
- Było fantastycznie, prawda? – powiedziała Kate, gdy szliśmy do metra. Jej cera miała zielonkawy odcień.
- Czy ja wyglądam tak okropnie, jak ty? – spytałam.
- Nie. Gorzej.
- Jak się czujesz?
- Fatalnie. Ale było super, prawda?
- Uhm, tak.
- Ten facet był naprawdę miły.

- Jaki facet?
- Ten, z którym rozmawiałam. Mike. Jest lekarzem. Ma dwadzieścia osiem lat. Dałam mu wizytówkę.
- To dobrze.
- Pracuje w Manchesterze.
- To kiepsko.

Wsiadłyśmy do metra, które o wpół do siódmej rano w niedzielę jest cudownie puste. Bardzo prędko dojechałam do Angel i o siódmej weszłam do domu w zupełnej ciszy. Islington o świcie. Dzięki Bogu. Cisza i spokój, choć w uszach wciąż mi dzwoniło. Tak, coś dzwoniło. Głośno i bez przerwy. Dryń dryń, dryń dryń, dryń, dryń! Nagle pojąłam, że dzwoni telefon. Co było bardzo dziwne, ponieważ normalnie mój telefon nie dzwoni o siódmej rano w niedzielę. Człowiek Sukcesu! Nie, oczywiście że nie, nie bądź śmieszna, powiedziałam sobie, podnosząc słuchawkę.

- Tiffany? Tiffany? – powiedziała Lizzie niespokojnie. Mój Boże, co się stało?
- Co się stało? – spytałam. – Skąd dzwonisz?
- Z łóżka – odparła głośnym szeptem. W tle słyszałam dziwne odgłosy bulgotania.
- Co się stało, na litość boską? – Miała taki głos, jakby płakała. I co to był za dziwny dźwięk? – Dlaczego dzwonisz o tej porze, Lizzie?
- To Martin. Jemu... Jemu się coś stało. Jest jakiś dziwny.
- Dziwny? Jak to dziwny? Martin nigdy nie jest dziwny.
- Wiem. Ale wczoraj wieczorem znów to zrobił.
- Co?

– Znikł. – Nagle pojąłam, co oznaczały odgłosy w tle. Z łazienki koło sypialni Lizzie dochodziły odgłosy wymiotowania. – W piątek znikł, nie mówiąc, dokąd się wybiera – ciągnęła dalej, z lekkim szlochem. – Wrócił dopiero o świcie. Szalałam z niepokoju. A wczoraj zrobił to samo. Powiedział, że wychodzi i że nie musi mi się opowiadać. Że może iść, gdzie mu się podoba. Wrócił pół godziny temu, pijany jak świnia, i teraz siedzi z głową w klozecie.

- Bardzo nietypowe zachowanie. To wszystko, co mogę powiedzieć.
- A kiedy zapytałam, gdzie był, uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem i w ogóle się nie odezwał. W ogóle. – Zaszlochała. – Wiesz, co myślę?
- Co?
- Myślę, a właściwie jestem pewna, że ma romans.
- Nie bądź głupia, Lizzie. To niepodobne do Martina.
- Ja też tak zawsze sądziłam, ale może właśnie to jest do niego podobne, a ja po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy. Faceci są okropni!
- Poczekaj, aż wytrzeźwieje...
- Wiem, że ma nową sekretarkę, która ma dopiero dwadzieścia cztery...
- I z nim porozmawiaj.
- To na pewno ona. Założę się. Mała kurewka.
- Przypuszczalnie wcale nie ma żadnego romansu.
- ...Sama wiesz, że te baby, co pracują w biznesie, są bezwzględne.
- Musisz się trochę opanować, a później delikatnie...
- Wszystkie polują na mężów. Wszystkie. Oczywiście oprócz Sally. Boże, a może to Nicola Horlick! Poznał ją kiedyś. W roku 1989.

– ...z nim porozmawiaj i zapytaj, czy coś się stało, albo czy nie ma jakichś kłopotów.
– Byłby całkowitym kretyńcem, gdyby wdał się w romans – oznajmiła nagle. – Z miejsca bym się z nim rozwiodła, a potem puściła z torbami.
– Przesadzasz, Lizzie.
– Zatrudniłabym najlepszych specjalistów. Najdroższych. Nic by mu nie zostało. Ja...
Ja... Nie mogę dłużej rozmawiać – powiedziała nagle. – Zadzwoń później ja.

To niemożliwe, żeby Martin miał kochankę, pomyślałam, kładąc się do łóżka. To nie w jego stylu. Matka Phila Podrywacza zwykła mawiać: „Nigdy nie wiadomo, Tiffany. Musisz zawsze mieć się na baczności, bo nawet najspokojniejszemu mężczyźnie zdarzy się czasem romans na boku”. Ja jednak nie wierzę, że Martin byłby zdolny do czegoś takiego. Niektórzy mężczyźni zdradzają, a inni nie. Martin należy do tej drugiej kategorii, w przeciwieństwie do Phila Podrywacza. I Człowieka Sukcesu, pomyślałam zgrzyliwie. Nie, Martin na pewno nie szuka sobie kochanki. I twierdzę tak z całą pewnością, ponieważ ujrzałam w wyobraźni tę podskakującą, błyszczącą łysinę w Ministerstwie Dźwięku i jedyną rzeczą, o którą mogłabym go podejrzewać, jest chęć zabawy.

Nadal wrzesień

Nie wiem co robić – powiedział Kit w poniedziałek po południu, wzdychając ciężko i wpatrując się w filiżankę algierskiej arabiki. – Ta kawa jest strasznie mocna, Tiff. Czy nie moglibyśmy się napić neski?

– Jasne – odparłam, wylewając obie nasze kawy do zlewu. Kit kiepsko wyglądał. Wyraźnie nie mógł spać. – Zjedz jaffę. – Podsunęłam mu talerz. – I musimy się zabierać do roboty.

– Jestem zbyt zdenerwowany, aby pracować – powiedział, kręcąc się na krześle. – Nie spałem całą noc. Ze zmartwienia.

– Dobra, powiedz co cię gnębi. Ale potem wracamy do pracy. Musimy wygrać konkurs na reklamę Słodkich Serduszek. Wiem, że to coś dla nas.

– Aha, na pewno – zgodził się Kit. – Masz bardzo dobre pomysły. Jednakże – dodał, wpatrując się w otwarte opakowanie pastelowych cukierków – praca nad tą reklamą jest totalnie depresyjna, gdy moja miłość tak się skomplikowała. – Zaczął czytać na głos napisy: „Na zawsze twój”, „Kochaj mnie”, „Bądź moja”, „Kochanie”, „Tak, proszę”. – Zaśmiał się gorzko. – A raczej: „Nie, dziękuję”, „Spadaj”, „Odczep się”. Oparł głowę na rękach. – Czy możemy obejrzeć jakiś głupi film? – spytał. – Nie mam dziś weny.

Kit zazwyczaj ma dobry humor. Jest przeważnie, jak by to powiedzieć, zadowolony z życia. Tak bym to określiła. Zwykle jest ożywiony, uśmiechnięty, rozmowny i szczęśliwy. Teraz jednak Portia daje mu taką szkołę, że już od paru tygodni nie widziałam jego uśmiechu.

– Po prostu nie wiem, co robić – jęknął. – Nie odpowiada na moje telefony. – Wzniósł ręce do sufitu.

– Już to mówiłam, ale powiem jeszcze raz. Portia ma szczęście, że spotkała kogoś tak dobrego i zaangażowanego jak ty. – A ja żałuję, że za ciebie nie wyszłam, kiedy miałam szansę, dodałam w duchu.

– Dziękuję. Ja też mam szczęście, że z nią jestem.

– Dlaczego? Jest pustą istotą o mózgu ze styropianu, która nie zasługuje, żeby ci zawiązywać sznurowadła – zaoponowałam. W gruncie rzeczy niczego takiego nie powiedziałam. W ogóle nic nie powiedziałam, bo kiedy się daje rady przyjaciołom usychającym z miłości, należy być wyjątkowo taktownym. Tylko na niego spojrzałam. Kit jest przystojny, miły, utalentowany i uprzejmy. Mama miała rację. Ona miała rację, tata miał rację, Lizzie miała rację. Wszyscy mieli absolutną rację. Powinnam była wyjść za Kita. Gdybym to zrobiła, nie byłabym teraz starą panną, która spotyka się na randkach w ciemno z żonatymi facetami i życiowymi nieudacznikami. Nie, gdybym wyszła za Kita, przeżywałabym ósmy lub dziewiąty rok szczęśliwego małżeństwa, z czwórką, a może nawet piątką, biorąc pod uwagę ewentualne bliźnięta, wspaniałych dzieci.

– Staram się wywierać na nią nacisków – wyjaśnił Kit. – Wiem, że to szalenie zniechęca kobiety, kiedy są zbyt pewne facetów. Ale jesteśmy razem już półtora roku i chciałbym się z nią ożenić, czuję więc, iż zbliża się moment konfrontacji. A ona nie chce w ogóle o tym rozmawiać. Może nie powinienem był kupować discovery.

– Chyba nie. Poza tym nie powinieneś jej zmuszać do oglądania Teletubisiów. I bez tego wie, że lubisz dzieci.

Kit pokiwał głową w milczeniu.

– Wycieczka do Disneylandu przypuszczalnie była błędem. Czy powiedziała ci, dlaczego nie chce się ustatkować? W końcu nie jest już taka młoda. Ma trzydzieści dwa lata. Wydawałoby się, że w tym wieku zechce wyjść za męża.

– Może chce, ale nie za mnie – stwierdził gorzko.

Mam nadzieję, pomyślałam. Sama się za ciebie wydam.

– Chyba nie trzymałaby się ciebie tak długo – powiedziałam. – Kobiety są bardzo praktyczne. To znaczy ona cię lubi, prawda?

– Tak sądzę – odparł, wkładając do ust Słodkie Serduszko. – Tak sądzę. Mówi, że tak, ale czasami zwyczajnie jej nie wierzę, bo jakby mnie lubiła, to by się zgodziła, prawda?

– Najwyraźniej sprawa jest bardziej skomplikowana.

– Nie wiem, co mam robić, Tiffany – powtórzył. Tym razem miał łzy w oczach.

Przeżyłam szok. Nigdy, przenigdy nie widziałam go tak przejętego. Odłożyłam na bok własne interesy.

– Nie bądź dla niej taki miły – poradziłam. Spojrzał na mnie przerażony. – Nie opiekuj się i nie lataj za nią przez cały czas.

– Ona jest bardzo biedna – odparł, zjadając kolejnego cukierka. – Portia mnie potrzebuje.

– Powinieneś się lekko wycofać i przekonać, co będzie – dodałam. – Wykorzystuje cię, traktuje jak sługę i podnózek, bo wie, że jej nigdy niczego nie odmówisz ani nie sprawisz żadnej przykrości. A może właśnie należy to zrobić. Przynajmniej od czasu do czasu. Na przykład spróbuj nie przyjechać po nią do pracy.

– Nie lubię, kiedy wraca do domu autobusem – wyjaśnił, biorąc do ust następnego cukierka.

– I nie powinieneś lecieć, kiedy jej pralka piszczy...

– Portia jest taka niepraktyczna; nawet by nie wiedziała, do kogo zadzwonić.

– Na twoim miejscu nie zajmowałabym się jej ogrodem. Przecież może kogoś wynająć.

- To mi nie zabiera wiele czasu.
 - A najlepiej niech sama się nim zajmie.
- Znów spojrzął na mnie z przerażeniem.
- Nie jesteś malarzem pokojowym ani dekoratorem wnętrz, więc następnym razem niech zatrudni fachowców, kiedy zechce odnowić kuchnię. Przecież ma pieniądze.
 - To nie o to chodzi. Jak się kogoś kocha, to chce się dla niego wszystko robić, prawda?
 - Prawda, ale ty robisz za dużo.
 - Ty też. Dla mężczyzn. – To także była prawda. Dlatego Kit i ja jesteśmy przyjaciółmi. Bo mamy taki sam charakter. I dlatego inni po nas depczą.
 - Jesteśmy oboje w stanie głodu miłości – powiedziałam. – Czytałam gdzieś o tym niedawno...
 - Zgadza się – przerwał, śmiejąc się zgryźliwie. – A ja w dodatku jestem w stanie głodu ojcostwa.
 - Francuzi twierdzą, że w każdym związku jest osoba, która całuje i taka, która daje się całować. – Kit wepchnął do ust całą garść Słodkich Serduszek. – My jesteśmy tymi, którzy całują – oświadczyłam. – A takie osoby tylko przegrywają. Samo dawanie nie wystarcza, trzeba też coś dostawać. Co dostajesz od Portii?
- Zapadło niezręczne milczenie.
- Niewiele – przyznał w końcu.
 - Właśnie. Sam wiesz, że nie jesteś mięczakiem – dodałam. – Jesteś normalnym facetem. Ale kiedy chodzi o kobiety, zachowujesz się za skromnie, zbyt niepewnie. Posłuchaj, Kit, nie zjadaj wszystkich Słodkich Serduszek, bo są nam potrzebne. Jesteś po prostu za dobry. I dajesz się wykorzystywać. Spotykasz kobietę i stajesz się podnóżkiem.
 - Nieprawda! – zawołał z oburzeniem.
 - Owszem, prawda.
 - Ty też – powiedział.
 - Nie!
 - A właśnie że tak – upierał się, zjadając kolejnego cukierka. – Chciałbym ci przypomnieć, że kiedy ze sobą chodziliśmy, prasowałaś mi koszule. Nigdy cię o to nie prosiłem.
 - A ty mi czyściłeś buty.
 - Zmywałaś moje naczynia! – rzucił. – Z przypalonymi garnkami włącznie.
 - A ty przycinałeś mój bez – powiedziałam jadowicie. – I glicynię.
 - Zawoziłaś Fluffy do weterynarza na szczepienie przeciw grypie.
 - Odnowiłeś mi łazienkę.
 - Odbierałaś z apteki moje lekarstwa – syknął.
 - A ty... A ty zawoziłaś moje ciuchy do pralni chemicznej, choć wcale nie miałeś po drodze.
 - Oddawałaś mój samochód do warsztatu.
 - Naprawiałaś mi rower. Sześć razy!
 - Oddawałaś do wypożyczalni kasety wideo – powiedział triumfalnie. – Nawet te, które oglądałem bez ciebie. A teraz masz czelność twierdzić, że nie zachowujesz się jak sługa i podnóżek. Jak najbardziej. Nie chcesz się przyznać, ale tak jest, Tiff.
 - A ty jesteś jeszcze gorszy ode mnie! – zawołałam z wściekłością.

Kit tylko na mnie spojrział. I nic nie powiedział. Sprawiałam mu przykrość. Ojej.

– Posłuchaj, Kit, nie kłóćmy się – zaproponowałam, biorąc go za rękę. – Przepraszam. Chodzi o to, że nie rozmawiamy teraz o mnie. Dyskutujemy o tobie. O twoich problemach. Nie moich. I musisz coś z tym zrobić. W końcu nie zostaniesz reżyserem filmów reklamowych, jeśli nie masz dość pewności siebie i siły przebicia. Sam wiesz, jak jest na planie.

– Nie brakuje mi zawodowej siły przebicia – odparł lekko urażony. – Potrafię być skończonym dranem, jeśli trzeba. Ale tak, w porządku, przyznaję, tego rodzaju postępowanie w związkach z kobietami jest dla mnie bardzo trudne. W przeciwnym razie już lata temu nalegałbym, abyś za mnie wyszła. Dlaczego za mnie nie wyszłaś, Tiffany? – spytał. – Pytam z czystej ciekawości.

– Nie mam pojęcia – odparłam, bazgrząc w notesie. – A raczej mam – dodałam ciszewej. – Właśnie dlatego, że zbyt jesteśmy do siebie podobni.

Gdybym jednak miała wtedy szklaną kulę i wiedziała to, co wiem teraz, może i zostałabym jego żoną, pomyślałam. Czy było już za późno? Gdyby Portia go rzuciła, może...

– Żałuję, że tego nie zrobiłaś, Tiff. Zaoszczędzilibyśmy sobie mnóstwa sercowych kłopotów.

– Posłuchaj, trzymajmy się Portii – powiedziałam, żeby pokryć zakłopotanie.

– Ja się jej trzymam. Problem w tym, że ona nie chce się trzymać mnie.

– Dlaczego nie pójdziesz na jakiś kurs rozwoju osobowości? – zaproponowałam. – Albo wybierz się na taką męską wyprawę.

– Co? Na weekend w lasach dla matolów? Chyba żartujesz – stwierdził stanowczo. – To nie w moim stylu. W życiu bym czegoś podobnego nie zrobił.

– Musisz zachowywać się stanowczo, jeśli chcesz utrzymać zainteresowanie Portii, więc radzę ci, abyś zrobił coś przeciwnego własnej naturze. A raczej odpłać Portii jej własną monetą. Pokaż jej, jak to jest, gdy partner jest obojętny.

– Dobrze – powiedział, wgrzyzając się w jaffę. – Zastanowię się. Ale to nie przyjdzie mi łatwo. – Spojrzął na zegarek. – Zostawmy na razie Portię i przejdźmy do Słodkich Serduszek. O Boże: „Jesteś moim marzeniem”.

Skończyliśmy trzy godziny później. Przygotowaliśmy wstępny projekt z rysunkami Kita i moimi słowami. Startowaliśmy w konkursie na telewizyjną kampanię reklamową, która miała być pokazywana przed przyszłorocznymi walentynkami.

– Masz szczęście z nowymi facetami? – spytał Kit, wychodząc.

– Raczej parszywe to szczęście. Ale został mi jeszcze jeden z tych, co odpowiedzieli na moje ogłoszenie. Chyba jest w porządku. W gruncie rzeczy myślę o nim z nadzieją. Spotykam się z nim w najbliższą sobotę. Ma na imię Jake.

– Co to za jeden?

– Reżyser filmowy, studiował w Oksfordzie, wydaje się niezły. Na papierze.

Rozczarowanie. Jedno wielkie rozczarowanie. Na to się człowiek naraża, kiedy wpływa samotnie w świat. Z daleka wszystko wygląda doskonale – setki wolnych, przystojnych facetów oczekujących na brzegu. Kiedy się jednak podpłyynie bliżej – o, mój Boże! Jak już mówiłam, na papierze Jake prezentował się bez zarzutu. W rzeczywistości przypominał coś pomiędzy zwykłym nowofunlandem a nawiedzonym muzykiem rockowym. Serce we mnie zamarło.

– Cieszę się, że przyszedłaś – powiedział. Jego dłoń kojarzyła mi się ze zdechłym dorzszem. – Fajnie, co?

– Aha. Fajnie – odparłam ponuro.

Staliśmy przy wejściu do metra w Hampstead, a on rozglądał się z namysłem dookoła. Nieuczestne strąki powiewały na wietrze. Jak mam się z tego wyplątać? – pomyślałam z paniką. Może powiem, że dostalam ataku migreny? Może przypomnę sobie o jakiejś pilnej pracy? Może udam, że mdleję, choć nie potrafiłabym się przewrócić, nie rozwalając sobie głowy. A może powinnam zwyczajnie uciec.

– Strasznie mi przykro, Jake, ale mam ważne spotkanie w telewizji – powiedziałam. – Zupełnie o nim zapomniałam, chodzi o *Noel's House Party*. – W gruncie rzeczy niczego takiego nie powiedziałam. – Gdzie masz samochód?

– Nie mam samochodu.

– Aha, rozumiem. Ale przecież powiedziałeś, że odbierzesz mnie ze stacji?

– Zgadza się. Na piechotę. Możemy się przejść. To niedaleko.

– Zarezerwowałaś już stolik? – spytałam, kiedy szliśmy Heath Street.

– Nie. Pomyślałem, że po prostu gdzieś wejdziemy.

Przeszliśmy obok Calzone Pizza Bar, który wyglądał całkiem nieźle, z zielonymi stolikami i rattanowymi krzesłami. Powoli zaczynałam odczuwać głód. W końcu nie jadłam obiadu.

– Nie cierpię pizzy – powiedział. – A ty?

– Ja raczej dość lubię. Chętnie zjem pizzę.

– Przejdźmy się jeszcze kawalek, jest dość wcześnie – zaproponował wesoło. O tak, pomyślałam ponuro. Było dość wcześnie. Przez cały czas, bez przerwy, mówił głębokim, zdumiewająco gładkim, lekko przeszkolonym głosem o filmach. Kiedy mówił, duża grdyka latała mu w dół i w górę, jak kubełek w studni. Był chodzącą encyklopedią filmu: *Truffaut... Nouvelle Vague... Eisenstein... Fassbinder... Trzy kolory: niebieski...*

– Mój przyjaciel Kit chciałby zostać reżyserem.

– Od czego?

– Od reklam.

– Ach tak – odparł z wyraźną pogardą.

– Jakie ty kręcisz filmy?

– Mam na warsztacie parę rzeczy, ale jeszcze nie znalazłem kasy. Widzisz, mój styl jest lekko eksperymentalny. Moimi idolami są Buñuel i Cocteau oraz, oczywiście, Peter Greenaway i Derek Jarman. – Spojrzał na mnie z wyrazem przesadnej troski. – Czy nie martwi cię to, że w tym kraju mamy tak mało awangardowych reżyserów filmowych? – Nie, martwiło mnie jedynie to, że byłam głodna, w Hampstead, w towarzystwie strasznego faceta. Co gorsza, nowe buty zaczynały mnie obcierać i nawet nie mogłam rzucić się do ucieczki. Przystanęliśmy przy La Sorpresa, ładnej, małej włoskiej knajpce ze świecami, palmami i różowymi obrusami, ale wydawało mu się, iż jest tam za duży tłok.

– I za dużo palaczy – stwierdził stanowczo. – Noszę szkła kontaktowe i mam szczególnie wrażliwe oczy. Dzięki Bogu, w dzisiejszych czasach w kinach nie wolno palić. Byłaś ostatnio w National Film Theatre?

– Nie, ale byłam w Odeon Leicester Square, cha, cha, cha!

Spojrzał na mnie zaszokowany.

– Aktualnie w NFT grają wczesne filmy niemieckie. Mają nowe kopie *Błękitnego anioła*, *Puszki Pandory* i *M Fritza Langa* – jednego z największych klasyków niemieckiego kina

ekspresjonistycznego. To niewiarygodny film. Pokazują także filmy senegalskie, między innymi cztery obrazy Ousmene'a Sembene'a. To fascynujące, prawda?

– Uhm, bardzo – odparłam, choć w tej chwili fascynowała mnie jedynie perspektywa zjedzenia czegoś. Przeszliśmy obok La Villa Bianca, miłej restauracji z balkonem z kutego żelaza, z którego, na tle białego muru, zwisały czerwone i różowe pelargonie. Kątem oka dostrzegłam menu w oknie: dziczyzna za dwanaście pięćdziesiąt i grilowana polędwica za czternaście pięćdziesiąt. Jake nawet się nie zawahał, mrucząc coś pod nosem o niebotycznych cenach.

– Nie wszedłbym tam dla zasady – wyjaśnił.

Przypuszczalnie wcale by go nie wpuszcili, pomyślałam. Na Hampstead High Street zauważyłam Café Rouge.

– Café Rouge – powiedziałam. – Chodźmy tam.

– No, dobrze, zapytam, ale wydaje mi się, że nie ma wolnych stolików. – Przeszedł na drugą stronę ulicy i po chwili był z powrotem. – Tak jak myślałam, pełno ludzi.

– Jestem pewna, że jest kilka wolnych... – zaczęłam, ale Jake maszerował już Roslyn Hill. Z Taj Mahal dolatywał cudowny zapach tandoori. Zatrzymałam się przy drzwiach.

– Nie lubię curry – powiedział.

– Ale ja lubię. Uwielbiam. Skoro nie lubisz tyłu rzeczy, to dlaczego nie zamówiłeś stolika w jakiejś restauracji, która ci odpowiada? Zwłaszcza że dziś sobota.

– Wydaje mi się, że znajdziemy coś bardziej odpowiedniego bliżej Heath – odparł, ignorując moją uwagę i skręcając w Pond Street. Byłam już na wpół przytomna z głodu i wpadłam w lekką obsesję. Usiłowałam przypomnieć sobie tytuł tego francuskiego filmu, w którym grupie ludzi nigdy nie udaje się nic zjeść. Albo spotykają się nie tego dnia, albo przychodzą do restauracji i znajdują zwłoki właściciela, a kiedy wreszcie zasiadają do fantastycznego obiadu, wdziera się tam wojsko. Co to było? Jake na pewno wiedział.

– Jak się nazywał ten francuski film, gdzie ludziom nie udaje się nic zjeść? – spytałam, kiedy doszliśmy do szpitala Royal Free.

– *Dyskretny urok burżuazji*. Jeden z najlepszych filmów Buñuela. Nakręcony w roku 1972, ze Stéphane Audran, Fernandem Reyem i Michele Piccolim. To cudowna satyra na społeczeństwo francuskie. Dostał Oscara za najlepszy film obcojęzyczny. Wspomniała gra zespołowa. – Nagle stanął i ze zdumieniem zobaczyłam przed sobą olbrzymie, pomalowane sombrero. VIVA ZAPATA, MEKSYKAŃSKI BAR I RESTAURACJA. JECIE, ILE CHCECIE, ZA PIĘĆ FUNTÓW. Jake odetchnął z ulgą.

– To jest dobre miejsce.

– Chyba żartujesz. – Spojrzałam na kurze udka i *guacamole* na tacach z folii, plastikowe krzesła i stoliki, porozwieszane poncha i syntetyczne kaktusy. Mój głód gdzieś się ulotnił. – Nie chcę tu jeść.

– Dlaczego? To miejsce ma wdzięk i charakter.

– Obawiam się, że nie chcę jeść w miejscu, które się reklamuje: Jecie, ile chcecie, za pięć funtów. Za kogo mnie uważasz?

– Za bardzo gderliwą kobietę – odparł niespodziewanie.

– Nie jestem gderliwa – syknęłam ze złością.

– Owszem, jesteś. Cały czas narzekasz. Jesteś poirytowana. I niegrzeczna.

– Nie jestem niegrzeczna! – zawołałam. – Zachowuję się niesłuchanie cierpliwie i uprzejmie.

- Nieprawda.
- Prawda. – Poczułam, że łzy napływają mi do oczu, a krew z obtartej pięty leje się do buta. – To ty mnie zaprosiłeś. Nie chciało ci się zamówić stolika, przegoniłeś mnie trzy kilometry piechotą i miałeś zastrzeżenia do każdej restauracji, którą mijaliśmy. Teraz wiem dlaczego. Przyprowadziłeś mnie tutaj, bo jest tanio.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To co powiedziałam. I możesz sam tu zostać, bo ja idę. – Zobaczyłam z daleka żółte światło i zesłam z chodnika, żeby pomachać ręką. – I w dodatku okropnie wyglądasz – rzuciłam, wsiadając do taksówki. – To już było niegrzeczne, ale nic mnie to nie obchodziło. Poczułam się lepiej. Powoli łzy przestały płynąć i serce nie waliło mi już tak szybko. Co za koszmar. Co za koszmar.
- Co za koszmar! – powiedziałam do Lizzie następnego dnia rano, kiedy wpadła po odwiezieniu dziewczynek na tenisa.
- Potworność! Dziwię się, że wytrzymałaś dłużej niż pięć minut. Płakałaś?
- Dopiero w taksówce.
- Byłaś dla niego niegrzeczna?
- Trochę – przyznałam. – Choć jeszcze za mało.
- Nigdy nie obrażaj mężczyzn, Tiffany, nawet najgorszych. Po prostu odejdz. Pamiętaj, żeby zawsze zachować godność i poczucie własnej wartości.
- Gdybyś była na moim miejscu, z pewnością byś mu dołożyła – powiedziałam. Zignorowała moją uwagę albo zbyt była zajęta zapalaniem kolejnego papierosa.
- Nie trać zimnej krwi – poradziła, zaciągając się – i nie zapominaj, że czasem warto pocałować jakąś żabę. A nuż...
- Nie mam nic przeciwko żabom. Denerwują mnie tylko ropuchy.
- Dziś rano moja ropucha oznajmiła, że w piątek jedzie do matki – powiedziała, mrużąc niebieskie oczy i zaciągając się papierosem. – Mówi, że chce jechać sam. Dobrze, powiedziałam, ale uważam, że to bardzo podejrzane. Choć nie sądzę, żeby miał romans z Nicolą Horlick.
- Co za ulga
- Jestem pewna, że chodzi o Jade Jewel.
- Jade Jewel?
- Tak. Ostatnio stale nagrywa sobie *Wszystkie zwierzęta duże i małe* i *Tip Top! Za każdym razem*, kiedy ona pojawia się na ekranie, wzdycha i mówi znacząco, że jest miła. To bardzo dziwne.
- Może ona jest miła, Lizzie.
- Posłuchaj, jeśli ma romans z moim mężem, to na pewno nie jest miła. Co to za wykres? – spytała, wpatrując się w ścianę kuchni.
- Zrobiłam go wczoraj wieczorem, żeby poprawić sobie humor. System nagród za koszmarnie randki.
- Zwariowałaś – stwierdziła brutalnie Lizzie. – To wszystko cię przerasta. Stajesz się ekscentryczką. Wciąż robisz te obsesyjne, niekończące się listy, a któregoś dnia słyszałam, jak rozmawiałaś z odkurzaczem. Powiedziałaś: „Ty mały głupku, ty jeszcze nie posprzątałeś”. Za długo jesteś sama. Stajesz się coraz dziwniejsza. Po prostu wariujesz.
- Jeśli książkę Karol może rozmawiać ze swoimi roślinami, to ja mogę rozmawiać z odkurzaczem.

- Niekoniecznie. Książę Karol przynajmniej rozmawia z żywymi istotami. A ty nie. Może jeszcze mówisz: „Rusz się i pracuj, porządek przywracaj”, jak ta idiotka w telewizji?
- Tak. Czasem. A bo co? Nikomu to chyba nie przeszkadza?
- Powinnaś wyjechać na urlop, Tiffany – powiedziała Lizzie, gasząc papierosa.
- Nie jestem pewna. Muszę to przedyskutować ze zmywarką do naczyń.

Choć ostatnio rzeczywiście myślałam o wyjeździe. Skończyłam pracę nad Kiddimint, agencja była zadowolona, na projekt reklamy Słodkich Serduszek mieliśmy jeszcze miesiąc. Dlaczego by nie wyjechać? Miałam dość forsy i od dwóch lat nie brałam urlopu. Ostatni raz wyjechałam do Marbelli z Philem Podrywaczem. Oczywiście były to wakacje golfowe, choć ja się tylko przyglądałam. Przez pięć godzin dziennie, codziennie, przez dwa tygodnie. Chciałam pojechać do Granady, żeby zobaczyć architekturę arabską i Alhambrę. W przewodniku widziałam piękne zdjęcia. Ale Phillip powiedział, że jest za gorąco, aby spędzić cztery godziny w samochodzie i nie pojechalśmy. On grał w golfa, ja czytałam. Przez te wakacje przeczytałam masę książek. Siedem tomów Prousta i dwutomową historię muzyki. Czyli coś skorzystałam. Ale to było wieki temu. Lizzie miała rację. Powinnam wyjechać, tylko z kim? Może Kate by się wybrała?

- Fantastyczny pomysł – powiedziała, kiedy do niej zadzwoniłam. – Też jestem dość zmęczona. Możemy pojechać na wakacje dla samotnych i poznać masę facetów.
- Masz na myśli klub „18-50”?
- Club Med.
- Club Mediterrané?
- Tak. Pojedźmy na Bahamy.
- Ależ Kate, Bahamy nie leżą nad Morzem Śródziemnym.
- Paradise Island na Bahamach – nalegała, ignorując moją uwagę. – Widziałam ofertę w folderze Club Med. Wygląda fantastycznie i podobno pełno tam znakomitych, samotnych facetów.
- W porządku. Zapisz nas. Jedźmy jutro.
- No, to trochę za szybko. Może w przyszłym tygodniu?
- Dobrze.

Październik

Bikini (dwie sztuki) – odfajkowane; kostium do pływania (dwa) – odfajkowane; go-larka Philips Ladyshave (jedna) – odfajkowana; podróżna suszarka do włosów Vidala Sassoona (jedna) – odfajkowana; przełącznik do kontaktu do podróżnej suszarki do włosów Vidala Sassoona (jeden) – odfajkowany; bezprzewodowa lokówka ze szczotką Brauna (jedna) – odfajkowana; szczotka do układania włosów z gorącym powietrzem (jedna) – odfajkowana; letnie sukienki (czternaście) – odfajkowane; sarongi (pięć) – odfajkowane; ręcznik plażowy (jeden) – odfajkowany; wodoodporny tusz do rzęs (trzy) – odfajkowane; okulary przeciwsłoneczne (pięć par, z których cztery zgubię) – odfajkowane; krem do opalania z wysokim numerem – mhm, muszę kupić; swetry na chłodniejsze wieczory (dwa) – odfajkowane; rakietka tenisowa (jedna) – odfajkowana; kostiumy do te-

nisa (cztery) – odfajkowane; tenisówki (dwie pary) – odfajkowane; szwajcarski scyzoryk (jeden) – odfajkowany; komplet do haftowania antycznych róż (jeden) – odfajkowany; mały plecak na wycieczki (jeden) – odfajkowany; płyn na komary (dwie butelki) – odfajkowany; apteczka (jedna) – odfajkowana; i dodatkowo węgiel, na wszelki wypadek, choć słyszałam, że jedzenie w Club Med jest bardzo dobre; szampon (trzy butelki) – odfajkowany; odżywka (też trzy) – odfajkowana; rozmaite przybory toaletowe (jedna duża torba) – odfajkowane; eleganckie sukienki na przyjęcia koktajlowe i dyskoteki (dwadzieścia trzy) – odfajkowane; gumowa poduszka pod głowę do samolotu (jedna) – odfajkowana; pouczające książki (siedem) – odfajkowane; przenośny odtwarzacz płyt CD (jeden) – odfajkowany; notes na wypadek, gdyby przyszedł mi do głowy jakiś superslogan reklamowy (jeden) – odfajkowany; podróżny budzik (jeden) – odfajkowany; korektor (dwa) – odfajkowany...

– Dlaczego bez przerwy robisz listy, Tiffany? – spytał Kit z wyraźną irytacją.

– Bo potrzebuję. Na wakacje. Żebym niczego nie zapomniała. Po prostu jestem rozsądna. Jak myślisz, ile powinnam zabrać termosów?

– Tiffany – powiedział, biorąc do ręki mój notes formatu A4. – Ta lista ma siedemnaście stron. To wszystko na pewno nie będzie ci potrzebne. Jedziesz na krótki urlop nad morzem, a nie na wyprawę dookoła świata. Nie jesteś Michaeliem Palinem.

– Nie, ale może spotkam jakiegoś sympatycznego faceta i będę chciała jak najlepiej wyglądać. Kate mówi, że przeżyjemy rajską przygodę w towarzystwie wielu mężczyzn. Twierdzi, że na Paradise Island, cytując: „Pełno jest znakomitych, samotnych facetów”, koniec cytatu. Świetnie, prawda?

– Tak. Świetnie. Musisz trochę odpocząć. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś zestresowana. Ciągłe robisz listy i wciąż coś liczysz. Ostatnio zauważyłem, że rozmawiałaś z mikrofalówką.

– Naprawdę? Eee, chyba nie, mikrofalówka jest zepsuta.

– I słyszałem, jak mruczałaś coś do lodówki.

– Nie, to nieprawda, lodówka jest oziębła.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Pojutrze.

– To dobrze. Im szybciej, tym lepiej. Uważam nawet, że powinnaś przyspieszyć wyjazd. Ja też jadę na odpoczynek w towarzystwie wielu mężczyzn – dodał.

– Naprawdę?

– Tak. Myślałem o tym, co mi powiedziałaś i się zapisałem.

– Na co?

– „Tylko dla mężczyzn – odkryj w sobie wojownika”. – Wielki Boże! – Jadę w piątek do Winchesteru.

– Mówiłeś Portii?

– Nie. Stwierdziłem tylko, nienawidząc samego siebie za to, że nie mówię jej, dokąd się wybieram... stwierdziłem tylko, że nie będzie mnie w czasie weekendu. Tak właśnie powiedziałem: „Obawiam się, że nie będzie mnie w czasie weekendu”. Chyba niezbyt jej się to podobało.

– I dobrze.

– Tak. Będę celebrował moją męskość. Poczuję wspólnotę z osiemdziesięcioma innymi facetami.

Plany na nadchodzący weekend poprawiły humor Kitowi, a ja czułam się znacznie lepiej na myśl o urlopie na Paradise Island. Widziałam w wyobraźni słońce, morze i piasek. Kate i ja spędzimy cudowne dwa tygodnie.

– Słyszałam, że październik do wyjątkowo dobry miesiąc na Bahamy – powiedziała Kate, kiedy dwa dni później spotkałyśmy się przy stanowisku British Airways na lotnisku Gatwick. – To początek sezonu i powinniśmy mieć cudowną pogodę. – Naprawdę będzie gorąco – mówiła pięć godzin później, kiedy wciąż czekałyśmy na odlot naszego opóźnionego samolotu. – Upalnie. Powinnyśmy uważać. Zwłaszcza ty, Tiffany.

Tymczasem skończyłam czytać *Jak sprawić, żeby każdy się w tobie zakochał* i byłam w połowie *Odpowiedniego chłopaka*.

– W Club Med będzie mnóstwo odpowiednich chłopaków – zażartowała Kate, wracając z siódmego wypadu do sklepu wolnocłowego.

– Wolałabym odpowiedniego mężczyznę.

Wreszcie ogłoszono odlot naszego samolotu. Zajęłyśmy miejsca, zapięłyśmy pasy i wystartowałyśmy na Paradise Island. Ale dwanaście godzin w samolocie to bardzo długo, zwłaszcza gdy puszczają beznadziejne filmy, wszystkie fotele przy oknach są zajęte, a miejsce obok ciebie zajmuje płaczące dziecko.

– Jestem wykończona – westchnęła Kate, gdy następnego dnia o trzeciej rano targałyśmy bagaże przez lotnisko w Nassau. – Ale przynajmniej mamy zagwarantowaną dobrą pogodę. Będzie upał. Ciekawa jestem, jak się dostaniemy na miejsce?

Odpowiedź znalazłyśmy przed budynkiem lotniska w postaci przystojnego, młodego człowieka. W jednej ręce trzymał tabliczkę z napisem: CLUB MED, a w drugiej wielki, czarny, ociekający wodą parasol.

Ten serial *Melrose Place* jest genialny. Oglądam go codziennie. W moim pokoju w Club Med. I zastanawiam się nad dwiema rzeczami: po pierwsze: dlaczego Heather Locklear wciąż wygląda na dwadzieścia pięć lat? Czyżby się kapała w oślim mleku albo piła krew młodych dziewczyn? I po drugie: kiedy przestanie padać?

– Przykro mi, kochani, ale to końcówka huraganu – powiedział jeden z EO, Eleganckich Organizatorów. – Słońce znów zaświeci – zapewnił i szybko dodał: *Le soleil brillera encore; die Sonne wird scheinen; el sol volvera a brillar; sola skinner nok igjen; mata haremasuyo*. Ci wszyscy EO są wielojęzyczni. Podobno potrafią powiedzieć „Zapraszamy do wspólnej zabawy” w dwudziestu trzech językach. I to jest właśnie miłe w Club Med, że jest taki międzynarodowy. Spotkałyśmy, to znaczy jeszcze nikogo nie spotkałyśmy, bo pada, ale jestem pewna, że gdy tylko przestanie, natychmiast poznamy mnóstwo osób. To jedynie kwestia czasu. Miliony samotnych facetów. Z całego świata. Dzięki Bogu przyjechałyśmy na dwa tygodnie, bo pada bez przerwy już od czterech dni. W każdym razie dziś rano, bardzo wcześnie, nagle obudziło mnie głośne pukanie do drzwi. Najwyraźniej ktoś chciał się ze mną zobaczyć. Kate.

– Wychodzę na aerobik dla początkujących – powiedziała. – Pomyślałam sobie, że ci powiem. Jest dopiero wpół do siódmej. Możesz wracać do łóżka.

Kiedy wstałam kilka godzin później – wciąż odczuwając skutki zmiany czasu – zauważyłam, że przestało padać. Fantastycznie! Szybko poszłam na śniadanie do restauracji. Kate rozmawiała z dość atrakcyjnym mężczyzną.

– To jest Jurgen, Tiffany – powiedziała. – Był ze mną na aerobiku.
– Cześć. Tiffany. Tiffany Trott.
– Jesteście studentkami? – spytał z uśmiechem. Studentkami?! Chyba żartował.
– No, nie. Pracujemy. Pracujemy już od dość dawna, od wielu lat. W gruncie rzeczy zbliżamy się do emerytury.

– Ach, tak. – Wydawał się zaskoczony. – Wyglądacie tak młodo, że wziąłem was za studentki. – Te wakacje zaczynały mi się podobać.

– A ty jesteś studentem? – spytałam grzecznie.

– Nie. Mam trzydzieści pięć lat. Skończyłem studia w zeszłym roku. Teraz jestem adwokatem podatkowym.

Po śniadaniu wybrałyśmy się na plażę. Morze było bardzo ciepłe, a słońce naprawdę paliło. Coraz lepiej.

– Podoba ci się ten Niemiec? – spytałam Kate, kiedy rozkładałyśmy ręczniki.

– Chyba tak. Jest bardzo miły. A tobie się podoba?

– No, tak, niezły, ale ty go pierwsza zobaczyłaś.

– Nie chciałabym ci wchodzić w drogę, Tiffany, wiesz, gdyby ci się spodobał.

– Nie, nie, nie. Nie przejmuj się mną. Poza tym jestem pewna, że ty mu się podobasz.

– Nie, moim zdaniem zwrócił uwagę na ciebie. Mam wrażenie że podobają mu się blondynki.

– Uważam, że woli brunetki. Z pewnością ty mu się podobasz. Zauważyłam, jak reagował. Wydaje mi się, że powinnaś znów go zagadnąć.

– No, dobrze – powiedziała niechętnie. – Pod warunkiem że nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam – zapewniłam z uśmiechem. W tym momencie podszedł do nas Jurgen, trzymając za rękę atrakcyjną blondynkę. Cholera.

– Halo. To jest moja narzeczona Gudrun. Przez całe rano brała lekcje golfa i teraz posiedzimy na plaży do obiadu.

No trudno. Pomyliłyśmy się. W gruncie rzeczy na plaży było dość dużo par wskakujących do wody, całujących się pod palmami, smarujących się kremem lub spacerujących po piasku. Obrzydliwość.

– Myślałam, że Paradise Island jest pełna samotnych facetów – powiedziałam do Kate, kiedy budowałyśmy mały, ale skomplikowany zamek z piasku.

– Ja też.

– Chyba się nie mylę, a pamięć mam raczej dobrą, że mówiłaś coś takiego.

– Tak mi powiedziano. Może chodziło o inny Club Med. Może coś mi się pomyliło...

Na plaży dało się też zauważyć sporo zakochanych par tej samej płci. Zwłaszcza kobiet. Przy obiedzie tego dnia poznałyśmy parę groźnie wyglądających wielbicielek Safony, Jane i Sandrę z Solihull.

– Co robi twoja przyjaciółka? – spytała Jane, gdy Kate poszła do bufetu po drugą porcję sałatki z frutti di mare.

– Moja przyjaciółka? Och. Och, Kate nie jest moją przyjaciółką. To znaczy nie w tym sensie, cha, cha, cha. Przyjechałyśmy tylko razem na urlop.

– Rozumiem, jesteście tylko dobrymi przyjaciółkami, co? – powiedziała Sandra, śmiejąc się ochryple. – Już to słyszałam.

– Nie, nie, nie, naprawdę – zaprotestowałam, poprawiając sarong. – Nie chciałabym, abyś sądziła...

– Nie przejmuj się, Tiffany – powiedziała Jane i puściła do mnie oko. – Do zobaczenia.

– Wiesz co, Kate – powiedziałam, gdy wróciła do stolika. – Wiem, na czym polega problem. Uważają nas za lesbijki. To nam nie pomoże w poszukiwaniach odpowiedniego mężczyzny. Chyba powinniśmy coś zrobić, żeby jak najszybciej wyjaśnić tę idiotyczną pomyłkę.

– Dobrze – pisnęła. – Już więcej nie będę cię trzymać za rękę w miejscach publicznych. Obiecuję.

– Ale poważnie, Kate...

– Och, skarbie, daj buzi.

– Na litość boską, Kate, to może być poważny problem.

– Uwielbiam, kiedy się złościś.

– Już wiem, porozmawiajmy bardzo głośno o naszych byłych facetach. W ten sposób podkreślimy naszą niewątpliwą heteroseksualność. Powiedz, co twój poprzedni chłopak ci zrobił? – spytałam, jedząc lody morelowe.

– Był doprawdy okropny. Obiecywał, że zadzwoni i nigdy nie dzwonił.

– Co za typas.

– I zawsze chciał, żebyśmy płacili w restauracji po połowie. Upijał się na przyjęciach. A twój?

– Poprzedni, nie ten ostatni, był nudziarzem golfowym. Tylko grał w golfa. I nigdy, przenigdy, nie robił tego, na co ja miałam ochotę.

– Co za obrzydliwy egoista!

– W dodatku cały czas mnie kontrolował. Mówił, co mam na siebie włożyć, a nawet kazał mi się przebierać.

– No wiesz! Miałam kiedyś chłopaka, który był dokładnie taki sam. Wrzeszczał, gdy włożyłam coś, co mu się nie podobało.

– Okropne. Oburzające. I ten facet, Phillip, mnie zdradzał – dodałam. – Przeżyłam piekło.

– Straszne. Mój były też mnie zdradzał. I zrobił dziecko innej kobiecie. – Nagle zdałyśmy sobie sprawę, że wszyscy przestali rozmawiać i uważnie słuchają naszej wymiany zdań.

– Mój Boże, to straszne – powiedziałam cicho. Kate wcześniej mi o tym nie mówiła. – Co się stało?

– Urodziła je.

– Co?

– Urodziła to dziecko.

– O nie! A co ty zrobiłaś?

– Nie zostawiłam go – stwierdziła po prostu. – Pomogłam mu, choć czułam się potwornie. Teraz mogę się uważać za eksperta od alimentów na nieślubne dzieci – dodała z ironicznym uśmiechem. Biedna Kate.

– A co potem?

– Kiedy wszystko sobie pozalatywał, rzucił mnie.

– Nie! – zawołała kobieta przy sąsiednim stole.

– Tak – powiedziała Kate. – A potem dostałam depresji poporodowej.

– Niesłychane! – oznajmiłam, a ludzie potrząsali głowami i wyrażali swoją dezaprobatę. – Biedna Kate. Na szczęście masz go już z głowy. Wyobraź sobie, że mój ostatni chłopak, Alex, był transwestytą.

– Nie mów!

– Naprawdę. Co i raz zastawałam go w sypialni, gdzie przymierzał moją najbardziej seksowną bieliznę.

– Boże!

– I moje letnie sukienki. Najgorsze było to, że raz włożył moją balową suknię od Belville’a Sassooni i rozdarł przy biuście.

– Łajdak! Przynajmniej oddał do krawca?

– Nie! A facet, który się ze mną umówił z ogłoszenia w rubryce samotnych serc...

– Tak?

– Był żonaty! Chciał, abym była jego przyjaciółką na przychodne.

– Co za bezczelność! Faceci!

– Właśnie. Faceci!

Rozejrzałyśmy się po restauracji. Tych kilku samotnych facetów zbierało się do odejścia. Oprócz jednego, dość miłego, wyglądającego na jakieś czterdzieści pięć lat, który przypominał trochę Hunnicuta z *M.A.S.H.* Jadł samotnie obiad na werandzie. Zainteresował mnie, ponieważ kochałam się w Hunnicucie, kiedy miałam dwanaście lat. I grał w tenisa, to wiedziałam na pewno, bo wcześniej zauważyłam go z rakiętą. Na ogół nie narzucam się facetom, ale postanowiłam choć raz wykazać się inicjatywą.

– Przepraszam – powiedziałam, podchodząc. – Nazywam się Tiffany. Tiffany Trott.

– Todd. Todd Schellenberg. – Amerykanin! Albo Kanadyjczyk.

– Mam nadzieję, że nie jesteś Kanadyjczykiem – powiedziałam. – Czy jesteś?

– Nie, pochodzę z Los Angeles.

– To dobrze. Spostrzegłam, że grasz w tenisa i chciałam cię zapytać, gdzie tu są korty.

– Narysuję ci mapkę – powiedział, dopijając kawę. – Korty są na południowym krańcu kurortu, jakieś pięć minut stąd. Blisko głównej bramy. Można po prostu przyjść na trening. Codziennie rano o wpół do dziewiątej. Przez ostatnie trzy dni nie można było grać z powodu deszczu, ale na jutro zapowiadają ładną pogodę. Do zobaczenia na korcie – powiedział z uśmiechem, wstając od stolika.

– Czy to prawda o tym twoim byłym facecie, Kate? – spytałam, kiedy wychodziłyśmy z restauracji.

– Tak – odparła cicho.

– To musiało być dla ciebie straszne. Chciałabyś o tym porozmawiać?

– Raczej nie. Chodźmy na plażę – dodała ze sztucznym ożywieniem.

Następnego dnia wstałam rano, zrobiłam krótką rozgrzewkę, włożyłam najlepszy tenisowy kostium od Freda Perry, umalowałam się, mając nadzieję, że nie będzie zbyt gorąco i wszystko ze mnie nie spłynie, i poszłam w stronę ośrodka tenisowego. Dwadzieścia kortów – cudownie! Trener Sebastian, który wyglądał jak Tom Cruise, tylko wyższy o pół metra, zapisał mnie do najbardziej zaawansowanej grupy.

– Czy Todd też jest w tej grupie? – spytałam.

– Tak. – W grupie było pięciu mężczyzn, łącznie z Toddem, i ja. Todd poprosił, abym ćwiczyła bekhend i wszystko szło bardzo dobrze, poza tym, że w połowie treningu podszedł do mnie i powiedział:

– Czy mogłabyś przestać mówić „przepraszam” za każdym razem, kiedy puścisz piłkę na aut?

– Dobrze. Przepraszam.

– Jestem tu sam – powiedział Todd, gdy lekcja się skończyła. – Czy zjadłabyś ze mną kolację dziś wieczorem?

– Z przyjemnością – odparłam i wyjaśniłam, że przyjechałam z moją przyjaciółką, Kate, która jest na aerobiku, a potem idzie na golfa dla początkujących, później na siatkówkę na plaży i w końcu na intensywnego ping-ponga, a on powiedział, że spotka się z nami w restauracji na plaży o ósmej. Szkoda, że zapomniałam posmarować się kremem, pomyślałam później, kiedy spojrzałam do lustra. Już się zaróżowiłam. Cholera.

Nadal październik

Po obiedzie Kate i ja znów poszliśmy na plażę i kąpałyśmy się w morzu. Opowiadałam jej o bardzo ciekawej pracy Todda, który był kamerzystą w NBC, kiedy jeden z EO zawołał:

– Ogłaszam konkurs dla pań w rzucie kokosem! *Na kommer Kokosnottkonkurrenzen! È arrivato il momento del tiro delle noci di coco! Der Kokosnusswettbewerb geht los!* Zwycięzcy dostanie piña coladę.

Lubię konkursy i postanowiłam się zgłosić. Do konkursu stanęło sporo kobiet, choć niektóre nie potrafiły się nawet zamachnąć. Żalotne. Rzuciłam ostatnia i rzuciłam najdalej! Wszyscy bili brawo – byłam wzruszona – i miałam właśnie odebrać mojego drinka, kiedy znienacka zjawiała się szczupła, wysoka i raczej atrakcyjna Belgijka Stella i powiedziała, że też chce spróbować. Byłam pewna, że daleko nie rzuci. Ale udało jej się. Więcej niż udało, bo rzuciła dalej ode mnie. O jakiś metr, co mnie nie tylko zirytowało, lecz także zdumiało, gdyż nie ważyła więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Później roztawiła swój leżak koło Kate, zaczęła z nią rozmawiać, popijając piña coladę i nim zdążyłam zaprotestować, Kate zaprosiła ją na naszą kolację.

– Fantastyczny pomysł, Kate – powiedziałam ironicznie.

– Ona jest bardzo miła. Robi wrażenie. Pracuje jako maklerka. Ma chłopaka, który jest bankierem, chyba w Débit Suisse. Ale on teraz przeprowadza jakąś szalenie ważną transakcję, wartą miliardy, i nie ma czasu na urlop; dlatego przyjechała sama. Jest bardzo ładna, prawda? I chyba dość bogata.

– Sądząc po jej ciuchach, na pewno.

Tak czy inaczej, o ósmej poszliśmy do baru w porcie na spotkanie z Toddem, gdzie przedstawiłam go Kate i Stelli, a potem udaliśmy się do ślicznie położonej restauracji z widokiem na morze. Todd był czarujący, dowcipny i nadskakujący – wobec Stelli! Obrzydliwość!

– Dobrze, Todd, wiem, że ona jest piękna, bogata, szczupła, zdolna i mądra oraz doskonale rzuca kokosem, ale to nie powód, aby rozmawiać tylko z nią i całkowicie mnie ignorować – mruknęłam. W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. Przeważnie milczałam. Stella mówiła o nartach.

– Byłaś w ekipie olimpijskiej? – spytał Todd z wyrazem absolutnej fascynacji.

– Zgadza się – odparła, chichocząc. – W 1984 roku w Sarajewie.

– Wydawało mi się, że w Belgii nie ma gór – powiedziałam. – I rzadko pada śnieg.

– To prawda, ale chodziłam do szkoły w Szwajcarii i tam się nauczyłam jeździć na nartach.

– Oczywiście. W Szwajcarii. Gdzieżby indziej.

– Zdobyłaś złoty medal? – zapytał Todd.

– Ależ skąd – odparła z perlistym śmiechem. – Tylko srebrny. Trzymam go w łazience, żeby robił wrażenie na znajomych. Jeździsz na nartach, Todd? – spytała, gdy ja złośliwie zastanawiałam się, jak jej się udaje omijać drzewa.

– Raz jeździłem. Było dość fajnie, ale my, Kalifornijczycy, wolimy surfować. Słyszałem jednak, że w Vermont są genialne warunki.

– To prawda. Jeżdżę do Vermont co roku w lutym. Ale uwielbiam też ski-alpinizm, to jest dopiero ekscytujące.

– I bardzo niebezpieczne – powiedział Todd. – Niebezpieczne? Super.

– Owszem – przyznała – choć ma się przewodnika. Teraz zajmuję się nurkowaniem. Mnóstwo czasu spędziłam na nurkowaniu w Morzu Śródziemnym. Jestem instruktorką. Toddowi opadła szczeka, a język zwiślał mu prawie do podłogi.

– Wy, Belgowie, jesteście niesłychanie odważni i lubicie przygody.

To była jedna z najgłupszych rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałam. Ale zauważyłam, że Amerykanie mają tendencję do uogólniania sądów o innych narodach.

– Bardzo odważni – powtórzył, kiwając głową z niedowierzaniem.

Nudziła mnie ta rozmowa, choć z przykrością zauważyłam, że Kate jest równie oczarowana osiągnięciami Stelli jak Todd. Miałam dość tej chwalipięty z wielkimi niebieskimi oczami, słomianymi włosami i kupą forsy. Szkoda, że nie ma tu Człowieka Sukcesu, pomyślałam gorzko. On by mnie nie ignorował. Rozmawiałby ze mną, opowiadał dowcipy i flirtował. Może jednak wyślę mu kartkę. Ale co napisać?

– Co za kobieta! – wykrzyknął Todd. – I w dodatku rzuca kokosem! – Myślałam, że zwymiotuję.

– Nie pamiętam, czy twój chłopak jest prezesem Débit Suisse? – spytałam nagle. – Czy może dyrektorem?

– Jest tylko wiceprezesem – odparła z dziewczęcym chichotem, kręcąc modnym pierścionkiem zaręczynowym na perfekcyjnie wymanikiowanym palcu prawej dłoni.

Todd poruszył się niespokojnie.

– To fantastyczne! Na pewno jest bardzo mądry. Przyjedzie tu do ciebie?

– Och, nie, nie ma czasu. Akurat pracuje nad pewną transakcją wartą miliardy – powiedziała, wruszając z rozbawieniem szczupłymi ramionami. Todd był załamany. I nagle, po raz pierwszy tego wieczoru, spojrzął na mnie. Wręcz przyjrzał mi się badawczo.

– Jesteś bardzo zaróżowiona, Tiffany – stwierdził. – Powinnaś uważać na słońce.

Jak to miło, że się zainteresował, pomyślałam cierpko. A Todd dodał spokojnie:

– Wiem, co mówię, bo miałem raka skóry. – O nie!

– Łatwo go wyleczyć – stwierdziłam szybko – pod warunkiem że się go wcześniej zdiagnozuje. Tak chyba było w twoim przypadku, prawda?

– Mój chirurg co chwilę musi mi coś wycinać – powiedział z ponurym uśmieszkiem. – Mam wrażenie, że moje honoraria załatwiły wykształcenie jego dzieciom.

– Rak skóry w dzisiejszych czasach to nic takiego – powiedziała z roztargnieniem Kate. – Jest bardzo popularny. W Australii wszyscy chorują. Nie martwiłabym się na twoim miejscu.

– O nie, to nieprawda – wtrąciła Stella. – Rak skóry może być szalenie trudny do wyleczenia. Moja przyjaciółka dostała raka skóry i umarła.

– Od dawna rzucasz kokosami? – spytałam.

– Miała maleńkie znamię na dużym palcu u nogi – mówiła dalej – i po pół roku koniec. Kurtyna. Przerzuty szalały jak pożar lasu.

– Spójrzcie na morze! – zawołała Kate.

– Strasznie cierpiała. To było przerażające. Nie mogłam tego znieść.

– Podoba ci się na Bahamach? – spytałam, podając jej ciasteczko i rzucając ostrożne spojrzenie na Todda, który siedział z przyklejonym do twarzy wyrazem grzecznego zainteresowania.

– Tak, rak skóry to okropna rzecz – zakończyła Stella, potrząsając ze smutkiem głową. – Chyba się wybiorę na mały spacer po plaży. Czy ktoś z was pójdzie ze mną?

– Nie, dziękuję – powiedział prędko Todd, wstając, kiedy odsunęła krzesło od stołu. – Jestem zmęczony. Tiffany dała mi dziś rano na kortach niezły wycisk. – Na szczęście pod zaróżowioną cerą nie było widać mojego rumieńca. Kiedy piliśmy kawę, z oddali dobiegła nas melodia *Dancing Queen*.

– Dyskoteka się zaczyna – powiedziała Kate. – Idziemy?

– Ja idę spać – powiedział Todd. I dodał, gdy wyszliśmy z restauracji: – Czy zagrałabyś ze mną jutro przed lekcją, Tiffany? Koło ósmej? Przydałoby mi się więcej praktyki.

Ósma to dla mnie trochę za wcześnie. Prawdę mówiąc, ósma rano to dla mnie środek nocy.

– Dobrze, Todd – powiedziałam, kiedy szliśmy w stronę nocnego klubu pod rozgwieżdżonym niebem. – Może być o ósmej.

– W porządku – powiedział nasz trener tenisa, François, następnego dnia o wpół do dziesiątej. – Zrobiliście duże postępy. Jutro zajmiemy się wolejem. *Demain, le smash; Morgen, werden wir an Eurem Volley arbeiten; I morgen trener vi på volley'en; domani rivediamo il gioco aereo...*

– Bardzo przepraszam – powiedział grzecznie Todd. – My tu wszyscy mówimy po angielsku. Mógłby pan zaoszczędzić trochę czasu.

– Och. Och. Dobrze, cienkuję – powiedział równie grzecznie François.

Następnie poszliśmy z Toddem na śniadanie. Słońce strasznie grzało. Zauważyliśmy Stellę przy jednym z dalszych stolików, ale Todd jakoś nie miał ochoty się do niej przysiąść. W gruncie rzeczy był dla mnie bardzo miły.

Po śniadaniu poszłam do sklepu firmowego, gdzie ceny, jak wszędzie na Bahamach, były wstrząsająco wysokie. Bawełniana bluzka – czterdzieści funtów. Kostium kąpielowy – sto dwadzieścia. Postanowiłam kupić pocztówkę. Znalazłam gustowną, artystyczną scenę z samotną palmą, pochylającą się nad wielkim, błękitnym morzem. Usiadłam i napisałam: „Chciałabym potrząsnąć twoimi kokosami”. W gruncie rzeczy nic takiego nie napisałam. Choć Człowiek Sukcesu uśmiełby się do rozpuku. Nie miałam odwagi. Pomyślałam, że może później się ośmielę, może wieczorem, po wycieczce na delfiny. Bo

Kate i ja zapisałyśmy się na fantastyczne „Spotkanie z delfinami” nad Modrą Laguną. Niedaleko naszej wyspy. I nie tylko ogląda się delfiny, ale się z nimi pływa. To musi być niezapomniane przeżycie, ponieważ pływanie z delfinami pomaga ludziom na różne rzeczy: autyzm, epilepsję, depresję i podobno naprawdę uzdrowia. Ciekawe, czy pomaga na śmiertelne staropanieństwo? W każdym razie poszliśmy na molo, gdzie przyłączyli się ludzie z innego hotelu, wsiedliśmy na statek i popłynęliśmy w kierunku laguny. Najśmieszniejsze było to, że na wycieczkę wybrali się prawie sami Japończycy i Norwegowie.

– Zapewne ostatnio widzieliście delfina w postaci kanapki? – powiedziałam do młodej japońskiej pary, która siedziała obok mnie. W gruncie rzeczy niczego podobnego nie powiedziałam. Grzecznie się do nich uśmiechałam. A ci Norwegowie, Boże, co za hałaśliwa grupa, to byli sprzedawcy, przedstawiciele filii z Oslo Black and Decker na wycieczce zafundowanej przez firmę.

– Wykonaliśmy zadanie – stwierdził dumnie jeden z nich. – Ta wycieczka jest nagrodą. W pierwszej połowie tego roku sprzedałem dwanaście tysięcy bezprzewodowych wiertarek wielofunkcyjnych.

– Gratuluję! – powiedziałam. – To wspaniale. A pan ile sprzedał? – spytałam drugiego faceta, też wysokiego blondyna, zbudowanego jak wiking.

– Ani jednej.

– To co pan tutaj robi? – zapytałam oskarżycielskim tonem.

– Nie jestem Norwegiem. I nie pracuję dla Black and Decker. Jestem artystą, Anglikiem i przyjechałem na wakacje do Club Med.

W ogóle go do tej pory nie zauważyłam.

– Przyjechałem wczoraj – dodał. – Mam na imię Eryk.

Prawdę mówiąc, kogoś mi przypominał, choć nie wiedziałam kogo. Przyłączył się do naszej grupy, gdy wskoczyliśmy w kamizelkach ratunkowych do wody. „Nasz” delfin, McIvor, pływał dookoła nas, cmokając jak ptak, rozchlapując wodę twardymi płetwami i przeskakując wdzięcznym ruchem nad naszymi głowami. Kiedy jest się tak blisko delfina i można spojrzeć w jego mądre, uważne oczy, człowiek zaczyna wierzyć w Boga.

– To było fantastyczne – stwierdziła Kate, gdy wracałyśmy do Club Med.

– Cudowne. Widziałaś, jak ten delfin na mnie patrzył?

– Jesteś stuknięta. Zaprośmy Eryka, żeby zjadł z nami kolację – zaproponowała.

Parę godzin później siedzieliśmy w trójkę na wysokich stołkach w portowym barze, popijając bananowe daquiri pod wolno obracającym się wiatrakiem.

– Opowiedz nam o swoich obrazach – poprosiłam, czując jak kropla potu spływa mi po plecach.

– To nie są obrazy. Przeważnie robię prace konceptualne.

– Gnijące krowie łby? Przepołowione owce? Coś w tym rodzaju? – spytała z uprzejmym zainteresowaniem Kate.

– Sztuka konceptualna to coś więcej niż kawałki zdechłych zwierząt – powiedział z lekką urazą. – Nie jestem Damienem Hirstem. Wykorzystuję dużo zdjęć.

– Potrafisz w ogóle malować? – zapytała Kate.

– Oczywiście, ale sztuka to nie tylko farba i papier.

– Gdzie studiowałeś? – spytałam.

– W szkole artystycznej w Brighton.

– A gdzie mieszkasz?

– W Hackney. Mam dom przy London Fields. – To też wydało mi się znajome.

– A masz może starego jaguara? – pytałam dalej. W gruncie rzeczy o nic takiego nie zapytałam. Nie chciałam go peszyć w obecności Kate. Teraz już wiedziałam, kim jest Eryk i dlaczego miałam takie silne *déjà vu*. To był facet, który odpowiedział na moje ogłoszenie w rubryce matrymonialnej. Eryk artysta z wyremontowanym wyścigowym jaguarem, który chodził do szkoły artystycznej w Brighton. Co za zdumiewający zbieg okoliczności, pomyślałam. Ze wszystkich Club Med na całym świecie musiał przyjechać właśnie tu i teraz. Ciekawe, czy się zorientował, kim jestem? Widział moje zdjęcie w Glyndebourne, ale teraz, ponieważ zapomniałam użyć odpowiedniego kremu, moja twarz była tak zmieniona, że przypuszczalnie mnie nie rozpoznał.

– Wiem, kim jesteś – powiedział Eryk po kolacji, kiedy siedzieliśmy koło basenu, popijając brandy i słuchając koncertu cykad. Kate poszła po płyn przeciwko komarom. – Pełną życia tenisistką z „Timesa”, prawda?

– Tak – przyznałam, gdy z pobliskiej palmy z głuchym łoskotem spadł na ziemię kokos. – Co za zdumiewający zbieg okoliczności – dodałam. – Gdybym była pisarką i napisała coś takiego w książce, uznano by to za nieprawdopodobny wymysł.

– Wiem.

– Czy wiesz, ile jest na świecie takich miejsc?

– Nie.

– Sto dwadzieścia. A ty wybrałaś akurat to. Dziwię się, że mnie poznałeś – stwierdziłam, drapiąc się po obłazącym ze skóry nosie. – Zazwyczaj moja twarz ma inny kolor. Trochę przesadziłam ze słońcem. Wyglądam jak Michael Gambon w *Śpiewającym detektywie*.

– Dobrze wyglądasz – powiedział. – Poznałem cię już na statku, ale nie chciałem cię wprowadzić w zakłopotanie. Spotkałaś kogoś sympatycznego z ogłoszenia?

– Nie. Jednego faceta, którego żona, jak się okazało, zmarła zaledwie pięć tygodni wcześniej. I miałam jeszcze straszliwe, koszmarnie wręcz spotkanie z początkującym reżyserem filmowym, który chciał mnie zaprosić do meksykańskiej restauracji w Hampstead, gdzie dawali jedzenie za pięć funtów od osoby.

– Ojej, co za pech. Miałem do ciebie zadzwonić w zeszłym tygodniu, ale potem postanowiłem wyjechać na tygodniowy urlop. I proszę, tu cię spotykam. Dziwne. Jest w tym jakieś przeznaczenie.

– Aha. – Ale czy było coś jeszcze między nami? Tak prawdę mówiąc to nie. Lubiłam go. Był bardzo interesujący. I miły. Ale nie tak miły jak Człowiek Sukcesu, pomyślałam wbrew sobie. Nie taki zabawny ani elegancki. I nie taki atrakcyjny, przynajmniej dla mnie. Kiedy wróciłam do pokoju, spojrzałam na czystą pocztówkę, a potem wzięłam pióro i napisałam: *Kiedykolwiek. Gdziekolwiek. Wszędzie. Tiffany. X*, zastanawiając się przez moment, jaka jest różnica między „gdziekolwiek” a „wszędzie”. Kiedykolwiek? Gdziekolwiek? W każdym razie napisałam adres, to znaczy adresu wcale nie znałam, ale wiedziałam, że jak napiszę *Albany, Piccadilly, Lodyn W1*, to i tak do niego dojdzie. Z drugiej strony pomyślałam, że może Człowiek Sukcesu nie jest tak bardzo znany i dopisałam pod spodem, w nawiasie: *(Wysoki, dość przystojny i bardzo zabawny wydawca, który gra na wiolonczeli i nosi krawaty Hermès)*. To wystarczy, pomyślałam z zadowoleniem, a później, ponieważ trochę wypita, choć zazwyczaj jestem bardzo ostrożna z alkoholem i nigdy nie piję więcej niż dwańście kieliszków, pobiegłam do skrzynki i wrzuciłam kartkę. O Boże! O Boże!

– O Boże! – powiedziałam następnego dnia do Kate.
– Co się stało? – spytała, popijając sok z papai.
– Wiesz, zrobiłam coś głupiego. Nie należy do nikogo pisać, kiedy się jest pijanym, a potem wrzucać do skrzynki, nim człowiek otrzeźwieje, prawda?
– Tak, święta prawda.
– No a ja to zrobiłam. O drugiej nad ranem napisałam czułą kartkę do Człowieka Sukcesu. A potem od razu wrzuciłam do skrzynki. I dziś rano wstałam za późno, żeby ją odzyskać. Właśnie leci na Piccadilly.
– Czy mogę ci coś doradzić, Tiffany? – spytała.
– Oczywiście.
– Nigdy, przenigdy nie powinnaś do nikogo pisać, kiedy jesteś pijana. I nigdy, przenigdy, nie powinnaś niczego wysyłać bez zastanowienia. Bo możesz pożałować.
– Dzięki, Kate. Zapamiętam to sobie. Boże, Boże, Boże, co ja najlepszego zrobiłam? Tragedia.
– Doprawdy? – stwierdziła, wzruszając ramionami. – To tylko pocztówka.
– Tak, ale to, co napisałam, jest szalenie prowokacyjne.
– Co napisałaś?
Powiedziałam jej.
– Rozumiem. To rzeczywiście jest bardzo prowokacyjne.
– Wiem. Daję mu do zrozumienia różne rzeczy, a to przecież żonaty facet, który szuka kochanki na przychodne. Sama powiedz! Bez skrupułów. I teraz pomyśli, że mi na nim zależy.
– Zależy ci na nim. O, spójrz, jest Todd.
Todd jadł śniadanie z atrakcyjną fryzjerką z Chorwacji, która poprzedniego dnia wygrała konkurs w puszczaniu papierowych samolotów.
– Naprawdę – mówił do niej. – Zasłużyłaś na piña coladę. Aerodynamika była zachwycająca.
Wiedziałyśmy, że Todd wyjeżdża wieczorem, a same odlatywałyśmy następnego dnia, bo nagle okazało się, że dwa tygodnie już minęły. Pa, pa Bahamy! Żegnaj Paradise Island.
– Odwiedźcie mnie w Los Angeles – powiedział Todd, ściskając nas na pożegnanie.
– Jasne. A ty się odezwij, jak przyjedziesz służbowo do Londynu.
– W listopadzie mam prywatny wernisaż w mojej galerii – powiedział Eryk, kiedy się z nim żegnałyśmy. – Chciałbym, żebyście przyszły.
– Na pewno przyjdziemy – obiecała z zadowoleniem Kate.
– Wyślę wam zaproszenie – powiedział, kiedy dałyśmy mu wizytówki. – Dwudziestego ósmego listopada. Do zobaczenia.
No i wracałyśmy do rzeczywistości, do pracy, do pustego domu bez chłopaka. Do mikrofalówki. I lodówki.

Nie dzwoniłem do niej od dwunastu dni – oznajmił triumfalnie Kit we wtorek rano. Z trudem go poznałam. Zazwyczaj porządnie uczesany i starannie ogolony, teraz był rzysochropany, z czterodniowym zarostem, w koszuli niedbale rozpiętej pod szyją i lekko ubłoconych dżinsach.

– Po prostu szaleje – dodał z szerokim uśmiechem. – Nagrała mi się na sekretarkę ze dwadzieścia razy, poczynając od zdawkowego: „Tak się zastanawiam, czy już wróciłeś”, do histerycznego: „Dlaczego nie oddzwaniaasz, draniu, dlaczego, dlaczego, dlaczego? Czy się z kimś spotykasz? Założę się, że tak, ty draniu, nie chcę cię znać”. Ostatnio groziła czymś strasznie gwałtownym, jeśli natychmiast się do niej nie odezwę. Powiedziała, że w życiu nikt jej tak jeszcze nie potraktował i że poskarży się rodzicom. Fantastycznie. Ale się opaliłaś, Tiffany.

– I zadzwoniłeś?

– Nie. Poczekam do czwartku. A potem jej powiem, bardzo, bardzo spokojnie, że nie dzwoniłem, bo byłem zajęty i nie miałem czasu.

– Tylko nie przesadzaj, Kit. Wydaje mi się, że osiągnąłeś już cel.

– Nic nie poradzę, Tiffany. Po tym przygodowym weekendzie czuję się zupełnie inaczej. Czuję się wolny! Tiffany, ty wciąż robisz listy! – Wyszarpnął mi z dłoni listę zakupów, którą pisałam, jednocześnie go słuchając, wyrwał pięć stron i wrzucił do kosza.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Żeby ci pomóc – oświadczył z przekonaniem. – Żeby uwolnić cię od tyranii przymusowych wyliczanek.

– Podaj mi dziesięć najważniejszych punktów o weekendzie wojowników, żebyśmy mogła je sobie zapisać i przestudiować.

– Stałem się innym człowiekiem – stwierdził szczerze. – Wszystko to, czego mnie uczono od dziecka, że trzeba być grzecznym i uważnym dla kobiet, ma znaczenie, jeśli kobiety traktują mnie uprzejmie i z szacunkiem. A Portia tego nie robiła. Nadrabiam teraz zaległości. Odgrywam się za to, że nie oddzwaniała, że mnie lekceważyła. I za ten mój niepokój, za te wszystkie noce nieprzespane z nerwów. I za wszystkie te razy, gdy traktowała mnie jak służącego, a nie partnera. I co z tego miałem? Co? Co?

– Zgadzam się z tobą, Kit, ale nie posuwaj się za daleko.

– Zastanowiłem się też nad twoim tekstem do reklamy Słodkich Serduszek, Tiffany. Miejscami jest raczej idiotyczny.

– Och. Czyżby?

– Tak. W ogóle nie podkreśla zalet produktu. Musisz wymyślić coś lepszego, bo stracimy zlecenie. Sprzedaję discovery – dodał. – I kupuję ferrari. Turbo z podwójnym silnikiem. – Mój Boże!

– Odwołałem prenumeratę „Rodziców” i zamówiłem „GQ” i „Loaded”.

Męski weekend z pewnością zmienił Kita i wyzwolił w nim prawdziwego mężczyznę. Wraz z brutalnością i draństwem. Nie o to mi chodziło.

– Nie zalecałam ci całkowitej zmiany osobowości, lecz drobne modyfikacje. Czy nie sądzisz, że posuwasz się za daleko? Nie zapominaj, że w gruncie rzeczy zależy ci na Portii. Nie chcesz, żeby odeszła.

Choć miło byłoby, gdyby to zrobiła, bo wtedy znów mogłabym chodzić z Kitem.

– Tak, zależy mi na niej – przyznał cicho. – Nie chcę jej stracić. – No, trudno. – Ale nie chcę też stracić samego siebie. Postanowiłem się zmienić – dodał. – Muszę. To nieuniknione po latach ucisku. Dogadaliśmy się z tymi facetami i pokazaliśmy sobie nasze rany.

– Jakie rany? Przecież nie masz żadnych ran.

– Nasz ból. Ból przeżywany latami w samotności. Ból ran z dzieciństwa zadanych przez rodziców, rodzeństwo, dzieci...

– Nie masz żadnych dzieci.

– Wiem. Mówię metaforycznie. Co to ja...? Aha, rany zadane nam przez wujów, ciotki, dziadków, kuzynów, nauczycieli, przyjaciół, sąsiadów, sprzedawców, a także, przede wszystkim, rany zadane przez nasze żony i dziewczyny. W każdym razie był tam jeden facet, biznesmen, który miał straszne przeżycia, znacznie gorsze ode mnie, zaraz ci o nim opowiem. – Przerwał dla nabrania oddechu. – Pokazaliśmy sobie nasze rany i płakaliśmy. Płacz pomógł nam odkryć na nowo naszą męskość, ponieważ prawdziwi mężczyźni płaczą, Tiffany. Tak powiedział facet, który prowadził całe spotkanie. Powiedział: „Męskie łzy są piękne”. I one takie są. To właśnie robiliśmy, uwolniliśmy nasze łzy, odkryliśmy na nowo i świętowaliśmy naszą męskość, naszą męską, nikogo niedręczącą, pozytywną naturę. – Kit popijał kawę z natchnionym błyskiem w oku. – Wiesz, co jeszcze robiliśmy? – spytał, odgryzając kawałek eklerka. – Rąbaliśmy drewno. Dużo drewna. Jak drwale. I waliliśmy w bębny. W wielkie bębny, głęboko w lesie. Osiemdziesięciu mężczyzn, wybijających ten sam rytm. To było wprost niewiarygodne, naprawdę wciągało, wprawiało w trans, i teraz, teraz czuję się silny.

– To dobrze. Wspaniale.

– Tak. I ściskaliśmy się. Nie ma nic złego w uściskaniu drugiego mężczyzny. To nie jest nic wstydliwego ani niemęskiego. Było nas tam osiemdziesięciu i wszyscy się ściskaliśmy. Lubię ściskać facetów, Tiffany – dodał entuzjastycznie.

– Ale nie rób tego za często, Kit. No, wiesz, tylko od czasu do czasu.

– W każdym razie był tam ten facet, ten, o którym wspominałem przed chwilą. Jego żona dosłownie go zdeptała. Poznaliśmy się już na autostradzie, on się zatrzymał, żeby mnie podwieźć, bo wiesz,jechałam stopem i okazało się, że też jedzie tam, gdzie ja.

– Jak mu się udało wyrwać z domu, skoro żona trzyma go pod pantoflem?

– Powiedział, że jedzie do matki. I matka musiała dla niego kłamać, bo żona bez przerwy dzwoniła i chciała z nim rozmawiać. O mało się wszystko nie wydało. W każdym razie ten facet ma teraz czterdzieści siedem lat, świetnie się nam rozmawiało, a ja wiedziałem, że skończę tak jak on, jeśli się nie zmienię, jeśli nie zacznę stawiać wymagań zamiast dawać, dawać, dawać przez cały czas.

Kiwałam głową ze zrozumieniem.

– Biedny facet, morduje się w pracy od wielu lat, żeby mogli mieć duży dom, kredyt u Harrodsa i Harveya Nicholasa, prywatną szkołę dla dzieci i markowe ciuchy dla żony; jego żona w dodatku w ogóle tego nie docenia, a sama nie pracuje, ponieważ jest marną aktorką i nie chce podjąć pracy nawet na parę godzin w tygodniu. Nic mu nie daje, lecz oczekuje, że on nie tylko przyniesie do domu jedzenie, ale jeszcze je ugotuje, poda, a potem pozmywa.

– Biedny facet. To niesprawiedliwe.

– Wiem. Ale on wcale nie wściekał się na żonę. Musieliśmy to z niego po kawałku wyciągać. Ta jego żona to prawdziwa krowa, ma drogie zachcianki, a on jest dla niej jedynie kasjerem. Facet nawet nie czuje, że ona go kocha, że go docenia albo że go choć trochę szanuje. Wtedy się popłakał, kiedy nam o tym mówił. Nie dość że krowa, to w dodatku wściekła, bo oskarża go o romanse z innymi kobietami, czego nigdy nie robił, a ona twierdzi, że ma romans z Nicolą Horlick...

– Ale to przypomina...

– ...co jest kompletnie bez sensu, bo każdy wie, że Nicola Horlick ma pięcioro dzieci i nie ma czasu na romanse...

– Zupełnie...

– I jeszcze powiedział, że gdyby chciał mieć romans z osobą publiczną, to wybrałby Jade Jewel, bo tak ładnie wygląda...

– Ale to musi być...

– Przestań mi przerywać, Tiff. Chcę ci coś opowiedzieć. W każdym razie ten facet ma wielki dom w Hampstead i daje forszę, żeby jego żona miała pomoc domową, a i tak musi sam strzyc trawę i malować garaż, bo ona mówi, że nie stać ich na ogrodnika i malarza, choć przecież mają pieniądze. I tak by było z Portią i ze mną, gdybym się nie zmienił. Za dziesięć lat byłbym dokładnie taki, jak ten biedny, załamany człowiek.

– Ten biedny, załamany człowiek przypomina mi Martina.

– Co? Tak. Martin. Skąd wiesz jak ma na imię?

– Lekko łysieje na czubku głowy?

– Tak, zapewne z powodu tych wszystkich cierpień.

– I pracuje dla Jacka Carpela?

– Skąd wiesz?

– Bo Martin jest mężem Lizzie.

– Mój Boże! Zupełnie tego nie skojarzyłem. Ale on się nie nazywa Bohannon tylko Keane.

– Bohannon to panińskie nazwisko Lizzie. Nie przyjęła po ślubie jego nazwiska.

– To chyba jedyna rzecz, której nie wzięła, sądząc z tego, co mówił. Dlaczego ja go wcześniej nie spotkałem? – spytał zaskoczony Kit. – Często widuję Lizzie.

– Dlatego, że Martin nie przychodzi na moje przyjęcia. Jest zbyt zmęczony, wstaje o wpół do szóstej, żeby być w biurze o siódmej. A potem siedzi za biurkiem przez dwaście godzin. Kiedy wraca do domu o ósmej wieczorem, marzy tylko o tym, żeby się położyć, poczytać książkę albo obejrzeć telewizję i o dziesiątej musi iść spać. I Lizzie bywa sama na przyjęciach. Dlatego.

– Biedny facet. Naprawdę biedny. Wydawało się, że ma wszystko. Kiedy się żegnaliśmy w niedzielę wieczorem, spojrzał na mnie i powiedział bardzo cicho i bardzo smutno: „Nie stań się taki jak ja”.

Dwa dni później, piątego listopada, poszłam na doroczne przyjęcie u Lizzie i Martina z okazji święta Guy Fawkesa. Co roku zapraszają około trzydziestu przyjaciół. Z ogrodu można oglądać fajerwerki na Hampstead Heath. Stamtąd jest doskonały widok. O wpół do ósmej, w środę wieczorem, przestępowaliśmy z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. I bang! Pop! Trzask! Nocne niebo wypełniły olbrzymie, ogniste kwiaty – gigantyczne dalie i chry-

zantemy w metalicznych kolorach: fioletoworóżowym, czerwonym i żółtym. Dzieci krzy-
czały, dorośli wydawali okrzyki zachwytu. Ostry zapach kordytu wisiał w mroźnym powie-
trzu. Wreszcie wybuchły ostatnie rakiety. Aaaach! Opadła kurtyna srebrnych iskier i w tym
momencie nadszedł Martin.

– Tatusiu, tatusiu, nie widziałeś fajerwerków! – zawołała Alice.

– Przykro mi, skarbie – powiedział, kiedy wchodziliśmy do środka. – Nie mogłem
wcześniej wyjść z biura. – Poszedł za nami do salonu i zaczął nalewać wszystkim grza-
nego wina, a dzieci pobiegły do pokoju telewizyjnego obejrzeć obiecany film.

– Co będziecie oglądać? – spytała Alice.

– *Koszmar z Ulicy Wiązów 4*.

– To jakiś okropny film.

– Tak – odparła z zadowoleniem. – Mam nadzieję. Widziałaś naszą nową sofę? Tu-
taj.

– Bardzo ładna – powiedziałam, rzucając okiem na trzyczęściową sofę we wnęce
okiennej w salonie, obitą jasnozłotym adamaszkiem.

– Była bardzo droga – dodała Alice. – Mama ją wybrała.

– Martin, wreszcie jesteś! – zawołała Lizzie, wchodząc z ogrodu do domu. – Przynieś
z kuchni oliwki. Czarne. Nie, nie te, głupku – syknęła, kiedy wrócił do salonu. – Nie chce-
my zielonych koktajlowych oliwek. Mówiłam ci, czarne. Czarne, Martin. Nie zielone. Czarne.
Są w lodówce. Sprawdź dobrze, żeby były włoskie, a nie greckie.

Martin posłusznie wyszedł z niewłaściwymi oliwkami do kuchni, a my wszyscy uda-
waliśmy, że nie słyszeliśmy.

– Ci mężowie – westchnęła Lizzie, wywracając oczami. – Są beznadziejni. Nie można
na nich polegać.

Martin wrócił z właściwymi oliwkami i zaczął obchodzić gości. Wyglądał na bardzo
zmęczonego. Ale on zawsze był zmęczony.

– Witaj, Tiffany – powiedział i pocałował mnie w policzek. – Cieszę się, że cię wi-
dę. Nad czym ostatnio pracujesz? Jestem pewien, że twoja reklama zmusi mnie do kup-
na, cokolwiek by to było.

– Tylko broszurki dla wodociągów – odparłam z uśmiechem. – Ale wygrałam konkurs
na reklamę Słodkich Serduszek dla telewizji.

– Słodkich Serduszek? Naprawdę masz ciekawą pracę.

– No tak. Czasami.

– Chciałbym robić coś równie twórczego – stwierdził z westchnieniem. – Przez cały
dzień wpatruję się w liczby na ekranie i obliczam dwa rodzaje procentów i stosunek cen
do zarobków.

– Co byś robił, gdybyś mógł teraz wybierać?

– Nie wiem. Bardzo lubię archeologię i antropologię. To studiowałem w Cambridge.
Jednakże dopóki dziewczynki nie podrosną, muszę brać udział w wyścigu szczurów. –
To tak, jak ja, pomyślałam cierpko.

– Czy wychodzisz wreszcie za męża, Tiffany? – spytała Alice, która zjawiła się znie-
nacka.

– Nie. Nie podoba ci się film?

– Nie. Jest nudny.

– A Amy ogląda?

- Tak. Jej się podoba. Ale, Tiffany, kiedy wyjdiesz za męża?
- Nie wiem – odparłam, popijając wino.
- Powiedziałaś, że mogę być twoją druhną.
- Możesz, ale obawiam się, że nie wiem, kiedy to nastąpi.
- Wkrótce?
- Nie.

Alice podeszła do Catherine, która stała obok Hugh. To było ich pierwsze publiczne wystąpienie. Catherine była zdenerwowana, ale szczęśliwa.

- Wychodzisz za męża, Catherine? – spytała Alice.
- Cha, cha, cha! Co za głupie pytanie, Alice – powiedziała Catherine, trzymając się za serdeczny palec lewej dłoni.
- Fajny dzieciak! – powiedział Hugh, upijając nerwowo łyk grzanego wina. – Fajny dzieciak.
- Moja mama mówi, że wszyscy faceci są beznadziejni – powiedziała Alice, rzucając mu przenikliwe spojrzenie.
- To prawda! – wykrzyknęła Frances.
- Niektórzy – stwierdziła ostrożnie Catherine. – Ale na pewno nie wszyscy. Na przykład Hugh nie jest beznadziejny, prawda?
- Nie, cha, cha! Nie.
- Mama mówi, że tata jest beznadziejny – nalegała Alice. – Prawda, tatusiu? Mówi, że jesteś beznadziejny.

– Mama żartuje – skłamałam. Pozostali goście wpatrywali się w podłogę.

– Martin, sprawdź, co robią dzieci! – zawołała Lizzie z drugiego końca pokoju. Martin posłusznie wyszedł z Alice do pokoju telewizyjnego. Zjawił się ponownie po kwadransie, trzymając w dłoni szklankę z grzanym winem.

– Oglądają makabryczny film! – zawołał. – Występuje tam facet, który nazywa się Freddy Krueger i chyba potrzebny mu jest manikiur. Cholera, jestem wykończony – dodał, siadając na nowej sofie ze zmęczonym uśmiechem. I wtedy stało się coś strasznego. Był tak zmęczony, że usiadł zbyt gwałtownie i grzane wino wylało się na jasnozłoty adamaszek. Wielka czerwona plama, przypominająca krew, rozlała się na oparciu.

- Ojej. Teraz mi się dostanie! – Miał rację.
- Ty idioto! – zawołała Lizzie. Rzuciła się do kuchni i wróciła ze szmatką i miską wody z mydłem.
- Nie siedź tak – zażądała. – Przynies sól. O Boże, nie schodzi. Naprawdę, zachowałeś się jak ostatni niechluj. W ogóle nie uważałeś. Ale najwidoczniej coś innego zaprzęta teraz twoją uwagę – dodała złośliwie. – I dlatego jesteś nieobecny duchem.

Spojrzeliliśmy na swoje szklanki. Czułam, że moja twarz ma kolor i temperaturę grzanego wina.

- Wyniki ekonomiczne są ostatnio całkiem niezłe, prawda? – powiedziałam do kolegi Martina, który stał koło mnie.
- Jesteś potworna fujara! – usłyszałam głos Lizzie.
- Tak – odparł mężczyzna – choć zamieszki na Dalekim Wschodzie nie wróżą nic dobrego.
- Oczywiście.
- Poza tym wydaje mi się, że odsetki od kredytów znów pójdą w górę.

– To u ciebie stan chroniczny – syknęła Lizzie. – Masz niezborne ruchy.

– Czym się pani zajmuje?

– Piszę teksty reklamowe.

– Nawet na pięć minut nie można cię samego zostawić!

– „Na porządne pracowanie jedno jajko na śniadanie”, coś w tym rodzaju?

– Aha. „Sklejmy wszystko” i tak dalej.

– Czy wiesz, ile kosztowała ta sofa, Martin?

– Tak – odparł ponuro. – Wiem.

– Dwa i pół tysiąca funtów.

– Tak – powtórzył. – Wiem. Wiem, bo za nią zapłaciłem.

– Co?

– Powiedziałem, że za nią zapłaciłem, ty wściekła krowo!

– Martin!

– Tak jak i za wszystko inne w tym okropnym, nieszczęśliwym domu, ponieważ nigdy nie kiwnęłaś małym palcem...

– Nie rób scen, Martin!

– I wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi, czy na sofie jest plama z wina. W gruncie rzeczy... – Wziął miskę z sosem chilli i wylał całą zawartość na sofę. – Tu jest za mało plam. Chwileczkę. – Wziął ze stołu salaterkę i też wywalił na sofę.

– Ty chyba zwariowałeś!

Potem rzucił na sofę kielbaski glazurowane miodem, biorąc je wdzięcznie w palce i metodycznie rozmieszczając na błyszczącym adamaszku.

– Co ty robisz?! – wrzasnęła Lizzie. – Natychmiast to odstaw!

Martin wziął tacę z miniroladkami ze szpinakiem i z serem, wysypał je na sofę i zaczął starannie wciskać w obicie.

– Chwileczkę – powiedział. Wytrzeł ręce w serwetkę i wyszedł do kuchni.

– Martin, Martin, zostaw to! – Wrócił do salonu, trzymając w dłoniach wazę letniego wina. Lizzie otworzyła usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk, oprócz jęku. – Proszę cię, Martin – przemówiła w końcu cicho. – Proszę cię!

Było już za późno. Wylał lepki, czerwony płyn na całą sofę, robiąc to tak starannie, jakby był Jacksonem Pollockiem. Później wziął płaszcz i wyszedł z domu, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Wspaniały wieczór – powiedział ktoś. – Musimy już iść. Pójdę po dzieci.

– Tak, chyba trzeba się ruszyć – rzekła Frances.

– Dzięki, Lizzie, zadzwonię do ciebie – powiedział ktoś inny. – Chodźcie, Tom, Polly, idziemy do domu. Pożegnajcie się z Alice i z Amy.

A potem zapadła cisza, przerywana jedynie głośnym szlochem z pięknie urządzonej kuchni o ręcznie przecieranych ścianach.

– Co za drań! – wyła Lizzie. – Co za wstrętny, bezczelny drań! – Miała mokrą, brązowofioletową twarz i z trudem łąpała powietrze.

– Masz. – Podałam jej papierowy ręcznik

– Żeby mnie tak upokorzyć. Zrujnować wieczór. Mój Boże, ludzie będą o tym mówić latami – łkała. – Dlatego się tak dziwnie zachowuje. Zupełnie inaczej niż dotąd.

– Martin nie ma kochanki – powiedziałam.

– A właśnie, że ma. Jade Jewel.

– Nie.

– Tak. – Po policzkach spływał jej rozmazany tusz do rzęs. Oczy miała czerwone. – Nie mówiłam ci tego, Tiffany – powiedziała, ściskając w ręce mokrą chusteczkę – ale w ostatni weekend wyjechała, mówiąc, że jedzie do matki. Kiedy tam do niego dzwoniłam, matka cały czas tłumaczyła, że rabie dla niej drewno i nie może podejść do telefonu. Ona ma gazowy kominek! Kryła go! Bo ma romans. – Lizzie znów zaczęła płakać, aż drżały jej szczupłe ramiona. – Ta sofa kosztowała dwa i pół tysiąca funtów – jęczała. – Była zrobiona na zamówienie. Bardzo długo nie mogłam się zdecydować, jaki wybrać kolor. Zmieniałam zdanie trzy razy. A on ją zniszczył. Beznadziejny człowiek, całkiem do niczego. Rozwiódę się z nim – mruknęła, zapalając papierosa. – Puszczę go z torbami. Nic mu nie zostanie. Dlaczego tak na mnie patrzysz, Tiffany?

– Jesteś niesprawiedliwa – powiedziałam cicho. – Martin jest bardzo dobry, a ty go traktujesz jak śmiecia. – Cała się trzęsłam. Myślałam, że się rozplaczę.

– Nie jest dobry – syknęła. – Zniszczył moją nową sofę i upokorzył mnie przed wszystkimi moimi przyjaciółmi. To ma być dobroć? – Z jej eleganckich nozdrzy wydostały się dwie strużki dymu. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby zaczęła zionąć ogniem. – Na to, co zrobił, nie ma żadnego usprawiedliwienia – dodała gwałtownie.

– On tylko zareagował. Nie widzisz? Chce się wyłamać. Przez całe lata po nim deptałaś i teraz chce się wyłamać.

– On się raczej załamuje – stwierdziła urągliwie. – Wariuje.

– Przypuszczalnie przeżywa załamanie nerwowe, to prawda. I to wcale nie jest dziwne, bo cały czas ciężko pracuje, jest zupełnie wykończony, nawet nie lubi swojej pracy, ale się jej trzyma, żebyś miała ten dom i wszystko, co zechcesz, a ty nie potrafisz być dla niego miła. Biedny człowiek. Biedny, zdeptany człowiek. W gruncie rzeczy – powiedziałam, wkładając naczynia do zmywarki – jesteś dla niego straszna. Nie wiem, dlaczego to robisz. Ale tak jest. Cały czas po nim depczesz. Odkąd urodziłaś dziewczynki, traktujesz go jak psa. Trudno tego nie zauważyć – wyjaśniłam, zeskrobując z talerza resztki sosu. Odwróciłam się i spojrzałam jej w oczy. – Wiesz, w szkole nigdy nie byłaś taka obrzydliwa. Byłaś wstrętna, ale nie do tego stopnia. W pewnym sensie było to nawet pociągające. Stara, dobra Lizzie Bohannon, wiedźma o dobrym sercu. Odkąd jednak urodziłaś Alice i Amy, stałaś się despotką i nie widzę już twojego dobrego serca. Może pomylili się w klinice i dali ci testosteron zamiast estrogenu, nie wiem. Wiem tylko, że ostatnio jesteś nie do poznania.

– Uważam, że nie powinnaś tak do mnie mówić, Tiffany – powiedziała z ukrytą groźbą w głosie. – Podobno jesteś moją przyjaciółką.

– Jestem – prychnęłam.

– Powinnaś zatem wziąć moją stronę, kiedy mówię, że mój mąż jest wstrętnym, bezużytecznym facetem.

– Nie jest bezużyteczny – jęknęłam. – Jest cudownym mężem. Fajnym i oddanym ojcem. Sama nie wiesz, jakie miałaś szczęście, że wyszłaś za kogoś takiego, jak Martin. Nie zdajesz sobie sprawy... – Nie mogłam dalej mówić.

– Co ty wiesz o mężach? – rzuciła pogardliwie Lizzie. – Nigdy żadnego nie miałaś! To mnie załatwiło. Wybuchnęłam płaczem.

– Wiem – załkałam, wpychając pięści do oczu. – I chciałabym wyjść za mąż, chciałabym mieć męża, a zwłaszcza chciałabym mieć takiego męża jak Martin.

– To go sobie weź. Proszę bardzo. A może... Może nie powinnam się martwić Jade Jewel. Może tu chodzi o ciebie.

– Co? Och, Lizzie, upadłaś na głowę.

– A to dobre! Fantastyczne! I kto to mówi? Kobieta, która rozmawia ze sprzętem kuchennym!

W tej chwili zjawily się Alice i Amy.

– Dlaczego krzyczycie?! – wrzasnęła Amy.

– Nie krzyczymy! – krzyknęła Lizzie. – Dyskutujemy.

– Widziałaś sofę, mamó? – spytała Alice. – Coś straszego.

– Gdzie jest tatuś, mamó? – spytała zdezorientowana Amy.

– Wyszedł.

– Przeczyta nam bajkę?

– Nie wiem. – Lizzie od niechcienia wytarła oczy. Ja zrobiłam to samo.

– Dlaczego płaczecie, mamó? – spytała Alice.

– Nie płaczemy – załkała.

– Czy już nie jesteście przyjaciółkami?

– Jesteśmy – odparła Lizzie, gdy brałam swój płaszcz z holu. – Nie bądź śmieszna, Alice. Jesteśmy przyjaciółkami, prawda, Tiffany?! – zawołała za mną, gdy szłam ścieżką do furtki.

– Tiffany? – słyszałam, zamykając za sobą furtkę. – Tiffany? Tiiifaniiiii?

Nadal listopad

Następnego dnia obudziłam się ze ściśniętym sercem i natychmiast przypomniały mi się straszne wypadki z poprzedniego wieczoru. Zesłam na dół w szlafroku. Była dopiero ósma, ale paczka listów, obwiązana gumką, leżała na wycieracze, a obok niej biała koperta, zaadresowana dziecinnym charakterem Lizzie. Musiała ją podrzucić wcześniej rano. Oczywiście najpierw otworzyłam list od Lizzie.

Hampstead, szósta rano. Nie bądź dla mnie niemiła, Tiff. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem przygnębiona romansiem Martina z Nicolą. Albo z Jade. Albo z kimkolwiek. Czy wiesz, dokąd poszedł wczoraj wieczorem? Do Madame Jo-Jo! Jestem zrozpaczona. W ogóle się nie kładłam. Czy mogę przyjść do Ciebie niedługo? Proszę. L

Biedna Lizzie, pomyślałam. I od razu do niej zadzwoniłam. Potem poszłam do kuchni i przejrzałam pocztę.

W pierwszej kopercie było zaproszenie, sztywne jak blacha, ze złotym brzeżkiem. W lewym górnym rogu było napisane: *Panna Tiffany Trott*. I pod spodem, literami tak wypukłymi, że można by je odczytywać palcami, jak Braille'a: *Jonatan de Beauvoir i Sara Rush zapraszają na uroczyste przyjęcie zaręczynowe w East India Club, St James's*

Square 16, Londyn SW1, w czwartek, 20 listopada, 18.30 – 20.30. Na odwrocie Jonatan napisał: *Dzięki za twoją doskonałą radę na imprezie „Jedźmy i bawmy się”, Tiffany. Jesteś super. Dobra, stara Sara, pomyślałam. Udało jej się go złapać. W końcu. Trochę to potrwało, ale się opłaciło. W następnej kopercie było zaproszenie na prywatny wernisaż Eryka artysty w galerii Oscara Reedsa. Mój kalendarz jest teraz całkiem wypełniony zaproszeniami na premiery filmowe, bale dobroczynne, promocje książek, przyjęcia koktajlowe, koncerty galowe, pokazy mody, wręczenia nagród, przyjęcia biznesowe i, naturalnie, dwieście trzydzieści siedem spotkań z okazji Bożego Narodzenia. Cha, cha! Żartuję. To miło ze strony Jonatana, że zaprosił mnie na zaręczyny. Z przyjemnością się wybiorę. Na pewno będzie fajnie. Może nawet spotkam tam TKS – Tego Kogoś Specjalnego. Choć raczej wątpię, szczerze mówiąc podejrzewam, że będzie tam mnóstwo potwornych snobów.*

Dwudziestego włożyłam swoją MC – małą czarną od Jean Muir, a właściwie ze sklepu z używanymi sukniami, gdzie sprzedają to, co się znudziło szalenie bogatym kobietom – i wyruszyłam autobusem numer 38 na Piccadilly. Lubię tę linię, jest coś satysfakcjonującego w podróżowaniu autobusem, który ma numer twojego stanika. 36 b też jest niezły, chociaż nigdy nie jeżdżę 41, to byłaby przesada.

– Bilecik proszę, młoda damo – powiedział konduktor.

– Tak, tak, oczywiście – odrzekłam z radością, pokazując mój roczny bilet. „Młoda dama”, dobry początek wieczoru. Z pewnością będę się dobrze bawić, pomyślałam. Wyglądałam przez okno i nagle zobaczyłam dekoracje świąteczne. Wielki Boże! Już?! To okropnie deprymujące. Wysiadłam przy Ritzu. Nic na to nie poradzę, ale za każdym razem, kiedy mijam ten hotel, odruchowo myślę o Człowieku Sukcesu. Cholera jasna! Niech to szlag! Dlaczego zawsze zakochuję się w kimś, kto się nie może albo nie chce żenić?

Lizzie ma na ten temat nową teorię.

– Wiesz, jak to jest naprawdę? – spytała, gdy przyszła na pojednawcze spotkanie. Przyniosła mi krzak róży do posadzenia w ogrodzie i powiedziała, że to spóźniony prezent urodzinowy, ale na nalepce napisana była nazwa róży: „Pokój”. Lizzie uściśkała mnie i rozplakała się, a ja razem z nią. W końcu przyjaźnimy się już od tak dawna. Pomogła mi posadzić różę, a potem usiadłyśmy w kuchni.

– W ciągu tych dwudziestu lat, odkąd się znamy, nigdy się dotychczas nie kłóciłyśmy, prawda?

– Prawda – odparłam cicho.

– Oprócz tego przypadku w szkole, kiedy ukradłaś moje jajko ze wspólnej lodówki.

– Coś sobie przypominam.

– Wyraźnie napisałam na nim LB, a ty je zjadłaś.

– Przepraszam – powiedziałam.

– A w 1986 roku pożyczyłam ci skórzaną marynarkę od Valentino i oddałaś ją tydzień później, niż obiecałaś. – To też była prawda. Westchnęłam z żalem. – Ale do zeszłego tygodnia nigdy się poważnie nie pokłóciłyśmy, prawda?

– Nie.

– Myślę, że powiedziałaś mi kilka trafnych rzeczy i dałaś mi do myślenia. Na temat mojego stosunku do Martina. I dlatego trochę ostatnio zbzikowałam. I dlatego, skoro powiedziałyśmy sobie parę słów prawdy, wiem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, iż powiem ci coś ważnego.

- Słucham. Mów.
- Boisz się zaangażowania, Tiffany, i nie chcesz się do tego przyznać, nawet sama przed sobą.
- Nie byłabym bardziej zdumiona, gdyby powiedziała: „Tiffany, dręczysz zwierzęta” albo „Tiffany, zażywasz twarde narkotyki”.
- Nic podobnego – zaprotestowałam. – Mam fioła na punkcie znalezienia męża.
- Ale ci się nie udaje, prawda? – Trudno byłoby zaprzeczyć.
- Masz takie same szanse na znalezienie kogoś w ciągu najbliższego pół roku, jak ja na rozszczepienie atomu. Jak myślisz, dlaczego? – mówiła dalej, przekrzywając głowę na bok w irytujący sposób, z lekkim zadufaniem, którego do tej pory u niej nie spostrzegłam.
- Wydaje mi się, że... Bo ja... Po prostu mam potwornego pecha, ot co. Nie mam szczęścia. To wszystko.
- Nic podobnego – odparła ze smutnym, a jednocześnie trochę przemądrzałym uśmiechem. – To nie ma nic wspólnego ze szczęściem. Nie wyszłaś do tej pory za męża, bo boisz się zaangażować. Sama tego nie widzisz, ale ja tak, gdyż przeczytałam książkę o stosunkach męsko-damskich po naszym małym, hm, *contretemps*.
- Tylko nie *Kobiety są z Plutona, a mężczyźni z Urana*. Nie cierpię tej pseudopsychologii.
- Nie, nie tę, inną. Jak ona się nazywa, *Kobiety, które nie dość kochają* czy coś w tym rodzaju, nie pamiętam. W każdym razie chodzi o to, że staram się rozwiązać parę problemów. Przemyślałam sobie kilka rzeczy, zastanowiłam nad niektórymi problemami, starając się analitycznie rozpracować popełnione błędy i wiem już, dlaczego wciąż jesteś sama. Dlatego, że tak naprawdę nie chcesz wyjść za męża! – wykrzyknęła triumfalnie. – I dlatego zadajesz się z beznadziejnymi facetami. Albo z żonatymi.
- Uważam, że byłoby lepiej, gdybyś to siebie, a nie mnie poddała analizie. To w końcu twoje małżeństwo jest zagrożone.
- Patrzę na siebie, oczywiście, ale przy okazji patrzę również na ciebie. Bo naprawdę chciałabym ci pomóc, Tiff.
- Dzięki.
- I dlatego zaczęłam myśleć o tobie i o tym, dlaczego twoje życie uczuciowe jest takie poplątane.
- Ach tak?
- Tak. Zaczęłam analizować szereg nieszczęść, które ci się przydarzyły, i to stałe odrzucanie. Ponieważ – spójrzmy prawdzie w oczy, Tiff – z mężczyznami nic ci nie wychodzi. Jednakże znam cię od tak dawna, że udało mi się dojść, dlaczego spotykają cię ciągle same niepowodzenia.
- Dobrze, dobrze, rozumiem, co mówisz.
- Widzisz, Tiffany, odkryłam pewną prawidłowość. Zawsze wybierasz mężczyzn, którzy nie chcą lub nie potrafią się zaangażować. Tak jak ten gracz w rugby w szkole, John Harvey-Bell, kapitan piętnastki. Wszystko zaczęło się od niego. Nie chciał się zdeklarować.
- On miał siedemnaście lat, Lizzie.
- A potem ci wszyscy bezużyteczni faceci na studiach, jak ten nudny aktor, jakże on się nazywał, Crispin Wilde. Widziałam go niedawno w telewizji, był beznadziejny. Bóg jeden wie, dlaczego dają mu jakieś role. W każdym razie on też się nie chciał żenić, prawda?

– Mieliliśmy zaledwie po dwadzieścia lat.
– Odkąd skończyłaś studia, spotyka cię jedno niepowodzenie za drugim. Nieustające niepowodzenie. Chroniczne. Zmarnowałaś mnóstwo czasu z Philem Podrywaczem i też nic z tego nie wyszło. Choć wszyscy cię ostrzegaliśmy, prawda?

– Prawda – odparłam ponuro.

– I co zrobiłaś? Rozłożyłaś mu się na ołtarzu i podałaś nóż. Alex też okazał się beznadziejny, prawda?

– Tak, dobrze, już dobrze. – Chciałam, żeby się zamknęła.

– A mimo to... – Lizzie dramatycznie zawiesiła głos, podnosząc palec i przechylając na bok głowę w ten irytujący sposób. – ...Było wielu mężczyzn, za których mogłabyś wyjść, gdybyś chciała. Na przykład Alan z klubu tenisowego. Szaleje na twoim punkcie, sądząc z tego, co mówiłaś.

– Tak, ale on ma coś w rodzaju drugiej głowy.

– Specjalista ubezpieczeniowy z Acton.

– Ach, ten. Środek usypiający.

– Ten księgowy Mick. Lubił cię. Co ci w nim nie pasowało?

– Nie podobał mi się i tyle.

– Peter Fitz-Harrod.

– Mówiłam ci, co o nim myślę.

– No a Kit? Dlaczego nie wyszłaś za Kita, Tiffany?

– Ponieważ... Ponieważ... On był...

– Przyzwoity, uprzejmy, dobry, interesujący, przystojny, absolutnie delikatny i uważny oraz jak najbardziej odpowiedni! – zakończyła triumfalnie.

– Nie. Ponieważ gdybym faktycznie chciała wyjść za Kita, mogłam to zrobić, gdyż on naprawdę chciał się ze mną ożenić, ale to ja nie chciałam za niego wyjść, bo choć go lubię i uważam, że jest cudowny, i przyznaję, iż mamy dużo wspólnego, to nie byłoby właściwe, ponieważ jesteśmy zbyt podobni i doprowadzilibyśmy się wzajemnie do szaleństwa. Czasami tego żałuję i zastanawiam się, co by się stało, gdybyśmy wzięli ślub i jak by to było z naszą piątką dzieci, i jak byśmy je nazwali, a jeśli Portia go rzuci i nie znajdzie nikogo innego, i nadal będzie mną zainteresowany, w co, szczerze mówiąc, bardzo wątpię, to pewno odczuwałabym pokusę, żeby jednak za niego wyjść. Rozumiesz?

– Owszem, rozumiem, Tiffany. Są mężczyźni, którzy chętnie by się z tobą ożenili, ale ty ich nie chciałaś. A nie chciałaś ich wyłącznie dlatego, że mogli i chcieli to zrobić. A zatem odrzucasz ich i angażujesz się w związki z beznadziejnie bezużytecznymi mężczyznami. Człowiek Sukcesu doskonale do tego pasuje. Ponieważ ma żonę. Gdyby Człowiek Sukcesu nagle został Człowiekiem Wolnym, uciekłabyś, gdzie pieprz rośnie.

Czyżby? To właśnie pytanie zadawałam sobie, gdy przechodziłam obok Ritz'a w drodze na przyjęcie zaręczynowe Jonatana. Ritz, jego bar po sąsiedzku. Może nawet teraz tam był. Pewnie proponował jakiejś kolejnej nieszczęsnej kobiecie, żeby została przyjaciółką na przychodne. Bezczelność! Mogłam iść o zakład. Drań. Ciekawe, czy dostał moją kartkę? Nie mogłam się powstrzymać i postanowiłam tylko zajrzeć. Na sekundkę.

Z bijącym sercem weszłam przez obrotowe drzwi od strony Arlington Street. Ani śladu. Słyszałam szum krwi w uszach, tak jak płód słyszy bicie serca matki. Miałam czerwone policzki i wyschnięte usta. Czulałam skurcze żołądka. Chyba zwariowałam, pomy-

ślałam, omiatając wzrokiem różowo-zielone, rokokowe wnętrze. Straciłam rozum. Mimo to pomyślałam, że gdybym, nie daj Bóg, miała pecha i się na niego natknęła, przynajmniej nie miałabym kompleksów ubraniowych w sukni od Jean Muir i luksusowym płaszczu ze sztucznej skóry lamparta, który kupiłam za grosze zeszłego roku w Nowym Jorku. Wszyscy mówią, że naprawdę dobrze w nim wyglądam. Eleganckie wierzchnie okrycia są bardzo ważne...

– Tiffany! – Odwróciłam się. – O nie!

– Halo. Miło cię znów zobaczyć. Jak się masz?

– Fantastycznie. Cha, cha, cha, cha, cha! Fantastycznie. A ty?

– Dobrze.

– Dostałaś moją wiadomość?

– Hm. Nie. Nie.

– Nagrałem ci się parę razy w lecie. Na automatycznej sekretarce.

– Miałam straszne problemy z tym urządzeniem – powiedziałam, wywracając z irytacją oczami. – Przepraszam, że do ciebie nie oddzwoniłam, ale o niczym nie wiedziałam.

– Co ty tu robisz? – spytał. Co za bezczelność.

– Idę na przyjęcie przy St James's Square i wpadłam, żeby zobaczyć się ze znajomym, ale... – spojrzałam na zegarek. – Och, już jestem spóźniona, muszę lecieć. Ciesz się, że cię znów spotkałam.

– Aha. Musimy się koniecznie umówić na tenisa. – Musimy?

– Tak, koniecznie. Musimy. Tak.

– Tak, cha, cha, cha, cha, cha! Zadzwoń do ciebie.

A potem, zupełnie jak we śnie, zobaczyłam go. Myślałam, że mam halucynacje. Ale to był naprawdę on. W gruncie rzeczy nie spodziewałam się, że spotkam Człowieka Sukcesu. I oto był. Co za niespodzianka. On też mnie zobaczył, ale się nie zatrzymał, przeszedł obok mnie bez słowa. Tylko dlatego, że widział, iż rozmawiam z innym mężczyzną i nie mógł opanować zazdrości. Wiedział, że jeśli się zatrzyma, to przypuszczalnie zabije Petera Fitz-Harroda. Jednym zdecydowanym ciosem. Albo rzuci jego cherlawym ciałem przez zatłoczony bar. Kogo ja oszukuję? Człowiek Sukcesu nie zatrzymał się i nie odezwał do mnie, ponieważ był z inną kobietą! Piękną kobietą ze wspaniałą figurą i długimi, kręconymi kasztanowymi włosami. Wyglądała na kogoś bardzo bliskiego. Pochylała się lekko w jego stronę, oboje cicho rozmawiali i uśmiechali się do siebie. Chciałam się zapaść pod ziemię. I omal nie zemdlałam od zapachu jego wody toaletowej Givenchy.

– Już idę – powiedziałam słabym głosem do Petera. – Do widzenia.

– Cha, cha, cha! Do widzenia, Tiffany. Zadzwoń do ciebie.

– Tak, nie dzwoń.

Jesteś skończoną idiotką, powiedziałam sobie, idąc Piccadilly. Skończoną. Gdybym nie weszła do Ritza, nie spotkałabym Człowieka Sukcesu z tą wspaniałą brunetką. Cholera jasna! Niech to szlag! I niech diabli wezmą Petera Fitz-Harroda za to, że się tam znalazł, zagadał do mnie i mnie zatrzymał, gdyż w przeciwnym razie od razu bym wyszła z hotelu i wtedy nie zobaczyłabym Człowieka Sukcesu z inną kobietą i nie zrujnowałabym sobie całego życia. A teraz, w dodatku, musiałam iść na przyjęcie, na które wcale nie miałam już nastroju, ponieważ chciałam jedynie wrócić do domu, położyć się do łóżka i wyć z rozpacz.

Weszłam po schodach East India Club – dużego, białego budynku, ozdobionego sztukaterią, na rogu St James's Square. Znalazłam toaletę, ochlapałam palącą twarz zimną wodą, zaaplikowałam sobie szminkę i korektor i odszukałam Clive Room na parterze. W środku dwieście osób rozmawiało z takim ożywieniem, jakby znało się całe życie. Pewnie zresztą tak było. Nie byłam w nastroju, żeby prowadzić nic nie znaczącą konwersację przy kanapkach z tłumem obcych ludzi. I wtedy zobaczyłam Jonatana.

– Tiffany, cieszę się, że cię widzę! – wykrzyknął. – Dobrze, że przyszedłaś. To jest Sara, ale wy się przecież znacie, prawda?

– Pobieźmie – odparłam, podnosząc głos, aby przebić się przez koktajlową kakofonię.

– To prawda. Spotkałyśmy się na przyjęciu w Drayton Gardens! – zawołała z ożywieniem. – Byłaś z... – O Boże, tylko nie przypominaj mi Phila Podrywacza.

– ...z tym architektem. Lubił golfa, prawda? Nie mówił o niczym innym. Nie pamiętam, jak się nazywał.

– Ja też nie, cha, cha, cha! Obawiam się, że to już przebrzmiała tragedia. – Ten wiecór zapowiadał się fatalnie. Zaczęło się nieźle, a potem wszystko się popsuło.

– Powiedzieć, kiedy ślub? – zapytałam ze sztucznym ożywieniem.

– W marcu – odparła Sara. – Dziewiątego marca. Dostaniesz zaproszenie.

– Nie, nie dlatego pytałam. Zapytałam tak sobie, cha, cha, cha!

– O, nie, Tiffany, naprawdę chcemy, żebyś przyszła – powiedziała z przekonaniem. – Jonatan mówił mi, jak bardzo mu pomogłaś na imprezie „Jedźmy i bawmy się”. Powiedział, że dzięki tobie „zobaczył światło”. – Zachichotała. – Nie masz pojęcia, jak bardzo ci jestem wdzięczna! Musisz być na naszym ślubie.

– W takim razie dziękuję. Uwielbiam śluby. Zwłaszcza innych ludzi. – Z mijającej mnie tacy wzięłam kieliszek szampana. Po dwóch łykach mój poziom stresu znacznie opadł. Ciekawe, kto tu jeszcze jest? Zaczęłam chodzić po sali. Miałam rację co do sno-bów.

– ...W zeszły weekend byliśmy u Hurdów...

– ...Rebecca nadal jest w Benenden...

– ...W naszej części Kensingtonu...

– ...Nie, jeździmy do Somerset...

– ...A nasz najmłodszy syn uczy się w Eton...

Szkoda, że nie mogłam przyjść z Kate, pomyślałam. I przypomniałam sobie jej radę z imprezy „Jedźmy i bawmy się”. „Uśmiechaj się”, mówiła. Ruszyłam przez tłum, uśmiechając się miło i wieloznacznie. To naprawdę pomaga. Przynajmniej innym ludziom, choć nie mnie. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Postanowiłam zatem obejrzeć obrazy; na ścianach wisiało mnóstwo portretów bengalskich lansjerów z wąsami i wiktoriańskich wicekrólów. Chodziłam naokoło, przyglądając się ich twarzom: „Sir Arthur Phayre, pierwszy brytyjski komisarz w Birmie, zakupił Singapur dla Wielkiej Brytanii... Generał major Stringer Lawrence, »Ojciec hinduskiej armii«... Sir George Pollock brał udział w marszu na Kabul po masakrze Afgańczyków...”

– Trotters! – Co? Odwróciłam się na pięcie. Przystojny facet w garniturze w paseczki uśmiechał się do mnie enuzjastycznie.

– Słucham? Czy my się...

– Trotters! Usiłuję do ciebie zagadać od kwadransa.

- My się chyba nie znamy.
- Jesteś Tiffany Trott. Trotters.
- Tak, ale nikt mnie tak nie nazywał od czasów...
- Posłuchaj, Trotters – powiedział nieznajomy. – Nie pamiętasz mnie, prawda? To mnie specjalnie nie dziwi. Trochę się zmieniłem, odkąd miałem trzynaście lat.
- I nagle wiedziałam.
- Nick – szepnęłam.
- To ja – stwierdził z zadowoleniem.
- Nick Walker. Internat.
- Zgadza się. Byłem „służącym” Harvey-Bella. Przynosiłem ci od niego karteczki.
- Tak, oczywiście. Mój Boże, to śmieszne.
- I chciałem ci nosić książki.
- Trochę wyrosłeś.
- Przepadałaś za słodyczami i przynosiłem ci je ze sklepu na rogu. Czekoladowe eklerki, to lubiałaś najbardziej. I ciastka jaffa.
- Kiedy cię ostatnio widziałam, byłeś małym chłopcem.
- A ty byłaś prawdziwą, szesnastoletnią kobietą. Uwielbiałem cię.
- To miło znów cię spotkać po tylu latach.
- Wiesz co, Trotters, wyglądasz zupełnie tak samo jak wtedy. Tylko trochę... szczerplej.
- Dziękuję. Chyba cię kocham. – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam.
- Ale wtedy nie miałam kurzych łapek – stwierdziłam.
- Byłaś kobietą mojego życia.
- Nie miałaś wielkiego wyboru, było nas zaledwie dziesięć.
- Tak, ale dla mnie byłaś jedyna. Pamiętam, jak stałaś tuż za linią boiska na meczach rugby.
- A ty pożyczaleś mi swój szalik. – Teraz tonęłam w morzu wspomnień. Znów miałam szesnaście lat. Uczylam się w Downingham, otoczona chłopakami, którzy chcieli mi nosić teczkę. I prosili, żeby im pomóc z pracą domową. I wyśmiewali się z mojej tuszy.
- Kogo tutaj znasz? – spytałam.
- Jonatana. Pracujemy razem w Christie’s. Jest szefem mojego działu: „Angielskie meble”. Mógłbym ci załatwić chippendale’ę za stosunkowo małe pieniądze – powiedział ze śmiechem.
- Och, tak, bardzo proszę.
- I bardzo podobają mi się meble Hepplewhite’a.
- Świetnie. Spotykasz jeszcze kogoś ze szkoły? – spytałam, popijając szampana.
- Jasne. Masę osób. A ty?
- Niezbyt wiele. Tak naprawdę to tylko Lizzie.
- Co, tę wiedźmę Bohannon? Ależ ona się rządziła!
- Nadal się rządzi.
- Stała powtarzała, że bym obciął włosy, a nawet nie była prefektem. Przyjdziecie na koleżeńską kolację w przyszłym tygodniu?
- Nie wiem, w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.
- Ja się wybieram. Przyjdź.
- Sama nie wiem. Nigdy nie byłam na takim koleżeńskim spotkaniu.

- To żałuj. Będziemy mogli porozmawiać, bo teraz muszę już iść. Przyjdź, proszę cię. W przyszłą środę.
- Nie wiem...
- Hej, nie daj się prosić.
- Może... Nie wiem...
- Fajnie, wiem, że przyjdiesz, Trotters. Zabawa będzie super.

Nadal listopad

- Zabawa będzie super – powiedziałam Lizzie następnego dnia. – Chodź ze mną.
- Bardzo bym chciała. Teoretycznie. Ale muszę to uzgodnić z Martinem.
 - Słucham?
 - Muszę to uzgodnić z Martinem – powtórzyła bardzo wolno i wyraźnie. – Wiesz, z moim mężem.
 - Wiem.
 - Żeby się upewnić, czy nie ma nic przeciwko temu.
 - To świetny pomysł. Zapytaj go. – Usłyszałam, jak kładzie słuchawkę na komodzie w stylu Jerzego III i idzie korytarzem. „Kochanie, Tiffany pyta, czy nie wybrałabym się z nią w przyszłą środę na spotkanie naszej dawnej szkoły w Towarzystwie Prawniczym. Powiedziałam, że cię spytam. I teraz cię pytam. Czy mogę, kochanie? Jesteś pewien? Jesteś absolutnie pewien, że nie będę ci potrzebna? Jesteś aniołem. I nie masz nic przeciwko temu, żebyś sam położył dziewczynki spać? Na pewno? Dobrze. Powiem jej. Jeśli jesteś naprawdę pewien, że mogę. Dziękuję, kochanie”. Znów usłyszałam jej kroki.
 - W porządku – powiedziała. – Mąż nie ma nic przeciwko temu, żebym się z tobą wybrała. Prawda, że to uroczę z jego strony? Dobrze, pójdę z tobą. Znów zobaczymy wszystkich chłopaków. Super! Oczywiście jest jeszcze jeden powód, dla którego tam pójdziemy.
 - Co takiego?
 - Może spotkasz kogoś, kto ci się spodoba.
- To prawda. Ja też o tym myślałam. Przyszło mi do głowy, że mogą tam być chłopcy, którzy, tak jak Nick, zmienili się w ciągu tych wszystkich lat z brudnych gąsienic w przystojne motyle.
- W następną środę spotkałyśmy się z Lizzie na stacji Chancery Lane. Wyglądała szalenie elegancko w czarnym spodniu ze srebrnym aksamitnym szalem od Donny Karan i jasnymi włosami założonymi za zgrabne uszy. Była spokojna, łagodna i straciła gdzieś ten swój – jak to powiedzieć? – gwałtowny wygląd.
- Jak się miewa Martin? – spytałam od niechcienia, kiedy byliśmy już przy budynku Towarzystwa Prawniczego.
 - Świetnie – odparła z anielskim uśmiechem. – Po prostu świetnie.
 - A więc nie ma romansu z Jade Jewel? – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – To dobrze.
 - Wiesz, ten weekend u matki naprawdę mu posłużył – dodała. – Wrócił bardziej... Bo ja wiem, bardziej pewny siebie. Może pomogło mu to rąbanie drewna.

- Może.
- Rąbanie drewna to takie zdrowe, męskie zajęcie, prawda?
- O tak.
- Lubię, kiedy mężczyźni zachowują się jak mężczyźni. A ty nie?
- Ja też. – W tej chwili przypomniał mi się zaskoczony Alex w satynach i czarnych koronkach.
- Zamówiliśmy nową sofę – powiedziała Lizzie. – Tamta mi się tak szczególnie nie podobała.
- W tym samym kolorze?
- O nie. Nie ta okropna, mdła żółć. Totalnie niepraktyczna. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Nie, nowa sofa będzie czerwona. Można by ją nazwać „Claret” albo nawet „Bordeaux”. A może „Grzane wino”. Ochrzczimy ją na Boże Narodzenie.
- Dobry pomysł. – Martin mógłby w nią wcisnąć świąteczny pudding z masłem koniakowym, a potem podpalić. – To już tu – powiedziałam. Weszliśmy do siedziby Towarzystwa Prawniczego, a potem zeszliśmy do szatni.
- Jestem dość zdenerwowana – przyznałam, starannie poprawiając usta. – Ci faceci nie widzieli nas od dwudziestu lat. Może nas wcale nie poznają? – Poczułam strach w sercu. – A jeśli będą musieli spytać, kim jesteśmy?
- Nie nastawiaj się tak negatywnie, Tiffany – skarciła mnie Lizzie, czesząc się. – Na pewno powiedzą nam, że wyglądamy niewiarygodnie młodo. – Cofnęła się o krok i obejrzała się w lustrze od stóp do głów. – Wszystko w porządku...
- ...Biorąc pod uwagę, że mamy prawie pięćdziesiątkę.
- Właśnie. Ale czy to nie jest zdumiewające? – spytała, perfumując się Opium za uszami.
- Co takiego?
- To, że chodziłaś do szkoły z siedmiuset facetami i dwadzieścia lat później jesteś samotna.
- Poszliśmy na górę do biblioteki na drinka. Na półkach pod ścianami stały oprawne w skórę prawnicze książki, grube jak książki telefoniczne. Dwustu mężczyzn w smokingach stało w małych grupkach, pijąc, paląc i hałaśliwie plotkując.
- Na końcu sali znalazłyśmy plan miejsc przy stołach, z rokiem rozpoczęcia nauki przy każdym nazwisku. Lizzie zaczęła czytać.
- Jest paru facetów z naszego rocznika – zauważyła, podnosząc głos, aby przekrzyć hałas. – Ale nie widzę żadnej dziewczyny. Myślałam, że może zjawi się Isla Moray. Hennessy, Jamieson i Bass są wpisani. I Johnny Rothman, hurra! Zawsze go lubiłam. Chodził ze mną na historię. Podobno pracuje w sekcji dramatu w telewizji, może da mi jakąś pracę, dopóki nie zacznę kursu psychologii...
- Bohannon, stara wiedźmo! – Twarz Lizzie zastygła z przerażenia. Szedł do nas mężczyzna w średnim wieku, z czerwoną twarzą i kroplami potu na czole. Roger Sześciopak. Zwariowany Irlandczyk. Ależ się postarzał. To straszne. Wyglądał na czterdzieści osiem lat, choć mógł mieć najwyżej trzydzieści dziewięć.
- Dawałem ci kary za palenie, prawda, Bohannon? Widzę, że nie pozbyłaś się tego ohydneho nałogu. Cześć, Trotters. Muszę powiedzieć... – Zrobił krok do tyłu, żeby się nam lepiej przyjrzeć. – Wyglądacie...
- Starzej? – podesunęłam z zadowoleniem. To tak jak ty.

– Tak! – zawołał ze śmiechem. – I jeszcze ładniej. Okropnie mi się podobałaś, Bohannon, mimo że zawsze śmierdziałaś jak brudna popielniczka. Wyszłaś za męża?

– Tak – odparła, rzucając mu mroźny uśmiech. – Bardzo szczęśliwie.

– A co robisz?

– Jestem aktorką – powiedziała, widocznie poirytowana, że o tym nie wie. Czyżby nie zauważył jej nazwiska w „Radio Times” w 1991 roku ani nie widział jej w tej małej roli w *The Bill*? Najwyraźniej.

– Aktorka, co? A ty, Trotters?

– Piszę teksty reklamowe.

– Aha: „Na porządne pracowanie jedno jajko na śniadanie” i tak dalej? Wiesz, że to napisał uczeń naszej szkoły, Salman Rushdie? Biedny facet!

– Nie. To słowa Fay Weldon. Wymyśliła ten slogan w latach pięćdziesiątych. Salman Rushdie... Spójrz! Jest Tim Flowers. Zawsze mi dokuczał, że jestem za gruba.

– Trotters! – zawołał z uśmiechem Tim Flowers. – Z trudem cię poznałem.

– Dziękuję.

– Wyglądasz... inaczej. Zawsze byłaś trochę pulchna, ale to już minęło, co? Cha, cha, cha! – Bardzo śmieszne, pomyślałam, czerwieniąc się.

– Cześć, Trotters! – zabuczał Jamie Worthington. – Masz coś słodkiego? Zawsze to mówiłaś: „Masz coś słodkiego?” Pamiętam, że się napychałaś czekoladowymi eklerkami.

– A inne dziewczyny walczyły z anoreksją – powiedziała Lizzie. – Nigdy nie nadażałaś za modą.

– Będzie twoja stara miłość, John Harvey-Bell – rzucił Tim. – Pamiętamy, co z nim wyrabiałaś.

– Nic nie wyrabiałam – odparłam zimno.

– Właśnie że tak, nie sprzeczasz się.

– Właśnie że nie.

– Właśnie że tak, sam nam mówił.

– Kłamał.

– Daj spokój, Trotters, lepiej się przyznaj.

Ci faceci w ogóle nie dorośli. Nadal zachowywali się jak pryszczate nastolatki z końca lat siedemdziesiątych. Mogliby służyć za okazy do badań embrionalnych. Nie powinienam jednak narzekać, pomyślałam. Spędziłam fajne dwa lata w Downingham. Trochę sobie ze mnie żartowali. No, dobrze, okropnie sobie żartowali, ale było tam paru niezłych facetów i kilku cudzoziemców, którzy stwarzali międzynarodową atmosferę: Hans Heinenken, George Budweiser, Philippe Gauloise i Jean-Marc Courvoisier. To była bardzo dobra szkoła.

Nick wbiegł po schodach, kiedy przeszliśmy do jadalni.

– Cześć, Tiffany, trochę się spóźniłem. Ładnie wyglądasz. Czy mogę ci ponieść torebkę? I czy mogę ci przynieść eklerki?

– Przestań, Nick. Pamiętasz Lizzie?

– Nick Walker, masz za długie włosy – powiedziała Lizzie. – I jak śmiesz być taki przystojny, gdy ja jestem mężatką?

Roześmiał się.

– Ty nie jesteś mężatką, co, Tiffany? – spytał, spoglądając na moją lewą dłoń.

– Nie.

– To dobrze – stwierdził i zaczerwienił się. Spojrzałam na niego spod opuszczonych rzęs, gdy zapadła cisza na modlitwę. Naprawdę był szalenie przystojny. Ten wysoki Adonis w niczym nie przypominał anielskiego chłopczyka z jasnymi, kręconymi włosami, który przychodził do naszego budynku w internacie z karteczkami dla mnie od innych chłopaków. Ile miał teraz lat? Pewnie trzydzieści trzy.

– *Benedicat benedicatur* – zaintonował przewodniczący Rady Opiekunów Szkolnych, sir Andrew Bass. A potem zaczęła się kolacja.

– Tripp House nieźle się spisał w tym roku. Wygrali turniej rugby i krykieta.

– Słyszałem, że wyrzucili Whippera Wilsona. Zawsze był trochę brutalny.

– Nauczył mnie zażywania LSD.

– Te grzyby są bardzo dobre.

Spojrzałam na Lizzie. Rozmawiała z Johnnym Rothmanem.

– Tiffany i ja studiowałyśmy w Bristolu, a potem poszłam do szkoły aktorskiej. Nie, nie do RADA. Dlaczego nie? Bo się nie dostałam. Nie, nie Old Vic w Brystolu; tak, też uważam, że to doskonała szkoła. Bardzo konkurencyjna. Nie, Central też nie. Tak, próbowałam. Nie, LAMDA także nie. Gdzie? Chodziłam do Akademii Sztuk Dramatycznych Prudence Rutherford. Tak, w Thames Ditton. Tak jest, PRADA. No, wiesz, tu i tam, raz startowałam nawet dla RSC. W 1984. Świetnie mi poszło. Nie, nie dostałam się. Powiedz mi, czy znalazłeś już obsadę do *Wojny i pokoju*? Potrafię mówić ze znakomitym rosyjskim akcentem. Jak to – za stara?

– Tiffany?

Kelnerzy zbierali talerze po pierwszym daniu.

– Tiffany? – Wielki Boże, moja stara miłość, John Harvey-Bell. Kapitan piętnastki i szkolny olbrzym. Choć jego heroiczną świetność przyćmił później fakt, że się nie dostał do Cambridge. Wciąż nieźle wyglądał, mimo że większość mięśni zmieniła się w tłuszcz. Już zapomniałam, jak bardzo niebieskie miał oczy. W kolorze porcelany Wedgwood. Jasne włosy przyprószyła siwizna. W typowy dla siebie sposób przyszedł w trakcie głównego dania. Zawsze się wszędzie spóźniał, oprócz meczów rugby.

– Jak się miewasz, Tiffany?

– Świetnie. A ty?

– Może być. Żonaty, czworo dzieci. Studiowałam medycynę w Edynburgu. Teraz pracuję na Harley Street. Operacje plastyczne w Klinice Twarzy. A ty?

– Reklama.

– Wiem: „Dwa chrupiące ciasteczka...” i tak dalej. – Dziwne, że pamiętał akurat to.

– Wysłaś za męż? – spytał, kiedy podano galaretkę z sherry.

– Nie. Jestem za młoda.

– Cha! Właśnie. Tu jest Walker, mój były „służący”, on też jest samotny, prawda?

– Tak jest – odparł Nick, rzucając mi podejrzenie czarująco uśmiech. – Jestem samotny – powtórzył, nalewając mi porto.

– Posłuchaj, Harvey-Bell! – zawołał Tim Flowers przez cały stół. – Worthington i ja chcielibyśmy się dowiedzieć, co dokładnie robiłeś z Trotters w swoim pokoju w czasie jesiennego semestru w 1978 roku.

– Na litość boską! – zawołałam, podając butelkę porto sąsiadowi z lewej strony.

– Doszło czy nie doszło do...

- Co za bezczelność!
- Z Tiffany...
- Przestańcie!
- A jeśli tak, co ona...
- Przepraszam, muszę porozmawiać z Glenem Fiddichem – powiedziałam. – Nie zamieniłam z nim ani słowa przez cały wieczór.
- Tak czy inaczej – powiedział złośliwie Worthington – pytacie niewłaściwą osobę. Wszyscy wiedzą, że Trotters kochała się w Bodgerze. – Znieruchomiałam.
- Nie kochałam się w dyrektorze. Choć przyznaję, że był wyjątkowo atrakcyjnym, charyzmatycznym, kulturalnym, liberalnym i wrażliwym mężczyzną.
- Pamiętam jak na niego patrzyłaś w kaplicy – stwierdził oskarżycielsko Worthington. – Z prawdziwym zachwytem, gdy szedł do pulpitu w swojej todze.
- Nieprawda. Po prostu go podziwiałam. – To spowodowało wybuch śmiechu.
- Ja podziwiałem sposób, w jaki mnie wyrzucił – powiedział Flowers. – I to zaledwie za parę kilo haszu. W dodatku to nie była moja wina. Po prostu przechowywałem go dla rodziców. Moim zdaniem należy mi się pochwała, że mimo wszystko przychodzę na te spotkania.
- Nie mam zamiaru dyskutować o twoim nadużywaniu substancji odurzających – powiedział pijanym głosem Worthington. – Chcę wiedzieć, co dokładnie Harvey-Bell i Trotters robili w jego pokoju w 1978 roku.
- Żenada. Nuda. I brak potencjalnych kandydatów na męża. Lizzie przewracała oczami i znacząco stuknęła w zegarek. Pora iść.
- Nie idź jeszcze – powiedział Nick. – Chodź z nami do Annabel’s. Worthington jest członkiem.
- Może innym razem. Muszę wracać do domu i napisać parę tekstów reklamowych. Cześć – pomachałam im ręką. – Fajnie było. Pa, John.
- Pa, Tiffany, cieszę się, że cię znów zobaczyłem – powiedział z obojętnym uśmiechem. – Możesz zawsze do mnie zadzwonić.
- Po co?
- Dam ci zniżkę.
- Zniżkę?
- Za pół darmo podciągnę ci brodę albo zrobię odsysanie tłuszczu.
- To bardzo miło z twojej strony.
- Ta oferta dotyczy także ciebie, Lizzie. Robię bardzo dobre podnoszenie biustu.
- Dziękuję – mruknęła zimno Lizzie.
- Nie ma za co – powiedział, zapalając hawańskie cygaro. – Stara szkoła i tak dalej.
- Zapamiętam to sobie – obiecała, wychodząc i powiewając szalem.
- Tiffany! – Nick biegł za nami po schodach.
- Słucham.
- Harvey-Bell nie chciał zranić twoich uczuć. On jest dość tępy, naprawdę. Zawsze był.
- Nic nie szkodzi. Wiem, że miał dobre chęci.
- Lizzie nie dała się udobruchać. Zdecydowanie szła na dół, zostawiając mnie z Nickiem.
- Chciałem tylko powiedzieć, że nadal wyglądasz bardzo młodo.
- Dziękuję.

- Naprawdę. Tak samo jak w szkole. Nic się nie zmieniłaś. Tylko jesteś szczuplejsza.
- Dziękuję.
- Dla mnie zawsze będziesz miała szesnaście lat.
- To bardzo miło z twojej strony.
- Cieszę się, że cię spotkałem. Wiem, że jesteś zajęta i zapracowana, ale czy mógłbym cię zaprosić na kolację w przyszłym tygodniu?
- Co? Uhm, dobrze, tak. Tu jest moja wizytówka. Zadzwoń do mnie.

Dwa dni później, gdy wróciłam ze spaceru w Highbury Fields, światelko na automatycznej sekretarce mrugało nerwowo. Nacisnęłam przycisk. Biip. Biip. Biip.

– Cześć, Tiffany. – Sally. Dzwoniła z pracy. To coś nowego. Zazwyczaj nigdy nie miała czasu na rozmowy towarzyskie z biura. – Tiffany – powiedziała spokojnie – czy nie uważasz, że życie jest niesamowite? Cudowne? Ja tak myślę. – O czym ona mówi? – Zawsze byłam przekonana, że jeśli chodzi o podróż życia, nie umiem czytać mapy. – Upiła się, i to przed południem. – Ale – dodała tajemniczo – chyba znalazłam drogę. – Znalazła drogę? Ach tak. Nawróciła się. To by wszystko wyjaśniało. Została wciągnięta do jakiejś sekty, chociaż nie sądzę, aby Świadkowie Jehowy mogli się dostać na piętnaste piętro Chelsea Harbour. – Jestem pewna, że i ty ją znajdziesz, Tiffany – zakończyła radośnie. – Na razie.

Niesamowite, pomyślałam, przewijając taśmę. Straciła rozum. Cała ta harówka w biznesie musiała się tak skończyć. Biip.

– Tiffany! – Emma. Zdenerwowana. Bliska łez nawet. – Nie sądzisz, że życie jest wredne, Tiffany? – powiedziała ze złością. – Że wszystko jest okropne i bez sensu? A faceci też są straszni! Ze swoimi przekłętymi komplikacjami! Nigdy nie dzwonią, jak obiecują. Pomyślałam, że się tym z tobą podzielę. Ale jestem wkurzona! – dodała rozdrażniona. – Przepraszam, musiałam się wygadać. Nie mogę się dodzwonić do Frances, cały dzień jest w sądzie. Nie mogę dłużej rozmawiać, jestem w pokoju nauczycielskim. Zadzwoń do mnie, dobrze? – Biip. O co w tym wszystkim chodziło? Biip. Ale następna wiadomość sprawiła, że natychmiast zapomniałam o problemach Emmy.

– Tiffany! Cześć, mówi Nick. – Hurra! Miałam nadzieję, że zadzwoni. – Co z tą kolacją? Masz czas w czwartek? Spotkajmy się w Orso's. Oddzwoń, gdybyś nie mogła. Do zobaczenia.

W czwartek włożyłam nową jedwabną sukienkę z Phase Eight, którą specjalnie kupiłam na tę okazję, trochę się umalowałam i udałam się na Wellington Street. Kiedy zeszałam do restauracji, szef sali poinformował mnie, że Nick już jest. Wstał, kiedy podeszałam do stolika, uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek.

– Jak to miło znów cię zobaczyć! – zawołał radośnie, gdy kelner rozpościerał mi na kolanach wielką serwetkę. Naprawdę się ucieszył, tak bardzo, że aż się wzruszyłam. Wyglądał fantastycznie. Miał garnitur z ciemnej wełny z jasnożółtym krawatem i interesującymi spinkami przy mankietach. I ładnie pachniał. Odwzajemniłam uśmiech i cofnęłam się w czasie o dwadzieścia lat.

– Zawsze mnie miło traktowałaś w szkole – powiedział, nalewając mi kieliszek po-uilly-fumé. – Mimo że byłem wówczas smarkaczem. Kiedy przychodziłem z listami od Harveya-Bella, częstowałaś mnie kawą i grzankami. Choć te listy nie były od niego –

dodał szybko i się zaczerwienił. – To ja je pisałem. Harvey-Bell nie miał pojęcia o angielskim. Nie wiedział nawet, że Szekspir napisał *Hamleta*. Pisałem za niego, jak Cyrano de Bergerac. On na ciebie nie zastąpiwał, Tiffany.

Wpatrywałam się w Nicka. Był niewiarygodnie przystojny. Miał trzydzieści trzy lata. To nieduża różnica wieku. Zaczęłam sobie przypominać sławnych mężczyzn ze starszymi partnerkami: Alfred Molina i Jill Gascoigne, Greg Wise i Emma Thompson... Muszą być jeszcze jacyś inni. W każdym razie, to nic nadzwyczajnego, pomyślałam, pijąc wino. Facet może być o parę lat młodszy.

– Dobrze się bawiłaś na koleżeńskej kolacji? – spytał Nick, gdy podano nam przekąskę. Wędzona szynka w auszpiku dla niego i sałatka z pomidorów i mozarelli dla mnie.

– Może być. Znów się poczułam jak w szkole.

– Chodzę na te kolacje co roku.

– Naprawdę?

– O tak – przytaknął entuzjastycznie. – Downingham było wspaniałym miejscem, prawda? – dodał z namiętną szczerością.

– Owszem. Lubiłam szkołę. Fajnie się tam czułam.

– Na widok kaplicy w mroźny poranek łzy napływały mi do oczu – stwierdził sentymentalnie. – Nawet wspomnienie tych potwornych sal w internacie chwyta mnie za serce. To były nasze najlepsze lata, prawda?

– No, nie wiem. – Szczerze mówiąc, najlepsze lata mojego życia spędziłam w Bristolu, postanowiłam więc zmienić temat. Dowiedziałam się trochę o rodzinie Nicka. Był jednakiem, tak jak ja, a jego matka zmarła, gdy chodził do szkoły podstawowej.

– Mój ojciec mieszka teraz w Stanach – powiedział. – Nie widuję go zbyt często.

– Opowiedz mi o Christie's – poprosiłam, gdy podano główne danie. Wędzony pstrąg dla niego i smażona sola dla mnie.

– Aukcje są zabawne. Strasznie długo już tam pracuję, piętnaście lat. Widzisz, Tiffany, nie poszedłem na studia. Zaraz po szkole odbyłem kurs w Christie's. Pamiętasz, jak Courage House wystawił *Inspektora rządowego*? – spytał z nagłym ożywieniem.

– Jak przez mgłę – odparłam, szukając gwałtownie w zakamarkach pamięci.

– Oranjeboom grał główną rolę – stwierdził entuzjastycznie Nick. – Był genialny.

– Mhm. Masz chyba lepszą pamięć ode mnie, Nick. Prawdę mówiąc, zupełnie tego nie pamiętam.

– A ty byłaś fantastyczna w Czechowie. Boże, nigdy tego nie zapomnę. *Mewa*. – Oczy zaszyły mu mgiełką wspomnień. Przyjrzałam się jego spinkom. Bursztyń w kształcie perły oprawiony w osiemnastokaratowe złoto.

– Co robisz w wolnym czasie? – spytałam.

– Lubię grać w tenisa. – Super.

– Ja też uwielbiam tenisa. Gram przynajmniej raz w tygodniu.

– Co jeszcze lubisz robić, kiedy nie pracujesz? – pytałam dalej, kiedy przyniesiono nam deser. Czekoladowe lody dla mnie, owoce w cukrze dla niego.

– Lubię krykieta. Pamiętasz, jakie to było śmieszne, gdy Tom Player kupił byka na targu i wpuścił go na boisko podczas finałów? Cholernie śmieszne. – Potrząsnął głową z uśmiechem.

– O tak. Cha, cha! Pamiętam.

– Cholernie śmieszne – powtórzył. – Trzymały się nas niezłe żarty, co? Nigdy nie zapomnę, jak wyrzucili Rogera Speeda za załatwianie się przez okno z górnego piętra w Crack House, gdy Sandeman stał na dole i łapał to do garnka.

– Ja też pamiętam – stwierdziłam słabym głosem, spoglądając na lody.

– Cieszę się, że mogłem się z tobą spotkać i porozmawiać o starych, dobrych czasach – powiedział Nick, biorąc rachunek. – Nie będzie mnie prawie przez cały grudzień, najpierw jadę służbowo na dwa tygodnie do Nowego Jorku, a potem spędzę święta z ojcem w Nowej Anglii. Nie zobaczę cię zatem przed Nowym Rokiem, ale jak wrócę, zaraz do ciebie zadzwonię, dobrze?

– Tak. Koniecznie.

– Mamy jeszcze tyle rzeczy do omówienia, Tiffany – oznajmił, pomagając mi wsiąść do taksówki. Otworzyłam okno. – Tyle rzeczy. Pamiętasz, jak...

Ale taksówka już odjeżdżała.

Nadal listopad

Poderwałam faceta – poinformowałam Kate następnego dnia przez telefon.

– Kto to jest? – spytała podekscytowana.

– „Służący” mojego chłopaka ze szkoły. Nick Walker. Uroczy.

– Uroczy? To znaczy, że nie jesteś naprawdę zainteresowana.

– No, nie wiem. Może jestem. Jest szalenie miły. I bardzo przystojny. Ale dość młody. Ma dopiero trzydzieści trzy lata.

– To nic nie szkodzi, Tiffany. Moja matka jest o siedem lat starsza od mojego ojca, a Mike jest ode mnie młodszy o dziewięć lat. – Ach, tak, rzeczywiście, jej nowy facet, Mike, z party w Ministerstwie Dźwięku. Przeniósł się do pracy w Londynie i Kate była nim bardzo zainteresowana.

– Różnica wieku nie ma znaczenia – mówiła dalej. – Osobiście nawet wolę młodszych mężczyzn, ciągle ci to powtarzam. Są znacznie lepsi do...

– Kate – przerwałam jej. – Lubię Nicka. Jest miły. Ale po prostu nie jestem pewna. Spotkaliśmy się tylko jeden raz.

– Ale jeszcze się z nim umówisz?

– Tak, lecz dopiero po Nowym Roku. I na razie nie będę o nim myślała. Gdzie się umawiamy?

– W galerii. Jest tuż przy Piccadilly. Spotkajmy się za piętnaście siódma.

Nie wiedziałam nic o galerii Oscara Reedsa, oprócz tego, że się specjalizowała w sztuce konceptualnej. Nie przepadam za tym kierunkiem w sztuce, w gruncie rzeczy nienawidzę go, ale wernisaż zapowiadał się dość interesująco i obie z Kate chciałyśmy znów zobaczyć Eryka. Był sympatyczny i przystojny, wyraźnie zmierzający w kierunku artystycznego sukcesu.

Kate czekała już obok galerii i razem weszłyśmy do środka. Co za tłum! Bardzo... męski! Bardzo... miejski! Masa koleczyków w nosach i w brwiach, wygolonych głów i martenków.

– Hej, dziewczyny! – zawołał Eryk, całując nas. – Cieszę się, że przyszyście. Weźcie sobie drinka, a potem wróćcie ze mną porozmawiać.

– Zaraz wracamy – odparłam, wpadając w nastrój flirtu. – Tylko nigdzie nie znikaj.

Czterdziestoparoletni jasnowłosy mężczyzna w rogowych okularach i z bardzo tłustym tyłkiem stał przy stole zastawionym butelkami i kieliszkami. Całkowicie mnie zignorował.

– Poproszę kufel białego wina i paczkę chipsów – zażartowałam.

Spojrzał na mnie z odrazą. Najwyraźniej był odporny na moje wdzięki.

– Nie jestem barmanem – rzucił niecierpliwie. – To moja galeria.

– Bardzo się cieszę, ale moja przyjaciółka i ja chciałybyśmy się czegoś napić. – Ławo zgadnąć, że trochę się zdenerwowałam.

– To sobie nalejcie. – Kiwnął głową w stronę butelek z winem.

– Dziękuję bardzo. Co wolisz, Kate, kiepskie czerwone czy marne białe?

– Czerwone – powiedziała i zaczerwieniła się. – Chodź, obejrzymy obrazy.

– Co za niegrzeczny człowiek – stwierdziłam bardzo głośno, gdy odciągnęła mnie za rękaw.

– Ciii. Daj spokój. Nie warto.

– Jest właścicielem galerii i tak traktuje gości?! Jak udaje mu się cokolwiek sprzedać?

Rzeczywiście, jak? To było dobre pytanie. Prace Eryka przedstawiały części ciała, fotografowane pod dziwnym kątem i powiększone do ponadnaturalnych rozmiarów. Stopa kobiety, powiększona tak, że delikatne kostki miały wymiary gotyckiego sklepienia; zaciśnięta pięść sfotografowana w ten sposób, że wyglądała jak pasmo poszarpanych wzgórz; ucho leżące jak wielka muszla na pustej plaży; wielkie niebieskie oko jak jezioro; ogromne nozdrza o średnicy metra.

– Straszna lipa – powiedziałam do Kate.

– To naprawdę interesujące – kłamałam Erykowi dwie minuty później. – Niesłychanie oryginalne i prowokujące. Uwielbiam sztukę konceptualną.

Przechadzałam się po galerii i rozglądałam od niechcienia. Mężczyzna ze znamieniem w kształcie serca na prawym policzku; kobieta pod siedemdziesiątkę z podejrzenie szczupłym podbródkiem; młody facet, koło dwudziestki, z białymi włosami, jak Andy Warhol. Tak naprawdę ludzie wcale nie oglądali obrazów, tylko przyglądali się sobie nawzajem. Kobiety dyskretnie podpatrywały mężczyzn. Kobiety podpatrywały kobiety. Mężczyźni podpatrywali mężczyzn. Mężczyźni podpatrywali kobiety.

– Na co ten facet tak się gapi? – zapytałam Kate. Podążyła za moim spojrzeniem.

– Na ciebie, kretynko – powiedziała. – Posłuchaj, strasznie mnie boli głowa. Zostań jeszcze trochę, ja już pójdę. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie.

– A poza tym chciałabym się zobaczyć z Mikiem – dodała i zaczerwieniła się.

– Nie musisz się tłumaczyć.

Na pewno przez dłuższy czas jej nie zobaczę – pomyślałam ze smutkiem, kiedy wyszła. Postanowiłam zostać jeszcze chwilę. Może znów porozmawiać z Erykiem? Ale ten facet wciąż się na mnie gapił. Czyżby mnie znał? Kogoś mi przypominał. A potem ruszył w moją stronę. Miał jakiś metr siedemdziesiąt pięć, ciemne, kręcone włosy i długi nos. Mniej więcej czterdzieści pięć lat. Gdzie ja go mogłam widzieć?

– Halo000 – powiedział, wyciągając rękę. – Mungo Brown. – Znajome nazwisko. Ale skąd?

– Znam to nazwisko – powiedziałam – ale nie mam pojęcia skąd. Czy my się znamy?

– Nie – odparł ze śmiechem. – Gdybym panią poznał, na pewno zapamiętałbym nazwisko. – Jak miło to powiedział.

– Nazywam się Tiffany. Tiffany Trott. Dlaczego mi się wydaje, że pana znam?

– Cóż, cha, cha, cha! – Odchrząknął delikatnie. – Myślę, że to dlatego... Prawdopodobnie widziała mnie pani...

– W autobusie numer 73!

– Nie, w telewizji. – W telewizji? W telewizji? Och, tak. Oczywiście.

– Już wiem – stwierdziłam z zadowoleniem. – Jest pan reporterem.

– Korespondentem – powiedział z lekka urażony. – Specjalnym korespondentem. Sprawy społeczne. ITN.

– Przepraszam, że sobie pana od razu nie skojarzyłam, ale prawdę mówiąc, jedyni reporterzy, których zapamiętuję, to ci szaleńczo odważni korespondenci zagraniczni, jak George Alagiah, John Simpson, James Mates...

– Tak, tak – rzucił zdawkowo.

– ...Mike Nicholson, Lindsey Hilsum, Bridget Kendall...

– Dobrze, dobrze.

– ...I naturalnie Kate Adie. – Wzniósł oczy do nieba. – Niestety, jeśli chodzi o wiadomości krajowe, zupełnie nie zapamiętuję nazwisk. Co pan ostatnio robił?

– Bardzo interesujący kawałek dla *Wiadomości o dziesiątej* o problemach walijskiego przemysłu wydobywania i przetwórstwa mięczaków.

– To o tym można nakręcić materiał do telewizji? – zdziwiłam się.

– Tak. Mięczaki mają nam wiele do powiedzenia... Szczerze mówiąc, ten wernisaż mnie znudził. Czy nie moglibyśmy gdzieś pójść na drinka? – Ojej, jaki bezpośredni!

Właściwie czemu nie? Pożegnałam się z Erykiem, rzuciłam ostatnie wściekłe spojrzenie Oscarowi Reedsowi i wyszłam z nowym znajomym.

– Dokąd pójdziemy? – spytał.

– Do Ritza. To niedaleko. – I może natkniemy się na Człowieka Sukcesu, którego kocham.

– Tam mnie chyba nie wpuszczą. Mój krawat nie jest dość wytworny.

– Pański krawat jest w porządku.

– Chodźmy do Czerwonego Lwa – zaproponował. – Tuż za kościołem St James.

Poszliśmy. Kupił mi kufel jasnego piwa i opowiedział o sobie wszystko.

– Właśnie się rozwodzę – wyjaśnił. – Byłem żonaty przez piętnaście lat. Moja żona mnie nie rozumiała. Powiedziałem, żeby poszła do psychiatry. Powiedziała, że nie potrzebuje. To śmieszne. – Jest dość atrakcyjny, pomyślałam, kiedy mówił. I się rozwodzi, aha! I ma dobrą pracę. Bardzo dobrą. To by zrobiło wrażenie w klubie tenisowym. „Halo, to jest mój mąż Mungo Brown. Tak jest, ten Mungo Brown. Na pewno go pani widziała. W telewizji. Dlatego wydaje się znajomy. Tak, tak. W ITN. Po przerwie.” Ciekawe, czy jest bardzo obciążony?

– Ma pan dzieci? – spytałam od niechcienia.

– Tak, pięcioro. – Pięcioro? Ale może są już dorośli.

- Jedenaście, siedem, pięć, trzy i półtora roku – wyjaśnił.
- Wspaniały wiek, doprawdy – powiedziałam, wykreślając go w myśli z listy potencjalnych partnerów życiowych.

Grudzień

Kołądy w puszkach. Wstrętny ostrokrzew. Idiotypyczne kartki. Głupie Mikołaje. Ponura jemiola. Nudne ozdoby. Przekłeta wróżka na szczycie zawsze zielonej, plastikowej choinki. Mikołaj i jego sanie z reniferem. I ta kretyńska melodia. Boże, uwielbiam Boże Narodzenie. Orkiestrę Armii Zbawienia. Piskliwych chórzystów z rumianymi policzkami i wykrochmalonymi, zaprasowanymi żabotami. Wieczór przed kominkiem z mężczyzną mojego życia, żarty, śmiechy i... O mój Boże, to znów ta pora roku! Ponury środek zimy. Dzwonki sanek. Wspaniały okres dla nas, samotnych kobiet. *Zawieś wszędzie pęki jemioly, tra la la...* To pora, aby się porządnie upić, ot co! Oczywiście Boże Narodzenie kojarzy się także z dziećmi, prawda? Narodziny, odwiedziny, kołyski, żłobki...

Cicha noc, święta noc... zawodził dziś w Selfridges Bing Crosby. A najgorsze było to, jak zwykle przy marnej muzyce, że się naprawdę wrzusiłam. Mimo że się przed tym broniłam. Okropnie się zawstydziłam.

– Dlaczego płaczesz, Tiffany? – zapytała Alice, gdy stałyśmy na czwartym piętrze w kolejce do Mikołaja.

– Nie pytaj jej! – wrzasnęła Amy. – Tiffany płacze, bo nie ma męża! Nie ma nawet narzeczonego! To jest jej problem! – krzyczała, jak zwykle, na całe gardło.

– Nie dlatego płacę – wyjaśniłam z godnością, zastanawiając się jednocześnie, co takiego Lizzie opowiada córkom za moimi plecami. – Płacę, bo jakiś paproch wpadł mi do oka.

– Jasne – powiedziała Lizzie, podając mi chusteczkę.

Ten sympatyczny John Kettley miał rację. Spadło piętnaście centymetrów. W nocy. Dziś rano poszłam na spacer na Highbury Fields po skrzypiącym, błyszczącym, dziewiczo białym śniegu. Powietrze było czyste i przejrzyste. Niebo – promiennie błękitne. Płatki śniegu spadały z drzew i unoszone ostrym wiatrem osiadały na ziemi. Gęsty, niebieskobiały koc tłumiał odgłosy samochodów. Słyszać było tylko krzyki i śmiechy setki dzieci. Z czerwonymi policzkami, w śmiesznych czapeczkach, jeździły na sankach, rzucały się śnieżkami i robiły duże, poważnie wyglądające bałwany.

– Mamo! Mamo! Szybciej! Szybciej! – wołał mały chłopiec, którego matka ciągnęła na sankach. Oboje chichotali, niemal histerycznie. Wsunęłam głębiej ręce w kieszenie i postawiłam kołnierz starego, lodenowego płaszcza. Śnieg trzeszczał i skrzypiał pod nogami, od ostrego słonecznego światła rozboleły mnie oczy. Kiedy się im przypatrywałam, zaczęłam się zastanawiać, czy potrafiłabym zrobić to sama. W pojedynkę. Mieć dziecko. Czy mogłabym być samotną matką. Samotnym rodzicem. Tak jak Sally. Sally! Właśnie ona. Po prostu nie mogłam uwierzyć. Ze wszystkich kobiet, jakie znam, Sally przejawiała

najmniej skłonności, żeby wybrać taką drogę. Sally, która zaledwie parę miesięcy temu mówiła, że nigdy nie chciały mieć dziecka bez faceta!

– Wiem na pewno od połowy października – powiedziała wczoraj wieczorem, gdy siedzieliśmy u mnie w kuchni. – Nie chciałam nic mówić, dopóki nie byłam absolutnie pewna, ale teraz jestem.

Kiedy włożyłam do domu, światełko sekretarki migało. Świetnie. Ktoś zadzwonił. Ale nie Człowiek Sukcesu, który najwyraźniej spisał mnie na straty, lecz Mungo Brown.

– Cześć, Tiffany – powiedział z lekko snobistycznym akcentem. Ale może był pijany. – Mówi Mungo. Mam nadzieję, że dobrze się miewasz. Cieszę się, że cię poznałem w galerii Oscara Reeda w zeszłym tygodniu i... Czy mogłabyś przyjść na kolację, którą wydaję w piątek w moim domu w Shepherd's Bush? Takie małe przyjęcie. Na sześć osób. Mam nadzieję, że przyjdiesz. Koło ósmej. Zadzwon, aby potwierdzić, dobrze?

W piątek włożyłam długi sweter od Nicole Farhi, który zakrywa mi pupę, i wełnianą minispódniczkę, która odsłania nogi, na to płaszcz z lamparta, obramowany futrem kape-lusz i ruszyłam do Shepherd's Bush. To dość męcząca podróż, a kolejka na linii Central jest strasznie powolna.

– Strasznie przepraszam za spóźnienie – powiedziałam, gdy Mungo otworzył drzwi. – I mam nadzieję, że zaczęliście... – Urwałam. Ście? Jakie ście? Gdzie byli inni goście? Mówił o kolacji na sześć osób.

– Czy inni goście też się spóźnili? – spytałam, podając mu butelkę niezłego sauvignon. – Już jest za piętnaście dziesiąta.

– No... – Roześmiał się. – Obawiam się, że nie ma innych gości, bo...

– Co? Chcesz powiedzieć, że nie przyjdą? Co za pech! To okropnie irytujące. Zda-rzyło mi się na ostatnie urodziny. Czterdzieści cztery osoby odwołały swoje przyjęcie. Może powinieneś przenieść kolację na inny dzień. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Mungo nic nie powiedział. Wziął mój płaszcz i zmierzył mnie od stóp do głów dłu-gim spojrzeniem.

– Fantastyczne futro – stwierdził. – Naprawdę uwielbiam lamparcie skóry.

– Oczywiście nie jest prawdziwe – wyjaśniłam szybko. – Nie byłoby mnie stać, cha, cha, cha! Żartuję. Nie nosiłabym prawdziwego futra. Ale to nie znaczy, że jestem wegeta-rianką. – I w tej chwili coś zauważyłam. A raczej brak czegoś. Zapachu jedzenia. Zapachu pieczeni z jagnięcia czy smażonej ryby, czy choćby quiche. Nic. Jedynie zapach starego kurzu. W małym pomieszczeniu. Prawie bez mebli. Z sofą, telewizorem i paroma zniszczo-nymi krzesłami. Powiedział: „dom”. Jego dom w Shepherd's Bush. To śmieszne.

– Co za obrzydliwe mieszkanie. – W gruncie rzeczy niczego takiego nie powiedzia-łam.

– Grudniowe powietrze zaostriżyło mi apetyt – stwierdziłam.

– Beznadziejnie gotuję, pomyślałem więc, że coś zamówimy. – Zamówimy? Niesamowite. – Lubisz hinduskie jedzenie?

– Tak, raczej tak.

– A może wolisz chińskie?

– Nie, niech będzie hinduskie.

– Napijesz się?

– Chętnie.
– Może być sauvignon? – zapytał ze śmiechem. Mój sauvignon najwyraźniej.
– Mhm. Poproszę. Od dawna tu mieszkasz? – spytałam. Mungo nalał mi wina i otworzył maleńką torebkę orzeszków, taką jaką się dostaje w samolocie.
– Jakies pół roku. Trochę tu ciasno, ale przez głupie prawo moja żona zatrzymała dom w Hammersmith.
– Chyba jej się przyda przy piątce dzieci.
– Być może, choć ja wołałbym go sprzedać. Ale co robić? – spytał z ironicznym uśmiechem, wzruszając ramionami. – Rozwodnicy zawsze mają gorzej.
– Dlaczego się rozwodzicie? – spytałam wprost.
– Nie wiem. Wyrzuciła mnie z domu. Została religijną fanatyczką i zaczęła chodzić do tego dziwnego kościoła w Notting Hill...
– Dziwię się, że miała na to czas przy piątce dzieci.
– Tam ją przekonali, że jestem wstrętnym, zadufanym w sobie, wiecznie pijanym, lubieżnym i bezużytecznym mężczyzną, za którego nigdy nie powinna była wychodzić.
– Czy twoja żona łatwo ulega wpływom?
– Nie, tego nie mogę powiedzieć. Ach, to nudna historia. Zamówmy lepiej jedzenie. Zazwyczaj przywożą po czterdziestu pięciu minutach. – Wręczył mi ulotkę z hinduskiej knajpki.

– Ja wezmę numer siedem, numer czterdzieści trzy i numer pięćdziesiąt sześć.
– A dla mnie poproszę krewetki garam masala, kurczę w sosie tikka i pilaw, to znaczy numer sześć, numer dwadzieścia dziewięć i numer czterdzieści jeden.

To było zupełnie jak loteria. Mungo dzwonił do restauracji, a ja gapiłam się na ściany. Tapety odłaziły z boków, jak parchy.

Mungo zaczął gmerać przy starym magnetofonie kasetowym. Nastawił Ellę Fitzgerald. Od zakończenia studiów nie byłam na równie ponurym przyjęciu. Ile czasu muszę tu jeszcze odsiedzieć? – zastanawiałam się ponuro. Przynajmniej Mungo był atrakcyjnym mężczyzną. Wyjątkowo atrakcyjnym. A ja umierałam z głodu. Na tym właśnie polega problem z piciem – jeden kieliszek białego wina sprawia, że staję się potwornie głodna. Postanowiłam, że zjem i wrócę do domu.

Zadzwonił dzwonek. Podeszedł do drzwi i odebrał jedzenie w czterech papierowych torbach. A potem zawołał:

– Trochę mi zabrakło, Tiffany! Masz przy sobie gotówkę?
– Tak, chwileczkę – odparłam, sięgając po torebkę i nadając mu przydomek Mungo Skapiec.

– Potrzebuję piętnaście funtów. – Piętnaście funtów! – Wielkie dzięki.

Poszedł z torbami do kuchni, skąd wyszedł z talerzami, plastikowymi widelcami i małymi torebeczkami z pieprzem i z solą, z napisem Dan Air. Przynajmniej jedzenie jest dobre – pomyślałam, gdy dolewał mi wina. A potem, nie wiem dlaczego, może dlatego, że czułam się najedzona i lekko ubzdryngolona, oparłam się wygodniej o oparcie sofy i wcale nie protestowałam, gdy usiadł koło mnie i zaczął opowiadać o swojej żonie i o rozwodzie.

Wiedziałam, że nigdy się już z nim nie umówię, mimo że był przystojny. Kiwałam głową i mruczałam coś uprzejmie, gdy jego monolog osiągnął histeryczny szczyt.

– I żadnego seksu. Nie chciała.

- Zrobiła to przynajmniej pięć razy – powiedziałam.
- Tak, o ile wszystkie dzieci są moje – stwierdził ponuro. – Podoba ci się mój garnitur? – spytał nagle, miętosząc w palcach marynarkę z wiskozy.
- Tak, jest bardzo ładny. – Ładny i błyszczący.
- Kosztował tylko trzydzieści pięć funtów – oznajmił z dumą. – Na wyprzedazy w magazynie.
- To świetnie. – Dyskretnie rzuciłam okiem na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Mogę już iść.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Mungo wstał, podszedł do wyłącznika światła i ściemnił je do pomarańczowej poświaty. Potem podszedł do telewizora i nastawił wideo. A potem wrócił i usiadł tuż przy mnie, tak że dotykaliśmy się kolanami. Co tu się dzieje? – pomyślałam. Rozbłysnął ekran telewizora. Mungo odwrócił się do mnie i uśmiechnął lubieżnie. Miałam nadzieję, że nie nastawił jakiegoś filmu porno. Nie mogłam oderwać oczu od jego kołnierzyka, którego rogi podwinęły się do góry, jakby z niesmakiem. Kołnierzyk przybliżał się coraz bardziej i zrozumiałam, że Mungo zamierza mnie pocałować. Jego twarz była już blisko mojej, wargi odsłaniały równe białe zęby. Cóż, taka sytuacja.

– Świt nad Aberystwyth... – powiedział z telewizora głos, który od razu rozpoznałam. To był głos Munga. Mungo stał na walijskiej plaży, z uniesionym przed wiatrem kołnierzem płaszcza. – To jest siedziba walijskich mięczaków – powiedział, idąc po piasku. – Drobnny przemysł, który daje pracę setkom miejscowych ludzi. A teraz... – Dramatycznie zawiesił głos i spojrzał na morze – ...mięczaki wysychają.

Spojrzałam na Munga. Już na mnie nie patrzył. Przyglądał się sobie w skupieniu z wyrazem intensywnego zadowolenia.

– To bardzo dobry kawałek – szepnął konfidencjonalnie, kiedy na ekranie pojawiło się wnętrze miejscowej restauracji. I tam znów siedział on sam, z serwetką wetkniętą za kołnierzyk od koszuli, z łyżką wzniesioną nad miską zupy. Zacerpnął, spróbował i uśmiechnął się ze smutkiem do kamery. – Zupa rybna w Aberystwyth jest równie smaczna jak ta w Nowej Anglii – stwierdził. Nagle zatrzymał wideo i cofnął taśmę.

- Zupa rybna w Aberystwyth jest równie smaczna jak ta w Nowej Anglii.
- Widzisz, dlaczego to jest takie dobre? Bo nigdy nie mówię z pełnymi ustami.
- Fantastyczne – powiedziałam znudzonym głosem.
- Tak, byłem naprawdę zadowolony. Kamerzystom też się podobało. – Znów włączył film i obejrzałam cały reportaż, wywiady z poławiaczami walijskich mięczaków, oburzonych mieszkańców i znaczące zdjęcia małych dzieci, których przyszłość w charakterze pakowaczy w miejscowej fabryce stała pod znakiem zapytania. Cały reportaż trwał dziesięć minut.

Odwróciłam się do Munga, aby poprosić o dolanie wina, ale majstrował coś przy pilocie. Ekran ściemniał, znów się rozjaśnił i nagle zobaczyłam Munga Browna, siedzącego z podniesionym kołnierzem na skale pośrodku pola.

– Tutaj, na Hybrydach Zewnętrznych – zaczął, przekrzykując podmuchy wiatru – życie toczyło się swoim torem od wielu dziesiątek lat. A nawet od wieków. Teraz jednak koniec dwudziestego wieku wkracza w spokojne życie tych zagrodników i nowe zagrożenie... – Nagle jakiś farmer w range roverze przejechał przed kamerą, potrząsając pięścią. – Musieliśmy wyciąć ten kawałek – wyjaśnił Mungo. – Byliśmy na jego polu.

Poczekaj... – Przewinął taśmę kawałek do przodu. – ...Nowe zagrożenie tradycyjnego życia przybrało formę wirusa w wyspiarskich komputerach...

Pół godziny później, kiedy obejrzałam już Munga Browna w Nottinghamshire rozmawiającego z byłymi górnikami, Munga Browna w Staffordshire z garnarczami i Munga Browna w Lincolnshire z plantatorami cebulek, miałam serdecznie dość Munga Browna.

- To niesłychanie fascynujące – powiedziałam, wstając – ale muszę się ruszyć.
- O nie, to ja się ruszę – oznajmił z pijackim chichotem, złapał mnie w pasie i usiłował przewrócić na podłogę.
- Odczep się! Co ty sobie wyobrażasz? – syknęłam, kiedy zaczął zdejmować krawat.
- Wiem, że chcesz, Tiffany.
- Co za bezczelność! Jak śmiesz? Za kogo ty mnie masz?
- Przyszłaś tu z własnej woli – stwierdził oburzony.
- Nieprawda. Miałam być jedną z sześciu osób. Nie wiedziałam, że planujesz *tête-à-tête*.
- Cóż. – Wstał i zaczerwienił się. Poprawił poliesterowy krawat. – Najwyraźniej się pomyliłem.
- Owszem.
- Ale myślałem, że zechcesz... No, wiesz...
- Co?
- Pójść z prądem.
- Tak, chcę pójść z prądem ulicznego ruchu. Wychodzę. Przynieś mi płaszcz. Dziękuję. Do widzenia i... – co miałam powiedzieć? Trudno, żebym dziękowała mu za przyjęcie. – Udanego rozvodu.

Nadal grudzień

Samotne życie wcale nie jest takie złe. Można w nim znaleźć wiele dobrych stron i po każdym nieudanym spotkaniu wyliczać pozytywne strony życia bez partnera. Wracając z Shepherd's Bush spędziłam przyjemne pół godziny, wypisując kolejne punkty w małym notesie, który w tym celu wożę ze sobą.

DOBRE STRONY SAMOTNEGO ŻYCIA

1. *Nigdy się ze sobą nie nudzisz.*
2. *Możesz jeść chipsy w łóżku.*
3. *Twoja bielizna od Janet Reger jest bezpieczna.*
4. *Nie jesteś żoną łobuza ani jakiegoś nudziarza.*
5. *Nie musisz bardzo starannie myć wanny po kąpielu.*
6. *Nie musisz oszałamiająco wyglądać i pachnieć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.*

7. Możesz utyć, jeśli chcesz.
8. Możesz oglądać serial: Xena, wojownicza księżniczka i nikt się nie wyśmiewa z twojego plebejskiego gustu.
9. Możesz oglądać Randkę w ciemno.
10. Możesz włożyć nóż od masła do stoika z dżemem.
11. W sytuacji podbramkowej możesz wyciągnąć z prania wczorajsze majtki.
12. Możesz bez przeszkód rozmawiać z urządzeniami domowymi.
13. Możesz spać w poprzek łóżka.
14. Możesz się zakochać.
15. Samotne życie jest bardzo modne.

– Masz rację, bycie samotną kobietą jest szalenie modne – powiedziała przez telefon Frances następnego dnia. – Super. Cieszę, że przyjąłeś mój punkt widzenia, Tiffany. Małżeństwo to przeżytek. Jesteśmy samotnymi kowbojkami i jesteśmy fantastyczne. Zapraszam cię na świątecznego drinka w przyszły poniedziałek. Od siódmej, dobrze?

– Na pewno przyjdę.

– Tak, urodzę Lottie naturalnie – mówiła do kogoś Sally na poniedziałkowym przyjęciu u Frances. – Uważam, że to najlepsze rozwiązanie. Nie chcę być anonimowym ciałem na taśmie produkcyjnej w szpitalu.

– Który jest twój rejonowy szpital?

– Chelsea i Westminster.

– Podobno jest wspaniały.

– Tak, tak, fantastyczny. Jak pięciogwiazdkowy hotel. Ale nie o to chodzi, prawda?

– Nie?

– Nie, chcę urodzić w domu, w basenie, przy dźwiękach cichej muzyki.

– Zajmuję się zaniedbaniami lekarzy i muszę pani powiedzieć, że porody w domu często mają tragiczne skutki. – Sally przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Nie chciała tego słuchać. – Opowiem pani o szczególnie fascynującym przypadku, jakim się zajmowałem w 1989 roku – kontynuował mężczyzna. – Był rzeczywiście straszny, dziecko zmarło. A położna...

– Chętnie posłucham, ale najpierw przyniosę sobie coś do picia – powiedziała Sally. – Zaraz wracam – skłamała, znikając w kuchni. Sally jest zawsze bardzo taktowna. To jedna z jej najlepszych cech. Od razu to zauważyłam, kiedy ją poznałam przed dziesięcioma laty. Musiałam napisać broszurkę o jej banku, Catch Manhattan, a jej przypadła rola wprowadzenia mnie w kwestie opcji i sprzedaży terminowych. Od tej pory się przyjaźnimy. I nigdy, przenigdy nie widziałam, żeby się zdenerwowała czy okazała choćby odrobinę zniecierpliwienia. Fantastycznie nad sobą panuje.

Nagle zadzwonił dzwonek i wszedł Kit z Portią. Ach, dlaczego nie wyszłam za Kita, pomyślałam z żalem kolejny raz.

– Tiffany! – Rozkosznie mnie przytulił. Dlaczego?

– Witaj, Kit. Witaj, Portia.

Portia uśmiechnęła się do mnie. Bardzo ciepło. To było coś nowego. I wyglądała... inaczej. Kilka razy, gdy się łaskawie zgodziła przyjść z Kitem do mnie na przyjęcie, stała

znudzona, niegrzecznie ciągnąc go za rękaw lub wywracając oczami, żeby pokazać, że ma absolutnie dość. Teraz była bardziej ożywiona. I trzymała Kita za rękę. Bardzo zdecydowanie. Nigdy tego wcześniej nie widziałam.

– Przepraszamy za spóźnienie, powiedział Kit. – Musieliśmy wstąpić na chwilę na inne przyjęcie.

Dlatego Portia się uśmiecha? – pomyślałam. Musiała już wypić kilka kieliszków.

– Co za cudowna choinka, Frances! – wykrzyknął z podziwem Kit.

Choinka sięgała prawie do sufitu i była pięknie ubrana – nie w pospolite kolorowe kokardy w starannie dobranych dwóch kolorach, lecz w różnokolorowe śliczne szklane bombki i migoczące, drobne lampki. Na samej górze był porcelanowy anioł z wielkimi skrzydłami ze złotego szyfonu.

– Kit, chodź na chwilę do kuchni – powiedziała Frances. – Ktoś mi musi pomóc w przygotowaniu drinków.

Zostałam z Portią pod choinką. Portia jest bardzo wysoka. Z Kitem tworzą dość komiczną parę, bo on ma metr siedemdziesiąt trzy, a ona metr osiemdziesiąt. Metr osiemdziesiąt sześć w butach na obcasie. Ale teraz miała buty na płaskim obcasie. To też było niezwykle. Kiedy oparła się łokciem o półkę nad kominkiem, dyskretnie przyjrzałam się jej twarzy: wystające kości policzkowe, rozjaśniona cera i wielkie szaroniebieskie oczy, które w świetle migoczących płomieni wyglądały na prawie turkusowe. Nic dziwnego, że Kit ją kocha. Jest piękna.

– Mam wszystkiego po dziurki w nosie, Tiffany – powiedziała z akcentem z Streat-ham. – Właśnie skończyłam okropne zdjęcia dla Harpers & Queen w Longleat.

– To chyba fajna praca.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo fotografowali kostiumy kąpielowe. Dobrze będzie, jak nie dostanę zapalenia płuc. Facet, który jest właścicielem Longleat, Aleksander Thynne, wciąż się koło nas kręcił.

– Może szuka kolejnej żoneczki – podsunęłam.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała Portia, gdy Kit przyniósł nam po wielkiej szklance martini i znów sobie poszedł.

– Tak naprawdę to znudziło mi się bycie modelką – poinformowała, wypijając jedynym haustem połowę drinka. Coś takiego! Do tej pory prawie nigdy ze mną nie rozmawiała, nie mówiąc już o zwierzeniach. – Mam trzydzieści dwa lata – dodała. – Czuję się wypalona. Jestem na to wszystko za stara, dziewczyny mówią o mnie „babcia”, a sesje zdjęciowe są koszmarnie nudne.

– A pokazywanie ubrań na wybiegach? Nie jest ciekawe?

– Nienawidzę wybiegów – stwierdziła gwałtownie, upijając kolejny łyk martini. Naprawdę się rozluźniła. – Musisz wstać o wpół do szóstej, żeby w porę zdążyć na jakieś lotnisko. Potem snujesz się za kulisami i obmawiasz projektantów. Mam dość pieniędzy. Chciałabym zrobić coś znaczącego. W końcu mam jeszcze rozum, nie?

– Co chciałabyś robić? – spytałam, powstrzymując się od złośliwej uwagi.

– Może pracować dla organizacji samarytan – odparła, pociągając ze szklanki. – Chciałabym pomagać ludziom. Naprawdę to lubię. Rozwiązywać ich problemy. Przez ostatnie piętnaście lat nasłuchiwałam się o problemach dziewczyn, z którymi pracowałam:

alkohol, narkotyki, anoreksja, bulimia, kłopoty z facetami, rozwody, awantury rodzinne, walka o dzieci... Trudno nawet byłoby ci uwierzyć. Oczywiście musiałabym najpierw skończyć jakiś kurs.

– Oczywiście – powiedziała zdumiona. Martini było naprawdę mocne.

– Ale najważniejsze jest to, że chcę spędzać więcej czasu z Kitem.

– To dobry pomysł.

– Dlaczego nie wysłaś za Kita, Tiffany?

– Naprawdę, Portia, co za śmieszne pytanie, cha, cha!

– Chciałabym wiedzieć dlaczego. – Udałam, że nie słyszę.

Tuż za nami Lizzie i Martin rozmawiali z Catherine.

– Nie, nie jedziemy na narty. Wybieramy się w dość specjalne miejsca – powiedziała Lizzie. – W styczniu. Chile i Wyspa Wielkanocna. Martin zawsze marzył o tym, aby pojechać na Wyspę Wielkanocną, prawda, kochanie?

– Tak – odparł z radością Martin. – To prawda.

– Od dawna interesuje się tymi wielkimi kamiennymi posągami.

– Odkąd byłem małym chłopcem.

– Są rzeczywiście szalenie interesujące – stwierdziła podekscytowana Catherine. – Nikt nie ma pojęcia, skąd się tam wzięły. Robiłam na ten temat projekt do egzaminu maturalnego z geografii. Wam to dobrze.

– Pomyślałam, że już najwyższy czas, aby Martin mógł zrobić to, co naprawdę chce – powiedziała Lizzie, ściskając go z czułością za ramię. – Tak ciężko pracuje. Moja mama przyjedzie i zajmie się dziewczynkami.

Tymczasem Martin i Kit rozprawiali o czymś zawzięcie. Wyglądali jak starzy dobrzy przyjaciele. Ciekawe, czy przyznali się Portii i Lizzie do tamtego weekendu?

– Wiem, że twoim zdaniem byłam dla Kita wstrętą – powiedziała Portia. Co?

– Ależ skąd! – skłamałam, popijając martini. – Dlaczego miałabym tak myśleć?

Odrzuciła głowę do tyłu i wypila resztę drinka.

– Bo taka właśnie dla niego byłam. Ale on mnie dusił – kontynuowała, wymachując oliwką na wykałaczce i lekko chwycając się na nogach. – Te wszystkie naciski. Nie mogłam tego znieść. Namawianie na dzieci, tak jakbym mu była wyłącznie do tego potrzebna. Nawet nie wiedziałam, czy w ogóle chciałabym mieć dzieci. I nadal nie wiem.

– No...

– I te wszystkie kasety wideo z Teletubisiami. I zakupy w IKEI. A w tym jego samochodzie, w discovery, czułam się jak kretyka. On tymczasem niczego nie rozumiał. Jeszcze do niedawna nie pojmował, że sama chcę dokonywać wyborów i podejmować decyzje, kiedy mnie to odpowiada.

– To całkiem zrozumiałe.

– Tak, chyba wreszcie to do niego dotarło – stwierdziła w stanie wskazującym na spożycie. – Nie wiem dlaczego, ale nie jest już taki klaustrofobiczny. Zmienił się. W gruncie rzeczy... Ale Tiffany, chciałam... – Pochyliła się do przodu. – Chciałam... powiedzieć ci coś innego. – Z przerażeniem pomyślałam o dalszych wynurzeniach Portii. Położyła mi rękę na ramieniu. – Chciałam ci powiedzieć... ile znaczysz dla Kita. – O nie, tego już było za dużo. – I nigdy, przenigdy nie próbowałam ograniczać waszych kontaktów, bo wiem, ile dla niego znaczą. Jaka jesteś dla niego ważna. – Czułam, że moje szkła kontaktowe wpływają mi z oczu razem ze łzami.

– Dzięki – powiedziałam. – Czuję to... Naprawdę nie mam pojęcia, co zrobiłabym bez... Przepraszam, zaraz wrócę.

Postanowiłam wracać do domu. Czułam, że jestem coraz bliżej emocjonalnego załamania. Portia wyzwoliła to, co kłębiło się od dawna gdzieś w podświadomości.

– Zostań jeszcze, Tiffany – zabuczała Frances.

– Jest dziewiąta czterdzieści pięć i czuję się wykończona. Ale dziękuję za wspaniałą wieczór. Wyjdę po angielsku.

– Może zamówić ci taksówkę?

– Nie, dziękuję, złapię coś na ulicy.

Akurat. Kiedy wyszłam od Frances, padał deszcz. Idąc Leverton Street i skręcając w Kentish Town Road ledwo widziałam bruk pod nogami. Co za żaloszny widok! Brudne strumienie wody, pełne śmieci, płynęły ulicą. Puszka po coli z hałasem potoczyła się na jezdnię i została zgnieciona przez przejeżdżający samochód. Wystawy sklepów przystrojone były białymi błyskotkami i mrugały tanimi światełkami. Oczywiście ani śladu taksówki i w dodatku zapomniałam zabrać komórkę. Będę musiała czekać na autobus. Niech to cholera weźmie!

Brodząc po kałużach w popękanych płytach chodnikowych, znów pomyślałam o Człowieku Sukcesu. Ciekawe, gdzie spędzi święta. Nie w domu, z rodzicami, bez partnera, tak jak ja. Przypuszczalnie z tą piękną dziewczyną, z którą widziałam go w Ritzu. Która zapewne nieźle się ubawiła z mojej kartki z Club Med. Zapewne weźmie ją na narty. Albo gdzieś na słońce, do Tunezji albo do Hiszpanii. Choć może ona woli Barbados. Torturowałam się psychicznie i przeklinałam za to, że zapomniałam komórki, gdy znalazłam się przed wypożyczalnią telewizorów. Długi rząd telewizorów migotał, każdy nastawiony na inny kanał. Na jednym widać było Jade Jewel w jakimś egzotycznym miejscu, ciekawe gdzie? Wyglądało jak Kapsztad. Obok David Dimbleby wymachiwał do publiczności w programie *Pora pytań*. Na Kanale 5 dawali *Halo Dolly* z Barbarą Streisand. Na następnym ekranie Trevor McDonald z *Wiadomości o dziesiątej* coś zapowiadał i nagle... Pojawił się Mungo Brown z... Skąd dziś nadawał? Londyn. Kingsway. Słowa „na żywo” zamigotały na ekranie. Stał z grupą bezdomnych, którzy czekali w kolejce na talerz zupy, wydawanej ze specjalnie przystosowanej furgonetki lodziarza. Mungo przeprowadzał wywiady, podtykając wielki mikrofon pod drżące z zimna, brodate twarze. Potem podszedł do furgonetki i kamera pokazała mężczyznę w impregnowanej kurtce, który wydawał zupę... Zatkano mnie. Co? Dlaczego...? Czemu o tym nie wiedziałam? Dlaczego nie miałam pojęcia, że zajmuje się takimi rzeczami? Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. Dlaczego nie wiedziałam, że Człowiek Sukcesu pomaga bezdomnym? Przycisnęłam twarz do szyby, ale oczywiście nic nie słyszałam. Co on mówił? Koniecznie chciałam usłyszeć. Wytarłam deszcz z szyby i usiłowałam czytać z ruchu warg. Nic z tego. Widziałam jednak, że jest lekko zirytowany na Mungo, ponieważ Munga nagle odwrócił się z powrotem do kamery, lekko zbity z tropu i zakończył reportaż. „Mówił Mungo Brown dla ITN z centralnego Londynu”. I znów pojawił się Trevor McDonald.

Czułam się jak sparaliżowana. Człowiek Sukcesu pomagający przy wydawaniu zupy dla bezdomnych. Święty Człowiek. Boże, Boże, a ja tak źle o nim myślałam. Szkoda, że odrzuciłam jego propozycję, pomyślałam, wsiadając do autobusu.

- Cześć, Mungo – powiedziałam następnego dnia do słuchawki. – Mówi Tiffany.
- Cześć – odparł bez entuzjazmu.
 - Dzwonię, aby powiedzieć, że widziałam cię wczoraj w wiadomościach.
 - To raczej nic dziwnego.
 - Wiem, Mungo. To znaczy zawsze jesteś na małym ekranie. Ale chciałam powiedzieć, że twój reportaż o bezdomnych był fantastyczny. Uderzający.
 - Tak. To prawda.
 - Nie mogłam oderwać wzroku od telewizora.
 - Dziękuję.
 - Szukałam pieniędzy po kieszeniach.
 - To dobrze.
 - A ten facet, z którym rozmawiałeś, jak on się nazywał...? Ten, co wydawał zupełnie...? – Czekałam, że Mungo poda mi nazwisko. Proszę, proszę, Mungo! – Nie zapamiętałam, jak on się nazywał...
 - Chodzi ci o tego faceta w furgonetce?
 - Tak. Wyglądał bardzo interesująco. – No, mów, do diabła. – Ciekawa jestem...
 - Interesująco? Był beznadziejny. Nie miał pojęcia, kim jestem i wcale nie chciał ze mną rozmawiać. – Powiedz, jak się nazywa! – Choć dzięki mnie miał szansę wystąpić w ogólnoangielskiej telewizji na żywo. Zmarnował okazję.
 - Kto to jest, Mungo?
 - Nie mam pojęcia. Jest ich bardzo dużo. Nadziani ochotnicy, którzy co tydzień przyrządzają zupełnie dla bezdomnych i wydają ją ze starej furgonetki. Ten facet ma masę szmalu, jak wszyscy. W ten sposób, rozdając zupełnie ogonową, uciszają sumienia.
 - Tak, ale potrzebne mi jest jego nazwisko.
 - Kiedy ja go nie znam. Szczerze mówiąc, rozżościł mnie. A poza tym, po co chcesz wiedzieć? – spytał podejrzliwie. Byłam przygotowana.
 - Chciałabym się związać z podobną instytucją i sądziłam, że mógłby dać mi pewne wskazówki.
 - Lepiej porozmawiaj z jego dziewczyną.
 - Ach tak? – Kawałek szkła przeorał mi aortę.
 - Przynajmniej wydaje mi się, że to była jego dziewczyna. Rozmawiałem z nią, nim zaczęliśmy kręcić. Siedziała z tyłu furgonetki poza zasięgiem kamery.
 - Ach tak? – No, oczywiście.
 - Dość atrakcyjna. Długie kręcone włosy. Ma na imię Grace. Wziąłem numer jej telefonu w pracy. Ona będzie wiedziała.
 - Tak rozumiem. Nic nie szkodzi.
 - Chcesz jej telefon?
 - Nie, nie. Dam sobie radę. Dziękuję. I wesołych świąt.

W sylwestra wlokłam się Oxford Street, ramię w ramię z tysiącami innych ludzi, starając się nie wpaść we wściekłość chodnikową. Ale ludzie deptali mi po palcach, wpadali

wprost na mnie i nieuważnie potracali torbami pełnymi zakupów. W tłumie nie dało się iść szybciej niż półtora kilometra na godzinę. Chciałam kupić tylko jedną rzecz i nawet nie musiało to być na wyprzedaży – prostą koktajlową sukienkę na powitanie Nowego Roku. Ale gdzie jej miałam szukać? Czerwone afisze „Wyprzedaż” wisiały na każdej wystawie. „Obniżka czterdzieści procent” obwieszczały wystawy Selfridges. „Totalna oszczędność” u DH Evansa. Postanowiłam wejść do Monsoon i właśnie usiłowałam się tam przedostać przez ciżbę poszukiwaczy okazji, kiedy jakiś człowiek zaferował mi ulotkę.

– Przykro mi – powiedziałam – ale znam już angielski.

– To nie jest reklama kursów językowych – stwierdził z dziwnym uśmiechem – lecz coś znacznie ciekawszego.

Ciekawe co? Wzięłam od niego ulotkę i rzuciłam okiem. Na górze tłustymi literami było napisane: „Jesteś samotny?” To była reklama czegoś, co się nazywało Urzeczenie.

Czy w twoim życiu jest ktoś specjalny?

– Nie.

Czy masz wrażenie, że zawsze będziesz sama?

– Tak.

Czy trudno ci spotykać nowych, interesujących ludzi?

– Tak.

Czy chcesz pozostać na dolnym szczeblu Romantycznej Drabiny Życia?

– Nie, nie chcę.

Nie czekaj na przypadek – wybieraj! Z Urzeczeniem. Zapisz się do nas i spotkaj swoje przeznaczenie.

W środku był kwestionariusz i adres zwrotny. Nie czekaj na przypadek – wybieraj! Nie czekaj na przypadek – wybieraj! Z drugiej strony słyszy się takie okropne rzeczy o agencjach matrymonialnych. Biorą pieniądze, a potem się likwidują. Obiecują ci dwustu odpowiednich mężczyzn, a potem się okazuje, że większość z nich nie nadaje się do niczego. Sprzedają adresy innym firmom i do końca życia dostajesz pocztą stopy śmieci. Agencja matrymonialna? Chyba żartujesz, pomyślałam, z trudem wchodząc do Johna Lewisa. To już naprawdę dno. A potem wyjęłam z torebki długopis i starannie wypełniłam kwestionariusz.

– Noworoczne postanowienia! – krzyknęła Sally na balkonie, przyglądając się fajerwerkom wybuchającym w aksamitne niebo nad rzeką przy Tower Bridge.

– Zrobię coś wariackiego! – zawołała pijanym głosem Emma, kiedy rozległy się pierwsze dźwięki Big Bena. Bang! – I wpakuję się w kłopoty!

– A ja zgłupieję – powiedziała Frances. Bang!

– Będę się upijać – stwierdziła Catherine.

– Zacznę zażywać narkotyki – powiedział Hugh. Bang!

– Zostanę terapeutką – oznajmiła Lizzie, nalewając nam taittingera. Bang! – I będę wam wszystkim pomagać.

– A ja będę miała dziecko! – powiedziała Sally, której brzuch stał się zdecydowanie wystający. Bang!

– To oszustwo! – krzyknęła Emma. – Mówisz teraz o tym, co ci się przydarzy, a nie o noworocznym postanowieniu. Jeszcze raz!

- No... Mmmm... – Bang! – Będę dawać więcej pieniędzy organizacjom charytatywnym. – Bang!
- Będę się częściej gimnastykować – powiedziała Frances. Bang!
- Nie będę wyrzucać do śmieci pustych butelek – dodała Emma. Bang!
- Przestanę myśleć o Człowieku Sukcesu. – To ja. Bang!
- Zacznę myśleć o moim mężu – postanowiła Lizzie, całując Martina. Bang!
- Pomaluję komórkę – obiecał.
- Zapiszę się do agencji matrymonialnej – powiedziałam. Bang!
- Szczęśliwego Nowego Roku! – zawołaliśmy chórem, całując się, ściskając i stukając kieliszkami. – Szczęśliwego Nowego roku! Szczęśliwego Nowego roku!

Było zimno i wszyscy weszli do środka, ale ja zostałam jeszcze przez chwilę na balkonie, wpatrując się w ciemny, silny nurt Tamizy. Może to będzie szczęśliwy rok, pomyślałam. Rok to bardzo długo.

Styczeń

Uważam, że to genialny pomysł – powiedziała Kate. – Naprawdę. – Byłyśmy w jej mieszkaniu w Maida Vale. Pokazywała mi zalety specjalnego urządzenia Tylko Pięć firmy Mediwave do niechirurgicznego liftingu twarzy. Właśnie kupiła sobie coś takiego. Za dwieście pięćdziesiąt funtów. Prawdę mówiąc, trochę mnie to wszystko przeraża.

– Zabiera ci zaledwie pięć minut – powiedziała, przykładając cztery pary elektrod do twarzy. – Dlatego tak się nazywa, Tylko Pięć. Dobre, co?

– Fantastyczne. Uważaj!

– Musisz połączyć te podkładki z grupami głównych mięśni twarzy. O tak. – Wyglądała jak Frankenstein. Nacisnęła przycisk i nagle jej twarz zaczęła się wykrzywiać.

– Teraz przepuszczam prąd przez... mięśnie zygomatyczne – wyjaśniła z podskakującymi policzkami. – To są mięśnie górnych policzków. Skoncentruję się również na mięśniach nosowo-labialnych, ponieważ... trochę się o nie martwię. Uważam, że zapisanie się do... agencji matrymonialnej to wspaniały pomysł. – Mówiła zrywami między seriami elektrycznych impulsów, powodujących skurcze. – Sama może to zrobić... pewnego dnia, jeśli się okaże, że... Mike to nie to. W zasadzie to jest... gimnastyka dla twarzy. Ćwiczmy mięśnie nóg i rąk... prawda? A to działa na tej samej zasadzie. – Przesunęła wskaźnik. – Teraz zwiększę trochę... natężenie prądu – dodała. Tym razem policzki i górna warga nie podskakiwały, lecz wykręcały się w konwulsjach, a mięśnie nad oczami kurczyły się bardziej niż u Herberta Loma w *Różowej panterze* czy u Johna Tusy'ego, gdy pracował w wiadomościach telewizyjnych.

– Mam pomysł – powiedziałam – ale trudno mi z tobą rozmawiać.

– Już niedługo... Tiffany. Poczekaj. – Nagle maszyna zapiszczała, oznajmiając koniec sesji. Kate zdjęła podkładki. Na twarzy, tam gdzie prąd stymulował skórę, miała okropne czerwone plamy. – Moja twarz wykonała ekwiwalent połowy maratonu i paru setów tenisa – stwierdziła z triumfem. – Czy wyglądam młodo?

– Tak – odparłam szczerze.

- Czy wyglądam na dwadzieścia osiem lat? Tak jak Mike?
 - No tak. Chyba tak. Ale właściwie po co to robisz, Kate?
 - Ponieważ teraz, kiedy mam faceta, muszę jeszcze bardziej dbać o swój wygląd.
 - Przecież Mike wie, ile masz lat, prawda? – Cisza. – Prawda?
 - Jeszcze nie. Myśli, że mam trzydzieści. Jeśli sytuacja będzie poważna, na co mam nadzieję, to oczywiście mu powiem, ale teraz staram się, żeby moje ciało było ładne i jędrne. Naturalnie jeszcze grubo za wcześnie na operację plastyczną twarzy. Nóż wchodzi w grę po czterdzieście.
 - Jeżeli naprawdę mu się podobaś, to twój wiek nie będzie miał znaczenia.
 - Wiem. W każdym razie jeśli mi nie wyjdzie, zrobię to, co ty. Kiedy się zapisujesz?
 - Niedługo. Mają do mnie zadzwonić.
- Telefon zadzwonił następnego dnia.
- Panna Trott?
 - Tak, to ja.
 - Halo. Mam na imię Stuart – powiedział męski głos. Kto to mógł być? – Jestem z Urzeczenia, z działu osobistego.
 - Ach tak, witam.
 - Dziękuję za pani kwestionariusz i cieszę się, że mogę panią zapewnić, iż nadaje się pani do wstępnej rozmowy.
 - Fajnie.
 - Zapraszamy panią do naszego biura w Londynie. Czy mogę zaproponować najbliższy poniedziałek?
 - Chciałabym się najpierw dowiedzieć czegoś bliższego przez telefon.
 - To nie jest konieczne. Lepiej od razu spotkać się z jednym z naszych konsultantów.
 - Ale chciałam zapytać...
 - Z pewnością szuka pani odpowiedniego mężczyzny, a my mamy wielu takich mężczyzn w naszym rejestrze.
 - Dobrze, ale jak na przykład...
 - Jest pani z pewnością bardzo zajęta kobietą sukcesu.
 - Tak, raczej tak.
 - I jest pani w wieku, kiedy wszystkie przyjaciółki już wyszły za mąż.
 - Nie, nie wszystkie.
 - Wszystkie wyszły za mąż – mówił dalej, zadowolony z siebie – a pani jest coraz trudniej spotkać kogoś odpowiedniego.
 - No... tak.
 - Postanowiła pani zatem zgłosić się do nas. Jest pani ofiarą społeczeństwa, w jakim żyjemy.
 - Ile to kosztuje? – spytałam szybko.
 - Ooch, nie podajemy takich informacji przez telefon.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ jest wiele poziomów członkostwa – wyjaśnił po chwili wahania.
 - Rozumiem. Ale wie pan, mniej więcej, jakiego rzędu suma wchodzi w grę? – nalegałam.
 - Nie mogę powiedzieć. Jest wiele poziomów członkostwa.
 - Tak, tak, wiem. Dopiero co pan to powiedział.

- Musimy wybrać taki, który będzie dla pani najlepszy.
 - Dlaczego nie mogę wybrać sama?
 - Bo to nie byłoby właściwe. Uważam, że jeszcze dziś powinna się pani umówić na jakiś dogodny dla pani, niezbyt odległy termin.
 - Proszę posłuchać – powiedziałam stanowczo. – Na nic się nie umówię, dopóki się nie dowiem teraz, zaraz, ile to mnie będzie kosztować.
 - Obawiam się, że nie mogę tego pani powiedzieć.
 - Naprawdę nie rozumiem dlaczego.
 - Dlatego, że nigdy nie omawiamy spraw finansowych przez telefon.
 - Wciąż nie pojmuję, dlaczego nie może mi pan powiedzieć, w ramach pewnych widełek, ile pańska agencja bierze od klientów.
 - Dlatego, że to zależy od wielu czynników. Nigdy nie mówimy o pieniądzach przed osobistym spotkaniem z klientem.
 - Uważam, że powinniście to robić.
 - Słucham?
 - Uważam, że powinniście – powtórzyłam wyraźnie.
 - Niby dlaczego? – spytał zaczepnie.
 - Ponieważ dla potencjalnych klientów nie jest obojętne, ile pieniędzy u was zostawia i chcieliby to wiedzieć, zanim się zdecydują na korzystanie z waszych usług – stwierdziłam zdecydowanie. – Słyszy się o agencjach „krzak”, które naciągnęły ludzi na tysiące funtów, a potem...
 - Czy pani zawsze ma taki zły humor? – spytał nagle.
 - Nigdy nie mam złego humoru – syknęłam.
 - Tak, teraz rozumiem kilka rzeczy. Na przykład, dlaczego nie wyszła pani...
- Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam głęboko oddychać.

- To jakaś banda kretynów – stwierdziła bez ogródek Sally, kiedy spotkałyśmy się czwartego stycznia na jej pierwsze po świętach zajęcia jogi. – Będziesz musiała dokładnie wy badać sytuację, jeśli chcesz w tym uczestniczyć – dodała. – Żebyś znowu nie wpadła w pułapkę, tak jak z tym Człowiekiem Sukcesu. Musisz wiedzieć, co jest grane.
- Wiem.
- Słyszy się koszmarnie historie o agencjach matrymonialnych.
- To też wiem.
- Jestem pewna, że istnieje jakieś oficjalne stowarzyszenie skupiające uczciwe agencje. Powinnaś tam zadzwonić i poprosić, żeby ci kilka polecili.
- Genialny pomysł.

Po południu zajrzałam do książki telefonicznej, znalazłam Brytyjskie Stowarzyszenie Agencji Matrymonialnych i zadzwoniłam. Sympatyczna kobieta podała mi listę agencji-członków stowarzyszenia z numerami telefonów. Wybrałam trzy z nich. Pierwszy był numer Agencji Matrymonialnej Ruby Penhaligon, założonej w 1940 roku. To dobrze, pomyślałam, mają duże doświadczenie. Asystentka powiedziała mi przez telefon, że kładą nacisk na małżeństwo.

- Choć to nie jest *stricte* biuro matrymonialne, prawie wszyscy nasi klienci szukają męża lub żony – wyjaśniła. – Czy mam panią zapisać na spotkanie z panną Penhaligon?
- Panną?
- Tak. – Zaśmiała się krótko.

W następną środę udałam się na Primrose Hill. Agencja mieściła się w wąskim domu tuż obok Regent's Park Road. Z dużego holu na dole zaprowadzono mnie kręconymi, drewnianymi schodami do dużego salonu, umeblowanego pokrytymi perkałem meblami z lat czterdziestych. Na stolikach leżało mnóstwo ładnych drobiazgów. Pokój sprawiał miłe wrażenie, zachęcająco staromodne, choć Ruby Penhaligon wyglądała nieco groźnie. Wysoka i szczupła, miała w sobie coś z nauczycielki. Czułam się, jakbym została wezwana do dyrektorki z powodu jakiegoś wybryku.

– Na pewno się pani zastanawia, dlaczego sama nie wyszłam za mąż – powiedziała z miłym uśmiechem.

- Ależ skąd – skłamałam bez mrugnięcia okiem.
- Mój narzeczony zginął...
- Strasznie mi przykro.
- ...w wypadku samochodowym w 1955 roku i przez to nie złożyłam świątych ślubów małżeńskich. Ale mam nadzwyczajny talent do pomagania innym pod tym względem. – Super. Mam nadzieję, że i mnie pomoże, pomyślałam. Rozejrzałam się po pokoju. Żadnych ekranów komputerowych ani centralek telefonicznych. Jedynie ta sympatyczna sześćdziesięciolatka z segregatorem.

– Niech mi pani opowie o swojej przeszłości, najwyraźniej bardzo nieszczęśliwej – powiedziała z wyrazem współczującej troski.

O cholera! Nie nazwałabym mojej przeszłości bardzo nieszczęśliwą.

– Straciłam mnóstwo czasu na paru totalnie bezsensownych facetów. – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – No cóż, byłam związana z dwoma mężczyznami, ale oni panicznie bali się zaangażować. Oto cały problem. Oczywiście nie jednocześnie – dodałam pospiesznie.

– Ojej, to częsty problem – powiedziała, potrząsając głową tak energicznie, że myślałam, iż pogubi szpilki z kasztanowego koka. – Bardzo częsty problem. Jednakże mogę panią zapewnić, że panowie, którzy do mnie przychodzą, nie obawiają się zaangażowania. Wręcz przeciwnie.

– To dobrze.

– Bardzo chcą się ożenić – dodała, muskając palcami koronkowy kołnierzyk plisowanej bawełnianej bluzki. – I wiedzą, że mogą mi zaufać. Że na pewno znajdę im kogoś odpowiedniego. – To brzmiało całkiem niezłe. A nawet bardzo dobrze. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam setki mężczyzn podających mi pierścionek zaręczynowy, taki jak dostała Posh Spice Girl.

– W jaki sposób dopasowuje pani ludzi do siebie? – spytałam, popijając earl greya.

– Dzięki intuicji – odparła, stukając się w skroń wskazującym palcem lewej dłoni. – I, naturalnie, czterdziestu latom doświadczenia zawodowej swatki. Niektóre z tych nowych agencji – powiedziała z delikatnym lekceważeniem – są szalenie zawodne i, prawdę mówiąc, raczej niebezpieczne. Z tymi wszystkimi komputerami, bazami danych i nie wiadomo czym jeszcze! Ja, na przykład, nie używam fotografii, gdyż w moim przekonaniu wygląd to sprawa bardzo, bardzo subiektywna.

Czyżby? Nie byłabym taka pewna. Przykładowo Pierce Brosnan jest obiektywnie niesłychanie przystojnym facetem, a Winona Ryder jest obiektywnie jedną z najładniejszych aktorek na świecie. Czy to jest subiektywne? Nie. W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Żadnych zdjęć? Jeśli miałam zostać jej klientką, wolałabym zobaczyć, do kogo mnie będzie dopasowywać. Ci faceci na pewno też by woleli.

– Niech mnie pani traktuje jak przyjaciółkę – mówiła panna Penhaligon. – Mądrą pośredniczkę, której zależy wyłącznie na pani szczęściu.

– A ile to kosztuje? – zapytałam.

– Tysiąc funtów. – Tysiąc!

– A ilu pasujących do mnie mężczyzn ma pani w swoim zeszycie?

– W rejestrze, proszę pani. To się nazywa rejestr.

– Przepraszam.

Otworzyła segregator. W środku był cienki plik kartek zapisanych maszynowym piśmem.

– Dla kogoś takiego jak pani, osoby inteligentnej i odnoszącej sukcesy zawodowe, mam tylko paru kandydatów.

– Ach tak? – powiedziałam, odstawiając filiżankę na mały, mahoniowy stolik. – Tylko paru?

– Tak. Tylko paru. Oczywiście z powodu pani wieku. To jest problem.

– Problem? Dlaczego?

– No cóż, wielu mężczyzn, powiedziałabym nawet, że większość, szuka kobiety wyżej trzydziestopięcioletniej. Albo młodszej. Dlatego możemy mieć pewne trudności.

– Ale wszyscy moi przyjaciele uważają mnie za atrakcyjną kobietę.

– Oczywiście. Jest pani atrakcyjna. Jednakże nie o to chodzi, prawda? Nie chodzi o to, że jest pani inteligentna, atrakcyjna i ma sukcesy zawodowe. Chodzi o to, że ma pani więcej niż trzydzieści pięć lat, a mężczyźni nie chcą...

– Przecież nie wszyscy są tak ograniczeni – przerwałam, zirytowana i rozczarowana. – Czy mogę wiedzieć, ilu ma pani mężczyzn w zeszycie, to znaczy chciałam powiedzieć w rejestrze?

– Obawiam się, że nie mogę zaspokoić pani ciekawości – odparła, bawiąc się łyżeczką do herbaty.

– A czy wobec tego może mi pani powiedzieć z kim, teoretycznie, by mnie pani poznała?

– Cóż – stwierdziła, szeleszcząc papierami. – Mam jednego czarującego mężczyznę. Bardzo sympatycznego. Dobrze ustawionego zawodowo. Ma czterdzieści jeden lat i jest księgowym. Ale...

– Ale co?

– No, jest bardzo...

Pochyliłam się na krześle.

– Bardzo co?

– Bardzo gruby – szepnęła. – Przeszkadzają pani grubi mężczyźni?

– Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Jak gruby? – Czy rozmawiamy o kimś w typie Robbiego Coltrane'a?

Poruszyła się niespokojnie.

– Bardzo gruby – powiedziała cicho. – Strasznie gruby.

- Szczerze mówiąc, to może być problem. Widzi pani, lubię grać w tenisa.
- Nawet Pavarotti gra w tenisa.
- To prawda, ale wydaje mi się, że dam sobie spokój z grubasem. – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – Ma pani kogoś jeszcze?
- Tak, tak – odparła z ożywieniem. – Też czarujący mężczyzna. Jest dziennikarzem finansowym. To bardzo interesujący człowiek i ma doskonałe geny. Jego dziewięćdziesięcioletni ojciec nadal chodzi po górach.
- Fantastycznie! – wykrzyknęłam, a potem pomyślałam: dziewięćdziesiąt trzy lata? – Ile lat ma ten człowiek, o którym pani mówi? – spytałam.
- Posłała mi nerwowy uśmiech.
- Pięćdziesiąt dwa.
- Aha. Wydaje mi się, że to trochę za duża różnica wieku. Piętnaście lat. Nie sądzę, abym chciała wyjść za kogoś, kto jest ode mnie starszy o piętnaście lat. Chyba żeby był szalenie przystojny, ale nawet wtedy to nie byłaby idealna sytuacja. A jest przystojny?
- Wygląd to sprawa bardzo subiektywna – powiedziała znów z przymilnym, choć lekko zdenerwowanym uśmiechem.
- Moim zdaniem niekoniecznie. Czy mogłaby go pani opisać?
- Strzepnęła wymaginowany okruch z szerokiej spódnicy i nerwowo wypła łyk herbaty.
- No... jest średniego wzrostu i nie ma dużo włosów, jest raczej chudy, właściwie bardzo chudy. Ale jestem pewna, że chciałby panią poznać – dodała.
- Szczerze mówiąc wątpię, czy ja bym tego chciała.
- Jemu bardzo zależy na powtórny ożenku.
- Musiałby mi się podobać, a z pani opisu wynika coś wręcz przeciwnego.
- I chciałby mieć więcej dzieci, bo na razie ma tylko jedno.
- Bardzo mi przykro – stwierdziłam stanowczo – ale nie wydaje mi się odpowiednim dla mnie mężczyzną.
- W pani wieku... – Zawiesiła głos z wymownym spojrzeniem.
- Równie dobrze mogłabym pójść do banku spermy, jeśli to są pani najlepsze oferty. – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – Miło mi było panią poznać, jednakże muszę się nad tym wszystkim jeszcze zastanowić. Dziękuję za herbatę – dodałam i odwróciłam się do drzwi.

Nadal styczeń

Biedny Phil Podrywacz. Prawie było mi go żal. To musiał być straszny szok. Ten wielki supermarket, który się zawalił. Zabijając pięciuset Bogu ducha winnych klientów. A tak się przechwalał tym budynkiem. Był głównym architektem. Przełom w jego karierze. Dosłownie. Najwięcej ludzi zginęło w dziale warzywnym, ponieważ tego dnia mieli specjalną ofertę na hiszpańską pietruszkę. Oczywiście został aresztowany. Za zawodowe zaniedbania. Wątpię, żeby pomogła mu nawet rozległa znajomość przepisów budowlanych. W każdym razie siedział w więzieniu, gdyż odmówiono mu zwolnienia za

kaucją. Biedny Phillip. Musiało mu być bardzo przykro. Naprawdę go pożałowałam. Tak bardzo, że postanowiłam zanieść mu do więzienia stertę starych numerów „Hello!” i w tym momencie się obudziłam. Cholera. Ale to był niezły początek dnia. Wprawił mnie w dobry nastrój. Ponieważ jest to wszystko wina Phila Podrywacza. Mama nie ma racji. To jego wina.

– Tak, Phillipie, to wszystko przez ciebie – powiedziałam do siebie w drodze do agencji matrymonialnej w Wandsworth, parę dni po spotkaniu z Ruby Penhaligon. Miałam na sobie elegancką, granatową garsonkę i najlepszy zimowy płaszcz, w którym wcale nie było mi ciepło. Nastąpiły syberyjskie mrozy. Dziś rano było tak zimno, że zamarł mi błyszczący na ustach. Musiałam łamać lód wykałaczką. Teraz jednak szłam Wandsworth High Street, uważnie wypatrując Przeznaczenia. Te miejsca na ogół nie ogłaszają się neonyowymi literami. Wreszcie znalazłam, nacisnęłam guzik domofonu i ktoś mnie wpuścił do środka. Na górze schodów czekała na mnie sympatyczna, mniej więcej czterdziestopięcioletnia blondynka.

– Witaj, Tiffany. Nazywam się Gabriella. Prowadzę agencję. Proszę wejść na górę. Napije się pani kawy?

Była bardzo miła i od razu mnie ośmieliła. Przestałam się denerwować, choć to wszystko jest niesłychanie stresujące: wystawianie się na ocenę zupełnie obcej osoby, która nie wiadomo, czy ci pomoże. Ale podobała mi się. Zachodziły między nami pozytywne wibracje. A wstępna konsultacja nic nie kosztowała.

– Jestem pewna, że możemy pani pomóc – powiedziała po piętnastu minutach ogólnej rozmowy.

– A mój wiek?

– Nie rozumiem.

– Gdzie indziej powiedziano mi, że jestem za stara.

Prychnęła pogardliwie.

– To śmieszne. Jest pani w najlepszym wieku i bardzo atrakcyjna.

– Kocham panią. – W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – Uff, ulżyło mi.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim dotychczasowym życiu – poprosiła.

Trzy i pół godziny później skończyłam opowieść o moich starych, nieszczyśnych związkach. Była doskonałą słuchaczką.

– Teraz zostawię panią z aktami, żeby się pani sama przekonała, jakich mężczyzn przyciąga nasza agencja. Wszyscy są wykształceni, mają dobry zawód i szukają poważnego związku. Nie przywiązujemy nadzwyczajnej wagi do małżeństwa, ale mogę stwierdzić, że każdy klient szuka czegoś stałego, a to często oznacza małżeństwo. – Wyjęła cztery bardzo grube segregatory, wypchane kwestionariuszami. Zasadnicza różnica między tą agencją a panną Penhaligon i jej kiepską ofertą.

– Zostawię panią samą na co najmniej pół godziny – powiedziała Gabriella, patrząc na zegarek. – Proszę zawołać, jeśli będzie pani potrzebować dodatkowych informacji.

Strasznie była miła. Bezstresowo przerzucałam formularze. Naprawdę zachęcające. Bardzo. I zdjęcia. Są absolutnie konieczne, pomyślałam. Musisz zobaczyć, jak wygląda ta druga osoba. Kiedy zaczęłam przeglądać ostatni segregator, S do Z, zobaczyłam bardzo znajome zdjęcie. Znajome, bo miałam w domu taką samą odbitkę. To właśnie zdjęcie posłałam Erykowi artyście, z zaklejonym Alekssem. Byliśmy na nim oboje,

w Glyndebourne. Alex bardzo lubił tę fotografię i faktycznie dobrze na niej wyszedł. I tu było to samo zdjęcie, choć mnie odciął, oczywiście, widać było jedynie kawałek mojej niebieskiej spódnicy z satyny. Zatkąło mnie! Alex! Który twierdził, że nie chce się żenić. Który nie chciał, żeby jakaś kobieta grzebała w jego rzeczach. Który podobno nie znosi dzieci. Alex, który rzucił mnie w moje urodziny. Który zmarnował mi dzień i miesiąc życia. Mieszanka zaskoczenia i mdłości sprawiła, że nie mogłam odetchnąć. Co za pech! Nie, nie mogłam się tu zapisać. Po prostu nie mogłam. Ale co powiem Gabrielli?

– Co pani myśli, Tiffany? – spytała, wracając do pokoju. – Zachęciła się pani do naszej agencji?

– No... Ja... Hmm... – Nie mogłam powiedzieć jej o Aleksie. Po prostu nie mogłam. Był jej klientem. Gdybym wcześniej o tym wiedziała, wcale bym o nim nie wspominała. Przypuszczalnie w ogóle bym tu nie przyszła. Lepiej byłoby zachować dyskrecję i udać się gdzie indziej. – Wszyscy są bardzo interesujący – powiedziałam wreszcie – ale chciałabym się jeszcze zastanowić.

– Oczywiście – odparła z uśmiechem. – Rozumiem.

Ostatnią próbą była agencja matrymonialna Caroline Clarke w Hertford. W dodatku, usytuowana niedaleko północnego Londynu, mogła okazać się najwygodniejsza. Przez telefon Caroline wydała mi się bardzo sympatyczna. Teraz znałam już zasady i wiedziałam, co robić. Kiedy zatem zaprosiła mnie do biura, które mieściło się nad sklepem z artykułami do dekoracji wnętrz, w ogóle się nie denerwowałam. Wiedziałam, o co mnie zapyta i przedstawienie się przyszło mi bez najmniejszego trudu.

– A mój wiek? – spytałam, rzucając dyskretnie okiem na zdjęcia ślubne na ścianie za jej plecami.

– Jest pani w doskonałym wieku – odparła. – Wiem, że jeśli zdecyduje się pani do nas zapisać, wielu mężczyzn będzie się chciało z panią spotkać. – Znów zostałam sam na sam z kwestionariuszami. W segregatorach było zdumiewająco dużo facetów i co najmniej po trzy zdjęcia każdego z nich. Można było dokładnie zobaczyć, jak wyglądają. Mężczyźni wspinali się na skały, siedzieli w łódkach, opierali się od niechcienia o samochody, stali w polu, w marynarce od Barboura, opalali się na plaży w kąpielówkach, pokazywali się z psami i końmi. A co najlepsze, na zdjęciach nikogo nie rozpoznałam. I wszystkie kwestionariusze przedstawiały się dość interesująco. Wszyscy powyżej trzydziestki szukali kobiet „do czterdziestki”, a określenia „inteligentna” i „niezależna” często powtarzały się w opisie idealnej partnerki. I w dodatku wszyscy byli atrakcyjni. Bardzo atrakcyjni. Poczułam przypływ optymizmu. Znalazłam coś dla siebie.

– I co pani myśli? – spytała Caroline.

– Myślę, że pani agencja mi się podoba – powiedziałam zgodnie z prawdą. I z miejsca się zapisałam.

Zadzwonił telefon.

– Witaj, Trotters.

– Cześć, Nick. Szczęśliwego Nowego Roku.

– Nawzajem.
– Jak było na nartach?
– Fajnie. Ale chciałbym cię zobaczyć. Zjesz ze mną obiad w czwartek? W Green's Oyster Bar?

– Z przyjemnością.

W czwartek wybrałam się na Duke Street na spotkanie z Nickiem. Znow znalazłam się niebezpiecznie blisko Piccadilly, terytorium Człowieka Sukcesu, choć dziś, dzięki Bogu, go nie widziałam. A poza tym myślałam o Nicku. Chciałam się z nim zobaczyć. Naprawdę. Był miły. Czarujący. Bardzo atrakcyjny. A dzisiaj, z opalenizną z Verbier, wyglądał jeszcze przystojniej. Pocałował mnie w policzek i uśmiechnął się.

– Jak się cieszę, że cię znow widzę, Tiffany. Dużo o tobie myślałem.

Zaczerwieniłam się. Nagle poczułam się głupio szczęśliwa. Był rzeczywiście bardzo sympatycznym facetem. I chyba mu się podobałam. Może jest odpowiedzią na moje modlitwy, pomyślałam. Może. Zamówiliśmy dużą porcję małży.

– W górach mieszałem z Tomem Playerem – powiedział Nick, gdy wyjadaliśmy mięskie, słone wnętrzości. – Pamiętasz go?

– Słabo – odparłam, maczając palce w srebrnym naczyniu z wodą.

– Peter Croft też przyjechał na parę dni.

– Fantastycznie.

– Obaj cię pamiętają ze szkoły.

– Ach tak?

– Tak. Powiedziałem im, że schudłaś.

– Dzięki.

Nick opłukał palce i napił się chardonnay. Nagle roześmiał się.

– Pamiętasz, jak Peter postawił samochód na dachu kaplicy?

– Jasne. Tego się nie da zapomnieć.

– To było cholernie śmieszne, prawda?

– Choć dość niebezpieczne.

– No, kierowca mógł zginać.

– Jak on go tam wstawił?

– Wynajął dźwig. A pamiętasz, jak Jack Daniels zabarwił wodę w basenie na czerwono?

– Tak – potwierdziłam ze znużeniem. – Pamiętam.

– To był niezły szok w poniedziałek rano.

– Mhm. – Prawdę mówiąc, miałam trochę dość szkolnych historii i spróbowałam zmienić temat. – Opowiedz mi o Stanach. Co robiłeś?

– Spędziłem dwa tygodnie w Nowym Jorku, mieliśmy trzy duże aukcje mebli. A potem pojechałem na święta do ojca. Wiesz, on też uczył się w Downingham.

– Posłuchaj, Nick, dlaczego nigdy nie rozmawiasz o niczym innym oprócz szkoły? – spytałam. W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – Jak smakuje twój łosoś?

– Pyszny.

Skończyliśmy jeść w milczeniu, a potem zajrzeliśmy do karty deserów.

– Trotters – powiedział Nick. Złapał mnie za rękę i spojrzał mi w oczy. – Chciałem powiedzieć: Tiffany.

- Tak? – spytałam, lekko wytrącona z równowagi.
- Czy... Nie wiem, jak cię zapytać. Facetowi z trudem przychodzą takie rzeczy. Ale Tiffany... Czy... Czy... Proszę... Czy mogłabyś wybrać na deser czekoladowe eklerki?
- Oczywiście – zgodziłam się z ulgą, śmiejąc się perłście.
- Nick nadal trzymał mnie za rękę.
- I czy mogłabyś ze mną chodzić? – spytał od niechcienia. – To znaczy zostać moją dziewczyną? Wiesz, jak bardzo cię lubię.
- Ja też cię lubię.
- Przypominasz mi, jak to było, kiedy miałem trzynaście lat.
- Aha.
- Przypominasz mi o szczęśliwych chwilach.
- Rozumiem.
- Dzięki tobie przenoszę się niemal w inną epokę – dodał z zadowolonym westchnieniem.
- Dzięki. – Poczulałam lekki niepokój.
- Co o tym myślisz? – Nie wiedziałam, co powiedzieć.
- Myślę, że jesteś wspaniałym człowiekiem, Nick. Ale... Ale ja... Nie...
- Nic nie szkodzi – stwierdził, puszczając moją rękę. – Nie musisz nic mówić.
- Wydaje mi się, że nie jestem odpowiednią osobą dla ciebie, Nick. I tyle.
- Jestem tylko o cztery lata od ciebie młodszy. To żadna różnica. – Miał rację, ale mnie nie o to chodziło.
- Nie mówię o różnicy wieku. Nic na to nie poradzę, że wciąż widzę tego chłopca ze szkoły. – Bo o niczym innym nie mówisz, trąbo. – Czy nie możemy zostać przyjaciółmi?
- Możemy – odparł z westchnieniem. – Pomówmy o czymś innym – dodał z nagłym, nienaturalnym ożywieniem. – Porozmawiajmy o twoich sloganach – zaproponował z entuzjazmem. – Ten dla pisma „Which?” był genialny. Jak to szło? Już wiem. „Nie poddawaj się, kup Which”. Prawdziwy klasyk.
- Sprzed wielu lat.
- Nadal go pamiętam, co znaczy, że był skuteczny. Tak samo jak ten o farbie Dulux.
- Nad czym teraz pracujesz?
- Nad telewizyjną reklamą Słodkich Serduszek na walentynki. Producent przeznaczył majątek na reklamę. To dla nich duże ryzyko.
- Jaki masz pomysł?
- Wiesz, że na cukierkach są napisy, prawda?
- Tak. „Kochaj mnie”, „Bądź moja” i tak dalej.
- Właśnie. Napisałam do nich małe wierszyki, które będą recytować aktorzy przy muzyce i specjalnych efektach. To brzmi dość idiotycznie – powiedziałał przeproszając. – Reklamy zawsze robią wrażenie idiotycznych, kiedy się je opisuje, ale na ekranie to zupełnie inaczej wygląda.
- Naprawdę jesteś genialna – stwierdził z podziwem.
- To tylko reklama, Nick. Nic, co wpływałoby na losy świata. Nie zapobiega wojnom ani nie nakarmi głodnych dzieci. – Ani nie zapewni domu bezdomnym, pomyślałam z żalem. – Co słychać u Jonatana? – spytałam. – Czy denerwuje się ślubem?
- O tak, martwi się cały czas. Zostały tylko dwa miesiące. Przyjdiesz, prawda?
- Tak.

– To cała wyprawa – powiedział. – Do Yorkshire jest kawał drogi. Może pojedziemy razem?

– Jasne – zgodziłam się pędkiem. – Będzie niezła zabawa.

Luty

Dziś rano poszłam do Waterstone i wróciłam z naręczem książek o dzieciach: *Twoje dziecko*, *Ciąża – pytania i odpowiedzi*, *W oczekiwaniu na dziecko*, *Ciąża i poród* i *Biblia dziecka*. Niektóre fotografie – wielki Boże! – musiałam usiąść, kiedy na nie spojrzałam i pomyślałam: dziecko? Wolne żarty. Teraz już na pewno wiem, że adoptuję. Dwoje dzieci. Osiemnastoletnich. Kiedy znajdę sobie jakiegoś fajnego faceta, co zapewne niedługo nastąpi. Ponieważ oferty zaczęły nadchodzić. Poczta dziś rano. Koperta z napisem „Poufne” z kwestionariuszami mężczyzn, którym się spodobałam. Jest ich całkiem sporo. Na przykład Derek z Datchett, który pracuje przy komputerach i lubi „wieczorne pieczenie na ruszcie oraz spacer przy księżycu w ciepłych, pachnących powiewach wiatru”. Hej, a co byś powiedział na spacer przy księżycu z ciepłą, pachnącą Tiffany Trott? Kevin z Hounslow wierzy, że „najważniejsze jest poczucie człowieczeństwa”. Brawo, Kevin! Toby z Barnes szuka kogoś „rozbudzonego ekologicznie”. To ja, Toby! Zawsze odnoszę szkło do specjalnych pojemników i jestem niestrudzoną propagatorką komunikacji miejskiej i jej przewagi nad obrzydliwymi samochodami. Jest John, który pasjonuje się czarno-białą fotografią i... Tak, na zdjęciu opiera się o ferrari. Podoba mi się wygląd George’a, dla którego ważne są „tradycyjne wartości, a zwłaszcza zaufanie”. Zgadzam się z tobą, George. Możesz mi zaufać. Jeff jest rozwiedziony i mieszka w Clapham z trzema synami i z nanią. Leo, specjalista komputerowy z Thames Ditton, robi niezłe wrażenie. Nie jest szczególnie przystojny, lecz szuka kogoś „kto się umie bawić”. To ja, Leo. „Zabawa” to moje drugie imię. Niezupełnie. Na drugie mam Nicola. Dość głupia decyzja. Kiedy byłam w Downingham, inicjały na moich bagażach wzbudzały zdumienie, a czasem panikę. Tak jakby ktoś mógł naprawdę przysłać do szkoły kufer trotylu. O czym to ja mówiłam? Aha. Przyglądałam się Leo i Rogerowi, który jest bibliotekarzem i opisuje się jako „człowiek z charakterem”. Lubi „życie towarzyskie” i „czci słońce”. I jest też Patrick. Rozwiedziony, czterdziestojednoletni konsultant do spraw zatrudnienia. Gra w tenisa i jest wykwalifikowanym pilotem. Nie ma dzieci – och, nie, mam nadzieję, że nie jest bezpłodny, lepiej go zapytam – i twierdzi, że jest „łatwy we współzyciu, lojalny, uczciwy, otwarty i godzien zaufania”. Ho, ho, to dobrze brzmi. Poza tym jest dość przystojny, metr osiemdziesiąt, czarne włosy i niebieskie oczy. Na zdjęciu stoi na balkonie hotelowym na tle czegoś, co przypomina wieżę Eiffla, a zatem najwyraźniej dużo podróżuje, a poza tym ma cudowny uśmiech. I nigdzie w jego kwestionariuszu nie pada słowo „golf”. Patrick szuka kobiety „z poczuciem humoru, nie traktującej siebie zbyt serio. Kobiety inteligentnej, niezależnej, spełnionej zawodowo, pomocnej i uprzejmej”. Nie szukaj dalej, Patriku!

– Wygląda nieźle – powiedziała Lizzie, kiedy przysłała do mnie w poniedziałek. Dopiero co wróciła z Wyspy Wielkanocnej, bardzo opalona, bo o tej porze jest tam naprawdę gorąco. I robiła wrażenie szczęśliwej. Bardzo szczęśliwej. Jaśniejącej szczęściem. Uważnie przejrzała plik kwestionariuszy.

– Potrzebujesz kogoś – stwierdziła z typową dla siebie emfazą – kto będzie dla ciebie równorzędnym partnerem, ktoś, nad kim nie zechcesz dominować, a on nie zechce dominować na tobie. W tym leży źródło sukcesu, Tiffany, w zbilansowanym związku, gdzie żaden partner nie ma za dużo przewagi. Wydaje mi się, że dlatego Martin i ja jesteśmy i zawsze byliśmy tacy szczęśliwi.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem, ale ponieważ staram się unikać kłótni, powiedziałam tylko:

– Masz absolutną rację.

– Ale nie możesz koncentrować się na jednym mężczyźnie – dodała sensownie. – Patrick robi dobre wrażenie, powinnaś jednak spotkać się z innymi kandydatami. Może się okazać, że też ci się spodobają i będziesz miała wybór.

– Pod warunkiem, że ja się im spodobam.

– Oczywiście, że się spodobasz, Tiffany. Nie bądź głupia.

Poczułam się znacznie lepiej. Od razu zadzwoniłam do agencji i powiedziałam „tak” na czterech z dziesięciu facetów, razem z Patrickiem.

Rano czternastego lutego wbiłam zdumiony wzrok w wycieraczkę. Nie wierzyłam własnym oczom. To było niesłychane. Wyjątkowe. Niesamowite. Niewiarygodne. Nic. Nie było nawet zawiadomienia z klubu wysyłkowego, że wygrałam milion funtów. Rachunku za gaz. „Specjalnej oferty” z centrum chirurgii kosmetycznej. Nawet kartki z São Paulo od José. Ani następnych kwestionariuszy od Caroline Clarke. Ani reklamówki z firmy taksówkowej. Po głowie kołatały mi słowa wyśpiewywane cukierkowym głosem Karen Carpenter: „...Kartka albo liścik, byle jak najszybciej...” Ja nie dostałam ani listów ani kartek. Nic. Zero.

W ponurym nastroju, z opuszczonymi ramionami zasiadłam przy biurku, żeby pracować nad reklamą dla Coksa i Kinga. Kiedy pracuję, przynajmniej czas szybciej mija. Po pewnym czasie poczułam lekki głód, co oznaczało porę obiadu. Zeszłam na dół i spojrzałam na drzwi wejściowe z mocno bijącym sercem, na wypadek gdyby w drugiej poczcie przyszło siedem walentynek. Nic. Żadnych punktów dla Tiffany Trott w eurokonkursie na kartki walentynkowe. Tylko gazeta. To wszystko. Gazeta! Wyjęłam specjalną wkładkę walentynkową, gdzie wydrukowano trzy tysiące ogłoszeń. Na pewno choć jedno z nich było dla mnie. Spędziłam dobrych parę godzin, nerwowo przeglądając króliczki, kociaczki, aniołki i skarby, ale nigdzie nie znalazłam Tiffany, ani Trotters, ani żadnego idiotycznego, dziecinnego przezwiska, do którego mogłabym się przyznać. Przygotowałam sobie zapiekanekę od Marksa i Spencera z małą porcją groszku, a potem wróciłam do gabinetu. Siadłam do komputera i w mgnieniu oka, jak mi się zdawało, byłam znowu głodna, a pokój był niemal całkiem ciemny, oprócz poświaty z mojego Maca. W dodatku zrobiło się strasznie zimno. Włożyłam jeszcze jeden sweter – w tej wełnie robię się coraz grubsza – i poszłam nastawić wiadomości. Jon Snow wyglądał na bardzo zadowolonego, no tak, on pewnie dostał cały worek walentynek od wielbicielek. W przeciwieństwie do Tiffany Nicolii Trott, starej panny w parafii Islington. Nie robię tego zbyt często, byłam jednak tak wku-

rzona, że otworzyłam butelkę czerwonego wina. Niby dlaczego nie? Pracowałam od dziesięciu godzin, a poza tym każdy wie, że kilka butelek czerwonego wina jest bardzo zdrowe. Na serce. A zwłaszcza na poprawienie nastroju, kiedy romantyczna kolacja *à deux* w eleganckiej restauracji się nie zmateriałizowała. Usiłowałam się pocieszyć, czytając „Panny młode i urządzenie domu”. „Moda dla nowoczesnej panny młodej”! głosił tytuł. „Eksperci zaprojektują twój bukiet!”, „Gdzie znaleźć suknię marzeń?” Chciałabym, aby eksperci powiedzieli mi, gdzie znaleźć mężczyźną marzeń, pomyślałam z goryczą, dolewając sobie macedońskiego merlota. O mój Boże, czy ja naprawdę wypijałam już ponad pół butelki? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Z drugiej strony właściwie dlaczego nie. Nalałam sobie kolejny kieliszek i spojrzałam na te wszystkie książki o dzieciach, które leżały na stoliku. Kiedy się zaczyna trzeci trymestr? A może to jest semestr? Po osiemnastym tygodniu czy po dwudziestym? Postanowiłam to sprawdzić, kiedy zadzwonił telefon. Musiałam go odebrać.

– Helllou. Ktotojeszt?

– Cześć, Tiffany.

– Cześć! – Oparłam się o ścianę, żeby się nie przewrócić ze szczęścia i z nadmiaru wypitego wina.

– Co słyhać, Tiffany?

– Cha, cha, cha! Ojej...

– Czy ty jesteś pijana, Tiffany?

– Tylko bardzo.

– Dlaczego?

– Ponieważ „Milion kobiet codziennie chwyta za butelkę i mówi...”

– Dzwonię, żeby ci życzyć szczęśliwych walentynek.

– Na... jem.

– Dostałaś jakieś kartki?

– Nie. – Błąd. – To znaczy tak – poprawiłam się szybko. – Mnóstwo. Setki, jeszcze wszystkich nie otworzyłam. ...cały dzień. A ty?

– Nie. – Boże, co za okropne połączenie, prawie go nie słyszałam.

– Mów głośniej, nic nie słyszę.

– Przepraszam, dzwonię z telefonu w samochodzie.

– Gdzie jesteś?

– W Islington.

– To jezwykły zbieg ooliszności, bo... Nie pamięć, czy już ci mówiłam, że tu mieszk...

W Is-lyn...

– Naprawdę? Niemożliwe! Jestem przy Oriel Road.

– To niem... Nie pamięć, czy już ci mówiłam, bo się widziałisz dwa razy, ale właśnie tu mieszk...

– W tej chwili stoję pod numerem 22.

– To jesz jed przypadek, bo ja... – Słyszałam otwieranie i zamykanie drzwi, a potem głębokie kilknięcie głównego zamka. Kroki na chodniku, znajomy pisk furtki i... zadzwonił dzwonek.

– Przeprasz, ale ktosz dzwoni, musze otworz, poczekaj chwil... – Podeszłam do drzwi, które są częściowo oszklone, z czerwono-niebieskimi witrażami. Duży, niewyraźny cień tkwił za drzwiami, częściowo oświetlony żółtawym światłem z pobliskiej latarni. Otworzyłam

trošeczkę drzwi. Zobaczyłam coś czerwonego. I zielonego. Zawiniętego w celofan. To było duże i okręcone na dole wielką czerwoną wstążką, którą unosiły podmuchy wiatru. A potem czerwona rzecz znikła i ukazał się uśmiechnięty Człowiek Sukcesu.

– Pan jest z Moysesa Stevensa?

– Nie, z Extraflory.

Roześmiałam się, choć, prawdę mówiąc, chciało mi się płakać. Nadal trzymał kórkę kurczowo przyciśniętą do lewego ucha. Spojrzałam pytająco.

– Pomyślałem, że chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy – wyjaśnił, wyłączając telefon. – Chociaż szkoda, że jesteś pijana. To utrudnia porozumienie. Czy często się upijasz? Czy tylko dziś zalewasz robaka? Tiffany?

– Słucham?

– Czy mogę wejść?

Otworzyłam szerzej drzwi i wszedł do środka. Potwornie się wstydziłam. Moje poczucie pewności siebie całkowicie się załamało. Stała przede mną miłość mojego życia, a ja byłam pijana i w dodatku okropnie wyglądałam. Jak pies. I to nawet nie pies rodowodowy, na przykład elegancki chart perski czy piękny borzój. Nawet nie seter angielski. Zwykły kundel – sześć warstw starej wełny i grube szare legginsy z oczkiem pod kolaniem. Nieuczesana. Niepomalowane, połamane paznokcie. Bez makijażu, choćby zwykłego błyszczka, i bez obłoku wytwornego zapachu. A w domu – totalny burdel.

– Przeprasz za bałagan... Napijesz szę?

– Skądże znowu, Tiffany. Jestem samochodem.

– Och, tak, przeprasz, nie pomyślałam. Piłam.

– Wiem. Dlaczego?

– Piję, więc jestem.

– Bardzo śmieszne – powiedział bez uśmiechu. – Czy mogę ci zrobić kawę?

– Tak, kuchnia jest gdzieś tam z tyłu. Śliczne róże. Śliczne, śliczne, śliczne róże. Śliczne... Ty też jesteś śliczny... Taki jesteś miły dla bezdomnych i smutnych starych pańien, i w ogóle – powiedziała, opadając na sofę. – Nawet kiedy są pijane. – Położyłam się na brzuchu na poduszkach i jęczałam cicho w aksamitne *devoré* koloru żółtych chryzantem, gdy tymczasem Człowiek Sukcesu tłukł się po kuchni. Miałam nadzieję, że nie spyta, gdzie trzymam Gold Blend.

– Czy masz jakąś naprawdę mocną kawę, Tiffany?! – zawołał z kuchni.

– Tak – odparłam, gdyż nagle przypomniało mi się espresso Aleksa. – Mam termojądrową kawę z Algierii... Szafka nad komputerem. Tfu! Nad robotem. – Boże, Boże! Rozejrzałam się po pokoju: wszędzie porozrzucane gazety i pisma, na stoliku chaotyczna sterta książek, kilka wazoników z na wpół zwiędniętymi przebiśnigami i pusta butelka taniego czerwonego wina. Byłam gorsza od najgorszego flejtucha. Ta myśl mnie zaszkodziła i sprawiła, że zapragnęłam wytrzeźwieć. Podniosłam rzeczy z podłogi i przykryłam bałagan na stoliku płachtą „Maila” ze zdjęciem Emmy na pierwszej stronie. Potem otworzyłam okno i zaczęłam głęboko oddychać.

– Co ty robisz, Tiffany? – zainteresował się Człowiek Sukcesu, wchodząc z tacą, na której stały dwie filiżanki.

– Ćwiczę oddechy.

– Aha. – Usiedliśmy i w milczeniu piliśmy wybuchową kawę. Poczułam się trochę lepiej. Choć, gdy zamykałam oczy, kręciło mi się w głowie. Postanowiłam ich nie zamykać.

- Dziękuję za róże – powiedziałam. – Pięknie wyglądają w tym kubku.
- Wysłałbym je przez posłańca, ale wyjeżdżałem służbowo i nie miałem czasu. Pomyślałem, że będzie miło, jeśli dostarczę je osobiście.
- To było miłe. To znaczy jest. Bardzo miłe. Ty jesteś miły. Są cudowne. – Zapomniałam, że ta kawa jest cholernie mocna. Czuję, jak kofeina płynie w moich żyłach jak kokaina. I poczułam się lepiej. Znacznie lepiej.
- Przepraszam za mój wygląd – powiedziałam. – I ubranie ze szmateksów. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, umyłam głowę...
- Twoim włosom nic nie brakuje.
- ...i ułożyła włosy na szczotce elektrycznej. Włożyłam ładną sukienkę i eleganckie rajstopy oraz bym się umalowała. Zwłaszcza zadbałabym o dodatki. Och, i wydepilowałam nogi.
- Wyglądasz bardzo ładnie.
- To nieprawda, ale dziękuję. – Przyłożyłam dłoń do czoła.
- Nerwoból? – spytał z troską.
- Nie. Wstyd i upokorzenie. Ból głowy jest wyznaczony dopiero na jutro. Po kosztownym pragnieniu i przed poalkoholową histerią. – Spojrzałam na niego. Dziś, zamiast garnitur miał na sobie dzinsy i gruby, szary sweter. Ciemne, kręcone włosy były lekko wilgotne.
- Widziałam cię w wiadomościach.
- Ten reporter był straszny. Powiedzieliśmy, żeby sobie poszedł. Nie pytał, czy chcemy, aby nas filmował. Był bardzo niegrzeczny i natrętny.
- Bardzo fajnie wyglądałeś w tej impregnowanej kurtce z Saville Road.
- Dziękuję.
- Jaki miała smak?
- Co?
- Zupa. Minestrone? Czy hinduska ostro przyprawiona? Chyba nie rybna, prawda?
- Nie pamiętam. Ja jej nie gotowałem. Przez dwa tygodnie w roku, przed i po świętach, pomagam wydawać ją bezdomnym. To wszystko. Jak ci idzie praca?
- Świetnie. Widziałeś w telewizji moją reklamę Słodkich Serduszek?
- Ty ją robiłaś?
- Tak.
- Te romantyczne wierszyki?
- Tak.
- Są bardzo dobre. Nie dostałem w tym roku kartki na walentynki – dodał. – Czy mogłabyś mi powiedzieć jeden z tych wierszy?
- Och, dobrze. – Odchrząknęłam. – „Bądź mój, niebieskooki, ufaj mi, miły chłopcze. Nie bądź nieśmiały, jesteś wspaniały, mój ideale, moja radości”. Oczywiście, to znacznie lepiej brzmi przy nastrojowej muzyce – wyjaśniłam. – I z atrakcyjnymi aktorami i ujęciami. Wtedy ma się pełny efekt. Chcesz jeszcze jeden?
- Bardzo proszę.
- „Pamiętaj o mnie, chłopcze z marzeń, mój ukochany, mój przyjacielu, moje ty wszystko, bądź wierny sobie, czemu byś nie miał powiedzieć tak, daj mały znak”.
- Człowiek Sukcesu patrzył na mnie ze smutną tęsknotą.
- Jeszcze jeden? – zaproponował.

– Och, no, dobrze... „Rozchmurz się, wesoła buzio, mój cukierku, mój przyjacielu, powstrzymaj łzy, bo ja cię kocham, więc się rozluźnij, twoja wygrana”. Dość głupio to brzmi – powiedziałam szybko. – Ale w telewizji wyszło niezłe i producent jest zadowolony. Mówi, że sprzedaż wzrosła. I o to chodzi. O pieniądze. Zawsze o to chodzi, prawda? – dodałam z zadumą, odstawiając filiżankę na spodeczek.

– To prawda. A o co tobie chodzi?

– O to, że się nie zadaję z żonatymi facetami, nawet jeśli mi się podobają. Zwłaszcza gdy mi się naprawdę podobają. A ty jesteś żonaty. – Po winie stałam się śmielsza. Poza tym byłam u siebie.

– To prawda – przyznał z westchnieniem.

– I w dodatku masz przyjaciółkę.

– Nie mam – odparł z oburzeniem.

– Właśnie że masz.

Bezczelnie kłamał. Nie znoszę, jak ludzie mnie oszukują.

– Nie kłam. Widziałam cię z nią w Ritzu.

– To nie jest żadna przyjaciółka, tylko moja siostra, Grace – wyjaśnił z irytacją. – Jej facet prowadzi małą organizację charytatywną, która co roku wydaje zupełnie bezdomnym. Chciała, żebym im pomogła.

– Jeśli to twoja siostra, to dlaczego się do mnie nie odezwałeś? Przeszedłeś, jakbyś mnie unikał. Jakbyś miał coś do ukrycia.

– Nie chciałem się odzywać, bo byłaś z jakimś mężczyzną.

– Ach tak. – Wszystko źle wydedukowałam. Dziwne. – A więc nie polecałeś na Barbados?

– Słucham?

– Z przyjaciółką.

– Przed chwilą ci wyjaśniłem, że nie mam przyjaciółki.

– Musisz mieć – nalegałam.

– Dlaczego?

– Bo jej szukałeś.

– To nie znaczy, że znalazłem.

– Niemożliwe.

– Posłuchaj, Tiffany, czy mogłabyś mi nie wmawiać, że mam przyjaciółkę, kiedy nie mam? – Był raczej wściekły.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, poważnie się zaangażowałeś, żeby kogoś znaleźć, dając ogłoszenie do gazety, mogę więc przypuszczać, że jednak znalazłeś.

– Nie znalazłem.

– Napisałeś, że szukasz kogoś, kogo mógłbyś troszkę, a nawet bardzo rozpieszczać, a nie mam wątpliwości, że jest wiele kobiet, które z radością pozwolą się rozpieszczać. Ja tymczasem nie chciałam być rozpieszczana, bo nie wiedziałam, że można być rozpieszczanym tylko przez faceta, który ma żonę, tak jak ty.

– To co mówisz, nie ma większego sensu...

– Jestem zainteresowana wyłącznie facetami, którzy nie marzą o tym, aby mnie rozpieszczać. Nigdy.

– Nie będę tego robił, Tiffany.

– To dobrze – powiedziałam, patrząc na trzy tuziny długich, czerwonych róż.

– Ale też nie interesują mnie inne kobiety.

– Dlaczego?

– Bo są nudne – odparł gwałtownie. – Owszem, spotykałem się z innymi, chyba z dzieścionkami z tego ogłoszenia, ale nie były...

– Atrakcyjne?

– Niektóre były, ale nie... Sam nie wiem, jak to powiedzieć...

– Dobrze ubrane?

– Nie, nie o to chodzi, nie bardzo...

– Spełnione zawodowo?

– Nie, nie, niektóre miały bardzo dobrą pracę – powiedział, przeczesując lewą dłońią kręcone włosy. – Po prostu nie były...

– No?

– Nie zapadały w pamięć. Niczym się nie wyróżniały.

– Rozumiem.

– O tobie nie mogę zapomnieć. – Usiadł koło mnie na sofie i wziął mnie za rękę.

– Ja też o tobie nie zapomniałam – powiedziałam cicho, czując, że za chwilę się rozplączę.

– I dlatego nie zwracałem sobie głowy nikim innym. Chciałem się z tobą spotykać, ale ty nie chciałaś. Nawet na stopie przyjacielskiej. I tego nie mogłem zrozumieć.

– A jaki miałoby to sens? Nie szukam przyjaciół, mam ich wielu: Lizzie, Kate, Sally, Frances, Catherine, Kit i... i... i... – Wzięłam do ręki gazetę, która leżała na stoliku. – I mam Emmę – powiedziałam, pokazując jej zdjęcie. – To moja dobra przyjaciółka.

– Ta kobieta, co ma romans z Lawrence'em Brightem?

– To nie jest jej wina – stwierdziłam. – Jego małżeństwo nie było szczęśliwe. Człowiek Sukcesu spojrział na mnie przenikliwie.

– To znaczy ona może, a ty nie?

– O co ci chodzi?

– Ja też mam nieudane małżeństwo. Sama wiesz.

– Wiem.

– Ale nie chcesz się ze mną widywać. – Był zdenerwowany.

– Nie chcę.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chcę się spotykać z kimś, kto nie tylko jest żonaty, lecz także zdradza żonę.

– Ale ja nie zdradzam żony!

– Właśnie, że zdradasz.

– Właśnie że nie!

– A właściwie dlaczego nie? – spytałam z oburzeniem.

– Bo jedyną osobą, z którą chciałbym ją zdradzać, jesteś ty. Dlatego.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy do tej pory nie zdradziłeś swojej żony? Pokiwał głową.

– Wiele razy miałem na to ochotę – powiedział. – I wiele razy zdradziłem ją w sercu.

– Co, tak jak Jimmy Carter?

– No tak. Ale potem skończyłem czterdzieści lat i pomyślałem: czemu nie? Dlaczego mam wciąż odgrywać swoją rolę w tej szaradzie pozbawionej miłości? Dlatego

dałem ogłoszenie. Chciałem znaleźć kogoś ciepłego, miłego i zabawnego, kto by mnie pokochał. Dlaczego mam żyć niekochany? – Mówił coraz głośniej. – Mam dość mego małżeństwa! Mam go po prostu serdecznie dość! – prawie krzyknął. – Od wielu lat jestem nieszczęśliwy. To wszystko kłamstwo!

– Sam jesteś sobie winien, bo się ożeniłeś z fałszywych pobudek.

– To prawda – przyznał ciszej. – Ożeniłem się dla pieniędzy. A raczej pozwoliłem, aby pieniądze też miały znaczenie. Na początku kochałem Olivię – wyjaśnił. – Na swój sposób. To nie był wyłącznie związek z wyrachowania. Ale pieniądze jej ojca stały się dodatkową przynętą. Byłem młody, ambitny... I za to zapłaciłem. Wielokrotnie. Samotnością. Ty tego jednak nie rozumiesz, Tiffany, bo jesteś tak cholernie świętoszkowata.

– Nieprawda!

– Prawda. Jesteś kołtunką. – Ja kołtunką! Co za bezczelność!

– Nie jestem – powtórzyłam sztywno.

– Właśnie, że jesteś – odparował. – Nie rozumiesz, że nic nigdy nie jest proste i czarno-białe.

– Rozumiem – powiedziałam, czując kulę w gardle. – Ale mówiłeś, że nigdy się nie rozwiedziesz, więc to jest prosta sytuacja.

– Nie mogę się rozwieść ze względu na córkę. To by ją załamało.

– Dobrze. Rozumiem. Nie namawiaj mnie jednak, żebym się w to wplątała.

– Posłuchaj, Tiffany, fakt, że wciąż jestem oficjalnie żonaty jest mniej ważny niż nasze wzajemne uczucia, które są bardzo głębokie.

– Wyciągasz pochopne wnioski – stwierdziłam kłamliwie.

– A ta prowokacyjna kartka, którą mi przysłałaś?

– Byłam pijana. Później bardzo tego żałowałam.

– *In vino veritas.*

– Teraz też jestem pijana i nadal mówię: nie.

Podniósł gazetę, a potem odrzucił ją na bok.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Tiffany, jesteś taka... Taka... – Co mu się stało? Przerwał i zaczął się wpatrywać w książki na stoliku. Wziął do ręki *Niemowlę i dziecko* Penelope Leach, a spod niej wyjął *Ochronę twojego przyszłego dziecka* Margaret Profet. Obejrzał je, odłożył na stolik i wziął *Opiekę nad niemowlęciem i dzieckiem* Miriam Stoppard. Pod nią leżał *Podręcznik naturalnej ciąży* Sheili Kitzinger. Najpierw spojrzął na mnie, potem obrzucił wzrokiem mój brzuch i zerwał się na nogi.

– Tiffany?

– Tak?

– No oczywiście. – Podeszedł i oparł się o półkę nad kominkiem. – Teraz rozumiem – powiedział cicho. – To jest prawdziwy powód, dla którego nie chcesz się ze mną spotykać. Udawałaś taką honorową i uczciwą, a tymczasem po prostu masz kogoś i teraz jesteś... Jesteś... w ciąży. Ale ze mnie głupiec! To jest faktyczna przyczyna, prawda? Spodziewasz się dziecka, Tiffany. Tak?

– No tak.

– Czyje ono jest?

– Nie rozumiem?

– Tego mięczaka, z którym widziałem cię w Ritzu?

– Och, nie. Nie jego. – Nie podejrzewał mnie chyba o taki brak klasy.

– Czy tego faceta, z którym widziałem cię w restauracji?
– No, cóż... – mruknęłam niewyraźnie i wbiłam wzrok w podłogę.
– Rozumiem – powiedział spokojnie Człowiek Sukcesu i roześmiał się krótko. – Niepotrzebnie zwracałam sobie głowę. Co za ironia losu! Nie powinienem był oskarżać cię o świętoszkowatość, lecz o niewierność.
– Niewierność?
– Tak. Wobec mnie.
– No wiesz, przecież się z tobą nie spotykałam.
– A powinnaś. Wiedziałaś, że mi na tobie zależało. Należymy do siebie i dobrze o tym wiesz. O Boże, czuję się jak kompletny idiota! – dodał, potrząsając głową. – Teraz wszystko nabiera sensu. Jesteś w ciąży i dlatego tak źle wyglądasz. Masz ziemistą cerę i brzydkie włosy. Pogrubiałaś w pasie. Jesteś spuchnięta. To przez te hormony...
– Tak, teraz już trochę widać – powiedziałam.
– Dlatego ćwiczyłaś oddechy.
– Tak, chodzę do szkoły rodzenia.
– Nie powinnaś tyle pić – stwierdził ze złością.
– Masz rację. Nie powinnam.
– Kiedy ma się urodzić? – spytał z ponurym westchnieniem.
– W maju.
– Czyli jesteś w ciąży od... sierpnia. – Spojrzałam na niego bez słowa. – I przez cały czas, gdy usiłowałam cię zdobywać, myślałam o tobie i marzyłem o rzeczach, które moglibyśmy razem robić i o czekających nas szczęśliwych chwilach, ty byłaś w ciąży z innym mężczyzną.
– No... – zaczęłam. – Nie byłam pewna do grudnia.
Wstał i stanął przede mną. Widziałam, jak w kąciку ust rytmicznie pulsuje mu mały mięsień.
– Przepraszam za zwracanie ci głowy, Tiffany – powiedział z serdeczną pogardą. – Uważałem cię za ideał kobiety. Za bratnią duszę. Duchowego bliźniaka. Wiedziałem to po pierwszym spotkaniu. Ale najwyraźniej się pomyliłem. Cóż. – Wziął marynarkę. – Życzę ci powodzenia z dzieckiem. Nie sądzę, abyśmy się jeszcze kiedykolwiek spotkali. – Uśmiechnął się smutno i wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi z cichym, definitywnym kliknięciem.

Nadal luty

Jak już mówiłam, nie lubię kłótni i moje ostatnie spotkanie z Człowiekiem Sukcesu strasznie mnie zdenerwowało. Byłam naprawdę wyprowadzona z równowagi i okropnie roztrzęsiona. Zaszokowana. O co mu chodziło z tą ziemistą cerą? Od tamtej pory bardzo dokładnie oglądałam się w lustrze, nawet przez szkło powiększające, i nic takiego nie widzę. Ale chyba kupię sobie krem alfa hydroksy z serum otrzymanym z kwasów owoców tropikalnych Elizabeth Lauderstein, aby dodać blasku mojej skórze. Na wszelki wypadek. Choć z drugiej strony... Właściwie po co? Wiem, że już go nigdy nie

zobaczę. Ani nie usłyszę jego cudownego głosu, bo już nigdy do mnie nie zadzwoni; nie przyśle mi kwiatów, nie rozśmieszy mnie... Przepuszczalnie nigdy nawet o mnie nie pomyśli, chyba że z obrzydzeniem, bo był naprawdę bardzo, bardzo zły z powodu mojej „cięży”. Wcale mu się nie dziwię. Jednakże ten mały kamuflaż z mojej strony był konieczny, gdyż wyratował mnie z trudnej sytuacji; gdybym nie skłamała na temat dziecka, Człowiek Sukcesu nie zadowoliliby się trzymaniem mnie za rękę. Objąłby mnie ramieniem, co już byłoby straszne. A potem mógłby mnie pocałować, co byłoby jeszcze gorsze, a potem mógłby... Moglibyśmy... A to już byłaby katastrofa, ponieważ pod sześcioma warstwami szetlandzkiej wełny i legginsami miałam na sobie wielkie majtki. Babcine majtki. Duże i ciepłe. Są doskonałe na tę pogodę. Oczywiście nie mogę zapominać, że Człowiek Sukcesu jest nadal żonaty. Ale kiedy wyszedł, czułam się okropnie, po prostu okropnie, gdyż tym razem wiedziałam, że to już koniec. Żegnaj. Nawet nie *au revoir* czy *Auf Wiedersehen*, skarbie. Żeby się pocieszyć, podzieliłam trzydzieści sześć róż między pięć różnych wazonów, a potem usiadłam i zrobiłam taką listę:

CZŁOWIEK SUKCESU – ZA I PRZECIW

Za

Przeciw

*Jest przystojny (przynajmniej
moim zdaniem)*

Żonaty

Jest mądry

Jest zabawny

Ma dobre serce

Ma wspaniały głos

Lubi grube dziewczyny

Nie lubi golfa

Przysyła kwiaty

Jest szczodry

I uczciwy

Ma doskonały gust do krawatów

I garniturów

Mimo to nie jest powierzchowny

Na przykład pomaga bezdomnym

Nie jest świętoszkowaty

Na przykład chciałby mieć romans

Jest muzykalny

I wrażliwy

A przecież nie jest doskonały,

daleko mu do tego

Można by pomyśleć, że dziewiętnaście zalet równoważy jedną wadę. Nie jest to jednak zwykły problem strat i zysków, bo jak się wszystko rozpatrzy, to się okazuje, że jedne rzeczy są ważniejsze od innych, prawda? Gdyby zatem Człowiek Sukcesu był Człowiekiem Samolubnym, to mogłoby to skasować wrażliwość, muzykalność i dobre

krawaty, ponieważ uważam egoizm za dużą wadę. A to, że jest żonaty – z kim innym – za jeszcze większą. Tak wielką, że, jeśli o mnie chodzi, przeważa nad wszystkimi zaleceniami. Całkiem je kasuje. Inne kobiety mogłyby uważać inaczej i się zaangażować, ze wszystkimi konsekwencjami. Ja tego nie zrobię, bo może jestem tępa, ale z pewnością nie jestem głupia, a w końcu sam mi powiedział, że się nie rozwiedzie ze względu na córkę. No i tak. Odczytałam moją listę i natychmiast poczułam się lepiej, bo wiedziałam, że mam rację. Zadzwoń! Zadzwoń! Zadzwoń! To był Patrick.

– Czy masz czas na pogawędkę, Tiffany? – spytał grzecznie.

Porozmawialiśmy przez kilka minut o tym i owym, między innymi o tenisie. Musi być doskonałym graczem, ponieważ powiedział mi, że w 1972 roku brał udział w rozgrywkach juniorów na Wimbledonie. Porozmawialiśmy jeszcze trochę i doszliśmy do wniosku, że chcemy się spotkać. Umówiliśmy się więc w FredErykk’s w Islington, dwudziestego ósmego lutego.

Pojechałam autobusem numer 73 do Angel w nastroju optymistycznym, choć dość zdenerwowana. W końcu to był mój debiut z mężczyzną z agencji matrymonialnej. Mężczyzna z katalogu, można by powiedzieć. Za piętnaście siódma weszłam do FredErykk’s przy Camden Passage, minęłam półokrągły bar i rozejrzałam się wokół.

– Czy pan Miller już jest? – spytałam kierownika sali. Zająknął się, kiwnął głową i zaprowadził mnie do dużej oszklonej sali z tyłu. Kiedy schodziliśmy po schodkach pod ogromnym żyrandolem, zobaczyłam, że mężczyzna przy dalekim stoliku wstaje. To był Patrick. W rzeczywistości wyglądał jeszcze lepiej niż na fotografii! Bardzo, bardzo przystojny. Trochę jak bożyszcze nastolatków. Fantastycznie. Dobrze, że to nie był dwudziesty dziewiąty lutego, bo chyba od razu bym mu się oświadczyła.

– Witaj, Tiffany – powiedział. A potem zrobił coś dziwnego. Nie podał mi ręki, lecz usiłował mnie pocałować. Pocałować! To było niesłychanie bezpośrednie zachowanie. Całkowicie mnie zaskoczył i muszę powiedzieć, że nie podsunęłam mu policzka.

– Nie dostanę całusa? – spytał z urażoną miną.

– Nie – odparłam. – Nawet cię nie znam.

Roześmiał się.

– A czy możemy podać sobie ręce?

– Oczywiście.

Kiedy usiedliśmy, uśmiechnął się do mnie, ale wciąż byłam zaszokowana, rzuciłam mu więc zimne spojrzenie.

– Miło mi poznać Arktyczną Królową Lodu – stwierdził z uśmiechem. Królowa Lodu! Też coś! Miałam nadzieję, że tego rodzaju bezczelność nie jest typową cechą facetów z rejestru Caroline Clarke. Postanowiłam nie opowiadać mu dowcipu o gadającej świni. Miałam nadzieję na miły wieczór, ale nie zaczęło się dobrze. W gruncie rzeczy zanośliło się na katastrofę.

– Napijmy się – zaproponował. Zamówił butelkę niezłego pouilly-fuissé i nim się zdążyłam obejrzeć, butelka była pusta, rozmowa toczyła się żwawo, a ja się roztopiłam jak czekoladowe lody w lipcu.

– Opowiedz mi o rozgrywkach juniorów na Wimbledonie – powiedziałam z prawdziwym zainteresowaniem. – Dokąd doszedłeś?

– Do ćwierćfinałów.
– Do ćwierćfinałów! – wykrzyknęłam. – To już coś.
– Aha. I prawie doszedłem do półfinału, kiedy mój przeciwnik wrócił do formy i mnie pokonał. Minimalną różnicą setów.
– O kurczę. Ale i tak zaszedłeś bardzo wysoko. Opowiedz mi o tym meczu punkt po punkcie.

Tak zrobił. A ja się naprawdę dobrze bawiłam. Potem zamówiliśmy jedzenie i drugą butelkę wina, rozmawiając bez przerwy przez trzy i pół godziny. A później opowiedziałam mu dowcip o świni i miałam właśnie wygłosić pointę, która jest prześmieszna, kiedy on powiedział:

– A świnia na to: ale ja jestem hydraulikiem.
– Znasz to – stwierdziłam. – Cholera! Myślałam, jakie to śmieszne i że będziesz płakał ze śmiechu, a ty to znasz. I nic mi nie powiedziałaś. Czuję się jak idiotka.
– Ale podobał mi się twój sposób opowiadania – powiedział i uśmiechnął się promiennie. Prawdę mówiąc, poczułam łaskotanie w brzuchu.

Kiedy kelner przyniósł rachunek, zaproponowałam, że się przyłączę, bo miło jest zaferować, choć nie jest miło, gdy się zgodzą. Patrick był zszokowany.

– W żadnym wypadku. – Nie powiedział, żebyśmy zapłacili po połowie, tak jak Paul z „Jedźmy i bawmy się”. I nie pożyczył ode mnie piętnastu funtów jak Mungo Brown. Wyjął swoją złotą kartę American Express i zapłacił. Spojrzałam na zegarek. Minęła północ. Patrick musiał wracać do Hammersmith, a ja do domu.

– To był wspaniały wieczór – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Dziękuję.

Spodziewałam się, że powie: „Zadzwoń do ciebie” albo „Spotkajmy się znów niedługo”, albo „Chodźmy potańczyć” czy coś w tym rodzaju. Ale powiedział tylko:

– No to do widzenia.

Czułam się strasznie rozczarowana, bo mimo fatalnego początku, dobrze się razem bawiliśmy. W taksówce zastanowiłam się, czy aby sobie troszkę nie popłakać, ale zrezygnowałam. W końcu może spotkam kogoś fajnego na ślubie Jonatana.

Telefon zadzwonił wcześniej rano, o dziesiątej. Jeszcze byłam w łóżku.

– Tak?

– Tiffany?

– Tak?

– Mówi Patrick.

– Witaj! – wykrzyknęłam radośnie.

– Wstałaś już?

– Naturalnie. Jestem na nogach od... – dziesięciu sekund – ...wieków.

– Wiem, że nie powinienem tego robić, że powinienem zachować się chłodno i odczekać przynajmniej z tydzień, ale nie chce mi się bawić w te głupstwa. Zadzwoń, żeby powiedzieć...

– Tak?

– ...Że spędziłem z tobą bardzo miły wieczór. I chciałem zapytać, czy wybierzesz się ze mną do teatru?

– Tak! Tak, tak! W każdej chwili! Może dzisiaj? – W gruncie rzeczy niczego takiego nie powiedziałam. – Och, no, hmm, tak, chętnie.

– Masz czas w sobotę?

- Obawiam się, że nie. Jadę do Yorkshire na ślub.
- A w przyszłą środę?
- Chyba tak. Zjrzą do terminarza. Tak, w środę mogę.
- Na co chciałybyś pójść?
- Na *Szkolę żon* – odparłam bez namysłu.

Marzec

Te żonkile są cudowne – powiedziałam do Nicka, gdy jechaliśmy pociągiem na ślub Jonatana.

– Owszem – przyznał, wyglądając przez okno. Rosły przy torach, kiwając główkami i tańcząc w duchu poezji Wordswortha, a nasz pociąg mknął przez wiejskie tereny Hertfordshire. Wybraliśmy się wcześniej, przeznaczając prawie trzy godziny na podróż do York.

– Mam nadzieję, że Jonatan nie zapomni, co ma powiedzieć. – Nick uśmiechnął się.

– Sara mu na pewno podpowie – stwierdziłam, gdy pociąg zatrzymał się w Stevenage.

– Wzięłaś wskazówki, jak dojechać do kościoła? – spytał Nick.

– Nie, a ty?

– Ja też nie. Mam tylko zaproszenie.

– Tak samo jak ja. Nic nie szkodzi – stwierdziłam uspokajająco, kiedy drzwi się zamknęły i pociąg wyruszył w dalszą drogę, w kierunku Peterborough. – To jest kościół St Mary's w Westow i nie może być daleko od York, bo kod pocztowy jest taki sam. Przepuszczalnie taksówką dojedziemy ze stacji w dziesięć minut. Ślub zaczyna się o dwunastej, pociąg przyjeżdża do York o wpół do, będziemy w naszej ławce w kościele o... najpóźniej za piętnaście.

– Doskonale. Podoba mi się twoja sukienka, Tiffany.

– Dziękuję. Ty też nieźle wyglądasz. – Nick miał na sobie frak, sztuczkowe spodnie i cylinder. Zapowiadała się elegancka impreza. Żadnych byle jakich garniturów Nowej Partii Pracy, bardzo dziękuję.

Dotknęłam niebieskozielonego materiału mojej sukni od Jaspera Conrana – dokładnie dopasowanej, prawie obcisłej. Taka suknia bezlitośnie podkreśla najmniejszą faldkę tłuszczu. Głodziłam się przez tydzień, aby ją włożyć. Starannie wybrałam dodatki: duży, granatowy, słomkowy kapelusz od Phillipa Treacy'ego i aksamitny szal w kolorze turkusowo-cytrynowym. Siedziałam w pociągu, myśląc z rozmarzeniem o Patricku, Nick tymczasem znów wspominał szczęśliwe dni w Downingham.

– Pamiętasz, jak Stuyvesant wysadził w powietrze laboratorium chemiczne? – spytał z sentymentalnym westchnieniem.

– Tak.

– Cholernie zabawne, co? I fajnie było, jak Jack Benson zdobył gdzieś kałasznikowa i w banku... Dlaczego stoimy?

Pociąg stał w szczerym polu. Faktycznie stał już od jakiegoś czasu. Nick spojrzał na zegarek.

– Tkwimy tu od piętnastu minut – stwierdził zdenerwowany.

Byliśmy gdzieś koło Doncaster. Też spojrzałam na zegarek, była za dziesięć jedenasta. Nagle zatrzeszczał głośnik i konduktor przeprosił za „niewielkie opóźnienie”.

– Żonkile zablokowały tor – powiedział Nick. – Co za pech.

– Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. – Choć prawdę mówiąc, ja też zaczęłam się denerwować. Spóźnienie na ślub jest okropnie nieeleganckie, właściwie niedopuszczalne. Będziemy się musieli żwawo zakrzętnąć, jak dojedziemy do York. Dwadzieścia minut później pociąg nadal stał w tym samym miejscu i moje zdenerwowanie osiągnęło himalajskie szczyty. Wyciągnęłam zestaw do haftowania, żeby się trochę uspokoić. Skończyłam haftować mały listek, kiedy pociąg drgnął i powoli ruszył do przodu. Piętnaście po jedenastej. Nasz margines czasowy poważnie się skurczył.

– Zdamy – powiedział Nick. Za osiemnaście dwunasta wjechaliśmy na stację. O tej porze powinniśmy już siedzieć w kościele i studiować teksty psalmów. Wskoczyliśmy z pociągu i przebiegliśmy przez peron na postój taksówek. Długa kolejka! Zostawało tylko jedno wyjście.

– Bardzo panią przepraszam – powiedziałam do kobiety, która była pierwsza w kolejce. – Strasznie mi przykro, ale właśnie jedziemy na ślub i jesteśmy potwornie spóźnieni, i chciałam zapytać, czy nie ma pani nic przeciwko temu, wiem, że to bardzo niegrzecznie, i tak dalej, i na pewno potwierdza pani opinię o bezczelnych południowcach, ale ślub zaczyna się o dwunastej i... Dziękuję, dziękuję, bardzo pani dziękuję!

– Kościół St Mary’s – powiedział zadyszany Nick.

– Który? – spytał taksówkarz.

– W Westow.

Taksówkarz wzniosł oczy do nieba.

– Westow? To kawałek drogi.

– Kawałek drogi?

– Czterdzieści kilometrów – powiedział, ruszając z piskiem opon. Czterdzieści kilometrów! Co najmniej pół godziny. Pewnie więcej.

– Proszę, niech się pan pośpieszy – poprosiłam. – Ale w ramach dozwolonej prędkości, oczywiście. Spóźnimy się na ślub.

– Nie miałem pojęcia, że to tak daleko – powiedział Nick.

– Ja też nie.

– To jest wyłącznie moja wina – stwierdził szarmancko. – Powinienem był wziąć list ze wskazówkami. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

– Nie, nie, ja też jestem trochę winna. Powinna być bardziej zorganizowana. – I wtedy przypomniało mi się coś jeszcze. Nie zapakowałam prezentu. Miałam go w koszyku – alabastrową lampę z Heal’s. Wyjęłam ją i zaczęłam pakować, ale to było niemożliwe w jadącym samochodzie. Będę musiała zrobić to w kościele. Pędziliśmy przez wioską okolicę, ledwo zauważając barany na zielonych polach, poprzecinanych kamiennymi murkami i duże kępy pierwiosnków, rosnących wzdłuż krętych dróg. Kiedy zatrzymaliśmy się przed kościołem w Westow, Sara u boku ojca wchodziła do środka. Wiatr powiewał jej welonem.

– Jest, jest! Szybko!

Zapłaciliśmy taksówkarzowi i pobiegliśmy do kościelnych drzwi. Wszyscy wstali na wejście panny młodej. Nick i ja zaczekaliśmy, aż dojdzie godnym krokiem do ołtarza,

a potem przeszliśmy się do ławki mniej więcej w połowie drogi między ołtarzem a wejściem.

– Przepraszam! Bardzo przepraszam! – powiedzieliśmy głośnym szeptem, gdy cztery pięknie ubrane siedzenia przesunęły się na ławce.

– Drodzy państwo młodzi – powiedział wikary. – ...Zebraliśmy... Bóg... Sakrament małżeństwa... Błogosławiony stan...

Rozejrzałam się po kościele. Był pełen. I wszyscy wyglądali bardzo elegancko we frakach i drogich garniturach, a jakie mieli kapelusze! Niesłychane. Nagle odzłotł się dźwięk organów i wstaliśmy do pierwszego hymnu: *Ślubuję ci, mój kraju*, który odśpiewaliśmy z entuzjazmem. W tym czasie miałam okazję obejrzeć suknię Sary. Z kremowego szantungu, z długimi rękawami, wysokim kołnierzem, rzędem guziczków z tyłu od samej góry do samego dołu, z obniżoną talią i szeroką spódnicą z wielką kokardą z tyłu. Była naprawdę śliczna. Może włożę coś podobnego, pomyślałam, kiedy będę wychodziła za Patricka.

– Biorę cię, Patricku – mruknęłam do siebie – za męża... Na dobre i na złe... W zdrowiu i w chorobie...

Potem usiedliśmy na pierwsze czytanie z *Proroka* Kahila Gibrana. Mój Boże! Prezent! Zupełnie zapomniałam. Wyjęłam lampę z koszyka, razem z papierem i taśmą klejącą, i zaczęłam ją ukradkiem zawijać.

– *Wtenczas Almitra znów przemówiła i rzekła: A cóż nam powiesz o małżeństwie, mistrzu?**

– Nick, czy mógłbyś przytrzymać tutaj palcem? – szepnęłam.

– *A on odrzekł: Zrodiliście się razem i razem na zawsze pozostaniecie...*

– Nie, nie tam. Tutaj. Coś niespecjalnie klejąca ta taśma.

– Ciii – powiedział ktoś z tyłu.

– *Pozostaniecie razem, aż białe skrzydła śmierci rozwieją wasze dni.*

– Ojej, zgubiłam koniec...

– *Zawsze pozostaniecie razem, nawet w milczącej pamięci Boga.*

– Masz długie paznokcie, Nick?

– *Lecz zachowajcie wolną przestrzeń w waszej wspólności.*

– Potrzyj to tu, Nick. Dobrze, tutaj, nie ruszaj palcem, bo wszystko się rozleci.

– *I niech niebiańskie wiatry płasają między wami.*

– O Boże, gdzie są te nożyczki? Muszę zwinąć wstążkę.

Wreszcie się udało. Lampa i abażur były zapakowane. Nakleiłam na wierzchu czerwoną kokardę, wypisałam życzenia na ozdobnej karteczce i schowałam prezent do koszyka. Co za wspaniały ślub, pomyślałam z zadowoleniem. Naprawdę mi się podobał. Jonatan i Sara wyglądali przepięknie, a słońce usłużnie świeciło przez witraże w oknach, rozjaśniając ich twarze.

– Co Bóg związał, człowiek nie może rozwiązać – powiedział wikary.

Pomyślałam o Człowieku Sukcesu.

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Zawsze w tym momencie mam ochotę bić brawo. Jonatan i Sara poszli do zakrystii złożyć podpisy, ktoś zaśpiewał *Ave Maria* i nagle byli już małżeństwem i szli do wyjścia

* Kahil Gibran *Prorok*, przekład Teresy Truszkowskiej.

środkiem kościoła, uśmiechając się i od czasu do czasu witając skinieniem głowy znajomych. Sara wyglądała na bardzo szczęśliwą i odprężoną. Teraz była panią Jonatanową de Beauvoir. Zagrzmiała *Toccata* Widora i wszyscy wyszliśmy z kościoła na ostre, wiosenne słońce, po czym przeszliśmy wysadzaną drzewami drogą do Starej Plebanii, domu Sary.

– Prawda, że było uroczo? – powiedziałam do Nicka.

– Tak, wspaniałe przedstawienie.

Poszliśmy za wszystkimi pod markizę w żółte pasy, gdzie ustawiono czterdzieści stolików, nakrytych białymi obrusami, błyszczącymi srebrnymi sztucami, migoczącymi kryształami i dekoracjami z wiosennych kwiatów. Wiejskie angielskie wesele. Perfekcyjne. Uradowani goście popijali szampana, stojąc w kolejce, aby złożyć życzenia młodej parze. Postanowiłam znaleźć łazienkę, nim zasiądziemy do weselnego obiadu. W łazience ktoś miotał się nerwowo przed lustrem. Druhna-punkowa miała poważny problem.

– O Boże! – jęczała. – Ojej! – Kolczyk w nosie zaczepił się o koronkę sukienki. – Oooo! – Ciągnęła, starając się uwolnić, ale nie bardzo jej to wychodziło. – O Boże! – jęknęła znów. Wyglądało to dość boleśnie.

– Czy mogę ci pomóc?

Kiwnęła głową, na tyle, na ile mogła, biorąc pod uwagę, że głowę miała przyczepioną do sukienki. Wzięłam koronkę i delikatnie wyplątałam z niej kolczyk.

– Dzięki – powiedziała z wdzięcznością. – Myślałam, że rozerwę sobie nos i zaleję się krwią.

– Już wszystko w porządku – stwierdziłam, przyglądając się jej. Wyglądała żałośnie. Naprawdę strasznie, jakby brała udział w bójce. Jednakże pod dziwaczną fryzurą i nuklearno-holokaustowym makijażem była bardzo ładna.

– Masz śliczną sukienkę – powiedziałam szczerze.

– Czuję się w niej jak głupia. W ogóle nie chciałam być druhną, ale mama mnie zmusiła.

– Dlaczego nie chciałaś być druhną?

– Bo uważam, że małżeństwo jest totalną bzdurą. – Wielki Boże! Tyle cynizmu u tak młodej osobki. – Nigdy nie wyjdę za mąż – oznajmiła, myjąc ręce. Rzuciłam okiem na jej paznokcie. Były pomalowane na czarno. – Moi rodzice są małżeństwem i są bardzo nieszczęśliwi. Cały czas się kłóca.

– To fatalnie.

– Rodzice wielu moich znajomych są rozwiedzeni i to jest genialne, bo dzieci dostają mnóstwo prezentów. Ich matki i ojcowie wciąż się prześcigają w udowadnianiu, kto jest lepszy. Chciałabym, aby moi rodzice się rozwiedli – stwierdziła ponuro, otwierając drzwi. – Oni się nawet nie lubią!

– To fatalnie – powtórzyłam, z braku słów na to niespodziewane zaufanie. – Do zobaczenia.

Umyłam ręce i poprawiłam makijaż. Musiałam wstać wcześniej niż zwykle i miałam cienie pod oczami. Zeszłam na dół, gdzie właśnie zaczynał obiad. Nick i ja siedzieliśmy przy różnych stołach. Jego wydawał się duży i dość ożywiony. Przy moim stole siedziała druhna-punkowa. Rzuciła mi powitalny uśmiech. Z jej prawej strony siedziała chuda kobieta, zapewne jej matka. A z drugiej strony – tylko spokój, Tiffany! Oddychaj głęboko.

– Cześć, Tiffany – powiedział spokojnie Człowiek Sukcesu. – Zauważyłem cię w kościele. Miałaś niezłe wejście. Czy udało ci się zapakować prezent? Kochanie, to jest Tiffany Trott. Tiffany, to jest moja żona, Olivia, i moja córka, Saskia.

– Saskię już znam – powiedziałam. – Poznałyśmy się w łazience.

– Tiffany pracuje w reklamie, kochanie – poinformował żonę. – Stąd się znamy.

– Tak, to prawda – potwierdziłam. – Z reklamy.

To wyjaśnienie najwyraźniej zadowolilo Olivię. Uśmiechnęła się do mnie dość miło, a potem rozłożyła serwetkę na kolanach. Miała na sobie czarną suknię od Issey Miyake. Wydawała się sztywna i surowa, ale także zmęczona i spięta. Podano sałatkę z homara.

– Dolać ci wina, Olivio? – spytał zimno Człowiek Sukcesu.

– Poproszę, kochanie – odparła równie lodowatym tonem. Jak on miał na imię? Wciąż nie miałam pojęcia, a ona przez cały czas mówiła do niego „kochanie” mroźnym tonem.

– Ja też poproszę – powiedziałam, podsuwając kieliszek. Byłam pewna, że jest dobrze schłodzone przez tę lodowatą atmosferę.

– W twoim stanie nie powinnaś pić alkoholu, Tiffany – stwierdził Człowiek Sukcesu. Drań!

– Tiffany spodziewa się dziecka, Olivio. Prawda, Tiffany?

– Naprawdę nie chciałabym na ten temat dys...

– Będzie samotną matką – dodał.

– Świetny pomysł – powiedziała Olivia, ku memu całkowitemu zdumieniu.

– Więc nie może pić alkoholu. Wielka szkoda, bo to jest szczególnie dobre sauvignon, a wiem skądinąd, że Tiffany przepada za sauvignon.

– Owszem – przyznałam. Człowiek Sukcesu odstawił butelkę z winem, tak że nie mogłam jej dosięgnąć.

– W maju, prawda? – spytał, rzucając mi badawcze spojrzenie. – Tak mówiłaś, Tiffany, prawda?

Miałam dość. Wprowadziłam go w błąd, i tak dalej, ale posuwał się za daleko. Z drugiej strony nic nie mogłam powiedzieć przy jego rodzinie. Postanowiłam go całkowicie zignorować i porozmawiać z jego żoną. To mu nie będzie w smak.

– Skąd pani zna Jonatana i Sarę?

– Sara jest moją bliską kuzynką. – To dlaczego nie byli na przyjęciu zaręczynowym?

– Szkoda, że nie byli państwo na przyjęciu w East India Club.

– Nie byliśmy, bo Olivia otworzyła kopertę z zaproszeniem, a potem zapomniała mi o nim powiedzieć, prawda, Olivio? – odparł Człowiek Sukcesu. Żona spojrzała na niego wściekłym wzrokiem. – Zawsze „zapominasz” powiedzieć mi o imprezach, na których mógłbym się dobrze bawić.

– Mam nadzieję, że nie zaczniecie znów się kłócić – stwierdziła ponuro Saskia. Spojrzała na mnie i wzniosła oczy do nieba. – Kłócili się przez całą drogę w samochodzie – szepnęła. – Przez cztery i pół godziny bez przerwy! Wreszcie kazałam im się zamknąć. – Ładna historia.

– Chciałbym, abyś zmyła ten okropny makijaż – powiedział nagle Człowiek Sukcesu. – Wyglądasz koszmarnie.

– Wcale nie.

– Obawiam się, że tak. Wyglądasz, jakby ktoś uderzył cię w twarz. W dodatku masz straszny akcent. Po co posyłam cię do Benenden, jeśli potem mówisz jak Barbara Windsor?

– Przynajmniej nie mówi jak Elizabeth Windsor – stwierdziła lodowatym tonem jego żona. – Jeśli zaś chodzi o makijaż, to Saskia musi być wolna i wyrażać siebie tak, jak sama chce.

– Moja żona ma bardzo postępowe poglądy na wychowanie dzieci, zachowanie i wygląd – powiedział do mnie Człowiek Sukcesu. – Gdy tymczasem ja jestem...

– Nadęty, staromodny i konserwatywny – wtrąciła ostro Olivia. Kręciłam głową w prawo i w lewo, jakbym była na kortach Wimbledonu.

– Nie jestem staromodny.

– Właśnie, że jesteś.

– Nie jestem.

– Jesteś.

– Jest – szepnęła do mnie Saskia. – Chciałby, abym nosiła ubrania od Laury Ashley. – Wykrzywiła się z obrzydzeniem. – I z Liberty. Obrazy, które mu się podobają są potwornie nudne, a mama lubi sztukę współczesną. Powinna prowadzić galerię, byłaby w tym niezła.

To pozwoliło mi zmienić temat, jednocześnie znów irytując Człowieka Sukcesu.

– Jaka sztuka panią interesuje? – spytałam.

– Abstrakcja, ekspresjonizm, postmodernizm i, oczywiście, konceptualizm. Konceptualizm jest niesłychanie ekscytujący. Nigdy nie podzielałam zachwyty mojego męża nad nudnymi pejzażami, grafiką sportową i rozlazłymi stylami rokoka i baroku. Lubię sztukę współczesną, żywą i odnoszącą się do dnia dzisiejszego.

– Nie bardzo rozumiem, jak kawałki zdechłego zwierzęcia odnoszą się do czegokolwiek – powiedział Człowiek Sukcesu, krojąc jagnięcinę.

– Uwielbiam prace Tracey Emin – stwierdziła Olivia, ignorując męża. – A instalacje Rachel Whiteread robią duże wrażenie i pobudzają do myślenia. Interesuje mnie także sztuka wideo. – Jej mąż jękiem wyraził dezaprobatę.

– Bywa pani w galerii Oscara Reedsa? – spytałam. Kelnerka nakładała nam na talerze małe młode kartofelki. – Właściciel jest nudziarzem, ale sądzę, że podobałoby się pani to, co u siebie pokazuje.

– Oczywiście – stwierdziła zagadkowo, biorąc nóż i widelec. – Wiem wszystko o Oscarze Reedsie. – Co to miało znaczyć? Prawdopodobnie to, że ją także obraził.

– Jak ci idą zajęcia w szkole rodzenia, Tiffany? – spytał Człowiek Sukcesu, pociągając solidny łyk bordeaux. – Ćwiczysz oddechy?

– Tak – odparłam, zgodnie z prawdą.

– Nie chciałybyś nam zademonstrować?

– Nie. W żadnym wypadku. – Człowiek Sukcesu pił coraz więcej.

– Nie jedz serów pleśniowych – mruknął lekko pijanym głosem, kiedy przyniesiono desery. – Nie dotykaj dolcelatte.

– A ty nie pij, jak prowadzisz samochód – odparowałam.

– Nie prowadzę – rzucił z oburzeniem, że mogę go posądzać o coś takiego. – Nigdy tego nie robię. Nocujemy tutaj.

A potem przyniesiono szampana, Jonatan i Sara podzielili tort, ogłoszono przemówienia, które były krótkie i śmieszne, czyli takie jak trzeba, i wszystko się świetnie udało. Pomyślałam, że tak samo będzie, jak się pobierzemy z Patrickiem. Dokładnie tak samo. Zagrała orkiestra i Jonatan z Sarą zaczęli tańczyć, a my wszyscy przypatrywaliśmy się i biliśmy brawo, a później goście też ruszyli do zabawy.

- Przepraszam, pójde przypudrować nos – powiedziała Olivia.
- Tiffany? – spytał Człowiek Sukcesu, kiedy odeszła.
- Tak?
- Dlaczego mi powiedziałaś, że jesteś w ciąży?
- Nic takiego nie mówiłam – odparłam zgodnie z prawdą.
- Nie rozumiem. To skąd te wszystkie książki o opiece nad dzieckiem?
- Moja przyjaciółka Sally spodziewa się dziecka – wyjaśniłam. – W maju. Jestem jej partnerką porodową.
- Ach tak. Rozumiem. Pomyliłem się.
- Tak.
- To nie było miłe z twojej strony, że nie wyprowadziłaś mnie z błędu – powiedział dotknięty.
- Nie sędzę. W tych warunkach.
- Człowiek Sukcesu spojrział tęsknie na tańczących, a potem na mnie, i powiedział:
- Tiffany...
- Tak?
- Czy... Czy chciałabyś...?
- Trotters! – Nick wyciągał do mnie rękę. – Chodź, Trotters. Zatańczymy. – Uśmiechnął się do Człowieka Sukcesu i do Olivii, która właśnie wróciła do stołu. – Nick Walker – przedstawił się grzecznie. – Proszę nam wybaczyć.
- Chętnie – stwierdziłam, gdy prowadził mnie na parkiet.

Nadal marzec

- C**holernie śmieszne – powiedziałam, kiedy kurtyna opadła na przerwę do wtóru rzęsi-
stych oklasków. – Cholernie śmieszne. Uwielbiam Sheridana.
- To sztuka Moliera – powiedział Patrick.
 - Ach, prawda, faktycznie – powiedziałam, kiedy szliśmy do baru. – Podoba ci się? – spytałam, gdy wrócił z kieliszkami.
 - Owszem. Sztuka jest zabawna. – Zabawna? Dla mnie była potwornie śmieszna.
 - Chcesz teraz czekoladkę? – spytałam, podsuwając mu pudełko.
 - No dobrze. Czy mogę wziąć tę z laskowym orzechem?
 - Cholera, tę akurat zjadłam. Tę i prawie całą resztę. Oprócz...
 - Weź roladkę truskawkową.
 - Co takiego?
 - Lekka i soczysta pomada kremowa w polewie z ciemnej czekolady.
 - No, dobrze.

Wypiłam jeszcze łyk czerwonego wina i nagle zadzwonił dzwonek; musieliśmy wracać na miejsca.

Drugi akt przeleciał w mgnieniu oka, choć trudno mi było skupić się na sztuce, gdy nasze kolana prawie się stykały. Siedzieliśmy w ciepłej ciemności, na czerwonych aksamitnych fotelach, śmiejąc się z dowcipnego przekładu i wyśmiewając się z Arnolfa, ograniczonego kupca,

który chce się ożenić ze swoją młodą wychowanicą, ale boi się zostać rogaczem. Pointa sztuki polega na tym, że skomplikowane plany Arnolfa, aby dziewczyna zachowała dziewictwo, doprowadzają ją do tego, że pada w ramiona młodego mężczyzny. Uważałam, że sztuka jest niesłychanie śmieszna, a jednocześnie głęboko ironiczna i znacząca, ale Patrickowi aż tak bardzo się nie podobała. I chyba wiem dlaczego. Ponieważ później, kiedy poszliśmy na kolację, zapytałam, dlaczego się rozwiódł.

– Moja żona miała romans – powiedział, odrywając kawałek bułki.

– Och. – Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, więc tylko powiedziałam: „To pech” i spróbowałam zmienić temat. Przez chwilę rozmawialiśmy o sztuce. I o tym, że Arnolf szuka głupiej żony, bo boi się poślubić inteligentną kobietę, która mogłaby go oszukiwać.

– Jest wielu takich mężczyzn jak Arnolf – powiedziałam.

– Ja uważam, że inteligentna kobieta jest niesłychanie atrakcyjna – odparł Patrick.

– Ale wielu mężczyzn jest innego zdania.

– Na kontynencie jest bardzo modne, żeby mężczyzna miał mądrą żonę albo kochankę, pod warunkiem, oczywiście, że jest również ładna. Mam podobne poglądy. Dla mnie mózg kobiety jest jej najważniejszym organem.

– Mam dość wysoki iloraz inteligencji – poinformowałam go.

– Inteligencja jest najbardziej atrakcyjną cechą kobiety.

– I miałam dwie czwórki na maturze.

– Prawdę mówiąc – kontynuował, krojąc stek – to jedyna rzecz, jaka się w ogóle liczy.

– Jedna z tych czwórek to była prawie piątka.

– Tak – podsumował. – Nic nie zdobi kobiety bardziej od błyskotliwego intelektu. To był uroczy wieczór, Tiffany – powiedział, płacąc rachunek. – Może zagramy w sobotę w tenisa?

– Koniecznie – zgodziłam się z radością. – A potem możemy zagrać w inteligencję.

Umówiłam się z Patrickiem, że spotkamy się w klubie o wpół do trzeciej, i wyraźnie wytłumaczyłam mu, jak tam dojechać. I zamówiłam kort na dwie godziny, ponieważ rozgrzewka zajmie nam co najmniej z pół godziny, półtorej godziny, aby rozegrać parę setów, chyba żeby mnie totalnie pokonał, co prawdopodobnie miało nastąpić, biorąc pod uwagę, że na początku lat siedemdziesiątych grał w turnieju juniorów na Wimbledonie. Kiedy przyjechałam do klubu, zauważyłam bardzo atrakcyjną nową trenerkę.

Było cudowne wiosenne popołudnie. Na drzewach pojawiły się pierwsze liście, na każdej rabatce kiwały główkami tulipany i hiacynty, a ptaki świergotały wesoło, kiedy siedziałam na tarasie, czekając na Patricka. Za piętnaście trzecia jeszcze go nie było, co mnie zdziwiło, bo na ogół można na nim polegać. Wypiłam kawę i przyglądałam się graczom, odbijającym piłki z różnym stopniem zaangażowania i umiejętności. Potem wzięłam „Telegraph”. Przeczytałam wiadomości i wszystkie artykuły, sprawdziłam informacje giełdowe, przerzuciłam strony sportowe, w końcu zajęłam się krzyżówką na ostatniej stronie. W pewnej chwili okazało się, że rozwiązałam trzy czwarte haseł, a Patricka wciąż nie było. Za piętnaście czwarta! Muszę powiedzieć, że mój poziom zdenerwowania znacznie wzrósł. Gdzieś do wysokości K2. Wzięłam „Timesa” i zerknęłam,

wyłącznie z ciekawości, do rubryki samotnych serc. Potem zaczęłam rozwiązywać krzyżówkę, doszłam do połowy i kiedy zastanawiałam się nad czternaście pionowo, zadzwonił telefon. Odebrała ta nowa trenerka. Potem wyszła na taras.

– Tiffany? – spytała.

Kiwnęłam głową.

– Cześć, jestem Julia. Nowa trenerka. Przed chwilą zadzwonił jakiś Patrick Miller.

Patrick! Dzięki Bogu! Wszystko będzie dobrze. Wybaczam ci, nie martw się. Nie mam pretensji, że przyjeżdżasz dwie godziny później – powiedziałam w duchu. Tylko się pospiesz i dojeżdź bez wypadku.

– Dzwonił, żeby powiedzieć...

– Że zaraz przyjedzie – przerwałam.

– Nie. Że musi odwołać spotkanie.

– Co?

– Odwołać. Bardzo przeprasza.

– Odwołać?

– Tak.

– Och. Podał jakiś powód?

– Nie – odparła, potrząsając brązowymi lokami.

– Zadzwonił tylko, żeby powiedzieć, że odwołuje? – Julia kiwnęła głową. – To znaczy nie przyjedzie?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Czy na pewno użył słowa „odwołać”?

– Na pewno.

– Nie pomyliłaś się, co? Przepraszam, wiem, że jesteś nowa, i tak dalej, ale nie pomyliłaś się? Nie przesłyszałaś?

– Nie. Powiedział: „odwołać”. Powiedział: „Czy mogłaby pani powiedzieć Tiffany Trott, że muszę odwołać nasze spotkanie”. Tak dokładnie się wyraził.

– „Odwołać” w znaczeniu „nie przyjechać”? Posłuchaj, Julio, czy mogę to jeszcze raz wyjaśnić? Powiedział „odwołać”? Tak? „O-de-wu-eł-a-ci”?

– Tak. Odwołać. Nie pokazać się. Odwołać.

– I jesteś tego absolutnie pewna?

– Na sto procent.

– Rozumiem – powiedziałam, dotykając materiału mojej nowej tenisowej sukienki. – A zatem nie przyjedzie.

Poszłam na górę się przebrać. Nóż powoli obracał się w moim sercu. Zdjęłam sweter od Sergia Tacchiniego, sukienkę od Freda Perry’ego, nowe tenisówki i skarpetki Lillywhites, po czym się ubrałam. Pojechałam do domu. Kiedy otworzyłam drzwi, światło automatycznej sekretarki nie mrugało na zielono obietnicą jakiegoś wiarygodnego usprawiedliwienia Patricka. Nie, nie miało mi nic do przekazania. Coś przyszło mi do głowy. Rozmawiał z Julią, to dlaczego nie poprosił mnie do telefonu, żeby wyjaśnić swoją nieobecność albo przynajmniej osobiście mnie przeprosić? Zupełnie tego nie rozumiałam. Usiadłam przy kuchennym stole, oparłam głowę na rękach i się rozplakałam. Siedziałam i płakałam. Łzy płynęły mi po twarzy. I wtedy zadzwonił telefon.

- Tak?
- Tiffany? Mówi Patrick.
- Tak?
- Posłuchaj, przykro mi z powodu tenisa...
- Tak.
- Ale zostałem zatrzymany... – Zatrzymany? – Długo czekałaś?
- Tak.
- Na pewno jesteś na mnie trochę zła.
- No cóż, tak. Tak, jestem.
- Przepraszam bardzo, ale wiesz jak to jest...
- Nie, nie wiem.
- Nie wiedziałem, że już jest tak późno i...
- Posłuchaj, nie interesują mnie twoje żalosne wymówki. Liczy się to, że wystawiłeś mnie do wiatru.
- Jak mogę ci to wynagrodzić?
- Nie znoszę facetów, którzy tak się zachowują...
- Czy mogę cię zaprosić na kolację?
- Wszyscy faceci to dranie. Wszyscy. Dranie. Nawet ci sympatyczni. Obawiam się, że to...
- Tiffany!
- Koniec naszej znajomości.
- Czy zjesz ze mną we wtorek kolację?
- Och. Tak. Dobrze.

Kwiecień

Patrick z uroczym uśmiechem dolał mi szampana. Byliśmy w Bertorelli's przy Charlotte Street, a ja czułam się jak w niebie. Byłam szczęśliwa i dobrze wyglądałam. Zrobiłam sobie nogi woskiem. I całkowicie zaakceptowałam przeprosiny Patricka za to, że się nie zjawił w klubie tenisowym.

– Jedziemy do południowej Francji – oznajmił. – To ci chciałem powiedzieć. Dlatego chciałem się dziś z tobą zobaczyć. – Południowa Francja, fiu, fiu!

– To fantastycznie. Kiedy?

– Jeszcze nie wiem. Przypuszczalnie w przyszłym tygodniu. Na dwa tygodnie...

Dwa tygodnie! Cudo! Moglibyśmy pojechać na Antibes i na Cap Ferrat, zagrać w ruлетkę w Monte Carlo, może zobaczylibyśmy księżniczkę Karolinę, a potem Nicea...

– Muszę się zdecydować na jakiś termin, który pasowałby nam obojgu...

– Moja praca jest bardzo elastyczna – stwierdziłam.

– I muszę sprawdzić, ile mi zostało urlopu.

– Oczywiście.

– I czy dom będzie wolny w tym czasie.

– Jasne.

- Myśle, że będzie ładna pogoda.
- Och, tak.
- Ale wszystko zależy od tego, kiedy ona będzie mogła wyjechać.
- Słucham?
- Ach, prawda, nie mówiłem ci? Poznałem kogoś. Razem zawiesiliśmy spotkania.
- Poznałeś kogoś? – powtórzyłam. Co to znaczy „poznałeś kogoś”? Przecież dopiero co poznałeś mnie, pomyślałam.
- Tak. Poznałem kogoś. I zawieszam spotkania. Ona też.
- Rozumiem. – I dla tego mężczyzny zrobiłam sobie nogi woskiem. – Myślałam, że to dla mnie zawiesiłeś inne spotkania.
- Nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy – stwierdził od niechcienia, nabijając frytkę na widelec.
- Bo sam mi to powiedziałeś po naszym pierwszym spotkaniu, kiedy zadzwoniłeś do mnie od razu na drugi dzień. Mówiłeś, że nie powinnam się już z nikim innym spotykać. Stąd mi to przyszło do głowy!
- Tylko żartowałem, Tiffany. Wcale mi na tym nie zależało.
- I przez cały czas spotykałeś się z innymi kobietami?
- Tak. Dlaczego nie?
- Z iloma? – spytałam, bawiąc się ząbkowanym nożem.
- Zaraz ci powiem. – Zaczął liczyć na palcach dwóch rąk, potem trzech i czterech. – Z siedemnastoma.
- Siedemnastoma? – Zdradził mnie siedemnaście razy?
- A teraz poznałem kogoś, z kim się chcę wyłącznie spotykać – poinformował mnie, pijąc szampana. – I wybieramy się razem na urlop. Jednakże chciałem cię zaprosić na kolację, ponieważ miałem wyrzuty sumienia z powodu tego tenisa, ale Sarajane poprosiła, abym pojechał z nią na zakupy i dlatego nie zdążyłem do klubu. Utknęliśmy w korku na King’s Road, ale na szczęście Sarajane ma telefon w mercedesie. Tiffany... Dokąd idziesz, Tiffany?
- Idę po rewolwer!

Któregoś ranka obudził mnie telefon. To był Kit.

- Tiffany! Tiffany! – krzyczał do słuchawki. – Bierzemy ślub.
- Nie.
- Nie ty. Portia. I ja. Bierzemy ślub! – krzyknął znów. Rzuciłam okiem na budzik, była siódma rano.
- Przepraszam, że tak wcześnie dzwonię, Tiff, ale musiałem cię jak najszybciej powiadomić. Wczoraj wieczorem powiedziała... Powiedziała... Och, Tiffany, Portia będzie miała dziecko. I bierzemy ślub. W sobotę. Tiffany?
- Tak? – mruknąłam przez łyżę.
- Czy będziesz moim drużbą?

Smutny, brzydki głupek, oczywiście żonaty – taka była treść jednego z ogłoszeń w kolumnie samotnych serc w „Private Eye”. Absolwent prywatnej szkoły szuka kobiety, która nosi apaszki Hermesa. Ty? 25. Ja? Mógłbym być twoim ojcem, ale ciągle jestem pełen życia. Fascynujące. Absolutnie fascynujące. Zawsze je czytam. Nawet kiedy sama nikogo nie szukam. Choć przypuszczam, że będę musiała znowu zacząć. Jednakże dopiero w maju, ponieważ w tej chwili za dużo mam na głowie. Wyglądałam różową, kaszmirową tunikę, strzepnęłam pyłek kurzu z dużego, słomkowego kapelusza i wyjrzałam przez okno. Autobus numer 19 włókł się po King’s Road. Mimo niedzieli wielkanocnej większość sklepów była otwarta, z malowanymi jajkami, puchatymi, żółtymi kurczakami, tłustymi króliczkami i jaskrawymi, wiosennymi kwiatami na wystawach. To podkreślanie narodzin, młodości i odnowy mocno mnie uderzyło, aż się sama zdziwiłam. A potem zobaczyłam ratusz Chelsea i Kita, który czekał na schodach. Spojrzałam na zegarek – wpół do dwunastej. Jeszcze godzina. Wcześniej zajrzałam do książki o ślubnej etykietce i wiedziałam, co jest grane, choć niełatwo mi przyszło nauczyć się wszystkich obowiązków drużby w ciągu zaledwie sześciu dni. Większość ludzi ma na to sześć miesięcy. Przynajmniej nie musiałam organizować kawalerskiego wieczoru z głupimi dowcipami, striptizerką, niewiarygodną ilością alkoholu, miękkimi narkotykami i dowcipnymi przygodami z gipsem. Kit zrezygnował z tego wszystkiego na rzecz eleganckiej kolacji dla obu rodzin dwa dni wcześniej.

Kit miał na sobie nowy kremowy, lniany garnitur z jasnożółtą, jedwabną kamizelką i jasnożółtym fularem. Przywitał mnie tak radośnie, że poczułam wyrzuty sumienia z powodu przelotnego uczucia zazdrości. To mogłam być ja, pomyślałam, przypinając mu kwiatek do butonierki. Tymczasem to była ona, a nie ja. Tak widocznie chciało przeznaczenie – pocieszyłam się w duchu. A potem nadjechała Portia. Wyskoczyła z różowego, wynajętego cadillaca i wbiegła po schodach ratusza w towarzystwie swojej drużny, Borisa, który ją czesze od dziesięciu lat. Miał na sobie garnitur z tartanu i żółtą muszkę. Portia była w ciemnoszarej, dopasowanej, płaszczonej sukni od Vivienne Westwood, z wielkim aksamitnym kołnierzem w kształcie serca i w nieco ekstrawaganckim kapeluszu. Trzymała mały bukiet z róż w kolorze moreli i wyglądała prześlicznie. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, kiedy tak stali razem z Kitem, przyciągając zaciekawione spojrzenia przechodniów.

– Jesteśmy bardzo sławni – powiedział Kit zdumionym japońskim turystom, którzy pytali, kim są. – Ja jestem Hugh Grant, a to moja narzeczona, Elizabeth Hurley. – Japończycy na tyle mu uwierzyli, że chcieli robić zdjęcia. – To będzie, oczywiście, bardzo tradycyjny, angielski ślub – wyjaśnił poważnie Kit, gdy pstrykali zdjęcie za zdjęciem. No, oczywiście, pomyślałam. Pan młody na biało, panna młoda na ciemnoszaro, drużbą jest kobieta, a drużną – facet. Potrzeba nam tylko psa w roli urzędnika stanu cywilnego.

Nadjechali rodzice państwa młodych i młodszy bracia Portii, i w dziesięć osób weszliśmy do środka. Nikomu nie upadnie obrączka, pomyślałam z zadowoleniem – ani nie trzeba rozsądzać gości. Sala była gustownie urządzona w złocie i zieleni, z ciężkimi zasłonami z kremowego jedwabiu *dupion* i eleganckimi krzesłami w stylu *art nouveau*. Z sufitu zwisały dwa błyszczące żyrandole, a mahoniowe meble były wypolerowane na wyso-

ki połysk. Kiedy urzędniczka zaprosiła Portię i Kita, żeby usiedli na dwóch „tronach” przed jej biurkiem, pomyślałam o wszystkich tych znanych ludziach, którzy siedzieli na nich wcześniej – Judy Garland, D.H. Lawrence, David Niven, Wallis Simpson, Edward Elgar, Des O’Connor. „Biorę cię, Desie...” A może powiedziała „Desmondzie”, kimkolwiek była jego narzeczona. Przestałam się zastanawiać, bo uroczystość właśnie się zaczynała. Usiadłam w pierwszym rzędzie, obok Borisa.

– Witam wszystkich bardzo serdecznie – powiedziała urzędniczka – i zapraszam na ślub Portii i Kita. – Portia uśmiechnęła się do Kita i uściśniła mu rękę.

– Małżeństwo, zgodnie z prawem tego kraju, jest związkiem jednego mężczyzny i jednej kobiety, podjętym dobrowolnie na całe życie, z wykluczeniem innych osób.

Człowiek Sukcesu nie chciał wykluczać wszystkich innych kobiet, pomyślałam ze smutkiem. Chciał mnie włączyć do swojego życia.

– Moim obowiązkiem jest przypomnieć państwu, że przysięga, którą państwo złożyli, jest poważna i wiążąca na resztę życia. – Spojrzałam na Portię i Kita. Rzeczywiście wyglądali poważnie. Potem wstał Boris i przeczytał *Jak cię kocham, pozwól mi wyliczyć* melodyjnym i dźwięcznym głosem. Sam ślub trwał bardzo krótko, państwo młodzi wymienili kilka umownych zdań. Może brakowało podniosłego nastroju kościelnej uroczystości, ale z pewnością nie brakowało uczucia.

– Stwierdzam z całym przekonaniem, że nie wiem o żadnych przeszkodach, dla których ja, Kit, nie mógłbym pojąć za żonę, cię Portio...

– ...Wzywam obecnych na świadków, że ja, Portia, biorę cię, Kita, za męża – powiedziała z uśmiechem.

– Kto ma obrączkę? – zapytała urzędniczka. Podeszłam do przodu i położyłam obrączkę na małej, aksamitnej poduszeczce na biurku. Kit włożył Portii obrączkę na palec, a potem oboje się podpisali na stosownym dokumencie. Boris i ja, jako świadkowie, też złożyliśmy podpisy.

– Gratuluję – powiedziała urzędniczka, uśmiechając się do obojga. – Jestem bardzo szczęśliwa, że mogę państwa ogłosić mężem i żoną.

Wszyscy zaklaskaliśmy. Wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Portia i Kit wybuchnęli płaczem. Jak już mówiłam, płacz jest zaraźliwy i wszyscy, wychodząc z ratusza, ocieraliśmy oczy. Przystanęliśmy na schodach, aby zrobić zdjęcia młodej parze i obrzuciliśmy ich konfetti, a Portia bez przerwy całowała Kita. A potem przeszliśmy Old Church Street do Chelsea Art Club, śmiejąc się i rozmawiając, w zadziwiająco ciepłym słońcu. Zapukaliśmy do drewnianych drzwi długiego, niskiego, białego budynku pod numerem 143 i wpuszczono nas do podniszczonego wnętrza ze śladami dawnej świetności. Na ścianie w holu wisiała lista dotychczasowych przewodniczących klubu: sir John Lavery, F.M. Lutyens, Roger McGough, Patrick Hughes. Tu przychodził Whistler i John Singer Sargent, i wszyscy ich kumple malarze. W barze, gdzie grano w bilard, było pełno gości. Skręciliśmy w lewo, przeszliśmy kawałek korytarzem i otworzyliśmy drzwi do jadalni...

– Gratulacje! – Wszyscy goście stali przy swoich miejscach, czekając na Portię i Kita. Do oparcia co trzeciego krzesła przywiązany był biały i srebrny balon, a olejne obrazy na ciemnozielonych ścianach były ozdobione białymi serpentynami. Kit i Portia z rodzinami, Borisem i mną zajęli miejsca pośrodku głównego stołu. Wystrzeliły korki od szampana. Szybko napełniono kieliszki, wypito toast, napełniono ponownie, gdy młoda para szła od stołu do stołu, witając się z gośćmi.

- Witaj, Catherine – powiedział Kit. – Cześć, Hugh. Frances, cześć.
- Gratuluje, Portio – powiedziała Lizzie. – Ślicznie wyglądasz.
- Brawo! – Martin wstał i uściskał Kita po męsku.

Było mnóstwo gości i wielu z nich nie znałam – modelki, przyjaciółki Portii, krewini obydwu stron, kilku kolegów Kita z telewizji. Na zewnątrz, w ogrodzie, grała tradycyjna orkiestra dęta. Kit uwielbia orkiestry dęte, które często wzruszają go do łez. Zawsze mówił, że na swoim weselu będzie miał orkiestrę dętą, najchętniej Grimethorpe Colliery Band. Niestety, nie udało mi się tego załatwić w ciągu sześciu dni i musiałam się zadowolić Hendon Brass Band. Kiedy kelnerzy wnieśli pierwsze danie, dźwięki tub i puzonów wpłynęły przez otwarte okna. Przedtem zegrali hymn wielkanocny, a teraz rozległa się melodia *Nie mogę przestać kochać tego faceta z Showboat*. Szczęśliwa Portia śpiewała Kitowi do ucha: „Ryby muszą pływać, ptaki muszą fruwać, będę cię kochać aż do śmierci. Nie mogę przestać kochać tego faceta”.

To wspaniała melodia na wesele, pomyślałam i zauważyłam, że Boris też nuci ją po cichu. Spojrzałam na orkiestrę. Muzycy mieli na sobie ciemne uniformy; grube złote paski przy kołnierzach i na rękawach błyszczały w słońcu. Zespół składał się z sześciu czy siedmiu trąbek, trzech rogów, dwóch tub, dwóch puzonów i dwóch eufonii, w których odbijało się słońce. W środku też panowała eufonia. Sztuce wesoło stuknęły o porcelanę, dźwięczały przy toastach kryształowe kieliszki, sześćdziesiąt osób śmiało się, rozmawiało i przejawiało dobrą wolę. Rozejrzałam się po sali: rypsy na ścianach w kolorze butelkowej zieleni, chwiejące się stoły i mnóstwo najróżniejszych krzeseł, które w ogóle do siebie nie pasowały. A jednak ogólny efekt zdawał się harmonijny. Mimo pory obiadowej na stołach paliły się białe świece, ich jasne płomyki drżały w przeciągu.

Przy deserze zobaczyłam koło siebie Alice. Wiedziałam, co powie.

- Tiffany.
- Słucham.
- Czy masz...
- Nie, nie mam – powiedziałam, wyjmując z włosów konfetti w kształcie serca. Spojrzałam na Portię i Kita, którzy patrzyli sobie w oczy.
- Czy mogłabyś się postarać? Szybko.
- Dobrze – obiecałam, zjadając następną łyżkę cytrynowej galaretki.
- Ja mam dopiero siedem lat, a już znalazłam.
- Spróbuję.
- Bo wiesz, że jeszcze nie byłam niczyją druhną. Ani razu. Sara Potts z mojej klasy była już cztery razy. Dlaczego Portia nie poprosiła mnie, abym została jej druhną? – spytała przygnębiona.
- Ponieważ cię dobrze nie zna.
- Aha. – To ją chyba zadowoliło.
- Ale ja cię znam bardzo, bardzo dobrze i na pewno cię poproszę. – To ją trochę pocieszyło.
- Kto był druhną Portii? – zapytała Alice.
- Ja – odparł Boris z drugiej strony stołu.

Alice podeszła do niego i zapytała o obowiązki drużyny. Fakt, iż był trzydziestopięcioletnim mężczyzną w trzyczęściowym garniturze z tartanu wcale jej nie zdziwił.

– Musisz pilnować panny młodej – wyjaśnił poważnie Boris. – Troszczyć się, żeby była szczęśliwa. Sprawdzić, czy jej suknia jest w porządku, i fryzura, i kwiaty. Jeśli ma tren, musisz go nieść. Takie są twoje obowiązki.

Wtedy przypominałam sobie o moich. Jako družby. O cholera. Nigdy jeszcze nie przemawiałam publicznie. W brzuchu mnie ścisnęło. Myślałam, że zwymiotuję. Przynajmniej miałam przy sobie tekst. Kiedy podano kawę i maleńkie jajeczka wielkanocne z czekolady, wstałam i ogłosiłam krojenie tortu. Znow napełniono kieliszki szampanem, a Portia i Kit przekroili trzywarstwowy tort, pozując przez moment nieruchomo do fotografii.

Zastukałam nożem w kieliszek i powiedziałam:

– Proszę ojca panny młodej o wzniesienie toastu za zdrowie i szczęście państwa młodych.

Reg, ojciec Portii, podniósł się zza stołu.

– Za zdrowie i szczęście młodej pary – powiedział.

– Za zdrowie i szczęście młodej pary – powtórzyliśmy automatycznie, jak w kościele, i usiedliśmy, żeby wysłuchać jego mowy. Był eleganckim, mniej więcej sześćdziesięcioletnim mężczyzną, trochę niższym od Portii. Pracował jako monter, ale przeszedł niedawno na emeryturę. Pęczniewiąc z dumy, wymienił liczne osiągnięcia Portii w siatkówce na szkolnym boisku.

– Harlem Globe Trotters nie sięgają jej do pięt – oznajmił. – Do lekcji zbytnio się przykładała – dodał. – Niewiele z tego wszystkiego rozumiała. Ale była niezmiernie utalentowana w dziedzinie papierosowej i od małego dawała sobie radę. – Spojrzałam na Portię; płakała ze śmiechu, podobnie jak jej obaj bracia i matka, Trish.

– Mając dziewięć lat, Portia potrafiła przyrządzić doskonale martini – powiedział. – Oczywiście nie pozwalaliśmy jej pić. Nie, z tym musiała poczekać aż skończy dziesięć lat. Nie przyszło nam nigdy do głowy, gdy nasza dziewczynka rosła, i rosła, i rosła... – Rozległy się głośne chichoty. – Że czeka ją taka świetlana przyszłość. Jesteśmy dumni z tego, co osiągnęła, z jej talentu, z tego, że pracowała z tyloma znanymi ludźmi z branży mody, nawet jeśli uważaliśmy ich za bandę pedziów. I choć może wolelibyśmy, żeby dziś Portia przeszła środkiem kościoła, Trish i ja widzieliśmy ją już tyle razy na wybiegach w ślubnych sukniach, że to nam wystarczy. – Śmiech. Reg spojrzał na Kita. – I jeszcze na koniec: jesteśmy dumni i szczęśliwi, że mamy za zięcia Kita. Witamy go w naszej rodzinie. Wiemy, że będzie się opiekował Portią i będzie ją kochał na dobre i na złe, i tak dalej, i tak dalej, i... – Głos mu się nagle załamał. – Bardzo nam przypadł do serca.

Wszyscy bili brawo i tupali.

– A teraz bardzo proszę o ciszę. Głos ma pan młody – powiedziałam, gdy hałas trochę przycichł.

Kit wstał i ciepło podziękował Regowi za dobre słowo i za rękę Portii. Swoim rodzicom, Monty'emu i Ruth, za szczęśliwe dzieciństwo. A potem podziękował ojcu, który jest projektantem tapet, za zorganizowanie uroczystości w Chelsea Art Club, co było możliwe jedynie dzięki temu, że Monty jest członkiem klubu. I Trish i Regowi za wspaniałe przyjęcie, choć wiem, że to on i Portia prawie za wszystko sami zapłacili. Podziękował także wszystkim za przybycie i za prezenty. A potem złożył hołd Portii.

– Wyglądamy razem dość osobliwie, wystarczy spojrzeć na nasz wzrost! Kiedy się poznaliśmy, martwiłem się, że do niej nie dorastam. Faktycznie, Portia musiała się do mnie zniżyć... – Głośny śmiech. – Mogę tylko powiedzieć, że wprawdzie nie dorastam

do jej olimpijskich szczytów, ale mam duże zasoby miłości i poświęcenia, i zamierzam uczynić moją piękną, cudowną, modelową wprost żonę jak najbardziej szczęśliwą. – Usiadł wzruszony. Goście bili brawo i głośno gwizdali z aprobatą, a Portia go uściskała. Natychmiast znów wstał, bo o czymś zapomniał. – Przepraszam, zaniedbuję swoje obowiązki. Chciałbym zaproponować toast za zdrowie i pomyślność drużny i podziękować Borisowi za to, co zrobił. – Boris zaczerwienił się, bawiąc się nerwowo muszką. – Książka o etykiecie weselnej doradza, aby pochwalił urodę druhen – dodał z uśmiechem Kit – oraz ostrzec je, że po weselu nie opędzą się od męskich adoratorów. Wyobraźcie sobie, że ta konkretna drużna już znalazła adoratorów. – Boris wybuchnął śmiechem, a my wszyscy na stojąco wypiliśmy jego zdrowie. I w końcu przyszła moja kolej. Boże, Boże, Boże! Dyskretnie odetchnęłam głęboko parę razy.

– To jest mój debiut w roli drużby – zaczęłam. – Do tej pory nigdy nie proszono mnie o pełnienie tej roli. Doprawdy nie wiem dlaczego, ponieważ najwyraźniej jestem najlepsza. – Z satysfakcją usłyszałam głośny śmiech. – Tak czy inaczej, postanowiłam też się zaopatrzyć w książkę o etykiecie. Mam ją nawet ze sobą. – Podniosłam książkę do góry. – Nazywa się *Obowiązki drużby*, i jeśli to kogoś interesuje, wyszła w wydawnictwie Right Way i kosztuje trzy funty i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów. Autorzy mówią, że jednym z moich obowiązków jest podziękowanie panu młodemu w imieniu drużny i przekazanie drużnie prezentu od państwa młodych. Bardzo proszę. – Sięgnęłam pod stół i podałam Borisowi ogromne pudło, ozdobione ekstrawagancką, srebrną kokardą. – Nie musisz otwierać – powiedziałam. – To tylko spinki. – Boris znów wybuchnął śmiechem, a Alice zaczęła odpakowywać prezent.

– Na nieszczęście ta książka mówi także, że przemówienie drużby powinno być zabawne. Że, w gruncie rzeczy, powinno być „głównym punktem” przyjęcia, co sprawia, że czuję się przyparta do muru. W książce napisano także, że wesele jest uroczystością rodzinną i dlatego nie powinno się wprowadzać innych wątków, a zatem z całą pewnością nie powiem nic o wspólnej walucie. Chociaż moim zdaniem główny doradca ekonomiczny Centralnego Banku Europejskiego myli się, kiedy twierdzi, że warunki fiskalne w piętnastu krajach członkowskich zostaną wystarczająco zharmonizowane przez... Cha, cha, cha! Najmocniej przepraszam!

– To jest szlafrok! – wykrzyknęła nagle Alice.

– W książce jest też napisane, że trzyminutowe przemówienie zupełnie wystarczy – powiedziałam.

– Z aksamitu!

– A ja stoję tu już... – Spojrzałam na zegarek. – Minutę i dwanaście sekund.

– Ale należy do jakiejś Georginii – stwierdziła Alice. – Tu jest jej nazwisko: Georgina von Etz... Etz...

– A zatem rzucę państwu kilka myśli na temat małżeństwa, choć sama nie mam żadnego doświadczenia w tym względzie, cha, cha! Niestety. Prawdę mówiąc, sama się temu dziwię. Niektórzy ludzie mają bardzo cyniczne zdanie na temat małżeństwa – mówiłam dalej poważnie. – Na przykład Groucho Marx. Powiedział: „Małżeństwo jest instytucją, a kto by chciał żyć w instytucji”. Ja osobiście nie miałabym nic przeciwko temu, ale nigdy nie spotkałam przyzwoitego faceta, oczywiście oprócz Kita. Ale to inna historia. Chociaż chętnie odpowiem później na wszystkie pytania. Nie ma sprawy. Wcale się tego nie wstydzimy. Portia wie o wszystkim. O wszystkim. W każdym razie wiem, że

Portia i Kit będą obłąkańczo szczęśliwi. Kit zakochał się w Portii pierwszego dnia, gdy ją zobaczył, dwa i pół roku temu. Bardzo dobrze to pamiętam. Pamiętam to nawet z pewną goryczą, ponieważ przez dwa tygodnie jego praca była poniżej wszelkiego poziomu i straciliśmy reklamę Wagon Wheels. Jego jednak przebiła strzała amora. Przeszła na wyłot. To była naprawdę miłość od pierwszego wejrzenia. Dla Kita. Jeśli chodzi o Portię... Można chyba powiedzieć, że ona miała zupełnie inne odczucia. – Chichoty. – Przynajmniej na początku. – O Boże, dlaczego Kit tak przewraca oczami? – Teraz to wszystko należy już do przeszłości. Ten zły okres. Rzeczywiście bardzo zły. Nie znajdowali wspólnego języka. Trwało to wieki. Chyba z rok. Niektórzy z nas nawet się zastanawiali, po co w ogóle zwracają sobie głowę. Ale w końcu jakoś się dogadali. Teraz żyją w pełnej harmonii. Jak sami widzicie. Tak, będą bardzo szczęśliwi. Już są. I mimo że większość ludzi, którzy przysięgają miłość i szacunek w dniu ślubu, spotyka się po jakimś czasie w sądzie, wierzę, że Portię i Kita czeka wieczne szczęście. A jeśli nie, to jestem pewna, że Frances, która siedzi tam z tyłu, da im specjalną zniżkę.

– Przyjaciołom załatwiam za darmo! – zawołała wesoło.

– Nie martwię się o Portię i Kita – mówiłam dalej. – Mają wiele wspólnego. Na przykład oboje są szalenie rodinni. Tak bardzo, że postanowili nie czekać długo i jestem pewna, że nie mają nic przeciwko temu, abym podzieliła się z wami wiadomością, iż...

– Tiffany!

– Portia jest...

– Nie, Tiffany!

– W trzecim miesiącu ciąży!

Rozległy się zdumione okrzyki, a potem oklaski.

– Oczywiście to nie jest jeden z tych wymuszonych okolicznościami ślubów – dodałam. – O nie. W żadnym wypadku. Ale miło jest wiedzieć, że cieszymy się dziś nie tylko z ich ślubu. Lecz także z początków ich szczęśliwego życia rodzinnego. I żałuję, Kit, że kazałam ci sprzedać discovery, bo taki samochód będzie ci jednak potrzebny.

– Na pewno! – zawołała Portia. – Będę miała bliźniaki!

– Co? – powiedział Kit. – Co takiego?

Wszyscy zaczęli znów bić brawo i gwizdać, a ja uznałam, że to dobry moment, aby zakończyć przemówienie. Usiadłam. Zrobiłam to. I nawet nieźle wyszło. Nadal słyszałam w uszach słodki dźwięk oklasków. Powinnam to częściej robić, pomyślałam, podchodząc do okna i dając znak orkiestrze, żeby zagrała.

– Dopiero wczoraj się dowiedziałam, skarbie – powiedziała Portia, dzieląc na pół wielkanocne jajko. – Nie miałam kiedy ci powiedzieć.

Kit przyglądał się jej, potrząsając głową i uśmiechając się. Był nie tylko wniebowzięty, lecz miał u stóp cały wszechświat. Był wcieleniem szczęścia. Co za dzień. Spojrzałam na Alice; włożyła nowy szlafrok Borisa i wpięła sobie we włosy dwa irysy, które wyjęła z wazonu na stole. Amy namawiała Borisa, żeby też dał jej przymierzyć swój prezent.

– Jesteś za mała – powiedziała Alice, potykając się. – Pobrudzisz go.

– Na pewno nie! – wrzasnęła rozzłoszczona Amy.

– Możesz mi go nieść, Amy, jak tren. Czy będę mogła mieć taką suknię, kiedy będę twoją druhną, Tiffany?

– No...

– Proszę.

– Dobrze – powiedziałam, wstając razem ze wszystkimi i idąc do baru. Przechodząc obok Catherine i Hugh, usłyszałam, że namiętnie dyskutują o obrazach.

– To jest John Singer Sargent – powiedział Hugh. – A ten tutaj, to chyba jest Sickert.

– A tu wisi Brough! – zawołała Catherine. – Był w swoim czasie głównym brytyjskim postimpresjonistą – wyjaśniła. – Uważano go za lepszego pod wieloma względami od Whistlera, ale umarł w wieku trzydziestu trzech lat. Zginął w wypadku kolejowym. To bardzo smutne, prawda? Nikt o nim dziś nie pamięta.

– A to jest chyba Brockhurst – stwierdził Hugh, wlepiając wzrok w sąsiednie płótno. – Przewyższał Augustusa Johna jako portrecista, ale też o nim kompletnie zapomniano.

O nas też zapomną, pomyślałam, przyglądając się, jak studiują obrazy w wyszukanych pozłacanych ramach. Pewnego dnia pomrzemy i ślad po nas nie zostanie. Ale na razie żyjemy. Znów spojrzałam na Catherine. Mój Boże, miała na sobie sukienkę! I pierścionek z soliterem na lewej ręce. Potem przeszliśmy do baru, gdzie regularni członkowie klubu siedzieli w podniszczonych fotelach, czytając gazety lub rozmawiając i najwyraźniej nie mając nic przeciwko naszej hałaśliwej obecności. Otwarte francuskie okna wychodziły na ogród. Wysłałam i usiadłam na drewnianej ławce, na tarasie, pod sykomorem. Było gorąco i jasno, jak w pełni lata, kwitły słoneczniki i bez, a powojnik, który oplatał pergole, obsypany był różowymi kwiatami. Orkiestra grała *Lipową Polanę* w aranżacji Ralpa Vaughana Williamsa.

Będę wolny, aby pojechać za granicę lub znów wrócić do domu. Fantastyczne.

Gdzie dla mnie, w Lipowej Polanie, drzewa chylą się nisko.

Kit miał rację, pomyślałam, słuchając muzyki. Jest w smutnych, przytłumionych tonach orkiestry dętej coś, co doprowadza człowieka do płaczu. Dlaczego? Czy chodzi o elegancką elokwencję namiętności wyrażoną niskimi tonami? Czy tylko o miękkie, powściągliwe timbre samych instrumentów? Muzycy wytarli ustniki i odwrócili strony z nutami.

Pozostań ze mną, szybko przemija wieczór... – O nie, to jest przecież melodia na pogrzeby, a nie na wesela. Tylko nie to, proszę, pomyślałam.

Ciemność się pogłębia, pozostań ze mną, Panie...

Czułam gulę w gardle. Tylko nie to, proszę, tylko nie to. Za późno.

Wszędzie wokół widzę zmianę i upadek...

Z baru dobiegały mnie okrzyki i śmiechy.

– Nie, Kit, teraz moja kolejka.

Ty, który się nie zmieniasz, pozostań ze mną.

Zajrzałam do środka. Portia i Kit grali w bilard z Lizzie i z Martinem, a Frances zapisywała wyniki. Usłyszałam ostry stuk kija i zobaczyłam rozbiegające się bile, niczym krople rtęci.

Który możesz być moim przewodnikiem i oparciem.

Przez chmury i słońce pozostań ze mną, Panie.

Szkoda, że nie mam nikogo, kto mógłby pozostać ze mną, pomyślałam z goryczą.

Pod wielkim, wiktoriańskim stołem bilardowym Alice i Amy grały w karty.

– ...Moje! – krzyknęła Amy. – ...Są takie same – dodała głośno. – Pasują! Są partnerami!

...I ziemi próżny cień zanika.

W życiu i śmierci pozostań ze mną, Panie.

Zastanawiałam się, czy już zawsze, przez resztę życia będę przeżywać wszystko wyłącznie za pośrednictwem przyjaciół. Kit się ożenił, Sally za chwilę urodzi dziecko, Portia jest w ciąży i spodziewa się bliźniąt, Kate mieszka z Mikiem, Emma zdecydowanie trzyma się Lawrence'a, Catherine zaręczyła się z Hugh, Jonatan i Sara są szczęśliwym małżeństwem, tak samo jak Lizzie i Martin. A Nick ma dziewczynę, którą poznał w pracy. Ucieszyłam się z tego, ale czyżby to miało oznaczać, że Tiffany Trott zawsze pozostanie w cieniu? Pomagając, za kulisami, obserwując i służąc innym. Oraz czekając, pomyślałam smutno. Zawsze czekając. A orkiestra grała.

Maj

Nie mogę się doczekać – jęczała Sally. – Nie mogę tego wytrzymać. Nie wiem, co Lena tam robi, ale mam już dość. Miała się urodzić pierwszego maja i gdzie się podziewa?

– Nie wiem. W tym wypadku nie potrafię ci pomóc – powiedziałam. – Musisz czekać, aż natura ci ją dostarczy. – Żal mi było Sally. Strasznie się frustrowała. I nawet nie mogła złożyć zażalenia. Jeśli pociąg się spóźnia, można zadzwonić do odpowiedniej dyrekcji, wypełnić formularz i jeśli ma się szczęście, dostać odszkodowanie w formie bezpłatnego biletu do Crewe. Ale jeśli dziecko się spóźnia, to musisz czekać.

– Dwa tygodnie opóźnienia to faktycznie trochę za długo – przyznałam. – Może powinniśmy ukarać ją grzywną.

– To nie jest przetrzymana książka z biblioteki, Tiffany – odparła Sally, zawiązując fartuch. – To jest dziecko. – Włożyła żółte, gumowe rękawiczki i wyciągnęła spod zlewu czerwone wiadro.

– Co ty robisz, Sally?

– Mogę trochę posprzątać, jak czekam – stwierdziła dziarsko. – Strasznie tu brudno. – Nieprawda. Nie jest i nigdy nie było. Sprzątaczką Sally przychodzi dwa razy w tygodniu i jej mieszkanie jest zawsze wymuskane, błyszczące i pozbawione choćby odrobiny kurzu.

– Daj, ja to zrobię – powiedziałam, kiedy zabrała się do mycia podłogi. – Nie powinnaś się przemęczać... – O mało co nie dodałam „w twoim stanie”, zdając sobie sprawę, że zaczynam mówić i zachowywać się jak Pat.

– Nic mi nie będzie – rzuciła poirytowana, jeżdżąc żółtą gąbką tam i z powrotem po marmurowych kafelkach. – Nie rozumiem, co ją zatrzymuje – dodała ze złością, wyciskając wodę. – Jak się w końcu urodzi, to zaraz chyba zaczniesz chodzić.

– Termin porodu jest zawsze przybliżony.

– Tak, ale tylko dlatego, że kobiety nie znają daty poczęcia. A ja znam. Dokładnie. Bo zdarzyło mi się to jeden raz. – Przerwała, wyprostowała się i przyłożyła lewą rękę do krzyża. – W piątek, pierwszego sierpnia, w Lake Palace Udaipur w Radżasthanie, w Indiach. Podać ci też godzinę?

– Nie, dziękuję.

Co za przypadek, jak wygrana na loterii, gdy się kupiło pierwszy i jedyny los. Raz idziesz do łóżka z kimś, go praktycznie nie znasz, i proszę! Dziecko.

- Czy to szkodzi, że się spóźnia? – spytałam.
- Właściwie nie – odparła ze znużeniem Sally. – Ale ciąża, która trwa dziewięć i pół miesiąca już nie jest zabawna. Dziecko przez cały czas mnie kopie, jakby to była *Gorączka sobotniej nocy*. Boję się wyjść z domu, bo w każdej chwili mogą odejść wody, i cierpię na okropną zgagę, bo wewnątrzności mam tak ściśnięte, że mi wychodzą uszami. Już rzygam tym węglem – dodała.
- Dlaczego nie każesz sobie wywołać porodu? – zaproponowałam. Sally spojrzała na mnie tak, jakbym powiedziała: „Dlaczego nie oddasz jej do adopcji?”
- Nic mnie do tego nie zmusi – oświadczyła stanowczo, ścierając podłogę. – Gdybym to zrobiła, musiałabym rodzić w szpitalu, a ja urodzę naturalnie w domu. Chciałabym tylko, żeby się pospieszyła. – Podeszła do szafki, pogrzebała w niej i triumfalnie wyjęła starą szczoteczkę do zębów.
- Co ty robisz, na miłość boską? – zapytałam słabym głosem.
- Sally uklękła i zaatakowała szczoteczką listwę przy podłodze.
- Nie mogę znieść myśli o brudzie, który tkwi po kątach – wyjaśniła, odsuwając wymaginowany kurz gwałtownymi ruchami. – Nie chcę, aby Leonie była narażona na kontakt z niepotrzebnymi bakteriami i alergenami. Dziękuję, że przyszedłaś, Tiffany, ale powinnaś zająć się czymś innym. To musi być dla ciebie strasznie nudne...
- Nie, nie, nie, nie. To znaczy tak. Pojadę do klubu i obejrzę sobie parę meczy – powiedziałam zadowolona, że mogę sobie pójść. – Są finały turnieju mężczyzn i chętnie je zobaczą. Ale wezmę ze sobą komórkę – dodałam – więc dzwoń do mnie, jak tylko coś się zacznie.
- Świetnie – odparła radośnie, obsesyjnie czyszcząc błyszczącą, białą podłogę. – Zadzwoń, jak będę cię potrzebowała. Baw się dobrze.
- Poszłam do Fulham Broadway i wsiałam do metra. Podróż do klubu zabierze mi zaledwie dwadzieścia pięć minut, a naprawdę chciałam zobaczyć finałowy mecz. Alan grał, co było zdumiewające, ponieważ nigdy przedtem nie doszedł dalej niż do trzeciej rundy. Ostatnio grał jak szatan. Oczywiście nie ma szans z Edem Brooksem, pomyślałam, przesiadając się na Embankmencie na północną linię. Ed był mistrzem od czterech lat. Tym niemniej mecz mógł być całkiem ciekawy. Wchodząc przez furtkę, słyszałam uderzenie piłki tenisowej na korcie i sporadyczne oklaski. Na drewnianych ławkach odległego, trawiastego kortu zebrało się z pięćdziesiąt osób. Wszyscy uważnie obserwowali graczy, kręcąc głowami w prawo i w lewo. Podeszłam cicho i zobaczyłam wolne miejsce w pierwszym rzędzie. Byli w połowie drugiego seta. Ed na pewno wykańcza Alana, pomyślałam i spojrzałam na tablicę z wynikami. Ed faktycznie wygrał pierwszego seta, ale nie sześć zero czy sześć dwa, jak się spodziewałam, lecz siedem pięć. Alan najwyraźniej się trzymał. Teraz serwował. Lewą ręką wysoko podrzucił piłkę, jednocześnie przesuwając raketę za plecy, a potem uderzył.
- Piętnaście zero – ogłosiła sędzia spokojnie. To było fantastyczne, Ed nie zdążył nawet mrugnąć, nie mówiąc o odbiciu piłki. Alan przeszedł na drugą stronę i znów podrzucił piłkę, tym razem celując w prawy róg. Ed odbił prosto w siatkę.
- Trzydzieści zero. – O cholera! Alan był gotów na wszystko. Ukradkiem rzuciłam okiem na Julię. Denerwowała się, ale oczy jej zabłysły, gdy Alan zaserwował i sędzia ogłosiła: czterdzieści piętnaście. A potem forhendem posłał daleką piłkę odbitą przez Eda.

– Gem, Hensher – oznajmiła sędzia. – Cztery gemy i równowaga. Brooks serwuje.

Teraz przy serwach Eda działo się to samo, tylko na odwrót. Alan odbił nieźle parę razy, ale później podkreślił piłkę za wysoko i Ed wykorzystał okazję, podbiegł do siatki i posłał piłkę nie do obrony. Przestań, Alanie – skarciłam go w duchu. Przestań oddawać punkty. Sama byłam zdziwiona, że tak bardzo mi zależy na jego wygranej. Nie tylko dlatego, że był na gorszej pozycji, lecz także dlatego, że przedtem tak go lekko traktowałam. Choć jemu i tak było wszystko jedno, pomyślałam, spoglądając na Julię. Atrakcyjna, szczęśliwa dziewczyna, która za każdym razem, gdy jej facet uderzał piłkę, składała dłonie do modlitwy. Jej ciche prośby najwyraźniej skutkowały, bo Alan grał wyjątkowo dobrze.

– Gem, Hensher – powiedziała sędzia. – Hensher prowadzi pięć do czterech.

Alan znów serwował. Najpierw zdobył dwa punkty, ale Ed odegrał się, wysoko wybijając piłkę. Alan miał tendencję do pozostawiania przy siatce i piłka przelatywała mu nad głową, lądując na linii i wyskakując poza boisko. Ed był w tym mistrzem. Alan bardzo się starał, jednakże nie dorównywał przeciwnikowi strategią. W żaden sposób nie mógł wygrać, gdyż w tenisa należy grać zarówno głową, jak i rękami.

– Równowaga! – zawołała sędzia.

Alan często wycierał spoconą twarz frotową opaską na ręce. W pewnym momencie pochwycił spojrzenie Julii, a ona posłała mu zachęcający uśmiech. Znów serwował, tym razem podkreślając piłkę pod zwariowanym kątem. Raz i drugi. Tych piłek nie można było odebrać. Zmiana serwisu w trakcie meczu była bardzo ryzykowna, ale mu się opłaciła.

– Przewaga, Hensher.

Ed wyglądał na zirytowanego. Miałam nadzieję, że nie wykręci McEnroe'a – pomyślałam, gdy rzucił rakieta o ziemię.

– Ostrzeżenie za rzucanie rakieta! – zawołała sędzia. Alan czekał spokojnie, na pewno wdzięczny za chwilę odpoczynku, a potem zaserwował. Tym razem Ed odbił piłkę; Alan posłał ją nisko nad siatką, Ed podbił w górę, ale Alan już czekał. Sięgnął do piłki lewą ręką i mocnym ruchem posłał przez kort.

– Gem i drugi set, Hensher. W gemach sześć do dwóch. Jeszcze jeden set.

To naprawdę dobry mecz, pomyślałam. Widzowie wyrazili aplauz brawami. Zawodnicy odeszli na bok, żeby napić się lemoniady i usiąść na chwilę. Wszystko było tak jak na Wimbledonie, oprócz stoisk z hamburgerami. Ed był wyraźnie zły. Alan zachowywał się spokojnie, choć z pewną obawą. To był mecz w trzech setach, a nie w pięciu, a zatem następny set decydował o zwycięstwie.

– Czas – powiedziała sędzia, jakby ogłaszała ostatnie zamówienia przed zamknięciem pubu.

Ed serwował i łatwo wygrał pierwszy gem, choć Alan parę razy odbił fantastyczne piłki, aż publiczność westchnęła ze zdumienia. Chwilami piłka śmigała między zawodnikami jak pocisk. Świetnie grali i po zaledwie pięćdziesięciu minutach osiągnęli wyrównany wynik. Ed znów serwował. Widzowie zastygli w oczekiwaniu. Nikt nawet nie drgnął, gdy wysoko podrzucił piłkę, a potem mocno walnął ją w dół. Wprost na linię. Wyraźnie zirytowany, po raz drugi podrzucił piłkę i stało się to samo. Jego pierwszy podwójny błąd. Był zmęczony, choć dziesięć lat młodszy od Alana. Alan z uporem nie dawał za wygraną.

– Zero piętnaście.

Ed znów zaserwował z wysiłkiem, tym razem na bekhend Alana. Alan odbił piłkę w pięknym stylu i posłał ją przez kort. Ed odwrócił bekhendem, mocno i nisko, ale Alan się nie dawał. Grał agresywnie i z zacięciem, natomiast dokładność Eda powoli się pogarszała. Widząc, że Alan jest blisko siatki, podbił wysoko piłkę, a my odwróciliśmy głowy, śledząc jej lot. Nagle sędzia boczny podniósł rękę.

– Aut! – zawołał sędzia.

– Nieprawda! – powiedział rozwścieczony Ed.

Sędzia zamieniła parę słów z sędzią bocznym.

– Aut! – powtórzyła stanowczo, a widzowie szeptem przyznali jej rację:

– Na pewno aut.

– Nie widziałem.

– Tam, za linią.

– Widziałam obłok kredy.

– Nie powinien się kłócić.

– Tak, zdecydowanie za linią.

– Proszę o spokój, panie i panowie. Zero trzydzieści.

Ed podszedł na brzeg kortu i ze złością wziął dwie piłki. Zaserwował i Alan odbił piłkę. Ed przyjął, a Alan wysokim łukiem posłał ją w powietrze. Teraz Ed biegł do tyłu, starając się przyjąć ją rakieta i mocno posłać w dół. Kiedy biegł, jednym okiem pilnując piłki, a drugim ziemi pod stopami, nagle poślizgnął się i upadł. Szybko podparł się lewą ręką i wstał, ale piłka już wylądowała poza jego zasięgiem. Ed zaklął głośno, strzepując trawę z szortów.

– Zero czterdzieści – powiedziała sędzia. Gdyby Alan wygrał ten gem, wynik byłby sześć do pięciu i jego serw. Mógł wygrać. To był decydujący moment. Gdyby tylko się utrzymał i przełamał serw Eda. Alan stał za linią, podskakując na czubkach palców, przygotowany na balistyczny szok piłki odbijanej od rakiety. Ed podrzucił piłkę, obserwowaliśmy jak leci... Nagle na korcie rozległ się głośny świergot i piłka uderzyła w siatkę. Ed zatrzymał się i spojrzał oskarżycielskim wzrokiem w moją stronę. Cholera, zaczęłam szukać w torbie telefonu, który nie przestawał głośno dzwonić. Zrobiłam się czerwona, cholera, co za bałagan w tej torbie, gdzie jest ten przeklęty telefon? Nigdy nie mogę go znaleźć.

– To mi przeszkodziło! – zawołał z wściekłością Ed, pokazując na mnie. Publiczność zaszumiała z dezaprobatą, a sędzia spojrzała na mnie nieprzyjemnym wzrokiem.

– Na początku meczu wyraźnie ogłosiłam, że wszystkie telefony komórkowe należy wyłączyć – powiedziała ostro. – Proszę się zastosować.

No, wreszcie znalazłam.

– Tak, halo – powiedziałam zadyszana, podnosząc się z ławki z przepaszającym uśmiechem.

– Sally! Czy już? Tak? Spokojnie, Sally – powiedziałam, starając się stłumić uczucie rosnącej hysterii. – Już jadę. Przepraszam państwa! – zawołałam. – To nagły wypadek. Wezwałaś położną? Jesteś pewna, że to są skurcze? Dobrze, dobrze, oczywiście, że jesteś pewna. Co ile minut? To zmierz. Zaraz tam będę – dodałam, czując nadchodzący atak paniki. Wybiegając z klubu, słyszałam dalekie uderzenia piłki. A potem oklaski.

– Sześć gemów do pięciu – powiedziała sędzia. – Hensher prowadzi. Ostatni set, Hensher serwuje. – Alan się trzymał. Odgrywał się za wszystkich niedocenianych, starających się mężczyzn. W imię miłości. Zatrzymałam przejeżdżającą taksówkę.

– Chelsea Harbour, proszę, i to szybko, bo rodzę dziecko.
– Na pewno nie w mojej taksówce, skarbie – odparł taksówkarz, zatrzymując z pi-
skiem samochód. – Nigdy bym jej potem nie doczyścił.

– Nie ja. Rodzi moja przyjaciółka, Sally, więc niech pan szybko jedzie.
Taksówkarz popędził do Fulham Broadway, omijając na szczęście zatłoczoną King's
Road. Po pół godzinie dojechaliśmy do Chelsea Harbour. Szybko wjechałam windą na
górze. Położna Joan otworzyła mi drzwi. Od razu się uspokoiłam. Oto był ktoś, kto znał
się na rzeczy. Dzięki Bogu, bo mimo pięciu miesięcy przygotowań i siedemnastu ksiązek
o porodach miałam wrażenie, że nadal nic nie wiem. To byłoby jak lądowanie samolotem
wyłącznie po przeszkoleniu na ziemi.

– Gdzie ona jest?
– Tutaj, idiotko! – zawołała spokojnie Sally. Siedziała na sofie, oglądając telewizję
i metodycznie opróżniając pudełko z czekoladkami.

– A twoje skurcze? – spytałam zdziwiona.
– Na razie miałam jeden. A może to nawet nie był skurcz. Nie wiem. Malowałam
łazienkę, gdy poczułam okropny ból. Ale to się stało czterdzieści pięć minut temu i do tej
pory nic więcej nie czułam. Wydaje mi się, że ściągnęłam cię tutaj pod fałszywym pretek-
stem, Tiffany. Przepraszam, wiem, że chciałaś oglądać mecz tenisowy, ale to było bardzo
bolesne, choć teraz niczego... – Nagle jęknęła, zamknęła oczy, otworzyła usta i wydała
z siebie dziwny dźwięk, jak pisk startującego samolotu odrzutowego. Piszczala tak przez
dziesięć sekund, a potem ból minął i się rozluźniła. Spojrzała na mnie zszokowana i za-
mrugała oczami.

– Chyba się zaczyna – szepnęła.
Położna kiwnęła głową.
– To pierwsze stadium – stwierdziła spokojnie, mierząc Sally ciśnienie. – Proszę się
nie martwić, przed panią jeszcze długa droga.

– Czy mogłabyś napełnić basen, Tiffany? – poprosiła cicho Sally.
Razem z Joan przyciągnęłyśmy szlauch z łazienki i włożyłyśmy go do basenu, upew-
niając się, że woda jest naprawdę gorąca. Basen napełnił się w pół godziny, a potem
nałożyłyśmy pokrywę, żeby ciepło nie uciekało.

– O Boże, o Boże! – jęknęła Sally, gdy znów złapał ją skurcz. – Ooooooooooch! Nie-
eeeeeeee!

– Oddychaj głęboko – powiedziałam, gdy kurczowo trzymała się stolika. – Pamię-
tasz, wciągaj powietrze nosem. Bardzo dobrze.

– Oooooooooch! Oooooooooch! Aaaaauuuuuuuuuuu! – krzyczała jakieś dwadzieścia sekund.
Kiedy wreszcie skurcz minął, uśmiechnęła się z ulgą i wróciła wzrokiem do *Pieśni po-
chwalnych* w telewizji. – To jest z katedry w Southwark – wyjaśniła, gdy zabrzmiały
dźwięki psalmu. Wyjęłam moją robótkę, aby się uspokoić.

...*Przed wszelkim niebezpieczeństwem* – rozległa się pieśń.
Zdałam sobie sprawę, że mam te antyczne róże prawie od roku i wyhaftowałam mniej
niż połowę.

...*Nie ma zniechęcenia, niech raz ustąpi...*
Wyhaftuję kawałek, pomyślałam, jeden albo dwa kolce. Nagle Sally znów zaczęła
jęczeć i krzyczeć.

– O Boże, mój Boże! Boli!

...*Pierwszy cel...*

– Niech pani wejdzie do basenu, Sally – zaproponowała Joan. – Woda panią ukoi, a to pomoże znosić ból.

Sally rozebrała się powoli i z wysiłkiem, podtrzymując ogromny brzuch. Pomogłyśmy jej, sprawdziłyśmy temperaturę wody, a potem trzymałyśmy ją za ręce, gdy ostrożnie weszła do basenu i wolno usiadła. Była szczupła i gibka, z wielką, dziwną wypukłością z przodu. Wyglądała jak wąż, który połknął średniej wielkości świnię. Położyła się, złapała rękami za boki basenu i kręcąc się i obracając, starała się znaleźć najwygodniejszą pozycję. Nastawiłam płytę z muzyką Indian amerykańskich, ale Sally się nie podobała.

– Te wszystkie jęczące głosy są potwornie depresyjne. Nastaw suity wiolonczelowe Bacha, dobrze? – jęknęła. – Chcę czegoś na jednej nucie. Ta płyta jest mniej więcej pośrodku półki na CD. – Kiedy niemal ludzki głos wiolonczeli wypełnił pokój, Sally zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, wciągając powietrze nosem i powoli wypuszczając ustami. Spojrzałam na zegarek. Prawie ósma. Bóle zaczęły się trzy godziny temu, więc zostało jeszcze trzydzieści trzy, pomyślałam ponuro. Przez jakiś czas nic się nie działo. Sally leżała na wznak, opierając głowę o boczną ściankę basenu. Czasami całkiem zanurzała się w wodzie, co mnie lekko przerażało. A potem znów się wynurzała, jak syrena, z pływającymi po powierzchni włosami.

– Ooooooch! Aaaaaaach! Aaaaauuuuuuuuuuuu!

Przyłożyłam jej do spoconego czoła kompres z lodu. Skurcze trwały teraz dłużej, nawet minutę. Sally krzyczała i jęczała, jakby czekała ją śmierć, a nie narodziny.

– Wszystko w porządku, Sally? – pytałam bez sensu, gdy gwałtownie zaciskała szczęki. Nie chcesz środków znieczulających? – miałam na końcu języka.

– W porządku – odpowiadała przez zaciśnięte zęby. – Wszystko dobrze, wszystko dobrze, wszyst... Ooooooch! Aaaaauuuuu! Boże, chcę przestać. – Przestać? Dopiero zaczęła.

O dziewiątej położyła przyłożyła jej do brzucha pod wodą elektroniczny monitor i posłuchała serca dziecka.

– Jest pewien problem – stwierdziła spokojnie. Omal nie umarłam, ale Sally miała kolejny skurcz i nie słyszała, co powiedziała Joan. – Sally – odezwała się znów Joan, gdy skurcz przeszedł. – Wszystko jest całkiem dobrze, ma pani prawie pełne rozwarcie i główka dziecka jest na dole, ale może być lekki problem z sercem i możliwość zagrożenia dla dziecka. Mogę sprowadzić tutaj konsultanta – dodała – ale byłoby łatwiej, gdybyśmy pojechali do szpitala. Wszystko zależy od pani.

– Chcę jechać do szpitala! – zawołała Sally. – Do szpitala! Chcę do szpitala! Ooooooch! Aaaaaaach! Lubię szpitale! – wykrzyknęła, gdy pomagałyśmy jej wstać. – Bardzo lubię! Nigdy nie mówiłam, że nie lubię!

Joan zadzwoniła do szpitala i powiedziała, że przyjeżdżamy.

– Czy ma pani zamówioną taksówkę? – spytała mnie.

– Nie, nie. Boże, powinnam była przygotować sobie numer.

– W szufladzie... przy telefonie... są wizytówki... firm taksówkarskich – wyjąkała Sally między skurczami, gdy Joan pomagała jej się ubrać.

Zadzwoniłam do pierwszej z brzegu.

– Moja przyjaciółka rodzi – zaczęłam.

– Nie jesteśmy porodówką – powiedział jakiś facet i odłożył słuchawkę. Zadzwoiłam do następnej firmy, ale też odmówili. – Moja przyjaciółka rodzi – powiedziałam, dzwoniąc do kolejnej firmy.

– Och, Boże! – jęknął dyspozytor.

– I dziecko jest zagrożone...

– Jaki jest adres, skarbie? Będziemy za pięć minut.

Sally była gotowa, choć jej obszerna suknia od Nicole Farhi była wilgotna od mokrych włosów. Wsiadłyśmy do windy, podtrzymując ją z Joan z dwóch stron, a potem czekałyśmy przed domem. Jakiś sąsiad pokręcił z dezaprobatą głową na jej widok. Sally wyglądała jak uratowana z „Titanica”, jęcząc i trzęsąc się z zimna, mimo kaszmirowego szala, którym ją owinęłyśmy.

Nagle brązowy montego zatrzymał się z piskiem opon z lewej strony i zatrzął dwa razy. Bliżej nie mógł podjechać. Pomogłyśmy Sally wejść po schodach, Joan podłożyła na tylnym siedzeniu ręcznik i usiadła tam razem z Sally, a ja usiadłam z przodu, koło kierowcy.

– Chelsea i Westminster? – spytał. Kiwnęłam głową. Pędziliśmy bocznymi ulicami Chelsea, do Fulham Road, a Sally jęczała i płakała z tyłu. Dziesięć minut później zatrzymaliśmy się pod białą markizą szpitala. Joan i ja pomogłyśmy Sally wejść do środka przez obrotowe drzwi. Nosze już czekały i kiedy prawie bieglyśmy korytarzem, starając się nie wyglądać jak statyści w medycznym serialu telewizyjnym, zauważyłam przestronne białe wnętrze z dużą ilością szkła i ogromnymi, kolorowymi rzeźbami. Winda zawiozła nas na trzecie piętro, na oddział imienia Anne Stewart, gdzie Sally zawieziono do sali porodowej i szybko przeniesiono na łóżko. Najpierw zbadał ją dyżurny położnik, a ja w tym czasie czekałam na zewnątrz, oglądając plakat o zaletach karmienia piersią. Lekarz wyszedł po paru minutach i usłyszałam głos Sally:

– Tiiiffaneeee! Tiiiffaneee! – Weszłam do środka. Sally leżała w zaciemnionej sali, w zielonej, szpitalnej koszuli. Wielkie łzy spływały jej po policzkach.

– Mówi, że dziecku nic nie jest – zakała. – Że wszystko będzie dobrze. Joan wołała się zabezpieczyć i nie mam do niej pretensji, ale strasznie mnie boli, Tiffany. – Odwróciła się twarzą do ściany. Z bólu wyszły jej żyły na szyi. Jak miałam jej pomóc? To było okropne. Czuję się niepotrzebna jak wegetarianin w wytwórni boczku. Podałam jej stos chusteczek i usiadłam na krześle przy łóżku.

– Gorąco mi – powiedziała, wycierając twarz. – Bardzo mi gorąco. – Nakierowałam na nią wiatraczek i nalałam jej soku. Kiedy piła przez słomkę, rozejrzałam się po sali. Była jasnozielonego, uspokajającego koloru, ze szlaczkiem ciemnych winogron, choć plamy krwi na zasłonach wyglądały lekko przerażająco. Nie czułam jednak typowego szpitalnego zapachu, a jeśli gdzieś jakieś kobiety krzyczały z bólu, rodząc, my ich nie słyszałyśmy. Na ścianie wisiał zegar. Duża wskazówka przesuwała się głośno. Była jedenaście, minęło sześć godzin od pierwszych skurczów.

Nagle Sally wstała i zaczęła chodzić po pokoju, trzymając się za brzuch i jęcząc. Potem wróciła do łóżka i oparła się na nim. Joan podniosła je do góry i Sally mogła się oprzeć na łokciach bez pochylenia.

– Oooooch! Aaaaauuuuuuuu! – zajęczała, gdy skurcze znów się zaczęły.

– Jak ci mogę pomóc, Sally, powiedz.

– Czy możesz... Ooooooch! Mocno pomasować mi krzyż? – Joan podała mi aromatyczny olejek i zaczęłam masować dół kręgosłupa Sally, gdy ona jęczała z bólu.

– Ooooooch! Czy możesz... mocniej? Tak, to pomaga. Aaaaauuuuuuuuuu! Nie wiem dlaczego. – Joan nastawiła kasetę z muzyką Enyi, ale Sally zbyt cierpiała, aby miało jej to pomóc.

– Czy chce pani zastrzyk znieczulający?

– Nie, nie, nie!

– Przynajmniej podam pani tlen. To chyba już niedługo potrwa. – Joan ściągnęła na dół maseczkę tlenową, a Sally przycupnęła na brzegu łóżka i chciwie oddychała. Przez parę sekund pomagała, a potem przyszedł nowy atak bólu.

– Nie chcę leżeć na łóżku – zawodziła. – Nie chcę leżeć na łóżku.

Razem z Joan rozłożyłyśmy na podłodze dwa materace i Sally położyła się na jednym z nich, przyciskając do brzucha torbę z fasolą.

– Tiffany – powiedziała słabym głosem. – Tiffany.

– Słucham? – Właśnie przykładałam jej do czoła zimny kompres.

– To boli! Ooooooooch! Boli!

– Wiem, ale już niedługo, Sally. Jesteś naprawdę dzielna.

– Nie jestem. Wcale nie. To jest okropne. Ja, ja... – Nagle zaczęła miotać się na wszystkie strony, jak oszalała. Wywracała przy tym oczami i wydawała z siebie gardłowe, zwierzęce dźwięki. – Idź stąd, Tiffany! – warknęła znieczulaczem. – Chcę być sama. Spadaj, słyszysz? Już! – Co? Teraz?

– Chcesz, żebym wyszła?

– Tak. Znikaj stąd. Spieprzaj. Spieprzaj, słyszysz? Natychmiast. Aaaaauuuuuuuuuuuuuu!

– Dobrze, dobrze, już spieprzam – powiedziałam, wycofując się. Po raz pierwszy słyszałam, jak Sally przeklina. – Już idę.

Chciała być sama. Chciała sama poradzić sobie z bólem. Czytałam o tym w jednej z książek.

– Wracaj, Tiffany! – krzyknęła. – Dokąd idziesz? Nie zostawiaj mnie samej – załkała. – Wracaj! Natychmiast!

– Jestem – powiedziałam. – Już dobrze. – Strasznie dziwnie się zachowywała. Nie wiedziałam, co robić. Spojrzałam na Joan, która uśmiechnęła się uspokajająco i przyłożyła palec do ust.

– Nie chcę być sama, Tiffany – jęknęła Sally, gdy ból na moment ustąpił. Potem znów się zaczęło, tym razem skurcze przychodziły co kilka sekund, zatapiając ją falami bólu.

– Ratunku! Błagam! Boże! Boże! Aaaaauuuuuuuuuuuuuu!

Nagle wstała, złapała mnie za ramiona, położyła głowę na moim obojczyku i mocno ścisnęła. Joan podsunęła pod nią materac i uklękła.

– Już widzę główkę – powiedziała. – Wychodzi. Niech pani prze, Sally. Tak jest! Dalej! Bardzo dobrze.

Trzymałam Sally pod pachy, gdy z całej siły parła, jęcząc gwałtownie.

– Zaraz będzie – powiedziała Joan.

– Boże, Boże, Boże!

– Główna prawie przeszła, już niedługo.

– Aaaaauuuuuuuuuuuuuu!

– Bardzo dobrze! – zawołała Joan. – Bardzo dobrze. Niech pani prze. Jeszcze raz. I oddycha.

Sally jęczała z bólu i z wysiłku.

– Tak. Jeszcze raz.

– Ooooooooooch!

– Bardzo dobrze, Sally. Jeszcze trochę. Już prawie koniec...

– Aaaaauuuuuuuuuuuuuu!

– Mam ramionka. Jeszcze raz.

Nagle usłyszałam jakieś dziwne odgłosy i kątem oka zobaczyłam, że ręce Joan w białych rękawiczkach łapią dziecko Sally. Koniec. Sally opadła na materac, z rozsuniętymi nogami, popłakując. Obie miałyśmy twarze mokre od łez. Joan przecięła pępowinę i położyła zakrwawionego noworodka w ramionach matki. Kiedy Sally po raz pierwszy poczuła ciało dziecka i przyłożyła je do piersi, na jej zapłakanej twarzy pojawił się wyraz całkowitego zaskoczenia. Spojrzała na maleństwo, spojrzała na mnie i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Nadal maj

Lancelot – powiedziała Sally, poprawiając się na poduszkach.

– Leo – podsunęłam.

– Louis – zaproponowała. – Lubię zagraniczne imiona.

– To może Ludwig?

Przesunęła ssące dziecko i pogłaskała je po policzku.

– Llewellyn – powiedziała nagle z uśmiechem.

– A Laurie? Tak jak Laurie Lee. Albo samo Lee?

– Och, nie wiem, Tiffany – odparła, ziewając. – Mam masę czasu, żeby coś wymyślić. To niewiarygodne, prawda?! – wykrzyknęła. – Pielęgniarka, która robiła mi badanie USG powiedziała, że na pewno będzie dziewczynka.

– Technika też ma swoje ograniczenia. Leroy jest z całą pewnością facetem.

– Tak – potwierdziła, przyciskając go do siebie z ekstatycznym uśmiechem. – Jest cudownym, małym facetem. Będę musiała przemałować dziecienny pokój – dodała chichocząc. – I chyba nie zechce nosić tych wszystkich różowych sukieneczek, prawda, mój skarbie? – Nie wiem, czy tylko tak mi się zdawało, czy dziecko wzniosło oczy do nieba na samą myśl.

Spojrzałam na jaskrawe owieczki biegnące po ścianie, a potem podniosłam wzrok na zegar. Była czwarta rano. Godzinę temu opuściliśmy salę porodową. Nagle dziecko wypuściło z buzi pierś Sally. Na razie miało dość.

– Tiffany – spytała zniecierpliwiona Sally. – Chcesz się przytulić?

– Słucham?

– Przytulić? Chcesz?

– No, nie wiedziałam, że ci zależy...

– Nie do mnie, kretynko, do dziecka.

– Och. Och. Przepraszam. Tak, oczywiście, bardzo chcę. – Wstałam i Sally ostrożnie położyła mi go w ramionach. Spał. Wciągnęłam karmelkowy zapach aksamitnej główki.

- Jest śliczny. Fantastyczny.
- Tiffany – szepnęła Sally, żeby nie przeszkadzać innym kobietom.
- Tak?
- Czy chcesz zostać jego matką chrzestną?

Kiwnęłam głową. Dwa razy.

– Dzięki – wymamrotałam przez łzy. Byłam rozbita i wykończona, jakbym przeżyła jakiś okropny wypadek. Spędziłam dziwne dziesięć godzin, choć wydawało mi się, że równie dobrze mogło to być dziesięć dni.

– Idź teraz do domu – powiedziała Sally, gdy oddałam jej dziecko. – I wróc jutro wieczorem.

– Dobrze – zgodziłam się cicho. Kiedy wstałam, wszystko mnie bolało. – Czas do łóżka, jak mówi Zebedee.

– Pora na tubisiowe sny – zaśmiała się. – Który jest żółty?

– Co?

– Jak się nazywa żółty tubiś?

– La-La – odparłam.

– Może nazwę cię La-La – powiedziała do synka. Wydał z siebie dziwny odgłos, podejrzanie przypominający jęk.

– Brawo, Sally – szepnęłam, odsuwając zasłonkę przy jej łóżku. – Byłaś bardzo dzielna.

– Nieprawda.

– Byłaś i to w dodatku bez znieczulenia.

– Gdyby to jeszcze dłużej potrwało, chyba bym się złamała – przyznała z ponurym uśmiechem. Pomachałam do niej ręką i wyszłam. Mimo późnej pory w szpitalu toczyło się życie. Kiedy drzwi windy otworzyły się na parterze, zobaczyłam mężczyznę z zakrwawionym bandażem na głowie, rozmawiającego z pielęgniarką. Po drugiej stronie korytarza ktoś prowadził płaczącą kobietę. Ciekawe dlaczego płakała? Co jej się stało? Przechodząc do głównego wyjścia zatrzymałam się na moment, aby przeczytać napis na granitowej tablicy wmurowanej w ścianę.

SZPITAL CHELSEA I WESTMINSTER ZOSTAŁ OTWARTY PRZEZ JEJ WYSOKOŚĆ KRÓLOWĄ 13 MAJA 1993 ROKU.

Dziś był trzynasty maja. Urodziny szpitala. I dziecka Sally. I moje, przypominałam sobie nagle. Wyszłam na Fulham Road i zatrzymałam przejeżdżającą taksówkę.

– Na Islington proszę. – Kierowca spojrział na mnie dziwnie, ale nic nie powiedział. Zrozumiałam dlaczego, kiedy zauważyłam na mojej białej, bawełnianej sukience krew Sally.

– Przez całą noc rznąłam ludzi tępą piłą – stwierdziłam od niechcenia. W gruncie rzeczy nic takiego nie powiedziałam. – Dziecko... poród – mruknęłam, wsiałam do taksówki, dojechałam pustymi ulicami do domu i poszłam spać.

Obudziłam się o jedenastej i usiadłam w szlafroku na tarasie. Burza minęła i znów czułam się bezpiecznie. We własnym domu. *Dolce domum*, pomyślałam z zadowoleniem. Dom, słodki dom. Potem otworzyłam pocztę. Dostałam kartki urodzinowe od Lizzie, Kita i Kate.

Uśmiechnęłam się, popijając kawę i przyglądając się memu małemu ogródkowi. *Ceanothus* miał podobne do pomponów kwiatki o zaskakująco błękitnym kolorze. Ciasno zwinięte, zielone pąki peonii ukazywały prowokujące przebłęski czerwieni. Białe dzwoneczki konwalii otworzyły się jak maleńkie parasolki. Wszystko kwitnie, pomyślałam, wdychając słodki zapach. Goździki, lewkonie i ostróżki. Zastanawiałam się, co mam robić. Wiedziałam, że nie będę mogła pracować. Powinam pójść w jakieś spokojne miejsce. Może do kościoła, pomyślałam, ubierając się, żeby podziękować za szczęśliwe narodziny dziecka Sally. Postanowiłam jednak pójść do Akademii Królewskiej i obejrzeć wystawę sztuki religijnej Rosji. Na Essex Road wsiadłam do autobusu numer 38. Trzymałam w ręce gazetę, ale nie bardzo mogłam czytać. Gapiłam się niewidzącym wzrokiem przez okno, mając przed oczami wypadki ostatniej nocy. Okropne krzyki Sally nadal dźwięczały mi w uszach, a ramiona bolały mnie od jej zaciśniętych dłoni. Wsiadłam koło Ritza w jasnym słońcu i przeszłam na drugą stronę ulicy. Elegancki dziedziniec Akademii był całkiem pusty. Dobra pora na zwiedzanie.

Weszłam do środka, minęłam szerokie schody z kutego żelaza i poszłam do windy. Nie miałam siły wchodzić po schodach. Szklane drzwi zamknęły się za mną i pofrunęłam w ciszy na drugie piętro do skrzydła Sacklera. Oprócz grupki studentów oglądających obrazy nie było nikogo. Chodziłam powoli, od obrazu do obrazu, szurając nogami po jasnej, drewnianej podłodze. Ze ścian spoglądały na mnie łagodne, płaskie twarze z jajo-watymi oczami i złotymi aureolami. Miałam wrażenie, że to one uważnie mi się przyglądają. Były namalowane na drewnie temperą: Matka Boska Włodzimierska z małym Jezusem, długowłosa Jan Chrzciciel z kielichem, prorok Eliasz zabierany do nieba. Potem przed moimi oczami przewinęła się galeria świętych: św. Mateusz, św. Mikołaj, św. Piotr i Paweł, św. Jerzy na cudownym, białym koniu. Zatrzymywałam się, aby czytać opisy: *Wielki mistrz rosyjski Andriej Rublow malował w Moskwie w latach 1390–1430*. Średniowieczna Rosja! Wyobraźnia podsuwała najdziwsze obrazy, tymczasem ikony były uosobieniem spokoju, stworzonego przez mnichów, którzy modlili się, malując. Stałam przed Madonną z Dzieckiem. Miała białą, alabastrową twarz zabarwioną karminem. Jezus kurczowo trzymał się karmazynowej szaty. Kiedy przed nią stałam, zdawała się patrzeć na mnie i jej spojrzenie napawało mnie spokojem. Przyszłam w dobre miejsce. Potrzebowałam uzdrawiającego spokoju. Kiedy wyszłam na dwór, usiadłam w słońcu na stopniach, oparłam się o kolumnę, zamknęłam oczy i głęboko oddychałam nosem, nie zwracając uwagi na głośny, monotony szum przejeżdżających autobusów i samochodów. Nagle mój spokój zakłócił głośny dzwonek telefonu. O nie. Znowu? Dlaczego go nie wyłączyłam? Nacisnęłam guzik.

– Halo – powiedziałam. – Tak, zgadza się. Och, halo! Dziękuję! – dodałam, wybuchając zaskoczonym śmiechem. – Skąd wiedziałeś? Naprawdę? Zupełnie zapomniałam. A ty? Dobrze. Tak, świetnie. Dziecko też. Urodziło się dziś w nocy. Tak, Sally też się dobrze czuje. Wszystko dobrze poszło. Dziesięć godzin. Nieźle. Tak, jestem dość zmęczona. Nie, nie miała szwów. Ani znieczulenia. Bardzo dzielnie, prawda? Ja też nie zemdlałam. Chelsea i Westminster. Bardzo przyjemnie, pięć gwiazdek. Tak, wolę porody w szpitalu. Lekarze też są za tym. Około czterech kilo. Nie, jeszcze nie wie. Chyba coś na L. Ludovic? Może. Leonardo? Też ładnie. Gdzie jestem? W Akademii Królewskiej. Oglądałam ikony. Teraz siedzę na zewnątrz. A dlaczego nie? W końcu muszę trochę odpocząć. A ty? Pakujesz się? Co się stało? Dlaczego się pakujesz? Dokąd się wybierasz?

Chyba nie wyjeżdżasz z Londynu? Co, przyjsz teraz? Nie wiem, jak do ciebie trafić. Tak? – Wstałam na nogi. Serce waliło mi z całej siły. Kurczowo trzymałam komórkę przy uchu.

– Dobrze, słucham. Mów dalej... Wychodzę z Akademii, skręcam w lewo... Idę Piccadilly i widzę naprzeciwko dom towarowy Fortnum i Mason, mijam budynek ubezpieczeń Alliance i Leicester po lewej stronie, po drugiej stronie ulicy widzę Hatchardsa. Co? Zaczekaj chwilę, nic nie słyszę, chyba się zrywa połączenie... Dobrze, teraz mijam... Co? Mam tu skręcić w lewo?

Przystanąłam przed tabliczką, na której było napisane: ALBANY COURT YARD W1. Trochę cofnięty od ulicy stał dom z brązowej cegły, z wysokimi oknami i białym portykiem. Musiałam przechodzić tędy setki razy i nigdy go nie zauważyłam. Weszłam do środka, minęłam portiernię i weszłam do Albany. To był inny świat, oaza spokoju w centrum Piccadilly. Stukając obcasami, przeszłam koło marmurowych tablic, które głosiły, że kiedyś mieszkali tu Bulwer-Lytton, lord Byron i Gladstone. Chłonełam uniwersytecką atmosferę, na wpeł oczekując widoku pędzących profesorów w togach. Z lewej i z prawej strony były wąskie klatki schodowe, oznakowane alfabetycznie.

– Jaka jest twoja litera? – szepnęłam do telefonu. – P2? Teraz jestem koło D. – Dojechałam do końca i skręciłam w prawo. – Wchodzę – powiedziałam. Moje kroki odbijały się głuchym echem od wytartych, kamiennych schodów. Na pierwszym piętrze były jedne, pomalowane na niebiesko drzwi, z mosiężną kołatką w kształcie delfina i białą, namalowaną dwójką. Nie musiałam pukać.

– Witaj, Człowieku Sukcesu.

– Witaj, Tiffany Trott. Cieszę się, że cię widzę. Wejdz. I Tiffany...

– Słucham?

– Jeszcze raz wszystkiego dobrego z okazji urodzin.

– Dziękuję. Skąd wiedziałeś?

– Sama mi powiedziałaś. Na pierwszym spotkaniu. Nie pamiętasz? Rozmawialiśmy o znakach zodiaku. Między innymi. – Wprowadził mnie do salonu i aż mnie zatkało. To był olbrzymi pokój z ogromnym oknem, które zajmowało całą ścianę.

– Niesamowite! – stwierdziłam słabym głosem, ogarniając wzrokiem eleganckie meble, dywan Aubussona i obrazy w połączonych ramach.

– To dość wyjątkowe miejsce – przyznał. – I miało sławnych lokatorów. Kiedyś mieszkał tu przez jakiś czas Stamford Raffles, a naprzeciwko wynajmował mieszkanie Tennessee Williams.

Wszędzie stały kartonowe pudła. Człowiek Sukcesu najwyraźniej był w trakcie poważnej operacji. Rozmawiając ze mną, zdejmował ze ścian obrazy.

– To jest James Baker Pyne – powiedział, zdejmując wielki pejzaż znad ogromnej, granitowej półki nad kominkiem. – Przedstawia Coniston Water – wyjaśnił, opierając go o kanapę i przyglądając się spokojnemu jezioru i szczytom gór w chmurach. – A to – powiedział podekscytowany – jest Huber. – Spojrzałam na jaskrawy obraz pokryty chmurami i tłustymi amorkami. – To jest *modello* – wyjaśnił. – Szkic do obrazu na suficie w rokokowym kościele w Bawarii. Uwielbiam go. Ale muszę je oddać na przechowanie.

– Dlaczego? – spytałam, siadając na najbliższym krześle.

– Ponieważ się wyprowadzam – odparł, wkładając swoją bursztynową wiolonczelę do futerału z włókna szklanego.

– Dlaczego się wyprowadzasz? – spytałam, kiedy składał stojak na nuty.

– Bo wszystko dobre kiedyś się kończy, Tiffany. Złe też.

– O czym ty mówisz?

– To nie jest moje mieszkanie. Należy do Olivii. A dokładnie mówiąc, należy do fundacji, kontrolowanej przez jej rodzinę.

– Ale dlaczego się wyprowadzasz?

– Bo muszę.

– Dlaczego?

– Ponieważ ona chce tu teraz mieszkać.

– Nie rozumiem. Przecież chyba może, w końcu jest twoją żoną.

– Już niedługo, Tiffany.

– Dobry Boże!

– Tak, w tej chwili uważam, że Bóg jest naprawdę dobry.

– Rzuciłeś ją.

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Ona mnie rzuciła. – Uśmiechnął się.

– Dlaczego?

– Zdradziła mnie – powiedział dramatycznym tonem. – Kocha innego!

– Naprawdę?

– Tak – odparł, owijając obrazy plastikowymi arkuszami z bąbelkami. – „Słabości, imię twe kobieta” – dodał teatralnie. – *Hamlet* – wyjaśnił, owijając ramię taśmą. – Akt pierwszy, scena druga.

– Znaczą się, odeszła?

– Na Jowisza, wreszcie zrozumiała. Tak, Tiffany, Olivia zakochała się w kimś innym. W tłustym facecie, który... Przytrzymaj tu palcem, dobrze?... Dzieli jej zainteresowania... A teraz tutaj, tylko mocniej przyciśnij... Sztuką nowoczesną i konceptualną. Jeszcze raz, proszę, nie chcę, żeby ten złoty liść się uszkodził. Dobrze. Dziękuję. – Wstał z podłogi i ostrożnie odłożył obraz do skrzyni. – Ma razem z nim otworzyć galerię. Zawsze o tym marzyła. Dokładniej rzecz biorąc, wykupuje z długów jego dotychczasową galerię. Gość ma poważne kłopoty. W gruncie rzeczy podejrzewam, że zainteresowanie Oscara Reedsa Olivią jest bardziej materialne niż romantyczne – dodał, otrzępując dzinsy. – Ale ja jej tego nie będę tłumaczył. A może i będzie przy nim szczęśliwa? Przy mnie nie była. Może nawet dzięki niemu przestanie zażywać prozac.

– Oscar Reeds?

Kiwnął głową i uszczęśliwiony wzruszył ramionami.

– We własnej osobie.

– Jak się poznali?

– Wpadała od czasu do czasu do galerii i uległa jego wybitnemu urokowi – powiedział z ironicznym uśmiechem. – Ja go tylko raz spotkałem i nie widzę w nim nic specjalnego, ale ja nie jestem kobietą. Olivia twierdzi, że mają wspólny język – mówił dalej, zdejmując ze ściany mały, osiemnastowieczny portret. – Podobają im się te same rzeczy. I zamierzają wspólnie otworzyć nową galerię, a stąd jest do niej blisko, więc chcą tu zamieszkać. – Znów wzruszył ramionami, a potem się roześmiał. – Żegnaj, Piccadilly.

– Jesteś dość zadowolony.

– Jasne. Zachwycony. Mam ochotę uścisnąć rękę temu facetowi. Oddał mi szaloną przysługę.

– Gdzie będziesz teraz mieszkał? – spytałam, podchodząc do okna i wyglądając na Savile Row. Sznur taksówek ciągnął ulicą niczym procesja czarnych, błyszczących żuków.

– Och, nie mam pojęcia. Na jakiś czas wrócę na farmę, a potem znajdę coś w mieście. Lubiłem tu mieszkać, ale będę równie szczęśliwy gdzie indziej.

– Czyli nie musisz już podejmować żadnych decyzji? Ona cię rzuciła.

– Tak – odparł z szerokim uśmiechem. – Mam szczęście, prawda? Pójdziesz ze mną na spacer?

Poszliśmy Piccadilly, obok Hatchardsa, przez Duke Street, minęliśmy sklep z drogi-
mi torebkami, przeszliśmy pod arkadami Ritza, gdzie na wystawach domagały się uwagi
barwne moherowe swetry i błyszczące skórzane kurtki. W końcu doszliśmy do Green
Park i weszliśmy do środka. Wszędzie widziałam pary: rozłożone na świeżej trawie, roz-
walające się na pasiowych leżakach, spacerujące pod drzewami. Nad głowami przeleciał
z rykiem samolot. Lśniące kruki telepały się niezgrabnie, kłócąc się z gołębiami lub pod-
rywając leniwie w górę jednym uderzeniem wielkich, czarnych skrzydeł. Przeszliśmy wol-
nym krokiem w kierunku alei wysadzonej platanami, przystrojonymi w jasną zieleń wczes-
nego lata, i znaleźliśmy ławkę, która stała w półcieniu.

– Usiądźmy tutaj – zaproponował.

Usiedliśmy blisko siebie, uśmiechając się do słońca. Potem wziął moją prawą rękę
w swoją prawą dłoń, a lewą ręką objął mnie za ramiona. Fala ciepła przeszła w górę, jak
ręcz w termometrze, od moich stóp do czubka głowy.

– Oto jesteśmy, Tiffany – stwierdził po prostu Człowiek Sukcesu.

– Tak. Oto jesteśmy – odparłam.

A potem jego twarz przybliżyła się do mojej, poczułam na wargach jego suche, mięk-
kie usta i zapach wody po goleniu Givenchy, i pomyślałam, że gdybym miała teraz, zaraz,
natychmiast umrzeć, to nie miałabym nic przeciwko temu, bo umarłabym niesłychanie
szczęśliwa. Szum krwi w uszach i rytmiczne bicie serca zagłuszały ruch uliczny. Człó-
wiek Sukcesu znów mnie pocałował, a później trzymał mnie za rękę i przebierał palcami,
jakby były częściami układanki, które trzeba do siebie dopasować.

– Jesteś taka cudowna, Tiffany – powiedział cicho. – Cudowna i... – Spojrzał w nie-
bo, szukając natchnienia. – ...Dziwna.

– Bardzo dziękuję.

– Dlatego tak cię lubię – powiedział. – Ponieważ jesteś... szczególna.

– Niezwykła? – podsunęłam.

– Tak. Właśnie tak. Niezwykła. I tak dobrze poinformowana. Znasz masę faktów. –
Spojrzał na mnie żartobliwie. – 137? – spytał.

– Crystal Palace do Oxford Circus.

– Przez?

– Och, hmm, Clapham Common i Hyde Park Corner.

– Bardzo dobrze. 271?

– Liverpool Street do Highgate.

– Przystanki?

– Essex Road i Holloway.

– Tak, dobrze. 249?
 – Waterloo do White Hart Lane przez Seven Sisters.
 – Doskonale. A numer 65?
 – No, hmmm, ja...
 – Mów.
 – Och...
 – Przepraszam, ale musisz się pośpieszyć.
 – Ealing Broadway! – wykrzyknęłam.
 – Do?
 – Ojej, no... Kingston. Tak, Kingston przez Kew Bridge i Richmond.
 – Świetnie. Numer 48?
 – London Bridge do Walthamstow przez... Shoreditch i Hackney Central.
 – Fantastycznie. I w końcu 68 a.
 – To łatwe. Elephant i Castle do South Croydon przez Camberwell i Herne Hill – powiedziałam triumfalnie.
 – Och, Tiffany, jaka ty jesteś mądra. – Pocałował mnie. – Wiesz co?
 – Co? – Spojrzałam w jego brązowe oczy. Człowiek Sukcesu tym razem wziął mnie za lewą rękę i znów zaczął się bawić palcami.
 – Wiesz, Tiffany, „Podwójne diamenty czynią cuda”...
 – Naprawdę? – spytałam słabym głosem.
 – Tak. Zastanawiałem się, czy... później... Skoro moje warunki diametralnie się zmieniły... Czy mógłbym cię zainteresować... stałą pozycją?
 – Och, cóż, ja... Nie... Nie...
 – Bo widzisz, Tiffany – powiedział – to jest „Prawdziwe uczucie”, co?
 – Nie mam pojęcia – odparłam.
 – Ja myślę, że tak – dodał z uśmiechem.
 – No tak... Może – przyznałam. – Bardzo możliwe.
 – Tak – stwierdził. – Na pewno. Czuję, że musimy być razem, Tiffany. Ty i ja. Życie i tak jest dość skomplikowane.

Na lewo od nas siedziała na trawie młoda kobieta z małym chłopcem. Czytała mu *O czym szumią wierzby*. Spojrzałam na nich kątem oka. Wyglądała raczej na jego opiekunkę niż na matkę. Chłopiec słuchał jej zafascynowany i od czasu do czasu spoglądał na ilustracje.

*Co się zaś tyczy Szczura, wysunął się swoim zwyczajem nieco naprzód, wtulił lebek w ramiona, a oczy wlepił w ścielącą się przed nim prostą szarą drogę; nie zwracał więc uwagi na biednego Kreta, którego dosięgło wezwanie nagle, podobne do elektrycznego wstrząsu.**

– Dlaczego twój teść narzucił ci przed laty ten warunek? – spytałam. – Że nie możesz zostawić Olivii?
 – Z powodu tego, co sam zrobił.
 – Co takiego?
 – Porzucił matkę Olivii dla innej kobiety tuż przed ich srebrnym weselem. Miesiąc później matka Olivii popełniła samobójstwo, a on do dziś ma wyrzuty sumienia. I dlatego starał się tak to załatwić, żeby podobna sytuacja nigdy się nie przydarzyła jego córce.

* Kenneth Grahame *O czym szumią wierzby*, przekład Marii Godlewskiej.

Przypuszczam, że chciał zmienić swoją historię, a ja byłem na tyle ambitny, że przyjąłem jego warunek i...

– I co?

– Ja dotrzymuję danego słowa. I naprawdę martwiłem się o Saskię. Ale nic jej nie będzie. Rozmawialiśmy i Saskia rozumie chyba więcej, niż przypuszczałem. Nie będzie też żadnych problemów z widywaniem jej. A ty będziesz cudowną macochą, Tiffany.

– Och.

– Miałeś z nią bardzo dobry kontakt na weselu. Mówiła mi później, że się jej podobasz.

– Ja też ją polubiłam...

– Możemy wieść bardzo przyjemne życie, Tiffany. Oczywiście będziesz musiała sprzedać dom – dodał.

– Ach tak?

Błagam cię, Szczurku, stój! – prosił biedny Kret z bólem serca. – Nie rozumiesz, o co chodzi. To mój dom, mój dawny dom! Doleciał mnie jego zapach, jest tu niedaleko, naprawdę, całkiem blisko. Muszę tam iść, muszę!

– Będziemy mieli piękne mieszkanie. Gdzie tylko zechcesz. Na przykład w Belgrawii.

Wróć, Szczurku, proszę cię, błagam, wracaj!

– Albo w Knightsbridge.

Tymczasem Szczur odszedł już daleko, za daleko, aby uchwycić ton bolesnej prośby w jego głosie.

– I naturalnie nie musiałybyś już pracować. – Moja euforia nagle znikła.

Biedny Kret z rozdartym sercem stał samotnie na drodze, a gdzieś głęboko w jego wnętrzu wzbierało gorzkie łkanie; czuł, iż wkrótce wybuchnie niepohamowanym płaczem.

– Fajne masz urodziny, Tiffany? – zapytał Człowiek Sukcesu.

– Och, tak, tak. To będzie na pewno niezapomniany dzień – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Dostałaś już jakieś prezenty?

– Nie, jeszcze nie. Rodzice dadzą mi prezent przy najbliższej okazji, jak się zobaczymy. Ale dostałam kartki z życzeniami. – Całą dzisiejszą pocztę miałam przy sobie w torebce. Wyjęłam kartkę od Lizzie i pokazałam mu. – To jest moja najlepsza przyjaciółka – wyjaśniłam. Przed nami przejechał chłopiec na rolkach, za nim pędził szczekający spaniel. Jeszcze raz przeczytałam dopisek Lizzie: *Alice jest uszczęśliwiona. Catherine poprosiła dziewczynki, żeby zostały jej druhnami, więc na razie masz spokój.*

– Czy mogę ci coś podarować, Tiffany? – spytał nagle Człowiek Sukcesu.

– Ojej! No...

– Bardzo mi na tym zależy.

– Dobrze. Dziękuję. To miło z twojej strony.

– Idziemy na zakupy.

Wyszliśmy z parku, przeszliśmy przez ulicę i weszliśmy na górę do Arkad Burlingtona. Przystanęliśmy przed sklepem N Peala z wyrobami z kaszmiru, obejrzelśmy aksamitne szale u Georginii von Etdorf, pióra Mont Blanc, eleganckie skórzane torebki u Franchettiego Bonda, a potem Człowiek Sukcesu zatrzymał się przed sklepem jubilerskim Burlingtona. Serce we mnie zamarło.

- Myślę, że tu coś znajdziemy – powiedział.
- O nie, to strasznie drogi sklep.
- Bzdura. W gruncie rzeczy – dodał, patrząc na wystawę – mają najzupełniej normalne ceny.
- Nie, ale...
- Chodźmy!
- Pod warunkiem, że to będzie coś bardzo, bardzo małego – stwierdziłam. Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie.

Usiedliśmy przy szklanym kontuarze, a Człowiek Sukcesu kolejno odrzucał broszki, zegarki, kolczyki, pierścioni i sznury hodowlanych pereł. Siedziałam w milczeniu. Teraz oglądał złote łańcuszki. Sprzedawca położył przed nami z dziesięć różnych łańcuszków na czerwonej, aksamitnej tacy. Człowiek Sukcesu obejrzał wszystkie, przymierzając je do mnie. Wreszcie wybrał jeden, który chyba mu się spodobał i włożył mi na szyję. Był bardzo ciężki, z grubymi ogniwiemi z osiemnastokaratowego złota.

- Jest śliczny, Tiffany – powiedział. – Czy mogę ci go podarować? Co miałam powiedzieć?
- Jeśli jesteś pewien... To znaczy jest piękny, ale...
- Bardzo do ciebie pasuje.
- Dziękuję. Dziękuję bardzo. – Człowiek Sukcesu wyjął kartę kredytową. Spojrzałam na swoje odbicie w ręcznym lusterku. Łańcuszek był rzeczywiście bardzo ładny, lecz także bardzo duży i bardzo ciężki. Metal wydawał się ciepły, ale na szyi czułam chłód i choć widziałam, że dobrze wygląda, jakoś mi nie pasował. Człowiek Sukcesu z rozmachem podpisał się na rachunku.

– Dziękuję, panie Clutterbuck – powiedział sprzedawca z przymilnym uśmiechem. Spojrzałam na Człowieka Sukcesu.

– Clutterbuck? – spytałam. Kiwnął głową. Spojrzałam na podpis na rachunku:

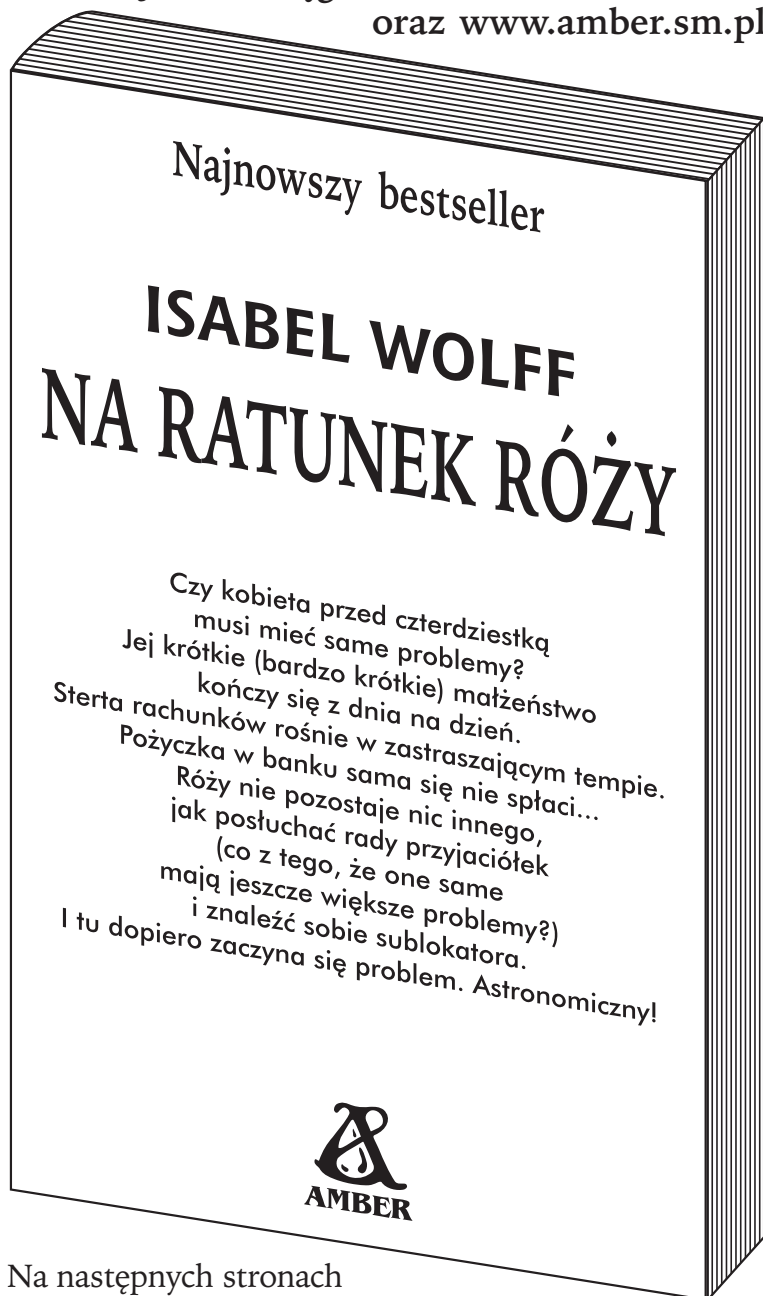
D.W. Clutterbuck.

- Co oznacza „D”?
- Odchrząknął.
- Damian.
- Aha. A „W”?
- Warren.
- Damian Clutterbuck? – Kiwnął głową.
- Damian Warren Clutterbuck – powtórzyłam z uśmiechem. – Teraz wiem!
- Tak, moja straszna tajemnica wyszła na jaw – powiedział z zawstydzonym uśmiechem. – Czy wciąż czujesz do mnie to samo?
- Co? O tak. Oczywiście – odparłam zgodnie z prawdą. – Nie bądź śmieszny... Damianie. – Naprawdę twoje idiotyczne nazwisko nie ma żadnego wpływu na moje uczucia, pomyślałam. I rzeczywiście tak było. Ponieważ gdy zapiął mi na szyi złoty łańcuszek, w tej samej chwili zdałam sobie sprawę, co czuję. Coś, co było we mnie wcześniej, ale czego nie widziałam, nagle stało się jasne – jak zdjęcie ukazujące się powoli w kuwecie z wywoływaczem, miało kształt, formę i trzeci wymiar. To była wątpliwość. Poczulałam wątpliwości. Bardzo, bardzo poważne. Miałam wrażenie, że coś się wokół mnie zamyka, brak mi tchu i sufit nagle się obniża. Zrozumiałam, że nie chcę się z nikim wiązać. Byłam za młoda. O wiele za młoda. Miałam przed sobą całe życie. Było jeszcze tyle

osób, które chciałam poznać, miejsc, które chciałam zobaczyć, rzeczy, które chciałam zrobić, nim podejmę taki decydujący krok. Oczyma wyobraźni zobaczyłam siebie ustatkowaną i nagle się przeraziłam. Czy naprawdę miałam ochotę na to, co oferował mi Człowiek Sukcesu? I to na zawsze? Nie byłam pewna. Czy faktycznie chciałybym mieszkać w Belgravii? Nie. Czy chciałam udawać, że tak jest? Nie. A poza tym, pomyślałam, podnosząc torebkę, José przyjeżdża do Londynu! Ale... Z drugiej strony... – myślałam, wychodząc ze sklepu, Człowiek Sukcesu jest spełnieniem marzeń każdej dziewczyny. Z nim byłabym częścią „nas”, a nie jedynie „mną”. A bliższa znajomość z pewnością przerodziłaby się w coś poważniejszego. W dodatku Człowiek Sukcesu świetnie zna slogany reklamowe i ma dobry gust, jeśli chodzi o krawaty, i... Mój Boże, pomyślałam, kiedy szliśmy Piccadilly, Dobry Boże, co ja mam zrobić?

Koniec

Już w księgarniach, salonach EMPiK
oraz www.amber.sm.pl



Na następnych stronach
przeczytaj początek tej pasjonującej powieści

ISABEL WOLFF

NA RATUNEK RÓŻY

(początek)

1

Staliśmy naprzeciwko siebie w ogrodzie. W łagodnych brązowych oczach Eda malował się strach i bezgraniczne zdumienie. Wbiłam w niego oburzony wzrok, a potem, powoli, zamachnęłam się prawą ręką.

– Masz! – krzyknęłam, a deserowy talerzyk z kompletu Wedgwood Kutani Crane, o średnicy siedemnastu centymetrów, przeleciał mu koło lewego ucha i walnął w ogrodzenie. – Jeszcze to! – zawołałam, gdy podniósł ręce, osłaniając się przed spodeczkiem i filiżanką. – To też sobie zabierz! – wysyczałam, rzucając w jego stronę trzema talerzami obiadowymi. – I to! – wrzasnęłam, a waza na zupę przeleciała w powietrzu.

– Różo! – krzyknął Ed, uchylając się przed fruującą porcelaną. – Różo, natychmiast przestań!

– Nie ma mowy!

– Co chcesz przez to osiągnąć?

– Emocjonalną satysfakcję.

Edowi udało się uchylić przed sosjerką i trzema deserowymi miseczkami. Dzbanuszek do mleka też roztrzaskał się na ścieżce.

– Na litość boską, Różo! Ten serwis był strasznie drogi!

– Owszem – odparłam z zadowoleniem. – Wiem.

Z całej siły rzuciłam w niego naszą fotografią ślubną w srebrnej ramce. Schylił się i zdjęcie uderzyło w drzewo. Szkło rozprysło się w drobny mak. Stałam zadyszana i napompowana adrenaliną. Ed podniósł wgniecioną ramkę. Na zdjęciu byliśmy niesłychanie szczęśliwi. Zostało zrobione siedem miesięcy temu.

– To niczyja wina – powiedział. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Nie wciskaj mi ciemnoty! – wrzasnęłam.

– Byłem potwornie nieszczęśliwy, Różo. Smutny. Nie mogłem poradzić sobie z faktem, że twoja praca jest ważniejsza ode mnie.

– Moja kariera jest dla mnie bardzo ważna – powiedziałam, rozcinając największym kuchennym nożem małżeńską kołdrę. – W dodatku to nie jest kariera, lecz powołanie. Ci ludzie mnie potrzebują.

– Ja też cię potrzebowałam – jęknął. W powietrzu zawirowała chmura gęsiego pierza. – I nie mam pojęcia, dlaczego miałem konkurować z bandą tych nieudaczników.

– To podłe, co mówisz!

– Desperaci z Dagenham!

– Przestań!

– Bankruci z Barnsley!

– Nie bądź wredny!

– Agorafobi z Aberystwyth.

– Obrzydliwe!

– Dla mnie nigdy nie miałaś czasu!

Opuściłam rękę z nożem i kolejny raz zachwyciłam się jego urodą. Był niesłychanie, niedorzecznie przystojny. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam. Czasem przypominał Gregory Pecka. A do kogo był teraz podobny? Oczywiście! Do Jimmy'ego Stewarta w filmie *Życie jest piękne*, szczęśliwego i zasypanego śniegiem. Tyle że Eda zasypał nie śnieg, lecz białe pierze, a życie zupełnie nie było cudowne.

– Przepraszam cię, Rózo – szepnęła, wypluwając dwa małe piórka. – Między nami wszystko skończone. Musimy iść naprzód.

– To znaczy, że już mnie nie kochasz? – spytałam z walącym sercem.

– Kochałem cię, Rózo – stwierdził z żalem. – Naprawdę. Ale... nie, chyba cię już nie kocham.

– Nie kochasz? – powtórzyłam ponuro. – Ach tak, rozumiem. Teraz zraniłeś moje uczucia. Obraziłeś mnie. Jestem bardzo zła. – Poszukałam w moim arsenale i znalazłam patelnię Le Creuseta. – A powstrzymywany gniew jest bardzo szkodliwy i dlatego musisz przyjąć karę jak mężczyzna.

Uniosłam patelnię obiema rękami. W oczach Eda pojawiło się przerażenie.

– Proszę, Rózo, nie wygłupiaj się.

– Jestem całkiem poważna.

– Już się zabawiłaś.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Nie chcesz mnie tym uderzyć, prawda? – jęczał, gdy szłam w jego stronę po zasypanym pierzem trawniku. – Proszę, Rózo – wydyszał. – Nie! – Podchodziłam coraz bliżej, a rozbita porcelana chrzęściła mi pod stopami. Głos Eda wznosił się wyżej i wyżej, od jego normalnego tenoru przez kontralt do dziwnego, piszczącego sopranu. – Proszę, Rózo – błagał. – Nie tym. Naprawdę możesz mi zrobić krzywdę.

– I bardzo dobrze!

– Nie, Rózo! Przestań! – zawołał, usiłując zastonić głowę rękami. – Róza! – krzyknęła, kiedy uniosłam patelnię i zamierzyłam się, aby go z całej siły walnąć w głowę. – Róza! – Skądś dobiegało mnie walenie i krzyki. – Róza! – krzyczał Ed. – Róza! Róza!

Nagle okazało się, że siedzę wyprostowana na łóżku, z bijącym sercem, wytrzeszczonymi oczyma i wysuszonymi ustami. Nie byłam w ogrodzie Eda w Putney, lecz w moim nowym domu w Camberwell.

– Róza! – krzyczał ktoś. – Otwieraj!

Chwiejnym krokiem zesłam po nieznanym schodach, wciąż zaszokowana snem, który kotłował mi się po głowie jak chmura burzowa.

– Róża! – zawołała Bella, gdy otworzyłam drzwi wejściowe. – Róża, dzięki...

– ...Bogu – westchnęła Bea.

– Walimy i walimy – powiedziała Bella z przerażeniem. – Myślałyśmy, że zrobiłaś coś...

– ...głupiego – dokończyła Bea. – Ale ty byś tego nie zrobiła, prawda? – mówiła dalej.

Czy ja bym...? Nie.

– Zasnęłam – wychrypiałam. – Nie słyszałam pukania. Przeprowadzki są potwornie męczące.

– Wiemy i dlatego przyszłyśmy ci pomóc.

Weszły do środka i uściskały mnie.

– Wszystko w porządku, Różo?

– Tak – powiedziałam, choć chciało mi się płakać.

– Ooo! – wykrzyknęła Bella na widok dużego pokoju.

– Cholera, co za bałagan – mruknęła Bea.

Pokój był zastawiony kartonami poobklejnymi błyszczącą czarną taśmą. Stały miniaturowe wieżowce, niemal całkiem zasłaniając podłogę. Zapłaciłam kupę forsy firmie Shift It Kwik, ale teraz pożałowałam, że akurat tę wybrałam. Zamiast postawić kartony w przeznaczonych dla nich pokojach, rzucili wszystko w jednym miejscu i sobie poszli. KUCH napisane było na kartonie przy oknie. SYP 1 na dwóch przy kominku. GAB na pudle przy drzwiach.

– Strasznie dużo czasu ci to zajmie – powiedziała Bea z zadumą.

– Parę tygodni – dodała Bella.

Westchnęłam. Bella i Bea miały talent do stwierdzania rzeczy oczywistych, czym doprowadzały mnie do szału. Kiedy jako dwunastolatka złamałam rękę, jeżdżąc na łyżwach, powiedziały tylko: „Powinnaś była bardziej uważać, Różo”. Kiedy nie zdałam matury, powiedziały: „Powinnaś była się bardziej przyłożyć do nauki, Różo”. A kiedy się zaręczyłam z Edem, powiedziały: „Uważamy, że to stanowczo za szybko, Różo”. Wtedy miałam na ten temat inne zdanie, ale już je zmieniałam. Bella i Bea mówią rzeczy oczywiste, jednakże mają serca ze szczerego złota.

– Nie martw się – pocieszyła mnie Bella. – My...

– ...ci pomożemy – dokończyła Bea.

W wielu sprawach są jak stare małżeństwo. Na przykład kończą za siebie zdania i często się kłócą. Nawet, jak wiele starych małżeństw, są do siebie podobne. Z drugiej strony to nic dziwnego, bo są bliźniaczkami.

– Pokaż nam dom – poprosiła Bella. – Jest całkiem duży.

To prawda. Szukałam dużego mieszkania z ogrodem, a wylądowałam w domu z trzema sypialniami. Bliźniaczkom podobała się kuchnia, choć łazienkę uznały za zbyt małą.

– Dla jednej osoby wystarczy – stwierdziła pocieszająco Bea.

Wzdrygnęłam się. Cholera. To ja byłam tą jedną osobą.

– Ogród jest super! – zawołała Bella, zmieniając temat.

– A uliczka słodka – dodała Bea. – Wygląda trochę obskurnie – zauważyła, kiedy wyjrzałyśmy przez okno na półpiętrze – ale miło.

– Ulica Nadziei – powiedziałam z gorzkim uśmiechem.

- Uważamy, że jest... – zaczęła wesoło Bella.
- ...fantastyczna!
- Może być. – Wzruszyłam ramionami.

Ścisnęło mi się serce na wspomnienie eleganckiego domu Eda w Putney, z otoczo-
nym murem ogrodem i żółtym salonem. Tamta przeprowadzka też była męcząca, ale
byłam szczęśliwa, bo się zaręczyliśmy dwa tygodnie wcześniej. Kiedy rozpakowywałam
moje rzeczy, przyszłość rozciągała się przede mną jak wstęga pustej autostrady. Jed-
nakże ledwie wyruszyliśmy w podróż, mieliśmy wypadek i musieliśmy ze wstydem dać
się odholować. Małżeństwo mogłam spisać na straty i zaczynać od nowa.

Zapewne inne kobiety w mojej sytuacji wołałyby przeprowadzić się trochę dalej,
powiedzmy do Tasmanii albo na Marsa, ja jednak uznałam, że Camberwell jest dosta-
tecznie daleko od Putney. Poza tym moja praca była niedaleko stąd i domy tu miały
możliwe ceny. Miesiąc wcześniej wpadłam do miejscowego biura handlu nieruchomo-
ściami i nim się zdążyłam zorientować, zostałam właścicielką domu przy ulicy Nadziei
numer 1.

– Można go od razu objąć w posiadanie – powiedziała pośredniczka z obłudnym
entuzjazmem. – To bliźniak – dodała. – Stał pusty przez parę miesięcy, ale jest w do-
brym stanie. Trzeba tam tylko posprzątać.

Kiedy dziesięć minut później zobaczyłam dom, od razu przypadł mi do serca. Miał
w sobie atmosferę oburzenia, rozczarowania i żalu z powodu opuszczenia. Stał jako
pierwszy w rzędzie domów z płaskimi fasadami. Z tyłu był częściowo wybrukowany
ogród.

– Biorę – powiedziałam od niechcenia, jakbym wydawała dwadzieścia funtów, a nie
czterysta tysięcy. Przełałam swoje oszczędności do kasy mieszkaniowej i po dziesięciu
dniach byłam właścicielką domu. Już taka jestem – niecierpliwa. Na przykład szybko
wysłałam za mąż. I jeszcze szybciej się rozeszłam. Kupno nowego domu i przeprowadzka
zająły mi dokładnie dwa i pół tygodnia.

– Stać cię na to? – spytała Bella, zakładając za ucho krótki kosmyk jasnych włosów.
– Nie – odparłam zwięźle.
– To dlaczego kupiłaś ten dom? – dopytywała się Bea, która potrafi być bardzo
apodyktyczna.

- Pod wpływem impulsu.
- Pomożemy ci go urządzić – obiecała Bella, przecinając nożyczkami taśmę klejącą.
- Możesz być naszą pierwszą klientką – powiedziała Bea.
- Wymyśliłyście już nazwę? – spytałam.
- Podwójny Projekt! – zawołały chórem.
- Niezłe.

Bliźniaczki zrezygnowały ze swoich etatowych zajęć i postanowiły założyć firmę pro-
jektowania wnętrz. Mimo oczywistego braku doświadczenia były przekonane, że im się
uda.

– Potrzeba nam paru kontaktów, a potem już samo pójdzie – powiedziała niefraso-
bliwie Bea, kiedy po raz pierwszy poinformowały mnie o swoich planach. – Jakaś miła
wzmianka w jednym z kolorowych pism i wkrótce będziemy musiały przebierać wśród
klientów.

- W twoich ustach brzmi to niewiarygodnie prosto – zauważyłam.

– Wśród tych bogatych ludzi z wielkimi domami i okropnym gustem jest ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju usługi – powiedziała z zadowoleniem Bella.

– Załatwimy ci wszystko po kosztach własnych – zaproponowała Bea, rozpakowując talerze. – Uważam, że stanowczo powinnaś urządzić na nowo łazienkę...

– Ze szklaną umywalką.

– I z jacuzzi.

– Wyposażenie kuchni na zamówienie.

– Tak, z Poggenpohl – stwierdziła entuzjastycznie Bella.

– Nie, Smallbone of Devizes – powiedziała Bea.

– Poggenpohl.

– Nie, Smallbone.

– Zawsze mi się sprzeciwiasz.

– Nieprawda.

– Postuchajcie, nie zamierzam kupować żadnych wyszukanych rzeczy – przerwałam im ze znużeniem. – Nie mam pieniędzy.

Gdy bliźniaczki sprzeczały się na temat względnych zalet kosztownego wyposażenia kuchni, zajęłam się otwieraniem pudeł w dużym pokoju. Z bijącym sercem delikatnie wyjęłam nasze zdjęcie ślubne, którym we śnie rzuciłam w Eda. Na zdjęciu staliśmy na stopniach ratusza w Chelsea, obsypani konfetti. Nie jestem zarozumiała, ale naprawdę dobrze razem wyglądaliśmy. Ed jest trochę wyższy ode mnie, ma metr osiemdziesiąt osiem, ciemne włosy, które wiją mu się na karku, i łagodne brązowe oczy. Ja mam zielone oczy i włosy w kolorze tyrcjanowskiej czerwieni.

– Jesteś moją doskonałą czerwoną Różą – żartował Ed na początku naszej znajomości, choć niebawem zaczął narzekać na kolce.

Jednakże pierwsze tygodnie były fantastyczne, pomyślałam posępnie, odkładając zdjęcie do szuflady. Nasz romans był wariacki, wręcz szalony, a teraz wszystko się skończyło. Za sobą zostawiliśmy smętne resztki małżeństwa, na przykład liczne ślubne prezenty, które na szczęście – w przeciwieństwie do naszego krótkiego małżeństwa – wciąż były na gwarancji. Postanowiliśmy podzielić je według tego, od kogo je dostaliśmy, dzięki czemu hawajski rożen przypadł Edowi, a mnie Rudolf. Edowi to wcale nie przeszkadzało. Rudolf, zdrobniałe Rudy, którego podarowały nam bliźniaczki, nigdy nie przypadł mu do gustu. Nazwaliśmy go Rudolf Valentino, bo był niestychanie milczący. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Gwarki są podobno bardzo gadatliwe, ale nasz w ogóle się nie odzywa.

– Powiedz coś, Rudolf – namawiała Bella.

– Tak, powiedz coś – dodała Bea.

Usiłowały namówić go do gadania gwizdaniem i cmokaniem, ale wyzywająco milczał.

– Słuchaj, Rudolf, nieźle za ciebie zapłaciłyśmy – wytknęła Bella. – Dwie setki, dokładnie mówiąc.

– Trzy – poprawiła ją Bea.

– Dwie.

– Trzy, Bella. Pamiętam.

– To źle pamiętasz, bo dwie.

Ze znużeniem otworzyłam karton z napisem GAB, bo wkrótce musiałam wracać do pracy. Na wierzchu leżał egzemplarz mojej nowej książki pod żenującym tytułem: *Tajem-*

nica udanego małżeństwa. Jak już wspominałam, robię wszystko bardzo szybko i napisanie tej książki zajęło mi trzy miesiące. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ukazała się dokładnie tego dnia, gdy rozstaliśmy się z Edem. Biorąc pod uwagę fakt, że nasze rozstanie stało się sprawą publiczną, krytycy nie szczędzili złośliwości. Czytanie książki Costelloe to zwracanie się do bankruta o poradę finansową – napisał jeden z nich. I co jeszcze? – pytał szyderczo inny. – Ann Widdecombe jako autorka *Tajemnic elegancji*?

Chciałam, aby wydawca wycofał książkę, ale było już za późno. Teraz odłożyłam ją do szuflady razem ze zdjęciem ślubnym i wzięłam na górę komputer i część segregatorów. W gabinecie, obok sypialni, otworzyłam duży karton z napisem LISTY/ODPOWIEDZI i wyjęłam list, który leżał na wierzchu.

Droga Rózo!

Czy mogłabyś mi pomóc? Moje małżeństwo się rozpada. Początkowo byłem zafascynowany i zachwycony żoną, która jest piękna, pełna życia i zabawowa. Kiedy ją poznałem, pracowała jako dziennikarka, ale niespodziewanie dostała pracę powierniczkę trosk i moje życie zmieniło się w piekło. Prawie jej nie widuję, bo odpowiadanie na listy zabiera jej cały czas, a kiedy się widzimy, mówi wyłącznie o problemach swoich czytelników, co, szczerze mówiąc, okropnie mnie przygnębia. Prosiłem, aby zrezygnowała z tego zajęcia, a przynajmniej poświęcała mu trochę mniej czasu, ale się nie zgadza. Czy mam wystąpić o rozwód?

Do listu przyczepiona była moja odpowiedź.

Drogi Wkurzony z Putney!

Dziękuję za list. Chciałabym Ci pomóc. Po pierwsze, mimo że Twoja żona ewidentnie Cię kocha, jest także wyraźnie zajęta swoją karierą. Z własnego doświadczenia wiem, że redagowanie rubryki z poradami daje wiele satysfakcji. Trudno opisać przyjemność wynikającą z faktu, że się komuś pomogło. Dlatego chciałabym zaproponować, drogi WzP – jeśli mogę tak do Ciebie pisać – żebyś nie robił niczego pochopnie. Jesteście małżeństwem od niedawna, a zatem nadal rozmawiaj ze swoją żoną, a z czasem, jestem pewna, wszystko się ułoży.

Może powinniście pójść do poradni małżeńskiej.

Ostatnie zdanie dodałam impulsywnie i później miałam bardzo tego żałować. (...)

Bestsellery Isabel Wolff



Taki cios nie spada na każdego!
Reporterka radiowa Minty Malone jest zdruzgotana.
W dniu ślubu narzeczony zostawia ją przed ołtarzem!
Dlaczego? Przecież go kocha!
Zawsze we wszystkim go słuchała,
robiła to, co chciał, była miła, słodka i uległa...
A może właśnie dlatego? Może najwyższy czas nauczyć się mówić: nie.
No, ale czy każdemu facetowi...?

w Wydawnictwie AMBER



Piętnasta rocznica ślubu to nie byle co. Faith wydaje uroczystą kolację.

Ale jedna uwaga najlepszej przyjaciółki sprawia,
że w głowie Faith rozdzwania się alarmowy dzwonek.

Dlaczego Peter jest ostatnio taki rozkojarzony?

Dlaczego pracuje do późna?

Dlaczego nagle zaczął dbać o siebie?

Przyczyna może być tylko jedna: inna kobieta!

Ale to przecież niemożliwe!!!



ISABEL WOLFF, absolwentka wydziału literatury angielskiej Cambridge, dziennikarka pisująca dla „Evening Standard” i „Spectatora”, prezenterka radiowa i telewizyjna BBC, popularność zdobyła jako autorka kolumny w „Daily Telegraph”, poświęconej... randkom. Felietony podpisywała Tiffany Trott – fikcyjnym nazwiskiem kobiety, która „spotyka się” co tydzień na randce z innym mężczyzną. Po 100 „randkach” Isabel Wolff uznała, że to świetny materiał na książkę. Tak powstała jej pierwsza powieść **CEL MATRYMONIALNY. Rok z dziennika Tiffany Trott**, która dała początek błyskawicznej karierze pisarskiej. Książka także w Polsce stała się przebojem. Aż 20 razy gościła na polskich listach bestsellerów!

Dziś Isabel Wolff jest jedną z najlepszych brytyjskich autorek, której każdą powieść zapowiada się jako wydarzenie sezonu. Jej bestsellery, **WZLOTY I UPADKI. Rok z dziennika Minty Malone** oraz **PODSTĘPNIE I ZNIENACKA**, pojawiają się na najważniejszych brytyjskich listach, m.in. „Timesa”. Początkowo porównywane były z *Dziennikiem Bridget Jones*, choć krytyka podkreśla indywidualność, niepowtarzalne poczucie humoru i oryginalny talent literacki pisarki. Najnowszym przebojem Isabel Wolff jest powieść **NA RATUNEK RÓŻY**.

Światowa prasa o książkach Isabel Wolff:

Bohaterki Wolff łączy jedno – potrafią spojrzeć na siebie i na to, co je spotyka, z dystansem i poczuciem humoru.

„Sunday Express”

Książki Isabel Wolff to istny gejzer humoru.

„Publishers Weekly”

Pisane w pierwszej osobie powieści rozśmieszają do też rewelacyjnymi monologami wewnętrznymi bohaterek.

„Woman”

Niepowtarzalny humor to znak firmowy Isabel Wolff. Nie do podrobienia!

„Literary Review”

Powieści Wolff to przezabawne i pasjonujące opowiadania o poszukiwaniu właściwego mężczyzny.

„Week News”

**Więcej informacji o Isabel Wolff i jej książkach
na oficjalnej stronie internetowej autorki**

www.IsabelWolff.com